

RICHARD RUSSO

Po złej
stronie drogi



Prószyński i S-ka

Richard Russo, nazywany kronikarzem prowincjonalnych miasteczek, jest wymieniany przez krytyków obok Sherwooda Andersona i Sinclaira Lewisa jako jeden z najważniejszych pisarzy współczesnej Ameryki. Opublikował pięć powieści: *Mohawk* (1986), *The Risk Pool* (1988), *Nobody's Fool* (1993), *Straight Man* (*Prawy człowiek*, 1997) oraz *Empire Falls* wyróżnioną w 2002 r. Nagrodą Pulitzera. Powieść *Nobody's Fool* (*Naiwniaczek*) doczekała się ekranizacji w znakomitej obsadzie: Paul Newman, Melanie Griffith, Jessica Tandy i Bruce Willis (nominacje do Oscara; za rolę pierwszoplanową dla Newmana oraz za scenariusz). Wspólnie z Robertem Bentonem (reżyserem *Naiwniaczka*) napisał scenariusz filmu *Twilight*, w którym wystąpili: Newman, Susan Sarandon, Gene Hackman i Reese Witherspoon.

Mohawk to prowincjonalne miasteczko w stanie Nowy Jork, jedno z tych, o których się mawia, że leżą po złej stronie drogi. Ludziom nie żyje się tu łatwo, a ich niewłaściwie ułożone ambicje, dawne miłości i tajone nienawiści tworzą więzy silniejsze niekiedy od nich samych. Mimo to mieszkańcy Mohawk będą naszą sympatią – potrafią być pełni humoru, beztroscy i po prostu bezinteresownie dobrzy i serdeczni. Smutki przeplatają się z radością, troski z nowymi nadziejami – życie płynie „po złej stronie drogi”, jak wszędzie.

PATRONAT MEDIALNY

onet.pl

WYŁOŻENIA LITERATURALNE
www.merlin.pl



Cena 34,90 zł

Informacje
o naszych książkach
można znaleźć
w witrynie internetowej
www.proszynski.pl



RICHARD RUSSO
Po złej stronie drogi

Proszynski i S-ka

**RICHARD
RUSSO**

Po złej stronie
drogi

Przełożyła Bogumiła Nawrot

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału

MOHAWK

Copyright © 1986 by Richard Russo All rights reserved

Projekt okładki:

Maciej Sadowski

Redakcja:

Wiesława Karaczewska

Redakcja techniczna:

Małgorzata Kozub

Łamanie:

Elżbieta Rosińska

Korekta:

Bronisława Dziejic-Wesołowska

ISBN 83-7337-180-X

Warszawa 2002

Wydawca:

Prószyński i S-ka SA

02-651 Warszawa, ul. Garażowa 7

Druk i oprawa:

OPOLGRAF Spółka Akcyjna

45-085 Opole, ul. Niedziałkowskiego 8-12

Ale wiara, jak szakal, żeruje pośród grobów
i nawet z tych śmiertelnych wątpliwości
czerpie najżywotniejszą nadzieję.

Herman Melville, „Moby Dick”
(przełożył Bronisław Zieliński)

*Barbarze, Emily i Kate
oraz Dickowi Le Varnowi*

Autor jest wdzięczny za wsparcie Radzie Sztuki Pensyl-
wani
i Uniwersytetowi Stanowemu Południowego Connecticut.
Specjalne podziękowania za wiarę i pomoc dla Jean Fin-
dlay,
pani Richardowej LeVarn, Jima Russo, Kevina McIlvoya,
Roberta C. S. Downsa, Kjella Melinga, Kitty Florey,
Ken Floreya i Grega Gottunga.

Miasto Mohawk, podobnie jak jego mieszkańcy, istnieją
jedynie w wyobraźni autora.

Część pierwsza

1

Tylnie wejście do baru Mohawk jest od strony alejki, przy której stoi gimnazjum. Kiedy Harry zdejmuje sztabę od wewnątrz i otwiera ciężkie drzwi, Szalony Bill już nerwowo czeka w ciemnoszarym półmroku świtu. Niemożliwością jest stwierdzić, jak długo chodził tam i z powrotem, nasłuchując szczęku sztaby, ale dziś wygląda na bardziej zdenerwowanego, niż zazwyczaj. Szalony Bill wsuwa ręce głębiej do kieszeni i czeka, podczas gdy Harry uważnie mu się przygląda, próbując odgadnąć, czy tej nocy Bill wpakował się w jakieś tarapaty. Prawdopodobnie nie, stwierdza w końcu Harry. Bill jak zawsze jest rozmamłany, jego czarne portki są pogniecione i zakurzone, wychodzi mu z nich wytarta zielona koszula w kratę, ale w jego wyglądzie nie ma nic specjalnie podejrzanego. Harry się cieszy, ponieważ dziś rano później otworzył bar i nie ma czasu doprowadzać Szalonego Billa do porządku.

Kiedy w końcu Harry odsuwa się na bok, Bill wślizguje się do środka i siada na pierwszym z brzegu okrągłym stolku przy kontuarze pokrytym laminatem. Harry mocuje ciężkie drzwi do ściany zewnętrznej, żeby dostawcy mogli wchodzić od zaplecza, a do środka wpadło nieco świeżego powietrza. Przy okazji wleci kilka much z ulicy, ale skończą na lepach, wiszących pod sufitem. Harry otwiera wielkie okna od frontu, tworząc zimny przeciąg, który rozwiewa rzadkie włosy Szalonego Billa. Bill ma trzydzieści parę lat, ale cieniutkie jak u dziecka włosy wychodzą mu całymi garściami i wygląda niewiele młodziej od Harry'ego, któremu prawie stuknęła piąty krzyżyk.

- Głodny? - pyta Harry.

Szalony Bill kiwa głową i uważnie przygląda się rożnowi, na którym skwierczy tłuszcz. Harry bierze wielką torbę i wysypuje z niej kilka tuzinów

kielbasek, pokrywając nimi całkowicie ruszt, a potem rozdziela je końcem łopatką, aż upodabniają się do wielkich paluchów.

- To trochę potrwa - uprzedza.

Szalony Bill wyraźnie nieco się odpręża. Pyskający sos uspokaja go, patrzy jak zahipnotyzowany na skwierczące i podskakujące kielbaski. Tłuszcz zaczyna się wytapiać i ścieka do korytka na brzegu rusztu. Szalony Bill, gdyby mógł, nie dopuściłby do tego, bo lubi tłuszcz z kielbasek. Czasem, jeśli Harry nie zapomni, przed oczyszczeniem różna smaży Szalonemu Billowi jajka na nim. Ale Bill dostaje jajka tylko wtedy, kiedy ma pieniądze, co mu się rzadko zdarza. Bill na ogół ma przy sobie tylko kilka moniaków, ale przez ostatnie dziesięć lat pierwszego dnia każdego miesiąca do baru Mohawk przychodzi koperta, zawierająca szeleszczący banknot dziesięciodolarowy i karteczkę ze słowami „Dla Williama Gaffneya”. Skąd się bierze, to jedyna prawdziwa zagadka w życiu Harry'ego. Początkowo myślał, że pieniądze przysłał ojciec chłopaka, ale to było, zanim poznał Rory'ego Gaffneya. Harry spotkał prawie wszystkich, którzy znają Szalonego Billa, i w taki czy inny sposób ustalili, że żaden z nich nie jest nadawcą listu. Pieniądze po prostu się pojawiają i już. Kiedy się kończą, Szalony Bill zawsze może liczyć na to, że Harry przed pojawieniem się pierwszych gości zafunduje mu kawę i jedną z wczorajszych bułek. Ale szczodrość Harry'ego ma swoje granice, rzadko rozdaje jedzenie, które nie jest przeznaczone do wyrzucenia. Raz, dwa lata temu na Boże Narodzenie, Harry'ego ogarnęła chandra, więc żeby się jej pozbyć, przygotował dla Szalonego Billa obfite śniadanie - sok, jajka, szynkę, naleśniki, domowe frytki, grzanekę, galaretkę i syrop klonowy. Bill wszystko łapczywie pochłonął, zaskoczony i wdzięczny, a potem zymiotował w alejce. Od tamtej pory Harry się pilnuje, żeby nie popełnić tego samego błędu.

- Chcę, żebyś dziś rano wyrzucił śmieci - mówi Harry, odwracając łopatką kielbaski.

Szalony Bill obserwuje każdy jego ruch jak pies czyhający na najmniejsze potknięcie.

- Słyszałeś?

Szalony Bill wzdryga się i patrzy na Harry'ego.

- Powiedziałem, że chcę, żebyś wyniósł śmieci. Dostaniesz za to kilka grzanek.

- Tera?

- Tak, teraz.

Szalony Bill nie ma ochoty wyjść - lubi obserwować kielbaski - ale zsuwa się ze stołka i idzie na tyły baru, gdzie Harry wystawił kilka toreb z odpadkami. Muchy już je wyczuły i krążą wokół nich jak wściekłe. Szalony Bill wrzuca torby do pojemnika i wraca na swój stół akurat w chwili, kiedy dwie złotobrazowe grzanki wyskakują z tostera. Harry skąpo smaruje je masłem i kładzie na talerzyku przed Szalonym Billem. Korci go, żeby zapytać, czy Bill wdał się wieczorem w jakąś awanturę, ale ostatecznie rezygnuje. Gdyby tak było, od razu by zauważył, bo Bill nie potrafi się bić. Zazwyczaj każdy, kto wszczyną bójkę, rozkwasa Billowi gębę, a potem robi mu się głupio, ponieważ Szalony Bill, zamiast wpaść we wściekłość, tylko stoi z opuszczonymi rękami i ma taką minę, jakby za chwilę miał się rozplakać.

- Nie znalazłeś sobie dziewczyny, co?

Bill kręci głową, ale przestaje żuć grzankę, by spojrzeć na Harry'ego, ciekawego, czy Bill kłamie, czy w ogóle jest zdolny do kłamstwa.

- Obiecałem twojemu stryjowi, że mu powiem, kiedy ściągniesz sobie na głowę jakieś kłopoty - ostrzega Harry.

Ale Szalony Bill znów zajmuje się grzanką, którą przeżuwa w niezwykłym skupieniu, jakby się bał popełnić błąd. Rozlega się stukanie do drzwi frontowych i Harry idzie otworzyć. Na progu leży zwinięty w rulon egzemplarz „Mohawk Republican” i Harry wraca z nim, upewniwszy się, czy wczoraj nie zgadł prawidłowo numeru. „Republican” zna swoich czytelników i codziennie drukuje trzycyfrową liczbę w lewym górnym rogu na pierwszej stronie nad tytułem sensacji dnia, który dzisiaj brzmi GARBARNIE WINNE WYŻSZEMU WSKAŹNIKOWI ZACHOROWALNOŚCI NA RAKA. Harry przebiega wzrokiem pierwszy krótki akapit, informujący o wniosku, jaki wyciągnięto z badań przeprowadzonych w okręgu Mohawk. Stwierdzono, że mieszkańcy powiatu są trzy razy bardziej narażeni na zachorowanie na raka, białaczkę i jeszcze kilka poważnych chorób niż ludność innych regionów kraju. Pracownicy garbarni i zakładów skórzanych oraz ci, co mieszkają w pobliżu Cayuga Creek, do której - jak się podejrzewa - garbarnie Morelock, Hunter i Cayuga odprowadzają ścieki, są dziesięć do dwudziestu razy bardziej narażeni na zapadnięcie na jedną z chorób, wymienionych na stronie szóstej. Rzecznik prasowy garbarni zaprzecza, by w ciągu ostatnich dwudziestu lat zanotowano chociaż jeden przypadek zatrucia wód, i uważa, że ostatnie wyniki są najprawdopodobniej błędem statystycznym.

Harry zostawia gazetę na kontuarze, żeby każdy, kto zechce, mógł sprawdzić wyniki piątkowych gonitw. Kielbaski są gotowe. Przekłada je

z różną do metalowego pojemnika. Wrzuci je z powrotem na ruszt na minutę, by je podgrzać, kiedy klienci zaczęli składać zamówienia. Co nie pójdzie na śniadanie, wykorzysta do kanapek, sprzedawanych w ciągu dnia. Wie z dokładnością do jednej, dwóch kiełbasek, ile ich będzie potrzebna. Bar sprawia mu niewiele niespodzianek, za co jest wdzięczny. Długą łopatką zgarnia tłuszcz do korytka, nim ułoży na błyszczącym ruszcie rzędy plasterków bekonu.

- Słuchaj no - mówi do Szalonego Billa, zajętego wyjadaniem z talerzyka okruszków grzanek. - Nigdy nie pijesz bez szczególnej okazji, prawda?

Szalony Bill kiwa głową.

Harry wzrusza ramionami. Tak tylko zapytał, lecz dużo by to tłumaczyło. Harry nie mieszkał w Mohawk, kiedy Szalony Bill był chłopcem, ale ludzie gadają, że dawniej Bill był mniej więcej normalny. Boczki zaczyna skwierczeć. Harry'emu się odbiło. Wyciera ręce o fartuch na brzuchu. Czuje się tak jak zawsze w sobotni rano, po nocnej popijawie. Przyszedł prosto do baru, nie kładąc się spać, i słodkawy zapach smażącego się mięsa sprawia, że wszystko mu się w żołądku przewraca. Ale to nie jest teraz jego największe zmartwienie. Wieczorem oświadczył się pewnej kobiecie. Harry, kiedy pije, staje się mało wybredny, jeśli chodzi o kobiety, i niezmiennie proponuje im małżeństwo. Kobiety, z którymi Harry się zadaje w piątkowe wieczory, zazwyczaj mówią „tak”, i potem on musi się wycofywać. Dobrze chociaż, że wiedzą, iż nie ma najmniejszego zamiaru się z nimi żenić, więc nie czują się urażone. Mówią „tak”, ponieważ ostatecznie nigdy nic nie wiadomo, a ich życie obfituje w okazje, z których nic nie wynika. Wiedzą, że Harry'emu niepotrzebna żona, a może lepiej by było, gdyby poważnie zastanowił się nad ożenkiem. Kiedyś mogły się lepiej ustawić niż Harry, ale to było kilka kadencji prezydenckich temu. Nad rożnem wisi kalendarz na rok 1966. Ktokolwiek go dał Harry'emu w zeszłym roku, nie wręczył mu aktualnego na nowy rok. Miesiące się nie zmieniły, a Harry nie przywiązuje wagi do tych kilku dni różnicy.

- Nie daj się usidlić żadnej babie - mruczy pod nosem.

- Tera?

- Ani teraz, ani nigdy.

Harry widzi, jak Bill przygląda się wczorajszym czerstwym bułkom, leżącym pod szklanym kloszem. Wręcza Billowi jedną, a pozostałe wyrzuca. Faceci z piekarni będą za kilka minut. Harry przekłada bekon na drugą stronę.

Zza ściany dobiega tupot nóg na schodach, widomy znak, że zakończyła się całonocna partyjka pokera na pierwszym piętrze. To z kolei oznacza, że Harry będzie miał zaraz klientów. Kiedy otwierają się drzwi frontowe i wchodzi kilku mężczyzn, Szalony Bill szykuje się do wyjścia, ale Harry kładzie mu dłoń na ramieniu i Bill z powrotem siada na stołku. Zazwyczaj Harry nie chce, żeby się tu kręcił, kiedy zaczynają się schodzić normalni goście, ale wie, że akurat ci nie są wybredni. W tej chwili ledwo się trzymają na nogach. Zająwszy miejsca przy kontuarze, dwaj mężczyźni o przekrwionych oczach zamawiają solidne śniadanie - szynkę, jajka, domowe frytki, grzanki, kawę - a dwaj tylko kawę. Harry nie musi pytać, kto wygrał. John, prawnik, zazwyczaj wygrywa i kurczowo się trzyma swych wygranych do czasu wyjazdu do Las Vegas, gdzie zazwyczaj wybiera się dwa razy w roku. Wtedy na ogół górą jest Vegas. Jeden z tych, którzy nie jedzą, wyciąga kupon zakładów w wyścigach konnych. Drugi bierze „Mohawk Republican” Harry’ego i otwiera na wiadomościach sportowych.

- Jaki był wczoraj numerek? - pyta ktoś.
- Czteryśta dwadzieścia jeden - odpowiada burknięciem Harry.
- Przez trzy lata nie trafiłem ani razu.
- No to co? Ja prawie równie długo się nie ciupciałem.
- Mogę ci załatwić ciupcianko, jeśli dowiesz się dla mnie, jaki będzie numerek - mówi John, uważany za babiarza. On jedyny wygląda stosunkowo świeżo po zarwanej całej nocy.

- Co to za sztuka wyciupciać kogoś? - odzywa się inny.

- Ale niektórzy wolą to robić z dziewczynkami.

Zaczynają się mocować na niby. Szalony Bill ich obserwuje, nieco zaniepokojony symulowaną bijatyką. Jeden z mężczyzn kiwa mu głową na powitanie.

- No chyba - rzuca Bill.

- Właśnie - mówi mężczyzna i robi oko do Harry’ego. - No chyba.

- No chyba - dołączają się pozostali. - No chyba, Harry.

- Odwalcie się. - Harry żałuje teraz, że nie pozwolił Billowi, szczerzącemu zęby do nieznanym, się ulotnić, kiedy tego chciał. Czasami wolałby, żeby Szalony Bill gdzieś sobie poszedł i już się więcej nie pojawił. W najlepszym razie jest balastem. Ale i tak Harry nie lubi, jak ludzie się z niego naśmiewają.

- Ile czasu potrzeba, by usmażyć parę jajek? - chce wiedzieć prawnik. - Chyba powinny być już gotowe.

- No chyba - wtórują chórem pozostali.

Mężczyzna studiujący wiadomości sportowe odchyła się na stołku, żeby mieć widok na ulicę.

- Trzymaj się z dala od mojego wozu, ty grubasie. - Gaffney, policjant, przygląda się trzem nieprawidłowo zaparkowanym autom przy krawężniku. Zgodnie z niedawnym zarządzeniem na Main Street nie wolno parkować. - Jak widzę mandat, tracę panowanie nad sobą.

- Podejmę się obrony twojej sprawy - mówi mu John.

- Nawet ty jesteś w stanie ją wygrać - zauważa któryś.

Harry nawet nie wygląda przez okno. Zna Gaffneya i wie, że policjant nie wypisze żadnych mandatów, dopóki nie ustali, czyje to samochody. Gaffney lubi pić kawę w barze i zostawia klientów Harry'ego w spokoju.

Otwierają się drzwi i do środka wtacza się potężny mężczyzna, ale o wyglądzie pocziwca. Nie boją się go nawet chłopcy, którzy się ścigają na rowerach na chodniku wzdłuż Main Street. Szaleją na swoich jednośladach za jego plecami, kiedy pilnuje świateł przy Four Corners, i znikają, zanim się zdąży odwrócić. Tylko Gaffney traktuje siebie poważnie. Nosi swoją trzydziestkę ósemkę na prawym biodrze niżej, niż zezwala regulamin.

- Czołem, chłopaki. - Kiwa im na powitanie i zajmuje miejsce na drugim końcu kontuaru.

- No chyba - mówi ktoś.

Szalony Bill znów zrobił się nerwowy, kręci się na swoim stołku i ani na chwilę nie spuszcza wzroku z policjanta. Mundury wywołują w nim niepokój, nawet jeśli noszą je znajomi. Szalony Bill nie ma szczęścia do umundurowanych.

- Czyj to mercury? - pyta Gaffney. Sypie dwie płaskie łyżeczki cukru do parującej kawy, którą postawił przed nim Harry.

- Murphy'ego - mówi prawnik, dziabiąc widelcem sadzone jajka, aż rozlewa się żółtko. - Za chwilę zejdzie, jeśli sobie nie palnął w łeb.

- Przynajmniej mógłbyś mu zafundować śniadanie - odzywa się jeden z pijących kawę.

- Proponowałem mu. Powiedział, że nie jest głodny.

- Mam nadzieję, że jego dzieciaki też nie. Przynajmniej w tym tygodniu.

- W tym miesiącu.

- Nie on jeden się splukał - zauważa drugi z popijających kawę, nie chcąc, by wszyscy okazali współczucie jedynie nieobecnemu Murphy'emu.

- Tak, ale widziałeś jego minę, kiedy przegrał?

John rechocze na wspomnienie tej chwili, nie przestając jeść jajek.

- Cholera - mówi z uznaniem.

Kiedy Szalony Bill zsuwa się ze swojego stoika jak skarcony pies i wymyka się tylnymi drzwiami, Harry nie próbuje go zatrzymać. Mężczyźni patrzą za nim. Ten, który czytał wiadomości sportowe, złożył gazetę.

- Widocznie pije wodę z Cayuga Creek - mówi. Wszyscy oprócz Harry'ego wybuchają śmiechem.

- Co, do cholery, ma znaczyć to „no chyba”?

- „Siema!” - wyjaśnia Harry.

- Skąd wiesz? - pyta John. - Sprawdziłeś w „Słowniku półgłówków”?

- Znaczą „siema” i już.

- Gaff, możesz rozstrzygnąć nasz spór - mówi prawnik, nie podnosząc głowy nad talerza. - Przecież jesteś jego stryjem.

Gaffney robi się ciemnoczerwony. Chociaż wygląda na tyle samo lat co Szalony Bill, rzeczywiście jest jego stryjem. Niewiele osób w Mohawk wie, jak Szalony Bill ma na nazwisko, więc on rzadko musi się przyznawać do pokrewieństwa z nim. Teraz wszyscy się dowiedzą.

- Nawet widać podobieństwo, kiedy się dobrze przyjrzeć - odzywa się któryś.

- Gaff, powiedz „no chyba”.

- Dosyć tego! - ryczy Harry tak głośno, że wszyscy podskakują, nie wyłączając policjanta. Czerwona zazwyczaj twarz Harry'ego czerwienieje jeszcze bardziej, Harry wymachuje długą, cienką łopatką niczym mieczem. Komuś, kto przypadkowo zajrzałby tu z ulicy, wydałby się raczej śmieszny niż groźny, ale wszyscy, którzy mają choć odrobinę oleju w głowie i są w zasięgu jego łopatki, traktują go poważnie.

Napiętą sytuację rozładowuje prawnik.

- Ostatniego wieczoru chyba znów się ożeniłeś. Potem zawsze masz kaca moralnego. Mogę do południa unieważnić twoje małżeństwo, o ile nie zostało skonsumowane.

- Skonsumowane? Przez Harry'ego?

Wszyscy wybuchają śmiechem i Harry opuszcza swoją broń. Nic sobie nie robi z ich żartów, ale jeszcze mu złość nie minęła.

- To biedny świrus. Dajcie mu spokój, dobrze?

- Jasne, Harry. No chyba.

Mężczyźni płacą i wychodzą, Harry i Gaffney zostają sami. Wciąż jeszcze jest wczesna pora. Policjant czyta pierwszą stronę „Republican”,

podczas gdy Harry wrzuca na ruszt zawartość małej torby z frytkami. Prawdopodobnie nie zobaczy Szalonego Billa do poniedziałkowego rana, i bardzo dobrze. Harry jest ciekaw, gdzie Bill się podziewa, co porabia całe dnie i noce. Nim policjant odłożył gazetę, frytki Harry'ego zrobiły się pod spodem brązowe, ale wyglądają na zimne i są nieapetyczne. Samochody zaparkowane przed barem zniknęły, z wyjątkiem forda mercury.

- Ten Murphy to twój klient?

Harry mówi, że nie.

Gaffney płaci za kawę i wychodzi. Harry widzi go, jak pochyła się nad mercurym, by wypisać na masce mandat. Harry przewraca frytki i rozgląda się po barze. Nie ma pretensji do losu ani nie pragnie posiadać więcej, niż posiada. Bar to coś w sam raz dla niego. Żałuje, że nie usmażył Szalonemu Billowi paru jajek na tłuszczu z kiełbasek, ale to w tej chwili jedyna rzecz, która nie daje mu spokoju.

2

Mam nadzieję, że podczas naszej nieobecności nic się w domu nie stanie - oświadczyła pani Grouse, kiedy jej córka Anna skręciła w Oak. Starsza pani ubrana wyjściowo - w kremową suknię z paskiem - gładziła materiał na kolanach dłońmi w rękawiczkach. Pani Grouse nie lubiła jeździć samochodem i nie odmawiała jedynie wtedy, kiedy wybierała się do kościoła albo z wizytą do swej starszej siostry Milly, dokąd właśnie razem z córką się teraz udawały. Anna zjechała do krawężnika.

- Mamo, chcesz wrócić i jeszcze raz wszystko sprawdzić?

- Po co, moja droga?

- Nie mam pojęcia. Ale jeśli masz jakiegokolwiek wątpliwości, wracajmy... bezwzględnie. W przeciwnym razie przez całe popołudnie będziesz na głos wyrażać swoje obawy.

- Bzdura.

- Zgadzam się - powiedziała Anna i włączyła się do ruchu. Kiedy dojechały do najbliższej przecznicy, pani Grouse stwierdziła:

- Pozamykałam wszystkie drzwi.

- Tak, mamo.

Pani Grouse nie spojrzała na córkę.

- Nie ma najmniejszego powodu pod słońcem, żebyś się złościła. Kiedy ojciec jest w szpitalu, odpowiedzialność za dom spada na mnie.

Anna wiedziała, że nie ma sensu ciągnąć tej rozmowy. Jej matka czuła się odpowiedzialna za prawie wszystko, rzeczy wielkie i błahostki, i dzielnie dźwigała ten ciężar na swych wątłych barkach. Kobiety toczyły wojnę, odkąd na początku tygodnia Mather Grouse doznał ataku i trafił do szpitala. Od tamtej pory na zmianę czuwały przy nim w szpitalu, jednocześnie prowadząc tę samą walkę podjazdową, która trwała, jak daleko Anna sięgała pamięcią. Nic dziwnego, że Mather Grouse przedkładał towarzystwo swego wnuka Randalla nad obecność kobiet.

- Randy trafił numerem... - odezwała się pani Grouse, która nigdy w życiu nie powstrzymała się przed głośnym wyrażaniem wszelkich wątpliwości.

- Tak, mamu. Proszę, nie zamartwiajmy się wszystkim na śmierć.

- O czym ty mówisz? Po prostu powiedziałam, że...

- Słyszałam, co powiedziałaś, mamu. Ale za kilka minut będziesz u swojej siostry i o wszystkim zapomnisz. Zapomnisz o istnieniu domu. Czy do tego czasu mogłybyśmy zaznać nieco spokoju?

Milly zbliża się do osiemdziesiątki, jest prawie piętnaście lat starsza od matki Anny, ale obie kobiety mają bliźniacze charaktery. Nie istniała między nimi szczególnie bliska więź, dopóki nie umarły cztery siostry, które przyszły na świat między nimi. Od tamtej pory obie kobiety zaczęły od nowa pisać swoją przeszłość, aż uwierzyły, że spędziły każdy dzień swego dzieciństwa wyłącznie w swoim towarzystwie, podczas gdy w rzeczywistości półtora dziesięciolecia, które dzieliło daty ich narodzin, uczyniło z nich osoby stosunkowo obce. Ale odrzucały ten niewygodny fakt w imię żywych, snutych razem wspomnień, które nie miały nic wspólnego z rzeczywistością. Zdarzało się, że staruszka Milly myliła panią Grouse z ich siostrą Grace, nieżyjącą od dobrych dwudziestu lat. Na szczęście pani Grouse nie miała najmniejszych trudności z przedstawieniem się i z radością grała rolę zmarłej siostry, aby tylko nie zderzować tej żyjącej. Dla Anny było coś niesamowitego w tych łatwych metamorfozach matki w podobnych sytuacjach, ale nie komentowała tego.

Naturalnie niektóre wspomnienia sióstr, szczególnie te świeższe, miały solidniejszy związek z faktami historycznymi. To mąż Milly przyczynił się do przyjazdu Mathera Grouse'a do Mohawk wkrótce po ślubie z matką Anny. W tamtych czasach miasto sprawiało wrażenie tętniącego życiem i świetnie prosperującego, chociaż już było widać oznaki upadku

przemysłu skórzanego, ale nikomu nawet przez myśl nie przeszło, że tak będzie już zawsze. Wszystkie garbarnie i wytwórnie rękawiczek szukały ludzi do pracy, przynajmniej w sezonie, i Mather Grouse znalazł zatrudnienie w tym samym zakładzie, co mąż Milly. Kiedy sytuacja się pogorszyła, powszechnie zrzucono winę na Wielki Kryzys i zapewniano, że nastąpi ponowny rozkwit, jak tylko gospodarka stanie na nogi. Po zbombardowaniu Pearl Harbor Mather Grouse zgłosił się na ochotnika do wojska, pewny, że po wojnie będzie na niego czekała ta sama praca.

Ale wojna wszystko odmieniła. Aby uciec przed wysokimi cłami na towary importowane, pozbawieni skrupułów właściciele wytwórni zaczęli sprowadzać do kraju jako „wyroby niewykończone” rękawiczki, do których wystarczyło przyszyć jeden guzik, by stały się „produktem gotowym”. W ten sposób trzymano w ryzach popyt na umiejętności krojczych z Mohawk. Już nigdy nie było więcej pracy niż chętnych do jej podjęcia, a konkurencja na rynku zatrudnienia doprowadziła do spadku płac. Niewielu ludzi zdawało sobie sprawę z tego, co się dzieje, a ci, którzy wiedzieli, bali się o tym głośno mówić.

Jednak lata powojenne nie były najgorsze, przynajmniej dla obu siostr. Na zmianę składały sobie wizyty, by wspólnie spędzać długie popołudnia, kiedy ich córki były w szkole, a mężowie w pracy. Często się wymyślnymi wypiekami, podawanymi na szydełkowych serwetkach, plotkowały niewinnie na różne tematy, oblizując palce lepkie od ciasteczek. Który spośród krojczych dostawał najlepszą skórę, któremu grozi zwolnienie, jeśli na wiosnę zabraknie roboty i temu podobne. Obie kobiety bardzo późno zostały matkami i macierzyństwo przysparzało im wielu problemów. Anna i matka troszczyły się o siebie nawzajem, każda na swój sposób. Ale bardzo się różniły i odkąd Anna przestała być małą dziewczynką, nie zdarzyło się, by matka czy córka powiedziały, że się kochają.

Milly od śmierci męża, który zmarł ponad dziesięć lat temu, mieszkała z córką i zięciem przy Kings Road, w jednej z niewielu części Mohawk, która się nie zmieniła od dawnych, dobrych czasów, w dzielnicy, gdzie były prawdziwe pieniądze. Chociaż dom Milly znajdował się w tym samym rejonie miasta, co dom państwa Grouse przy Mountain Avenue, sąsiedztwo tego drugiego zaczynało zdradzać huszczącą się farbą i krzywymi, popękanymi chodnikami ogólny upadek miasta. Na wysadzonej drzewami Kings Road nic się nie zmieniło, a równiutkie, szerokie chodniki biegly prosto jak strzelił. Domy stały daleko od jezdni, każdy miał

swój własny, wypielegnowany trawnik i wysoki, przystrzyżony żywopłot. Anna, chociaż często składała tu wizyty, nie pamiętała, by kiedykolwiek widziała kogoś przy koszeniu trawy lub przycinaniu gałęzi. Siódmy, ósmy i dziewiąty dołek pola golfowego w Mohawk kryły się wśród domów przy Kings Road, ślepej uliczki, której mieszkańcy nie mieli większych zmartwień w życiu niż podkręcone piłki. Kiedy Anna zaparkowała na podjeździe i wysiadła, usłyszała z daleka trzask drzewa na polu golfowym i łagodne przekleństwo, rzucone przez mężczyznę, który - sądząc po tonie głosu - nie miał żadnych trosk materialnych.

Diana Wood, kuzynka Anny, powitała ich na progu, jej matka stała w głębi. Milly i pani Grouse uściskały się, jakby od ich ostatniego spotkania upłynęło wiele miesięcy, a nie dwa tygodnie. To, że nie widywały się codziennie, było wyłącznie winą „młodych”. Di Wood wyglądała na zmęczoną. Po obejrzeniu na własne oczy nazbyt gorącego powitania siostrzycy z Anną wymieniły porozumiewawcze spojrzenia towarzyszek niedoli.

- Jak się czuje wujek Mather? - spytała Diana, kiedy znalazły się w kuchni, gdzie starsze panie nie mogły ich słyszeć.

- Mają go jutro wypisać.

- Chcieliśmy go odwiedzić, ale w tym domu nigdy nie można niczego zaplanować. Gdyby nie to, mama z pewnością już by mu złożyła wizytę.

- Tata nie spodziewał się odwiedzin. Nie lubi gości ani w domu, ani w szpitalu. Zresztą wyglądasz na wykończoną.

Z kuchni mogły widzieć salon, gdzie siostry siedziały na kanapce naprzeciwko siebie, dotykając się kolanami. Di Wood pokiwała głową.

- Umrzemy na długo przed nimi - powiedziała pół żartem, pół serio.

- Powinnaś wyrwać się stąd, póki możesz. Jesteś jeszcze młoda.

Anna uśmiechnęła się, słysząc te słowa.

- Za kilka miesięcy skończę trzydzieści pięć lat. To znaczy, że jeśli do tej pory nie miałam powodzenia, ani się obejrzę, jak zostanę samotną czterdziestolatką.

Jej kuzynka wyjęła z lodówki glazurowaną szynkę i położyła ją na desce do krajania. Szynka prezentowała się prześlicznie, ozdobiona wiśniami i plasterkami ananasa. Anna i jej matka były zawsze elegancko podjemowane u Woodów w niedzielne popołudnia. Podawano szynkę, pieczeń albo udziec jagnięcy i kilka wymyślnych sałatek. Ponieważ nie mogły się odpowiednio odwzajemnić, Anna wołałaby, żeby jej kuzynka się tak nie trudziła. Milly w większym czy mniejszym stopniu była skazana na

siedzenie w domu, odkąd ostatniej zimy złamała nogę w biodrze. Ale Di utrzymywała, że „pichcenie” sprawia jej przyjemność.

- Spójrz na mnie, jeśli masz jakieś wątpliwości dotyczące powodzenia - powiedziała pogodnie.

Była to prawda. Diana nigdy nie należała do ślicznotek, chociaż jako dwudziestokilkuletnia dziewczyna, wkrótce po ślubie z Danem, odznaczała się kruchością i delikatnością, co ludzie zawsze podkreślali, ubolewając nad pospolitością jej urody. Teraz można ją było wziąć za kobietę pięćdziesięcioletnią, a jej dawną kruchość zastąpiła swego rodzaju solidność. Wyglądała jak kobieta, która całe życie spędziła, czekając w kolejce.

- To wy z Danem powinniście się gdzieś wyrwać - powiedziała Anna, głównie, żeby zmienić temat. - Twoja matka z całą pewnością może na weekend zostać sama. Mogłybyśmy zajrzeć do niej z mamą.

Spod elektrycznego noża w rękę Diany wychodziły cieniutkie, apetyczne plasterki szynki, każdy posłusznie spadał na poprzedni.

- W zeszłym tygodniu mieliśmy gdzie wyjechać. Nawet wynajęliśmy pielęgniarkę. Ale kiedy mama się o tym dowiedziała, urządziła taką historię, że nie odważyliśmy się jej zostawić samej.

- Powinniście wyjechać.

- Wiem - przyznała Annie rację Diana. - Ale po jakimś czasie człowiekowi brakuje niezbędnej siły woli. Zresztą i tak byłby to tylko pusty gest. Nie bawilibyśmy się dobrze.

Pani Grouse i Milly trwają bez ruchu w salonie. Ich kolana się stykają, kobiety siedzą przodem do siebie, oczy im błyszczą, kiedy one wymieniają się blahymi informacjami. Obie mają kłopoty ze słuchem i są zbyt skupione na sobie, by podejrzewać, że stały się przedmiotem rozmowy w sąsiednim pomieszczeniu.

- Spójrz na nie. - Di się uśmiecha. - Zupełnie, jakby poza swoim towarzystwem nie potrzebowały już niczego pod słońcem.

Anna wiele by dała, by zdobyć się na podobne współczucie i wielkoduszność, jakie okazuje jej kuzynka, ale nie jest to łatwe. Nie potrafi się litować w obliczu siły, a Milly, chociaż fizycznie słaba, dzięki uporowi potrafi sprawić, by wszystko działo się po jej myśli. Matka Anny też odziedziczyła upór i determinację. Anna, przyglądając się swej matce, jest pewna, że amerykański Dzik Zachód nie został zdobyty przez dzielnych mężczyzn, tylko przez ich nieugięte, stanowcze żony, o czym świadczyła ich postawa, ich zaciśnięte zęby, spotykane tylko u kobiet, czego ona, niestety, była pozbawiona.

Di ułożyła pokrojoną szynkę na dużym półmisku, bogato udekorowanym gałązkami pietruszki.

- Mają szczęście, jak się nad tym zastanowić - mówi. - Każdy powinien mieć chociaż jedną istotę na świecie, która należy wyłącznie do niego. Kogoś, kim nie musi się z nikim dzielić.

Annie wydaje się nagle, że znów pojawiło się między nimi to, co zawsze, chociaż nigdy nie jest do końca pewna, czy to coś istnieje naprawdę. Gdy tylko zaczyna odczuwać niemal bolesną zażyłość ze swą kuzynką, uświadamia sobie obecność tego czegoś. Zupełnie jakby potrafiły nawzajem czytać w swoich myślach i nie chciały dopuścić do zbytnej poufałości.

- Może byś mi pozwoliła coś zrobić. Pomóc w czymś.

Di rozejrzała się po kuchni, jakby szukając czegoś, co mogłaby zlecić kuzynce, ale - chociaż z pewnością musiało być wiele rzeczy do zrobienia - nic nie znalazła.

- Może poszłabyś przywitać się z Danem? Słyszał, jak zajeżdżał samochód. Pomyśli, że go lekceważysz.

- Naprawdę sądzisz, że mężczyźni cierpią na brak poczucia bezpieczeństwa?

Di uśmiechnęła się smutno i Anna znów poczuła duchową bliskość z kuzynką.

- Tak utrzymują.

- Myślałam, że to dotyczy tylko nas.

3

Dan Wood wyląwiał liście na drugim końcu basenu, kiedy usłyszał, jak przesuwają się drzwi na taras, i uniósł głowę. Anna stwierdziła, że robota niezbyt mu idzie. Wiał wiatr i suche jesienne liście jakby coś ciągnęło do spokojnej tafli wody. Nawet mając odkurzacz na długiej rączce, siedzący w wózku inwalidzkim Dan nie mógł dosięgnąć środka basenu, gdzie wielobarwne liście tworzyły grubą warstwę, przypominającą kolorową narzutę na falującym łóżku wodnym.

- Sądząc po twojej minie - odezwał się Dan z uśmiechem - zaraz mi powiesz, że przegrywam tę szczególną bitwę z przyrodą.

- Czemu sobie tym zawracasz głowę?

- Sakramencki filtr się zatka - powiedział. To, że zaklął, świadczyło

o istniejącej między nimi bliskości. Diana nie uznawała grubiańskich słów, a używanie takiego języka jeszcze potwierdzało liczne wątpliwości Milly, dotyczące jej zięcia, głoszone bez skrępowania przez ostatnie dwadzieścia kilka lat, z których większość spędziła pod dachem jego domu. Jednak przekleństwa Dana zawsze były łagodne i wypowiedane cicho, nigdy też nie kłął, kiedy był naprawdę zły, stając się wtedy wyjątkowo powściągliwy. Nie sprzeciwił się, kiedy Anna uwolniła go od odkurzacza i zajęła się kobiercem liści na środku basenu, do którego sama z ledwością sięgała, mimo że się wychyliła. Przez jakiś czas z zadowoleniem obserwował ją przy pracy.

- Gdyby to ode mnie zależało, zalałbym tego gnoja cementem i byłoby po kłopotcie. Na co jest komu potrzebny?

- Di nigdy nie korzysta z basenu?

- Czasami - powiedział, jakby to oświadczenie wcale nie kolidowało z jego generalnym stanowiskiem. - Powinienem był spuścić wodę we wrześniu. Wszystko przez to babie lato. - Podjechał tam, gdzie było najgłębiej, i podniósł leżącą na trampolinie plastikową torbę na skoszoną trawę. - Starsze panie siedzą w środku?

- Nos w nos.

- Spędzą tak całe popołudnie. Jak się czuje Mather?

- Już nie może się doczekać, kiedy go wypiszą.

- Podobno zdobyłaś się na heroiczny czyn.

Anna strząsnęła kilka liści, które przyczepiły się do odkurzacza.

- Porozmawiaj z moją matką, jeśli chcesz mieć pełny obraz.

Przyszła z pracy do domu i zastała swego ojca ledwo żywego. Chociaż mieli drugi tydzień października, panował taki upał, że asfalt topił się na drogach, jak w lipcu i sierpniu. Mather Grouse potknął się o krzesło, to, o które się wspierał, kiedy zabrakło mu tchu, a potem osunął się na podłogę i wisiał, niebezpiecznie zaklinowany między krzesłem a ścianą, z jedną nogą podwinętą, a drugą sterczącą prosto, jakby była w gipsie. Ze względu na upał był bez koszuli, skórę na ramionach miał błądą i przezroczystą. Kiedy weszła Anna, właściwie na nic nie patrzył, oczy miał szeroko otwarte z przerażenia, jak jeszcze nigdy, co sprawiło, że wydał się córce kimś obcym. Inhalator leżał kilka centymetrów obok wyciągniętej, drżącej ręki mężczyzny, jego oddech był krótki, przyśpieszony, do płuc dochodziło o wiele za mało tlenu. Równie dobrze mógłby się znajdować pod wodą.

Pani Grouse też była w pokoju, stała sparaliżowana strachem kilka kroków od męża. Kiedy Anna weszła, tylko skinęła głową w kierunku

Mathera Grouse'a. Jedyne, co należało powiedzieć, powtórzyła kilka razy.

- Karetka już jest w drodze. Wszystko będzie w porządku... w porządku. Karetka już jest w drodze.

Anna przykleknęła obok ojca i próbowała skupić na sobie jego uwagę. Ale oczy Mathera Grouse'a nie chciały zatrzymać się na żadnym punkcie, rozbiegane pod trzepoczącymi powiekami, jego klatka piersiowa unosiła się z trudem przy każdym konwulsyjnym oddechu. Otwierał szeroko usta, a potem zamykał je, zupełnie jak dziecinne kukielki. Kiedy Anna wzięła inhalator i wsunęła go ojcu do ust, pani Grouse wzdrygnęła się z przerażenia.

- Nie! - krzyknęła. - Spalisz mu płuca. Lekarz... zaraz tu będzie...

- Mamo, on nie może oddychać. Umiera. - Klatka piersiowa mężczyzny uniosła się z trudem, jakby ze złością, na dźwięk tego słowa.

- Lekarz...

Nie zwracając uwagi na matkę, Anna wsłuchiwała się w oddech Mathera Grouse'a, który stawał się coraz słabszy. W odstępie kilku sekund dwa razy nacisnęła na inhalator. Początkowo ojciec nie zareagował, ale potem przytomniej spojrział oczami, które już zaczęły stawać w ślup. Odciągnęła go od ściany i starała się, by podparł się na nogach i rękach, bo kiedyś wyznał, że w tej pozycji najłatwiej mu oddychać. Kiedyś zastała go na czworakach, z nisko zwieszoną głową. Był taki zmieszany, że przysiągł, iż nigdy więcej nie przybierze tej pozy, wołac - tak to ujął - udusić się jak człowiek niż upodobnić się do zwierzęcia. Ale kiedy Anna ciągnęła go za pasek i spodnie na siedzeniu, chyba zrozumiał, o co jej chodzi, i nawet próbował córce pomóc, podpierając się na rękach. Udało mu się raz porządnie zaczerpnąć powietrza, nim opuściły go siły i bezwładnie opadł na dywan.

- Pomóż mi! - poleciła Anna matce, która przyglądała się temu, cofając się, aż się znalazła pod ścianą w drugim końcu pokoju.

Pani Grouse się wzdrygnęła, ale usłuchała córki. Przez jedną straszliwą chwilę, kiedy udało im się znów unieść go na kolana, Anna się bała, że jej matka miała rację, bo wydawało się, że ojciec zupełnie przestał oddychać, a z jego piersi wydobyło się okropne rżenie. Potem zaczął kaszleć i wypluwać żółtą wydzielinę z płuc. Ale jednocześnie po raz pierwszy odetchnął głęboko i uczepił się tego jak tonący. Zanim przyjechała karetka, z policzków częściowo ustąpiły mu sine plamy. Chwilowo nie oponował, by nadal podierać się nogami i rękami, najwyraźniej wdzięczny, przynajmniej na razie, że może zwyczajnie istnieć. Nawet jako zwierzę.

- A więc - powiedziała Anna, ściągając szczególnie kolorowy liść z odkurzacza - jestem w wielkiej niełasce.

Dan Wood, który słuchał opowieści z roztargnieniem, zaczął wielką łopatką wkładać mokre liście do torby.

- Współczułbym ci, ale jesteś wystarczająco duża, by wiedzieć, że należy słuchać matki. Za kogo ty się uważasz, ratując życie staruszkowi, kiedy wyraźnie ci tego zabroniono?

- Widzisz, wcale mu nie uratowałam życia. To zasługa pogotowia ratunkowego. Ja mu tylko złamałam szczękę.

- Aha.

Zostało jeszcze dużo liści do wyłowienia, ale Anna nagle opadła na leżak i położyła sobie odkurzacza na kolanach.

- Zabawne - powiedziała. - Kiedy byłam młodsza i coś się zaczęło psuć między mną i ojcem, marzyłam, że go ratuję z płonącego domu. Wiedziałam, że to głupie, ale nie mogłam się powstrzymać od snucia takich fantazji. Był nieprzytomny, a ja wyciągałam go z płomieni. Jeden Bóg wie, gdzie była mama podczas całej tej akcji ratowniczej.

- Zgodnie z teorią Freuda, nie żyła.

- Och, przestań.

Dan uchylił się przed garścią liści, którymi w niego rzuciła.

- Tak czy inaczej, spełniło się moje marzenie. Wiesz, co zrobiłam, kiedy go zobaczyłam w szpitalu następnego ranka? Przeprosiłam go za to, że mu złamałam szczękę.

- I w ten sposób przyznałaś rację matce.

Anna spojrzała na niego uważnie, zaskoczona tonem jego głosu, ale odwrócił wzrok.

- Co masz na myśli?

- Nic. Ciekaw jestem zdania Mathera o całym tym wydarzeniu.

- Zapomniałaś, że ma złamaną szczękę?

- Mmmm - mruknął Dan. - Powinnaś zdobyć jedną z takich tablic do rysowania dla dzieci. Taką, na której pisze się wiadomość, potem przesuwana się po plastikowej kartce i wszystko znika. D-Z-I-Ę-K-U-J-Ę, potem jeden ruch i czysta strona.

Anna patrzyła na niego ze złością, póki jej nie przeprosił.

- Nie opowiadaj mi niczego, jeśli nie chcesz usłyszeć mojego cholernego zdania - dodał po chwili.

Żałowała, że mu powiedziała. Mogła się domyślić jego reakcji.

- Mam jeszcze jedno marzenie: że pewnego dnia obaj się polubicie. Patrzyli sobie teraz prosto w oczy.

- To jak moje marzenie, że znów będę chodził.
- Cóż w tym złego?
- Wszystko.
- Nie rozumiem, dlaczego nie mielibyście się polubić z moim ojcem.

Kiedy się nad tym zastanowić, jesteście bardzo do siebie podobni. Na przykład nie znam bardziej upartych osłów od was.

- Nie licząc Dallasa.
- Naturalnie - zgodziła się. Mówił o jej byłym mężu. - Zawsze z wyjątkiem Dallasa.

- No cóż. - Dan się uśmiechnął. - Niezbyt mi się podoba określenie „uparty osioł”. I nie lubię twojego ojca. Nigdy go nie lubiłem i nigdy go nie polubię. I nic nie możesz zrobić, żebym zmienił zdanie.

Anna jak zwykle nie mogła się powstrzymać od uśmiechu. Byli o krok od poważnej scysji, a potem nagle niebezpieczeństwo mijало, jakby nigdy nie istniało - „niczym pierdnięcie z podmuchem wietrzyku”, jak lubił mawiać Dan. Potrafił mówić najbardziej obraźliwe rzeczy, nie obrażając nikogo. Rzadki dar, doszła do wniosku. Innym mężczyznom w jej życiu jakoś zawsze udawało się obrażać ludzi nawet wtedy, kiedy chodzili na paluszkach.

- Tak czy inaczej - powiedział Dan - cieszę się, że mu się polepszyło.
- Właściwie nie można tak powiedzieć. Lekarze twierdzą, że kolejny atak to jedynie kwestia czasu. Pomogłaby butla z tlenem w domu.

Jaki to problem?

- Sama nie wiem. Ale powiedziano mi, żebym się nie wtrącała. Matka się upiera, że ojciec jest zbyt dumny, ale podejrzewam, że to raczej ona jest zbyt dumna. Sam wiesz, jaki ma stosunek do domu - pierwszy komplet pokrowców służy do ochrony kanapy, drugi - do ochrony pokrowców. Butla z tlenem w salonie to jak przyznanie się do tego, o czym się nie mówi na głos.

- Milly jest taka sama. Nie robimy nic bez jej zgody. Di bez konsultacji z nią nie kupi nawet drobiazgu do naszej sypialni.

Dan jeździł na wózku wzdłuż basenu od jednej kupki liści do drugiej i zbierał je do torby. Anna wiedziała, że powinna mu pomóc, ale nagle poczuła się dziwnie ociężała i została tam, gdzie była, obserwując mężczyznę. Kiedyś myślała, że Dan nigdy się nie przyzwyczai do wózka i jeszcze bardzo długo po wypadku wciąż się spodziewała, że wstanie z niego i zacznie chodzić, jak gdyby nigdy nic. Ale teraz jakby zrósł się z wózkiem. Dawniej był szczupły, ostatnio zaczął mu rosnąć brzuszek. Wiedziała, że dużo pije, i chociaż go nie winiła, kiedy sobie przypominała,

jaki był kiedyś, zawsze zbierało jej się na płacz. Poczula, że teraz też łzy zaczynają jej napływać do oczu i musiała odwrócić twarz.

- Kiedyś szukałem różnych drobiazgów, by ją zdenerwować - powiedział. - Parę lat temu natknąłem się na jedną z tych obscenicznych figurek. Facecik miał kutasa wielkiego jak noga. Kiedy się pociągnęło za sznurek, robił nim nieprzyzwoite rzeczy. Podarowałem go jej na urodziny, w pudełku owiniętym kolorowym papierem.

Pomysł był zabawny i Annie szybko przeszła ochota na płacz. To wciąż był ten sam Dan.

- Żałuję, że tego nie widziałam.

- Nie ma czego. Poszarzała na twarzy, a ja pomyślałem: Oho. Diana była oczywiście zmęczona, a ja od tamtej pory staram się być grzecznym chłopczykiem. Przypuszczam, że nie ma powodu, by dokuczać starszce.

- Przypomnij mi to, kiedy one będą chciały dokuczać nam.

Nim miał okazję, rozległ się świst, coś uderzyło najpierw o kafelki wokół basenu, a potem o metalową szopę. Dan szybko podjechał wózkiem i podniósł z ziemi piłkę golfową.

- Niezła - powiedział, trzymając ją w górze, by Anna mogła ją obejrzeć. - Titleist. Właśnie takiej mi brakowało.

Otworzywszy drzwi do szopy, włożył piłkę do wiadra, w którym musiało już ich być ze sto.

- Kiedy przestanę jeździć na wózku, znów zacznę grać w golfa - powiedział. - Szkoda, że ludzie nie gubią kijów.

- Zdecydowałeś się na operację?

- A co mi tam. To tylko kwestia pieniędzy, a jeśli wierzyć temu konowalowi, jest szansa. Uważasz, że zwariowałem?

- Nie. Nic podobnego.

- Ja też. Moja teściowa mówi, że oszalałem. Ale ponieważ zamierza wszystko odziedziczyć po mnie, nie lubi, jak wydaję pieniądze.

- Hej! - rozległ się głos należący do kogoś wystarczająco wysokiego, by mógł zajrzeć przez drewniany płot. - Czy nie wpadła tu piłka golfowa?

- Nie. - Dan uśmiechnął się łobuzersko.

- Akurat. - Mężczyzna zmarszczył czoło, a potem mruknął: - No-wiutki titleist.

- A po co mi piłka golfowa?

Mężczyzna zauważył wózek inwalidzki i zbladł.

- Jezu, najmocniej przepraszam.

- Nie ma za co - powiedział Dan. - Proszę kiedyś mnie odwiedzić.
Zjemy razem obiad.

Kiedy mężczyzna zniknął, drzwi na taras się otworzyły i wyszła przez nie Di.

- Znów kradniesz piłki golfowe?

- A co, nie wolno? - zażartował jej mąż. - Co więcej, mam współnika.

- Bóg cię ukarze.

- Już mnie skarał.

- Obiad na stole. Przyprawdź swojego współnika. - Diana rozejrzała się po ogrodzie. - À propos, niezła robota.

Odkąd Anna przestała czyścić basen, woda znów pokryła się brązowymi liśćmi. Kiedy drzwi się zamknęły za jej kuzynką, nagle zauważyła, że zrobiło się chłodno. Nie było nic gorszego od zimy w Mohawk i Anna nie była pewna, czy jest gotowa stawić czoło kolejnej.

- Popchnąć cię? - spytała.

- Pod warunkiem, że najpierw odwrócisz wózek. Bądź łaskawa zwrócić uwagę, że w tej chwili siedzę przodem do basenu.

Anna podniosła ciężki worek, wypełniony liśćmi, i położyła go Danowi na kolanach. W pobliżu drzwi były trzy duże plastikowe pojemniki na śmieci. Anna była ciekawa, czy Di musi je wszystkie sama dotaszczyć do krawężnika.

- Di wygląda na kompletnie wyczerpaną - powiedziała, zanim skierowali się w stronę domu.

- Zawsze jest skonana.

- Chciałabym jej jakoś pomóc. Ale zastanawiam się, czy nie byłaby to obłuda z mojej strony.

- Nie sądzę.

- Gdyby wiedziała, myślisz, że do tej pory by nam wybaczyła?

- Tak. Już dawno temu.

- Nie jestem pewna, czy zdobyłabym się na wyznanie jej prawdy. Może gdybym wiedziała na sto procent. Przez te wszystkie lata ani razu nie zapytała?

- Nie zrobiła najmniejszej aluzji - oświadczył. - Nie wiem, co bym jej powiedział. Jest za dobra, by ją okłamywać.

- Albo ranić.

- Tak, albo ranić.

W środku pani Grouse i Milly nie ruszyły się z miejsca. Jeśli cokolwiek się zmieniło, to one same, bo obie siedziały teraz prosto i robiły wrażenie silniejszych, jakby, kiedy tak stykały się kolanami, przeprowa-

dzono im transfuzję. Milly uniosła głowę, gdy w pokoju pojawili się Anna i jej zięć.

- Diano! - zawołała. - Mamy umrzeć z głodu czy też znajdzie się w tym domu coś do jedzenia?

- Jedzenie stoi na stole - rzucił Dan od drzwi. - Jeśli ja je widzę bez wstawania, przypuszczam, że ty też możesz je zobaczyć.

Starsza pani znów odwróciła się do siostry.

- Przez cały tydzień nic nie wzięłam do ust - oświadczyła. - Ale teraz mogłabym zjeść konia z kopytami.

- Wiesz co, moja droga? - powiedziała pani Grouse. - Nie wiem dlaczego, ale też zgłodniałam.

- Nie wiem dlaczego - mruknęła Anna pod nosem. Sama, przeciwnie, nagle straciła apetyt.

4

Dallas Younger głośno chrząknął i przewrócił się na drugi bok. Coś mu się śniło i chciał jeszcze pospać, żeby się przekonać, jak się skończy sen. W przeciwnym razie będzie go to męczyło przez cały dzień. Straci mnóstwo czasu na próby przypomnienia sobie szczegółów, szukania w nich podpowiedzi, póki całkowicie nie oprzytomnieje i w końcu zapomni o wszystkim. Dallas nigdy nie zwracał najmniejszej uwagi na sny wysnione do końca, ale urywki nie dawały mu spokoju.

Budzik na szafce nocnej lekko podskakiwał i cichutko brzęczał, jak zawsze, kiedy pozwalał mu długo dzwonić, nim go wyłączył. Dallas otworzył jedno oko i podejrzliwie spojrzął na zegarek, nie chcąc wierzyć, przynajmniej jeszcze nie teraz, że znowu zaspał. Potem uderzyła go okropna myśl i przesunął językiem po podniebieniu, wyczuwając tam jedynie śluzówkę. Nie chcąc dać wiary temu, co mu mówił język - tak na marginesie, czuł w ustach podejrzenie nieprzyjemny smak - wsunął do ust palec wskazujący i pomacał nim. Nie było najmniejszych wątpliwości. Znów nie miał sztucznej szczęki.

Kiedy dobiegł go jakiś hałas z korytarza, wyskoczył z łóżka. To była trzecia sztuczna szczęka, stracona w ciągu trzech miesięcy, i teraz z porażającą jasnością uświadomił sobie, że ktoś musi mu je kraść, wślizgiwać się do jego pokoju i wyjmować mu je, kiedy on jest pogrążony we śnie. Najprawdopodobniej Benny D., uważając to za świetny kawał. Nie

nastreczyloby to wielkich trudności, ponieważ Dallas sypiał z otwartymi ustami. Był to jeden z jego kilkunastu nawyków, o które Anna zupełnie irracjonalnie miała do niego pretensje, jakby mógł na to cokolwiek poradzić. Podbiegł do drzwi i otworzył je na całą szerokość w samą porę, by zobaczyć, jak jego sąsiadka, pani Nicolella, zamknawszy na klucz swoje mieszkanie, coś chowa do torebki. Cokolwiek to było, Dallasowi Youngerowi trochę przypominało sztuczną szczękę. Spojrzał podejrzliwie na kobietę.

Natomiast pani Nicolella, kiedy uniosła wzrok, zobaczyła trzydziesto-sześcioletniego nagiego mężczyznę, który wyglądał, jakby dopiero co się obudził i miał jakieś nieczne zamiary. Zamiary względem niej, wdowy w średnim wieku, mieszkającej samotnie, jeśli nie liczyć wizyt córki, czyli praktycznie biorąc, zawsze.

Dallas ze swojej strony jednocześnie uświadomił sobie dwie rzeczy: po pierwsze, że nic na sobie nie ma, a po drugie, że pani Nicolella nie jest złodziejką sztucznych szczęk. Wymownie świadczyła o tym jej mina.

- Moja sztuczna szczęka - próbował się tłumaczyć Dallas, mając kłopoty z wymówieniem „sz”.

- Słucham? - zapytała pani Nicolella, zaskoczona, spodziewając się usłyszeć od nagiego mężczyzny coś zupełnie innego.

- Sztuczna szczęka - powtórzył Dallas. Tym razem udało mu się to powiedzieć wyraźniej i w ten sposób rozwiązać przynajmniej jedną wątpliwość sąsiadki.

- Nic pan na sobie nie ma - zakomunikowała mu. Potem widząc, że wciąż wpatruje się w jej torebkę, albowiem jego umysł uparcie nie przyjmował do wiadomości, że odgłosu, który zarejestrował, nie wydała chowana sztuczna szczęka, kobieta szeroko otworzyła torebkę, by mógł się przekonać na własne oczy, że nie ma tam jego zębów.

Wróciwszy do swojego mieszkania, Dallas dokonał gruntownego przeszukania całego lokum, z góry wiedząc, że na nic się to nie zda. Zaczął teraz myśleć bardziej racjonalnie i wcześniejsze głębokie przeświadczenie, że ktoś mu ukradł sztuczną szczękę, uznał za bzdurę. Jego dwupokojowe mieszkanie łatwo było przetrząsnąć. Kiedy sprawdził w umywalce i kabinie prysznicowej, ściągnął poduszki z wersalki i przesunął dłońmi wzdłuż szwów, właściwie mógł uznać poszukiwania za ukończone. Trzeba przyznać, że jego trudy nie były całkowicie bezowocne, bo znalazł, między innymi, obcinarkę do paznokci, półtora dolara drobnymi i książkę Mickeya Spillane'a, która miała złamany grzbiet i luźno fruującą kartki. Ale nic, co choćby trochę przypominało

porcelanowe zęby. Spillane'a wyrzucił do śmieci, doszedłszy do wniosku, że może kupić nowy egzemplarz, gdyby chęć ukończenia lektury stała się nie do opanowania. Było to mało prawdopodobne, bo ten, właśnie odnaleziony, zapodział mu się kilka miesięcy temu, a on nawet tego nie zauważył. Przypuszczalnie bardziej będzie go męczyło, jak zakończyły się jego przerwany sen. Pogrzebał w kieszeniach wszystkich ubrań, czystych i brudnych, wiszących w szafie obok drzwi wyjściowych, i znalazł szereg ciekawych przedmiotów, ale nie to, czego szukał. Poddał się, włożył jedyną czystą koszulę, jaką znalazł w szafie - ta akurat miała wyszyte na kieszonce „Cal” - i zapisał sobie w myślach, że najwyższy czas zrobić pranie. Od dwóch dni nosił koszule z wyhaftowanymi imionami różnych osób, a to widomy znak, że zaczynało mu wszystkim brakować.

Właściwie tym razem strata sztucznej szczęki nie stanowiła wielkiej tragedii, ponieważ wykazał się nietypową dla siebie przezornością, zamawiając zapasową, kiedy ostatnio obudził się bez zębów. Znalazł ją w oryginalnym różowym pudełku w apteczce, schowaną za butelką old spice'a, który dostał na Gwiazdkę dwa lata temu, i miał szczerzy zamiar go używać. Włożył sztuczną szczękę, pasowała idealnie, nawet lepiej niż stara. Zamiast odczuwać złość i zakłopotanie, ogarnęło go zadowolenie z siebie, że tak przezornie zabezpieczył się na wypadek przykrej niespodzianki.

Ponieważ i tak był już spóźniony do pracy, postanowił odwiedzić wdowę po swym bracie, przypomniawszy sobie nagle, że dziś są urodziny jego bratanicy. Matka i córka mieszkały w małym, skromnym domku na przedmieściach, niedaleko żwirowni Mohawk. Dallas zaparkował przy krawężniku, ponieważ cały podjazd był zasłany zabawkami. Choć ciąż pobrali się jako nastolatki, Loraine i młodszemu bratu Dallasa, Davidowi, urodziło się dziecko, dopiero kiedy mieli prawie po trzydzieści lat i niemal się poddali. David był tak przejęty, że wydawał na swoją córkę każdy wolny grosz, nie żeby tych wolnych groszy było znowu tak dużo. Kiedy Dawn miała roczek, a u Davida stwierdzono raka, trochę mu odbiło i zaciągnął pokaźną pożyczkę, by móc kupić dziewczynce prezenty na następne dwadzieścia lat. Wypełniały garderobę przy dodatkowej sypialni, każda paczka była owinięta i podpisana: Gwiazdka 1985, Urodziny 1987. Loraine pokazała Dallasowi garderobę nazajutrz po pogrzebie Davida. Pamiętał, jak kobieta patrzyła na wszystkie te barwnie opakowane pudełka, być może wciąż zdumiona ogromną potrzebą swego męża obecności w życiu ich córki jeszcze wiele lat po śmierci.

Dallas zastał Dawn huśtającą się na podwórku. Nóżki w białych tenisówkach wyciągnęła do przodu, próbując się rozbujać, chociaż niezbyt jej to wychodziło. Na widok stryjka zeskoczyła z huśtawki i pobiegła mu na spotkanie.

- Paf! - powiedziała, dotykając paluszką wskazującym jego czoła, kiedy ją wziął na ręce.

- Ile masz lat? - spytał.

- Dwa lat.

- Wcale nie, ty mały brzdącu. Dziś skończyłaś trzy latka. Nie pamiętasz o swoich urodzinach?

W drzwiach pojawiła się Loraine i przyjrzała się uważnie szwagrowi. Była jeszcze w szlafroku. Właściwie równie dobrze mógłby to być szlafrok Davida.

- To znowu ty - powiedziała, przytrzymując drzwi, żeby Dallas mógł wejść do środka, nie wypuszczając bratanicy z objęć.

- Ładne powitanie po całym miesiącu niewidzenia.

Loraine przechyliła głowę i spojrzała na niego podejrzliwie, marszcząc brwi.

- Byłeś tutaj ostatniej nocy, jeśli zapomniałeś. O trzeciej nad ranem.

Dallas nie wiedział, wierzyć jej czy też nie. Nie przypominał sobie, by ostatniej nocy składał bratowej wizytę, ale prawdę mówiąc, niewiele pamiętał z tego, co się wydarzyło ostatniej nocy. Jednak, nie wiedzieć czemu, jak tylko ją zobaczył, stojącą po drugiej stronie drzwi, wyobraził sobie - czy mogło to być wspomnienie? - że kobieta ma na sobie nocną koszulę, pod materiałem niewyraźnie rysowały się piersi. Dallas próbował znaleźć racjonalne wytłumaczenie, skąd mógł mu przyjść do głowy taki obrazek.

- Co tu robiłem? - zapytał przez zwykłą ciekawość.

- Byłeś pijany. Powiedziałam ci, żebyś się wynosił. Naprawdę nie pamiętasz?

- Miałem sztuczną szczękę?

Loraine rzuciła mu bolesciwe spojrzenie, jednak z odrobiną współczucia.

- Znowu?

Dallas skinął głową, odsuwając krzesło od kuchennego stołu, i usiadł, cały czas trzymając dziewczynkę na rękach. Dawn zadarła sukieneczkę, by pokazać mu swoje majteczki, na których była wyszyta świnka. Odchyliła się najdalej, jak mogła, podnosząc wysoko nóżki, by mógł dokładnie obejrzeć świnkę.

- Pojedziemy do Chickey Fried Chicken?
- Chodzi ci o wizytę u pułkownika Kentucky? Taki kawał drogi, aż do Schenectady?

Dawn z zapalonym skinęła główką i wygładziła sukieneczkę.

- Czasem nie mogę uwierzyć, że ty i David byliście braćmi - powiedziała Loraine.

- Stryjek Dallas mówi, że dziś są moje urodziny.

- Skąd to może wiedzieć? Nie wie nawet, gdzie jest jego sztuczna szczęka. - Loraine spojrzała na niego spod przymrużonych powiek. - A ta, którą teraz masz, to czyja?

- Moja, zapasowa. Mówisz, że dziś nie są jej urodziny?

- Wczoraj wieczorem też się upierałeś, że są jej urodziny. A wypadają dopiero w połowie miesiąca.

- I miałem sztuczną szczękę?

- Dallas, była trzecia nad ranem. Nie pamiętam. Chociaż wydaje mi się, że zauważyłabym, gdybyś jej nie miał.

Ponieważ najwyraźniej osiągnięto jednomyślność, że dzisiaj nie są jej urodziny, Dawn zsunęła się z kolan stryjka i podszedłszy do matki, jedną rączką uchwyciła się jej szlafroka, a piąstkę drugiej niemal w całości wsadziła do buzi.

- Wracaj do stryjka.

- Nie - powiedziała dziewczynka, wstydliwie spuszczać oczka.

- Co takiego masz na majteczkach?

- Świnikę - powiedziała Dawn, nie wyjmując rączki z buzi.

- Nie wierzę - zaczął się z nią przekomarzać Dallas, ale jego bratanica nie dała się na to nabrać.

- Idź na podwórko, jeśli zamierzasz się dąsać - powiedziała jej matka. - I wyjmij palce z buzi.

Kiedy Dawn nie posłuchała, Loraine sama wyjęła jej rączkę z ust.

- Nie chcę na podwórko - oświadczyła Dawn płaczącym tonem, do oczu napłynęły jej łzy. - To moje urodziny.

- Wielkie dzięki - powiedziała Loraine.

- Chodź do stryjka. - Dallas klasnął w dłonie. - Bądź grzeczną dziewczynką.

Ale Dawn wybiegła z domu, pozwalając, by drzwi za nią głośno się zatrzasnęły. Za chwilę rozległo się skrzyknięcie huśtawki.

- Mogę ci usmażyć jajka - zaproponowała Loraine.

Dallas pokręcił głową.

- Już jestem spóźniony do pracy.

Nie odmówił jednak filiżanki kawy, którą Loraine naląła mu bez pytania.

- W takim razie zgubiłem ją gdzieś po drodze stąd do domu. Zakładając, że udałem się prosto do domu.

- Tak przynajmniej obiecałeś - powiedziała Loraine. - Mówiłeś coś o zahaczeniu po drodze o grób, ale udało mi się odwieść cię od tego zamiaru.

Dallas zmarszczył czoło.

- O grób? Czyj grób?

- A jak myślisz? Swojego brata. - Usiadła naprzeciwko niego i postawiła między nimi dzbanuszek ze śmietanką.

- Dlaczego miałbym tam iść?

- Byłeś melancholijnie nastrojony. Naprawdę wolałabym, żebyś trzymał się z dala ode mnie, kiedy jesteś w takim humorze. Często sama tak się czuję i nie potrzebuję niczyjego przykładu.

Dallas ją przeprosił i naprawdę zrobiło mu się przykro, ale mniej więcej tak samo, jak było mu przykro w związku z deszczowym dniem lub czymś, na co i tak nie miał wpływu. Kiedy za dużo wypił, prawie zawsze urywał mu się film, i musiał zdawać się na innych, by się dowiedzieć, co zaszło. Ponieważ często mu powtarzano, że robi się w takich chwilach sentymentalny, przypuszczał, że tak musi być naprawdę, chociaż nie mógł być tego stuprocentowo pewien.

- Moja córka też nie potrzebuje być budzona w środku nocy - ciągnęła Loraine. - I tak ma dosyć zmartwień na swej małej główce. Od śmierci Davida stała się bardzo lękliwa.

- Czego się boi?

- Nie wiadomo. Zresztą czy to takie istotne?

Lorraine w tym momencie sama miała trochę niepewną minę i Dallasowi zrobiło się wstyd. Żałował, że nie pamiętał, jak się zachował, chociaż wtedy mogłoby mu być jeszcze bardziej głupio. To było nie w porządku, żeby Loraine się bała, a tym bardziej malutka Dawn. Kiedy skończył pić kawę, Loraine szybko zmyła filiżanki i spodeczki. Przyglądał jej się, kiedy stała obok zlewu, i zastanawiał się, jak mógłby pomóc jej albo małej. Obiecał bratu, że zrobi dla nich wszystko, co tylko w jego mocy, ale nawet wtedy nie miał zielonego pojęcia, cóż takiego mogłoby to być.

Lorraine wyplukwała filiżanki w zlewie i ostrożnie je wytarła ściereczką przed wstawieniem do szafki. Kiedy się pobrali z Davidem, była śliczną dziewczyną o jedwabistej skórze i cudownych brązowych włosach.

Ludzie zastanawiali się na głos, jak takiemu nieśmialemu, poważnemu chłopakowi, jak David, udało się zdobyć taką dziewczynę, tym bardziej że Loraine poza tym, że była śliczna, miała też opinię nieco zwariowanej. Ci, którzy lubili się zakładać, nie dawali im wielkich szans. Ale David odznaczał się dobrocią i troskliwością, cechami, które w mniejszym czy większym stopniu były dla Loraine nowe. Stwierdziła, że jej to odpowiada. Według tych, którzy znali ją najlepiej, po prostu zmieniła się z dnia na dzień, odwzajemniając oddanie, jakim ją darzył mąż. Zupełnie jakby bez jednego słowa jakoś udało mu się ją przekonać, by dla niego i życia, jakie jej proponował, zrezygnowała ze swojej przekory. Było to życie przyjemne i przynoszące zadowolenie, nawet jeśli nie zawsze szczególnie ekscytujące.

Loraine na samym początku ich małżeństwa odkryła również, że cokolwiek się stanie, David i tak nie przestanie jej kochać. Kiedy po raz pierwszy zauważyła, że przytyła kilka kilogramów i straciła smukłą talię, wcale się tym nie przejęła. Ponieważ David jakby w ogóle nie widział, że jego żona przybiera na wadze, odwzięczyła mu się, uznając, że jej nie przeszkadza, iż jej młody mąż łysieje i po każdym prysznicu w wannie zostaje mnóstwo jego ciemnych włosów.

Tylko Dallas, który często odwiedzał ich w niedziele, sprawiał, że uświadamiała sobie, jak wygląda, ponieważ bezlitośnie z niej żartował. Jednak po pewnym czasie przestał jej dokuczać. Nigdy się nie dowiedziała dlaczego. Początkowo myślała, że może David mu zabronił, ale potem przyszło jej do głowy bardziej prawdopodobne wytłumaczenie - że Dallas skończył z docinkami, kiedy to, co mówił, stało się zbyt prawdziwe, by być nadal śmieszne. Będąc w ciąży z Dawn, bardzo przytyła i potem jakoś nigdy nie odzyskała szczupłej figury. Teraz myślała, że dobrze by było, gdyby Dallas znów zaczął sobie z niej żartować, ale nigdy tego nie robił. Jeśli w ogóle coś mówił na jej temat, to jedynie, że dobrze wygląda. Ponieważ wiedziała, że to nieprawda, komplement miał efekt przeciwny do zamierzonego.

Prawdę mówiąc, kiedy obserwował teraz Loraine, stojącą obok zlewu, było mu jej żal. Uważał, że po stracie męża, mając przed sobą jeszcze ponad pół życia, powinna być atrakcyjniejsza, niż jest.

- A więc - powiedział, kiedy się odwróciła i zauważyła, że jej się przygląda - jak sobie radzisz?

Wytarła ręce w ściereczkę i powiesiła ją na plastikowym haczyku w drzwiach lodówki.

- Świetnie. Jak możesz w ogóle o to pytać, widząc wszędzie takie

luksusy? - Zatoczyła ręką koło, obejmując tym gestem nie tylko kuchnię, ale cały dom, podwórko, sąsiedztwo i prawdopodobnie całe miasteczko.

- Pytam poważnie - powiedział Dallas, natychmiast zdając sobie sprawę z bezsensowności swej uwagi, ponieważ Lorraine najwyraźniej też mówiła najzupełniej poważnie. Jej postawa w tej kwestii była dla niego niezrozumiała, częściowo dlatego, że w porównaniu z nim żyła naprawdę całkiem nieźle. Musiał jednak przyznać, że dom rzeczywiście jest w kiepskim stanie. Nawet kiedy żył David, konieczność zmuszała ich do tego, by tak długo korzystać z różnych rzeczy, póki się nie rozsypią. Teraz to, co kiedyś było tylko cienkie, stało się niemal przezroczyste, jak ściereczka, w którą Lorraine wytarła ręce. Ale to Dallasowi akurat zawsze się podobało w domu brata. Dallas sam nigdy niczego nie zużył do końca. Gubił wszystko, zanim zdążyło się zniszczyć. Jego ubrania nigdy nie były znoszone, ponieważ kiedy szedł do pralni, zawsze przynajmniej w jednym automacie zostawiał porcję prania. Gubienie wszystkiego stanowiło być może główną cechę całej jego egzystencji i nauczył się traktować to tak, jak inni traktują zadrapanie na dłoni lub stłuczone kolano. Zresztą na dłuższą metę i tak wszystko się jakoś wyrównywało. Ponieważ w zamian za ubrania, których zapominał zabrać z pralki, zyskiwał inne z suszarek. Ręczniki i koszule, obracające się w jednej suszarce, często były uderzająco podobne do tych w sąsiedniej i Dallas nie jeden raz stwierdzał po powrocie do domu z torbą, do której włożył zawartość suszarki, że przywłaszczył sobie garderobę kogoś innego. Jeśli rzeczy były w jego rozmiarze lub zbliżonym, nie robił z tego problemu, a jego życie zyskiwało na barwności.

Tylko kiedy odwiedzał dom brata i stale widział te same, znajome przedmioty, ogarniało go niezadowolenie w związku z własnym brakiem panowania nad swymi codziennymi sprawami. Zawsze lubił dom Lorraine i czuł się w nim lepiej niż w jakimkolwiek znanym sobie miejscu, może z wyjątkiem torów wyścigów konnych czy u Greeniego po robocie. Tak dobrze się czuł w domu swego brata, że nie lubił nawet najmniejszych zmian lub nowości, i przy tych rzadkich okazjach, kiedy Lorraine kupowała do domu jakiś nowy, barwny drobiazg, nie mógł się powstrzymać od refleksji, po co jej to potrzebne. Na szczęście nie należała do kobiet, które lubią przestawiać meble. Była zbyt rozsądna, by uważać, że jest to równoznaczne z dążeniem do ideału.

- Nigdy nic nie widzisz - powiedziała mu - ale wszystko tu wymaga remontu. Zimą przez szpary wieje wiatr. Dolne szafki przegniły tam, gdzie

przeciekają rury. Żadne drzwi nie wiszą równo na zawiasach. Tych od łazienki nie mogą nawet zamknąć. Nie żeby miało to jakieś znaczenie.

- Mógłbym... - zaczął Dallas.

- Niczego nie obiecuj. Mam po prostu tego dosyć, i tyle.

- Móg...

- Nie - powtórzyła. - Coś obiecasz, za pół godziny wyleci ci to z głowy, a ja będę miała do ciebie żal, póki sama nie zapomnę. Kilka tygodni później sobie przypomnisz i będziesz na siebie wściekły, dopóki znów nie zapomnisz. Więc oszczędź nas oboje.

Dallas widział, że już jest na niego zła, i naturalnie zdawał sobie sprawę z tego, że to, co powiedziała, to święta prawda. Ale wątpił, czy to prawdziwy powód jej gniewu. Wystarczająco dobrze znał kobiety, by wiedzieć, że nie wściekała się z tak oczywistej przyczyny jak ta, że obudził ją w środku nocy. Nie, była na niego zła z innego powodu, ale nie zamierzała mu powiedzieć, z jakiego. To nie ulegało wątpliwości. Podczas trzech lat małżeństwa Anna zawsze miała do niego o coś pretensje, ale nigdy mu nie chciała zdradzić przyczyny swego niezadowolenia. Może Loraine musiała się na kimś wyładować, a on akurat znalazł się pod ręką. Miał nadzieję, że to tylko to, nic poważniejszego. Lubił Loraine. Należała do nielicznych osób, które wiedziały, że można go zranić. Musiał przyznać, że ma naturę kapryśną i nieprzewidywalną; jego uczucia pojawiały się i znikaly w sposób niezrozumiały nawet dla niego samego. Po wyjściu od Loraine prawdopodobnie coś innego zaprzątnię jego myśli i na długi czas zapomni o niej. Miną urodziny dziewczynki. Może właśnie dlatego wmówił sobie, że są dzisiaj, wiedząc, że kiedy naprawdę nadejdą, nie będzie go tutaj.

- Chyba poślubiłaś właściwego brata - przyznał.

- Na wiele dobrego mi się to zdało. - Była odwrócona do niego plecami i wyglądała przez malutkie okno kuchenne nad zlewem, jakby zobaczyła na dworze coś niezwykle intrygującego. - Może byś już sobie poszedł? - zaproponowała. - Mam masę roboty, a sama nie wiem czemu, jestem dziś niewyspana.

Dallas zaczął się zbierać do wyjścia, kiedy zauważył, że Loraine płacze. Gdy jej dotknął, kompletnie się załamała.

- Chryste, jak mi go brak.

- Wiem - powiedział słabo Dallas, domyślając się, że czegoś od niego oczekuje, ale nie mając pojęcia, czego.

- Jest tylu ludzi na świecie, których Bóg mógłby zabrać, i nie miałyby to żadnego znaczenia. Nikt nie zauważyłby ich nieobecności...

Mówiła prawdę. Dallas znał właściwie wszystkich w Mohawk, i było niewiele osób, które Bóg, jeśli w ogóle istniał, mógłby gorzej wybrać w swojej mądrości.

- Na przykład ja - powiedział, ponieważ od śmierci brata często tak myślał.

Lorraine odwróciła się gwałtownie w jego stronę, na jej twarzy malowało się cierpienie i gniew.

- Tak, do cholery!

Doszedł do wniosku, że nie tu po nim, więc wymamrotawszy coś w rodzaju przeprosin, wyszedł. Ale Lorraine dopadła go, nim zdążył ruszyć. Już by odjechał, gdyby nie postanowił najpierw sprawdzić, czy na siedzeniu albo pod nim nie ma jego sztucznej szczęki.

- Przepraszam, Dallas! - krzyknęła przez okno od strony pasażera. - Boże, nie wiem, co się stało, że to powiedziałam.

- Nie ma sprawy - odparł. - Zresztą to prawda.

- Nie - zaprzeczyła gwałtownie. - Po prostu byłam wściekła. Na twoim miejscu spotkałabym się z Anną i nakłoniłabym ją do powrotu. Jesteś miłym facetem. Tylko potrzebny ci ktoś, kto by się o ciebie troszczył.

- Albo pięciu takich ktosiów.

Uśmiechnęła się i zmarszczyła nos.

- Wiesz, że David cię ubóstwiał. Byłeś jedynym członkiem rodziny, na którym mu zależało.

- *I vice versa.*

Odwróciła wzrok i przez jakiś czas oboje milczeli.

- Chyba powinnam o nim zapomnieć - powiedziała w końcu Lorraine. Potem spojrzała przez okno z opuszczoną szybą na Dallasa. - I ty też.

- Już o nim zapomniałem.

Uśmiechnęła się.

- W takim razie dlaczego tu przychodzisz, spodziewając się go zobaczyć?

Tak go zaskoczyła tymi słowami, że nie wiedział, co powiedzieć. Kiedy odwiedzał Lorraine i Dawn, obecność jego brata była tak namacalna, że niemal się spodziewał, iż David nagle się pojawi w drzwiach kuchni, pytając, kto zabrał strony z wiadomościami sportowymi.

- Czy chciałbyś wyrządzić przysługę komuś, kto właśnie potraktował cię niezbyt miło?

- Jasne, jeśli tylko będę w stanie...

Lorraine przesunęła dłońmi po włosach. Kiedyś były lśniące, ale straciły niemal cały swój dawny połysk.

- Będę musiała niedługo znów zacząć pracować. Pieniądze z polisy prawie się skończyły. Nie wiem, czemu David sobie ubzdurał, że dwadzieścia kawałków ustawi nas na całe życie.

- To dość pokaźna sumka.

- Nie, jeśli trzeba spłacać rachunki za leczenie, których ubezpieczenie nie obejmuje.

Dallas obiecał, że będzie to miał na uwadze.

- Dzięki - powiedziała. - I naprawdę mi przykro z powodu twojej sztucznej szczęki.

- Pewnego dnia znajdę wszystkie pięć. Prawdopodobnie leżą gdzieś na kupie.

Oboje wybuchnęli śmiechem. Lorraine najwyraźniej trochę się poprawił humor. Dallas wiedział, że nie potrafiła się niczym długo przejmować.

- Skąd na twojej koszuli wzięło się imię „Cal”?

- Cal też na pewno jest ciekaw. Naprawdę uważasz, że znów powinienem się zacząć spotykać z Anną?

W spojrzeniu Lorraine dało się dostrzec wątpliwość, ale tylko przez chwilę.

- Pewnie. Jeśli nie z nią, to z kimś innym. Jak by na to zareagował twój syn?

- Trudno powiedzieć. Chyba nie lubi ze mną rozmawiać. Wydaje mi się, że go nie znam.

- Nic się nie zmienił.

- Wcześniej też go nie znałem.

Nie wiadomo skąd pojawiła się Dawn i zaczęła się domagać, by matka ją podsadziła, by mogła zajrzeć do środka. Dallas wychylił się i dał jej całusa.

- Kiedy pojeździmy na biabelskim kole? - chciała się dowiedzieć.

- Na diabelskim kole?

- Tak, na biabelskim kole.

- Będziesz się bała.

- Mój tatuś zawsze mnie zabiera - oświadczyła, spoglądając na matkę i najwyraźniej czekając, że temu zaprzeczy. - Zabierze mnie jutro.

- Znam jedną małą dziewczynkę - powiedziała Lorraine - która się prosi o klapsa.

Stary szpital imienia Nathana Littlera stoi na szczycie stromego wzgórza u podnóża Myrtle Park, górując nad dachami gimnazjum, baru Mohawk i pozostałymi budynkami w centrum miasta. Tylko jedno skrzydło starego szpitala jest teraz czynne. Reszta gmachu tonie w ciemnościach. Na peryferiach miasta, w pobliżu nowej autostrady, otwarto nowy szpital, ale nie ukończono przeprowadzki z jednego budynku do drugiego. Centrum Usług Medycznych w Mohawk jest politycznym gorącym kartoflem, jego budowa znacznie się przedłużyła i pochłonęła wiele setek tysięcy dolarów więcej, niż to pierwotnie zakładano. Uroczyste otwarcie, połączone z przecięciem wstęgi, znów przesunięto, tym razem dlatego, że inspektorzy budowlani stwierdzili, iż instalacja elektryczna w izbie przyjęć i na oddziale intensywnej terapii nie odpowiada normom. To samo dotyczy instalacji w pozostałej części budynku, ale inne oddziały już się przenieśli i nie do pomyslenia jest ich ponowna przeprowadzka. Więc mimo komplikacji, jakie to wywołuje, izba przyjęć i oddział intensywnej terapii nadal się mieszczą w starym szpitalu, olbrzymim trzypiętrowym gmachu z cegły, oplecionym dzikim winem. Reszta budynku, teraz opustoszała, wygląda, jakby ją strawił pożar. Szyby w oknach powybijali chłopcy z gimnazjum, którzy podczas przerw obiadowych wspinali się na wzgórze i rzucali kamieniami. Początkowo rozlegały się powszechnie głosy protestu przeciwko wandalom i Willis Anders we wstępniaku w „Mohawk Republican” nawoływał, by nie pozwalać na taką dewastację budynku starego szpitala przez młodzież. Ale ponieważ stary szpital ma zostać zburzony zaraz po dokończeniu przeprowadzki, chłopaki nadal wybijają szyby w oknach pustych pomieszczeń, co wygląda zupełnie tak, jakby ci, którzy zostali w środku, byli przeganiani z sali do sali. Wybito już szyby we wszystkich oknach z wyjątkiem kilku w skrzydle, gdzie jest izba przyjęć, ale podczas przerwy obiadowej chłopcy nadal wspinają się na strome wzgórze i okupują drzewa, okalające tylny dziedziniec. Odłamki szkła chrzęszczą pod kołami dwóch karetka pogotowia, obsługujących Mohawk, kiedy okrążają budynek od tyłu, by dotrzeć do wejścia do szpitalnej izby przyjęć.

Dziś w nocy oba ambulanse pełnią dyżur. Sobotnie wieczory to okres wzmożonej pracy w izbie przyjęć w starym szpitalu imienia Nathana Littlera, szczególnie około drugiej nad ranem, kiedy zamykane są bary

i ludzie stają przed perspektywą powrotu do domów z tyloma niespełnionymi marzeniami. Potem zazwyczaj dochodzi do burd i zmalutowane żony, mężowie i przyjaciółki ciągną na szczyt Hospital Hill - niektórzy pieszo, niektórzy rozklekotanymi, starymi samochodami - skąd po udzieleniu pierwszej pomocy odsyła się ich do domu. Niektórzy są zakrwawieni, większość pijana w sztok, i wszyscy poza najbardziej uszkodzowanymi muszą czekać w kolejce na pomoc medyczną, udzielaną przez nieliczny, przepracowany personel szpitala. W tłumie czekających jest para dobiegająca trzydziestki. Oboje są potężni, ale kobieta jest trochę postawniejsza. Jednak to mężczyzna pierwszy przykuwa uwagę. Jest bez butów, przewiązany w pasie jaskrawopomarańczowym ręcznikiem kąpielowym, który zastępuje mu spodnie. Ręcznik jest z przodu zabawnie wybrzuszony, postawna kobieta złośliwie wpatruje się w wypukłość.

- Spójrz na siebie, ty głupi kutafonie - mówi. Jej głos, chociaż przyciszony, jest przenikliwy, i cudownie się niesie nawet w zatłoczonym pomieszczeniu.

- Popatrz na siebie, jeśli nie możesz tego znieść.

- Nie masz nawet dosyć rozumu, by czuć się jak głupi kutafon, jakim jesteś - mówi kobieta. - Wszyscy na ciebie patrzą, ty głupi kutafonie.

To akurat prawda, ale mężczyzna w ręczniku kąpielowym nic sobie z tego nie robi. Używa pospolitego wyrazu na cztery litery, by opisać swoją towarzyszkę, i jest to słowo, oznaczające część jej ciała. Chociaż się obrzucają wyzwiskami, żadne z nich nie jest naprawdę rozzłoszczone. Ich epitety się zdewaluowały. Od tak dawna się przezywają, że same słowa nie są w stanie wywołać w nich emocji. W tej chwili są raczej rozbawieni, niż zagniewani.

- Przekonałbyś się, jaki z ciebie głupi kutafon, gdybyś nie był taki zadufany w sobie. Nigdy nie miałeś takiego wielkiego kutasa, i to tak długo.

- Żałuję, że nie mam baby, która byłaby go warta.

Zignorowała tę uwagę.

- Zresztą nie rozumiem, z czego jesteś taki dumny. Nie każdy ma ptaszka wielkości obrączki ślubnej.

- Przynajmniej mam obrączkę ślubną, czyli więcej od ciebie.

To najwyraźniej celny strzał i kobieta reaguje, jakby porządnie jej przyłożył.

- Chciałbyś, żebym szturchnęła tego bezwartościowego ptaszka, głupi kutafonie?

Mężczyzna odwraca się od niej.

- Jesteś wściekła, ponieważ wygrałem zakład.

- Powinnam była wiedzieć, że ten kutasik...

Ktoś na sali jęczy głośno, i kobieta z mężczyzną przestają być w centrum uwagi. Ludzie wyciągają szyje, by zobaczyć, kto zawodzi, ale nikt nie wygląda na szczególnie podejrzanego. Kiedy jedne z drzwi do izby przyjęć otwierają się z trzaskiem, słychać syrenę karetki pogotowia - mniej więcej równie piskliwą, jak krzyk człowieka - i wszyscy dochodzą do wniosku, że poprzednio to też musiała być syrena.

Kierowca ambulansu okrąży szpital od tyłu, jedzie szlakiem utworzonym przez odłamki szkła w kierunku smugi żółtego światła na końcu długiego podjazdu. Wiezie piętnastoletnią dziewczynę, która prawdopodobnie nie doczeka ranka. Jest ofiarą wypadku, ratownikom zajęło pół godziny wyciągnięcie jej z wraku auta, stan ofiary jest ciężki. W izbie przyjęć zrobią wszystko, co się da, potem helikopter zabierze ją do kliniki w Albany, ale kierowca wie, że bez względu na starania lekarzy dziewczyna nie przeżyje, bo odniosła zbyt poważne obrażenia. Sam jest jeszcze młody i przykro mu na myśl o tym, że jej krótkie życie dobiega kresu, lecz nic nie może na to poradzić. Na dobrą sprawę już mogła umrzeć. Czasem mu mówią, kiedy pacjent skona; kiedy indziej pozwalają mu jechać na złamanie karku z trupem. Gdy zbliża się do żółtych świateł, mocno naciska hamulec, by nie uderzyć w coś, co wyrasta mu na drodze, ale natychmiast znika. Z tyłu dobiega chóralne „Hola!”. Kiedy kierowca zatrzymuje się pod czerwonym napisem IZBA PRZYJĘĆ, drzwi się otwierają i młodą dziewczynę szybko zabierają do środka, co oznacza, że tym razem dowiózł żywą ofiarę.

Zamiast wysiąść kierowca siedzi sam w karetkce, wyglądając przez okno, lecz właściwie na nic nie patrzy, słucha trzasków w radiotelefonie i niskiego zawodzenia piosenkarza country w radiu. Po kilku minutach nagle sobie coś przypomina i łapie latarkę. Kwadrans później jeden z sanitariuszy spotyka go na drugim końcu podjazdu u podnóża zniszczonego, południowego skrzydła szpitala, jak świeci latarką w czarne oczodoły okien.

- Co to było - jakieś zwierzę?
- Chyba tak.
- Następnym razem przejeżdż je.
- Jak dziewczyna?
- Właśnie zmarła. Chodź. Wszędzie tu pośluczone szkło.

Wracają w stronę czerwonego napisu IZBA PRZYJĘĆ, ale od czasu do czasu kierowca ogląda się przez ramię na ciemne okna na drugim i trzecim piętrze. Nie jest pewien, czy to, co śmignęło mu tuż przed maską, to było zwierzę, ale najpewniej tak.

Randall Younger gapił się przez okno klasy na pierwszym piętrze na ciemny, osmagany deszczami i wiatrem pomnik ojca miasta Nathana Littlera, stojący na trawniku przed gimnazjum imienia Nathana Liniera. Już kilku członków gangu, chłopaków, którzy przybrali nazwę Kobry, kręciło się u stóp Nathana, chociaż do końca zajęć zostało jeszcze ponad piętnaście minut. Randall na ostatniej godzinie miał matematykę i okropnie się nudził. Materiał, który nauczyciel starał się przyswoić uczniom, powinien być jasny dla każdego, kto choćby raz miał książkę w rękę, ale większość kolegów Randalla z klasy nie czytała żadnych książek i nigdy nie pozwoliłaby sobie na to, by dać się zmusić do zajrzenia do podręcznika matematyki. Prywatna szkoła, do której uczęszczał Randall w Nowym Jorku, stawiała swoim uczniom znacznie większe wymagania, i w ciągu dwóch lat, odkąd razem z matką z powrotem przeprowadzili się do Mohawk, Randall spędzał czas, czekając, aż jego koledzy klasowi dogonią materiał. Było to wyczerpujące zajęcie. Dzieciaki z Mohawk miały całkiem wysokie mniemanie o sobie, ale większości brakowało wrodzonych zdolności i chęci, przynajmniej jeśli chodzi o naukę. W rezultacie Randall coraz szybciej odkrywał, że jedynym sposobem na zdobycie akceptacji jest cofnięcie się w rozwoju. W tym celu ostatnio przyswoił sobie kilka prostych chwytów. Celowo pomyliwszy pytania na egzaminie, uniknął chóralnego pomruku, którym przez ponad rok witano wyniki jego sprawdzianów. Perfekcja powodowała gorycz prawie u wszystkich, łącznie z nauczycielami, podczas gdy przeciętność sprawiała, że ludzie czuli się pewnie. Żydowskie dzieci mogły sobie pozwolić na to, żeby się wyróżniać, bo tak je wychowywano, ale Randall nie był Żydem. Jego ojciec był zwykłym mechanikiem w warsztacie Pontiac, więc spodziewano się po nim czegoś więcej. Dlatego też Randall, zamiast zdobyć sto punktów z ostatniego sprawdzianu, pozwolił sobie zaledwie na osiemdziesiąt osiem, i najpiękniejsza dziewczyna w klasie uśmiechnęła się do niego z aprobatą. Właściwie gdyby nie chodziła z najlepszym zapaśnikiem w szkole, Randall może by ją zaprosił do kina w któreś sobotnie popołudnie. Nie tyle bał się zapaśnika, ile zdawał sobie sprawę z tego, że musi jeszcze dużo zrobić, nim jego pozycja stanie się nie do podważenia.

Kiedy rozległ się dzwonek, Randall wrzucił swoje rzeczy do szafki i razem ze wszystkimi podążył w kierunku podwójnych drzwi, w ostatniej

chwili skręcając do sali gimnastycznej, z której mógł się wyslizgnąć wyjściem prowadzącym na uliczkę za barem Mohawk. Randall nie lubił niepotrzebnie igrać z losem. Poprzedniego dnia zaczęły go Kobry, namawiając go, by się do nich przyłączył. Za dolara tygodniowo postarają się, by nikt mu nie dokuczał. Nie byłby to taki kiepski interes, gdyby nie to, że zawsze dokuczały mu jedynie Kobry. Tylko najwięksi i najbardziej wysportowani chłopcy unikali płacenia haraczu. Samemu Randallowi przez ponad rok jakoś się udawało, ponieważ nikt dokładnie nie wiedział, kim jest, i potrafił się wtapiać w otoczenie. Ale teraz Boyer Burnhoffer, przywódca Kobr, który już spędził dwa lata w poprawczaku, wziął go sobie na cel i Randall wiedział, że będzie musiał w miarę szybko przystać na ich warunki, jeśli chce uniknąć manta. Kobry się przechwalały, że kiedyś zabiły chłopaka, który odmówił płacenia haraczu. Randall w to nie wierzył, ale było coś niepokojącego w fakcie, że próbowali imponować morderstwem. Zaczepili Randalla u stóp pomnika Nathana Littlera i Boyer Burnhoffer - w koszuli rozpiętej do pasa, chociaż był już koniec października, i śmierzący cebulą - zaczął się głośno zastanawiać, trzymając twarz parę centymetrów od twarzy Randalla, co też chłopak może mieć przeciwko honorowemu członkostwu w gangu. Randall wiedział, że nie odważą się go sprać tutaj, na Main Street, tuż przed szkołą, więc wykręcił się, wyjaśniając, że czeka na niego dziadek w szpitalu. Oczywiście skłamał. Mathera Grouse'a wypisano na początku tygodnia, ale numer „na litość” zadziałał i Randall się wymigał obietnicą, że wstąpi do gangu pod koniec tygodnia.

Sytuacja daleka była od krytycznej. Jedyne, co musiał zrobić, to zawsze mieć dolara w kieszeni i zachować zwyczajną czujność, by uniknąć rozstania z nim najdłużej, jak się da. Nie tyle chodziło mu o dolara, ile uważał, że płacenie komuś za to, by nie oberwać, to niebezpieczny precedens. Wychodząc przez salę gimnastyczną, mógł uniknąć spotkania z Kobrami, niezwykle przywiązany do Nathana Littlera, w którego majestatycznej obecności kleli i palili papierosy oraz rzucali łagodnie nieprzyzwoite uwagi pod adresem przechodzących dziewcząt. Prawdopodobnie zajmie im jakiś miesiąc lub dwa, nim zaczną się zastanawiać, jakim cudem Randallowi codziennie udaje się unikać spotkania z nimi, co będzie znaczyło, że musi się jedynie trzymać z dala od męskiej toalety. A kiedy w końcu odkryją jego fortel, zawsze jeszcze będzie mógł wstąpić do klubu szachowego, spotykającego się po lekcjach w bibliotece.

Kiedy Randall wyszedł w zaułek na tyłach baru Mohawk, natknął się na Szalonego Billa, który najwyraźniej zmierzał w złym kierunku. Uliczka biegła wzdłuż budynku gimnazjum i kończyła się ślepo na wysokim parkanie u podnóża Hospital Hill. Mężczyzna najwidoczniej był zadowolony w myślach, ponieważ kiedy otworzyły się drzwi od sali gimnastycznej, wyraźnie się przestraszył. Długie czarne włosy całkowicie zasłaniały mu uszy, chociaż placki białej skóry na czaszce widoczne były w miejscach, gdzie w niewytłumaczalny sposób włosy nie chciały rosnąć. Randall często spotykał Szalonego Billa na ulicy, ale nigdy nie znalazł się z nim twarzą w twarz. Lecz nawet jeśli poczuł się niepewnie, Szalony Bill był jeszcze bardziej wystraszony od niego. Gapił się na Randalla tak, jakby rozpoznawał w nim kogoś, kto kiedyś spletał mu złośliwego psikusa. Po chwili Szalony Bill zaczął się głupkowato uśmiechać.

- No chyba - powiedział wesoło.

- Jak się masz? - rzucił Randall, starając się nie okazywać zdenerwowania. Dziadek powiedział mu kiedyś, że najlepszy sposób postępowania z psami to nie zdradzić się, że człowiek się ich boi. Według Mathera Grouse'a, psy potrafiły wyczuć, kto się ich boi, a Szalony Bill, który wyraźnie miał w sobie coś z psa, mógł mieć, zdaniem Randalla, takie same zdolności. Krążyło wiele opowieści o Szalonym Billu, którym Randall nigdy nie dawał wiary, kiedy widział go snującego się spokojnie wzdłuż Main Street, ale teraz, kiedy znalazł się z nim sam na sam w alejce, nagle sobie je wszystkie przypomniał. Według słów niektórych ośmioklasistów, Szalony Bill był mordercą, który uciekł z Utica. Inni mówili, że kiedyś był zupełnie normalnym nastolatkiem, póki pewnej nocy nie zobaczył ducha Myrtle Littler w Myrtle Park. Od tamtej pory coś mu się poprzestawiało w głowie. Jedna dziewczyna utrzymywała, że widziała, jak Szalony Bill oddawał mocz na ulicy, i jeśli tylko miała słuchaczy, opisywała to wydarzenie w sposób budzący grozę. Randall niemal wołałby, gdyby drogę mu zastąpiło ośmiu czy dziesięciu ponurych chłopaków z gangu Kobr, niż jeden głupawo się uśmiechający Szalony Bill, wyglądający, jakby nie potrafił robić nic więcej, tylko kiwać głową i szczerzyć zęby. Kiedy niezręczna sytuacja stała się nie do zniesienia, Randall wychrypiał „Muszę już iść”, a wtedy Szalony Bill, jakby właśnie czekał na te słowa, zgrabnie usunął się chłopcu z drogi niczym jakiś obdarty stróż, drzemiący w oczekiwaniu na instrukcje.

Ale zanim Randall zdążył czmychnąć, Szalony Bill wsunął jedną rękę do kieszeni zakurzonych spodni i wyciągnął z niej małą paczuszkę, którą

następnie wcisnął Randallowi w dłoń. Chłopak z wielką ulgą zobaczył, że otworzyły się tylne drzwi do baru Mohawk i pojawił się w nich Harry Saunders, jego szef i właściciel w jednej osobie, z pełną torbą śmieci. Na widok Randalla i Szalonego Billa zatrzymał się i przyjrzał im się badawczo.

- Lepiej idź do domu, Bill - poradził mu.

Szalony Bill musiał uznać to za dobrą radę i znów ruszył ślepą uliczką w złym kierunku. Kiedy już był za daleko, by usłyszeć Harry'ego, ten zwrócił się gniewnie do Randalla:

- Możesz mi powiedzieć, co się z wami dzieje, chłopaki? Czy nie macie już nic lepszego do roboty niż prześladować tego biedaka? Wyłudzać od niego te nędzne grosze, które ma, wymieniać z nim dziesięciocentówki na pięciocentówki, a potem, kiedy wam się znudzi jego towarzystwo, rozkwaszać mu nos? A wszystko dlatego, że nie wiecie, jak inaczej się zrozerwać...

- Ja nigdy... - zaczął Randall, ale Harry nie pozwolił mu dokończyć.

- Czy nie ma już przyzwoitości na tym świecie? - Nadal trzymał worek ze śmieciami, ale najwyraźniej o nim zapomniał.

- Nie wiem - przyznał Randall.

W tym momencie Harry przypomniał sobie o torbie i wrzucił ją do śmietnika, a potem wytarł ręce o brudny fartuch.

- Syf!

Na Main Street Randall skręcił w prawo, w kierunku domu, ale się zatrzymał, by zobaczyć, czy Szalony Bill wróci, kiedy stwierdzi, że zabrnął w ślepy zaułek. Nie doczekawszy się, Randall wrócił aż do drzwi od sali gimnastycznej, skąd miał widok na całą uliczkę. Szalony Bill zniknął. Po drugiej stronie siatki było jedynie zbcze wzgórze, gęsto porośnięte drzewami aż do samego budynku starego szpitala. Nie można było wykluczyć, że Szalony Bill przeszedł przez tylne wejście jednego ze sklepów, których front wychodził na Main Street, ale Randall był pewien, że mężczyzna tego nie zrobił. Potem przypomniał sobie pakunczek, który nadal miał w kieszeni. Kiedy go wyjął, nie od razu się zorientował, co to jest. Napis na opakowaniu obiecywał: „Karbowana i natłuszczona, aby dać maksimum satysfakcji”. Pośpiesznie schował paczuszkę z powrotem do kieszeni i akurat wtedy usłyszał, jak ktoś go woła po imieniu. Randall spodziewał się ujrzeć Boyera Burnhoffera, ale kiedy się odwrócił, zobaczył swego ojca, wychodzącego z baru Mohawk. Na koszuli miał wyhaftowane nad kieszonką „Steve”.

- Co się stało? - spytał Dallas, kiedy zrównał się z synem.
- Nic.
- Coś się musiało stać.

Randall się upierał, że nic się nie stało, a przynajmniej nic mu o tym nie wiadomo, chcąc zakończyć ten temat. Bardzo rzadko widywał ojca, a kiedy przypadkowo się spotkali, rozmowa wymagała sporo wysiłku. Po wymienieniu dwóch czy trzech zdań większość tematów w sposób naturalny ulegała wyczerpaniu.

Kiedy minęli trawnik przed gimnazjum, Randall znów usłyszał swoje imię. Kobry wciąż jeszcze stały u stóp Nathana Littlera. Członkowie gangu pomachali mu.

- Do zobaczenia jutro! - zawołał Boyer Burnhoffer.
- To twoi koledzy? - spytał Dallas.
- Tak jakby.

Dallas skinął głową w zamyśleniu i jakiś czas szli w milczeniu.

- Czy ktoś cię kiedyś uczył, jak się bronić?

Randall zmarszczył czoło.

- Znaczą się bić?
- Powinieneś to umieć.

Randall wzruszył ramionami, nie widząc w tym żadnej korzyści. Kiedy się człowiek umie bić, jedynie go kusi, by komuś dołożyć.

- Dziadek mówi, że biją się tylko ci, którzy nie umieją myśleć.
- To podobne do twojego dziadka. Nie przypominam sobie, by kiedykolwiek z kimkolwiek walczył.

Dla Randalla sam pomysł, że jego dziadek miałby w gniewie unieść na kogoś rękę, wydawał się niedorzeczny. Nie żeby uważał Mathera Grouse'a za tchórza. Po prostu jego dziadek zwyczajnie nie zadawał się z ludźmi, których uważał za pozbawionych rozsądku.

- Słyszałem, że jest w szpitalu - powiedział Dallas.
- Już wrócił do domu - wyjaśnił Randall i umilkł. Chociaż dziadek nigdy nie mówił źle o Dallasie, chłopiec wiedział, że mężczyźni nie byli w dobrych stosunkach. Może Mather Grouse uważał Dallasę za człowieka pozbawionego rozsądku. Dallas pożyczył kiedyś znaczną kwotę pieniędzy i nigdy ich nie oddał, a Randall wiedział, że jego dziadek nie życzyłby sobie rozmawiać o swoich prywatnych sprawach, nawet o swoim zdrowiu, z kimś tak niegodnym zaufania. W tym właśnie sęk. Było bardzo niewiele tematów, na jakie ojciec chciał rozmawiać z Randalle, o których chłopak mógł swobodnie z nim dyskutować.

- U matki wszystko w porządku? - spytał Dallas.

Randall powiedział, że tak.

- Widuje się z kimś?
- Jak to widuje? - Randall udał głupiego.
- No spotyka się, umawia?
- Nie wiem... - zaczął, a kiedy poczuł na sobie wzrok ojca, powiedział: - Chyba nie.

To wyraźnie ucieszyło Dallasa, podobnie jak chłopca, ponieważ fakt, że padło to pytanie, oznaczał, że ich spotkanie zbliża się do końca. Rozmowy Randalla z ojcem zawsze przebiegały według tego samego scenariusza. Trzeba było tylko zachować cierpliwość, pozwolić toczyć się sprawom zwykłym trybem, to w końcu Dallas sobie pójdzie.

Kiedy znaleźli się obok straży pożarnej, przeszli razem jakieś pięć kwartałów i Randall przypuszczał, że zaraz się rozstaną, Dallas wróci do warsztatu, a Randall pójdzie Siódmą w kierunku domu. Jeśli dopisze im szczęście na światłach, pożegnanie przebiegnie w miarę gładko. Ale akurat kiedy dotarli do przejścia dla pieszych, zielone światło zaczęło migać, zmuszając ich do spędzenia w swoim towarzystwie jeszcze kilku niezręcznych chwil. Obaj wiedzieli, że wyczerpali zwyczajowe tematy rozmowy i cokolwiek jeszcze powiedzą, będzie równoznaczne z zapuszczaniem się na nieznaną gruntu. Gdyby każdy z nich był sam, po prostu przeszedłby jezdnię na czerwonym świetle, bo nie jechały żadne samochody, ale w tej sytuacji było to niemożliwe. Obaj, jeden przez wzgląd na drugiego, czuli się zobowiązani do zaczekania na zmianę światel.

Akurat gdy znów zapaliło się zielone światło, Dallas zapytał:

- Masz pieniądze?

Randall się zawahał, w pierwszej chwili źle zrozumiał pytanie. Dallas musiał się tego domyślić.

- Gdybyś kiedyś potrzebował, wstąp do mnie do warsztatu - powiedział, wyraźnie dotknięty. - Nie zawsze jestem przy forsie, ale...

Ponieważ ojciec najwyraźniej nie wiedział, jak dokończyć, Randall powiedział, że będzie pamiętał, chociaż trudno było mu sobie wyobrazić, jak prosi ojca o pieniądze. Nigdy nie wątpił, że Dallas by mu nie odmówił, ale są ludzie, do których się człowiek nie zwraca w takiej sytuacji, czasami do tej kategorii zaliczają się również ojcowie.

- Może kiedyś zajrzę do was - powiedział na koniec Dallas.

Była to obietnica, z której nigdy nic nie wychodziło. Randall bardziej niż cegokolwiek pragnął, by ojciec nie dotrzymał słowa. Czasami myślał, że stosunki między nimi układałyby się zupełnie dobrze, gdyby Dallas jakoś potrafił się powstrzymać od mówienia, że do nich wpadnie.

W ciągu blisko dwóch lat, odkąd Randall z matką przeprowadzili się z powrotem do Mohawk, Dallas tylko dwa razy „wpadł do nich”. Nosił się z takim zamiarem wiele razy, przypuszczalnie nawet brał prysznic i się golił, ale później wstępował po gazetę albo po coś innego, spotykał faceta, który właśnie coś słyszał o jakiejś partyjce pokera, zostawał na jedno albo dwa rozdania, bo przecież było jeszcze wcześniej, i ani się obejrzał, jak niebo na wschodzie zaczynało szarzeć, niedawno gładko ogolona twarz była zarośnięta, oczy przekrwione, ręce drżące. Ale bardziej niż rozczarowanie do samego siebie odczuwał ulgę, że nie zrobił jakiegoś głupstwa, choć mało brakowało.

Kiedy Randall i Dallas się rozstali, zielone światło znów zaczęło migać. Gdy Randall się obejrzał, zobaczył swego ojca na środku Main Street, samochody śmigały z obu stron. Wtedy przypomniał sobie uwagę, którą niechcący kiedyś usłyszał. Dziadek powiedział w rozmowie z jego matką, że życie Dallasa składa się z serii minimalnie chybionych strzałów. Randallowi wydało się teraz, że jego ojciec jest jakiś smutny, kiedy tak stał na środku jezdni, czekając na lukę między samochodami, by móc przebiec na drugą stronę ulicy. Przyszło mu do głowy, że może lepiej by zrobił, gdyby okłamał ojca, powiedział mu, że matka ma względem kogoś poważne zamiary, niż podsycał jego nadzieje. Dawniej, kiedy był mały, Randall się modlił, by jego rodzice się zesłi. Teraz patrzył na to zupełnie inaczej. Nie było trudno zauważyć, że ojciec nie najlepiej sobie radzi. Na jego koszulach zawsze wyhaftowane były niewłaściwe imiona i Randall, chociaż nie lubił się do tego przyznawać, wstydził się ojca. Dallas niepotrzebnie skomplikował ich życie i jego syn nic nie mógł na to poradzić, że myślał, o ileż prostsze byłoby wszystko, gdyby jego ojciec nie kręcił się w pobliżu.

Chłopiec usłyszał za sobą pisk opon, które jakby stanowiły odpowiedź na jego najskrytsze rozważania. Ale kiedy się odwrócił, ojciec akurat zniknął w redakcji „Mohawk News”, gdzie zapisze sobie numerkę, nim wróci do pracy.

7

Mather Grouse po wypisaniu ze szpitala spędził w domu ledwie tydzień, nim ponownie został przyjęty na oddział za namową doktora Waltersa, lekarza rodzinnego. Gdyby to zależało od Mathera Grouse'a, z

radością zlekceważyłby rady swego starego przyjaciela w tej kwestii, tak jak to robił we wszystkich innych w ciągu przeszło trzydziestu lat. Ale decyzja nie należała do niego. Na powrót męża do szpitala nalegała jego żona. Pani Grouse pokładała wielką wiarę w lekarzy w ogóle, a w doktora Waltersa w szczególności, i często broniła ich wszechwiedzy w dyskusjach z takimi bluźniercami, jak jej córka Anna, która odmawiała im okazywania takiej czci, na jaką zasługiwali. Pani Grouse wierzyła, że lekarze to chodząca mądrość i że posługują się oni przypowieściami, jak sam Jezus Chrystus, a obowiązkiem wszystkich jest być otwartym na wszelkie możliwe ich znaczenia. Dlatego gdy doktor Walters dał do zrozumienia, że seria badań mogłaby przynieść korzyści, pani Grouse dopilnowała, by je wykonano.

Była jednak przekonana, że doktor Walters ukrywa prawdziwy powód zlecenia tych badań. Oświadczył, że podczas ostatniego pobytu Mathera w szpitalu stwierdzono u niego wysokie ciśnienie krwi. Wyjaśnił, że chorzy z zaburzeniami układu oddechowego są szczególnie podatni na zawał serca. Wysięk, z jakim wiąże się u nich oddychanie, jest większy niż ten, do jakiego przystosowane jest ludzkie serce. Pani Grouse grzecznie kiwała głową, słuchając tego wszystkiego, ale naturalnie swoje wiedziała. Była przekonana, że doktor Walters naprawdę się niepokoi o uszkodzenia, jakich doznały płuca jej męża na skutek nieprzeżywanego podania mu przez jej córkę inhalatora. Przecież z ulotki można było wyczytać, że częste jego stosowanie uszkadza pęcherzyki płucne. Doktor Walters okazał się zbyt pocziwy, by robić wielkie halo z bez troski Anny. Pani Grouse zasugerowała łagodne środki lecznicze, ale lekarz tylko się uśmiechnął głupio i powiedział, że nie sądzi, by uszkodzenia były trwałe. Ale pani Grouse uznała za potwierdzenie swych własnych obaw jego decyzję o skierowaniu Mathera Grouse'a na dalsze badania.

W ciągu tych wszystkich lat jedyne zastrzeżenie, jakie pani Grouse miała do lekarza rodzinnego, który był członkiem ich Kościoła i pomagał sadzać wiernych, to to, że brakowało mu wystarczającej stanowczości. Inny lekarz mógłby skuteczniej nastraszyć jej męża i nakłonić go do wcześniejszego rzucenia palenia, tymczasem doktor Walters, jak podejrzewała, w głębi ducha sympatyzował z jej mężem, ukradkiem palącym papierosy. W rezultacie cały ciężar spadał na nią. Mather Grouse nigdy nie palił w domu, ale podejrzewała, że jej mąż sięga po papierosa zawsze, kiedy wychodzi do pracy w ogródku albo udaje się na spacer „dla zachowania formy”. Pani Grouse skwapliwie donosiła lekarzowi o

oszustwach męża, mając nadzieję, że w ten sposób nakłoni doktora Waltersa do wygłoszenia poważnego kazania na temat szkodliwości palenia, ale im bardziej szczegółowo opowiadała, do jakich sztuczek zdolny jest jej mąż, byleby tylko ukradkiem zapalić papierosa, stary głupiec uśmiechał się tym szerzej i tylko kiwał głową. Dlatego też pani Grouse zaczęła towarzyszyć mężowi podczas dawniej samotnie przez niego odbywanych spacerów do Choir Park, a kiedy pracował w ogródku, co chwila wystawiała głowę, by się upewnić, że wszystko w porządku. Pilnowanie, by nigdy nie zostawał sam, było niełatwym zadaniem, ponieważ Mather Grouse potrafił się zdobyć na niezwykłą pomysłowość, kiedy w grę wchodziło palenie papierosów, i pani Grouse oceniała, że mimo jej czujności prawdopodobnie udawało mu się wypalać przynajmniej cztery dziennie.

Cały czas to pani Grouse troszczyła się o zdrowie swego męża i dlatego też nie zamierzała dopuścić, by jej córka przypisywała sobie jakiegokolwiek zasługi w uratowaniu mu życia. Nie rozmawiały na ten temat, ale Anna najwyraźniej nie poczuwała się do najmniejszych wyrzutów sumienia. I chociaż córka nigdy nie odważyłaby się tego powiedzieć otwarcie, dla pani Grouse było oczywiste, że Anna krytycznie ocenia spokój i odpowiedzialną postawę pani Grouse, cierpliwie czekającej na karetkę pogotowia, tak jak jej polecono. Prawdę mówiąc, pani Grouse była trochę tajemnicza, jeśli chodzi o to, co jej powiedziano przez telefon, kiedy zadzwoniła na pogotowie. Ale nie miała ani cienia wątpliwości, że nie kazano jej czegokolwiek zrobić, a to, jak każdy wie, oznacza praktycznie to samo, co polecenie, by nie robić nic. Zapewniono ją, że karetka zaraz przyjedzie, i wyobrażała sobie, jak samochód wjeżdża zza rogu na ulicę, nim jeszcze odłożyła słuchawkę. I chociaż trwało to dłużej, niż się spodziewała, to sanitariusze w białych kitlach, którzy podali Matherowi Grouse'owi tlen, uratowali życie jej mężowi. A jeśli nie sanitariusze, to ona sama, kiedy spokojnie wykręciła numer, wyjaśniła, jak wygląda sytuacja, i bez cienia hysterii podała adres. Czyżby nie ćwiczyła tego każdej nocy przez blisko trzy lata, zachowując się dzielnie i odpowiedzialnie? Tymczasem jej córka tylko złamała Matherowi Grouse'owi szczękę.

Teraz, kiedy Mather znów znalazł się w szpitalu, stosunki między panią Grouse i Anną były poprawne, ale chłodne. Córka starała się cały czas spędzać na górze, gdzie mieszkała razem z Randallem. Na zmianę odwiedzały Mathera, ale nie mogły uzgodnić, w jakim jest stanie, kiedy porównywały swoje wrażenia.

- Uważam, że nic mu nie będzie - powiedziała pani Grouse, gdy jej córka zatrzymała się na dole w drodze do pracy.

- Nie, mam. Nie grozi mu jedynie bezpośrednio niebezpieczeństwo. Czy już załatwiłaś butlę z tlenem?

- O tym, moja droga, zdecyduje twój ojciec - powiedziała pani Grouse, zaciskając usta jak zawsze, kiedy Anna przekraczała niewidzialną granicę. - Ale już teraz mogę cię zapewnić, że nie zechce postawić na środku pokoju jednej z tych wielkich butli, by wszyscy ją widzieli. Jest zbyt dumny.

- Póki żyje.

Pani Grouse mocno zacisnęła zęby.

- Nie zaczynaj go denerwować, gdy tylko wróci do domu. Wiesz, jak mu to szkodzi.

- Wiem, co to dla niego znaczy nie móc oddychać. Nie rozumiem, co masz przeciwko temu pomysłowi.

- Ja? - Pani Grouse udawała zdumienie, chociaż nie znosiła myśli o butli z tlenem w domu. Te butle były nie tylko wielkie i brzydkie, ale również niebezpieczne, albo tak przynajmniej uważała pani Grouse. Wiedziała, że gaz znajduje się w nich pod ogromnym ciśnieniem, i nie mogła odpędzić wizji, jak pewnego razu zawór puści i butla zacznie latać po całym pokoju niby przekłuty balon, odbijając się od ścian i zabijając ich wszystkich, nim wyleci przez okno i upadnie na środku ulicy. - To nie ma nic wspólnego ze mną - powiedziała pani Grouse. - Nie pozwolę, by ojca zabiło całe to zamieszanie.

Anna zatrzymała się na progu i odwróciła się w jej stronę.

- Obie dobrze wiemy, co go zabije, mam.

W obliczu tej prawdy pani Grouse zrobiła to, co najlepiej się sprawdziło w takiej sytuacji. Zmieniła temat.

- Chyba ugotuję gulasz na jego pierwszą kolację w domu. A na deser upiekę placek z bananami.

- Wszystko jedno - powiedziała Anna. - Chcesz, żebym coś kupiła w drodze do domu?

- Na przykład co?

- Na przykład mięso na gulasz? Albo banany?

- Nie wyglupiaj się. Pójdę do Howarda.

- Nie uważam, żebym się wyglupiała, mam. Chciałam ci oszczędzić wyprawy do sklepu.

- Jakiej znowu wyprawy? To zaledwie dwie przecznice od domu.

- Jak chcesz.

- Zresztą nie lubię produktów sprzedawanych w tych wielkich supermarketach.

Anna wiedziała, że najlepiej pozwolić matce robić to, na co ma ochotę, bo i tak w końcu bez względu na wszystko pani Grouse postawi na swoim.

- Nie licz na mnie - uprzedziła panią Grouse. - Mam duże zaległości w pracy, a jutro piątek. Prawdopodobnie będę musiała dłużej zostać.

- Uważam, że to okropne - powiedziała pani Grouse, która nigdy nie przepuściła okazji, by zauważyć, że Anna jest wykorzystywana w pracy.

- Powtórzę to swojemu szefowi. Zawsze chętnie słucha twoich opinii.

- Naprawdę tak uważam... - oświadczyła pani Grouse. - Nigdy nie słyszałam o niczym podobnym.

Anna powstrzymała się od powiedzenia matce, że jest wiele rzeczy, o których nigdy nie słyszała. Jako siedemnastoletnia dziewczyna poślubiła Mathera Grouse'a, nigdy nie pracowała poza domem, w którym rządziła niczym udzielna władczyni, podczas gdy Anna po rozwodzie została kobietą pracującą, co dawało jej satysfakcję, ale pani Grouse nigdy niczego takiego nie doświadczyła. Podczas lat, które Anna spędziła z Randalllem w Nowym Jorku, matka i córka dążyły do różnych celów. Pani Grouse w długich listach udzielała rad córce, której życie już było bogatsze i ciekawsze.

- Kiedy Randall wróci do domu, chcę, żeby posprzątał swój pokój. Żadnych wizyt w szpitalu, póki tego nie zrobi. W drodze do domu wstąpię do ojca. - Ponieważ pani Grouse nic nie powiedziała, Anna spytała: - Słyszałaś mnie, mammo?

- Naturalnie, że słyszałam. Nie jestem głucha.

- Do widzenia, mammo.

Po drodze Anna wzięła pojemniki na śmieci i postawiła je przy krawężniku. Pani Grouse zawołała do niej przez okno:

- Czy podniosłaś uchwyty? Psy...

- Tak, mammo. Nie jestem dzieckiem.

Jej matka wciąż jeszcze coś mówiła, kiedy Anna wsiadła do samochodu i zatrzasnęła drzwiczki. Zamiast odjechać, siedziała i końcami palców masowała skronie. Potem sprawdziła w lusterku, jak wygląda, nie wiedzieć czemu podejrzewając, że okropnie. Ale się myliła. Wprawdzie wokół oczu miała siateczkę zmarszczek, zaczęły się pojawiać wkrótce po tym, jak dwa lata temu wróciła do Mohawk, ale nie pogłębiły się w wyraźny sposób. Zresztą nie bała się starości.

Dwa domy dalej stał i przyglądał się jej z wyraźnym zainteresowaniem zabiedzony pies nieokreślonej rasy. Anna utkwiała w nim wzrok, aż kundel się zmieszał i dysząc, zatoczył niewielkie kółeczko. To trochę ją podniosło na duchu. Kiedy wyjeżdżała tyłem z podjazdu, pies postawił uszy i wysunął z pyska wilgotny język. Gdy zniknęła za rogiem, rzucił się w stronę pojemników na śmieci.

8

Życie, Dallasa Youngera kręciło się wokół pewnych miejsc, jeśli w ogóle można powiedzieć, że kręciło się wokół czegośkolwiek. W określonych porach dnia czy tygodnia satysfakcjonowały go tylko konkretne miejsca i jeśli znalazł się wtedy gdzie indziej, czuł się nieszczęśliwy. Zaczął spędzać niedzielne poranki w kuchni swojej bratowej wkrótce po tym, jak Loraine i David się pobrali. Dopiero co rozstał się z Anną i to sprawiło, że w niedzielę nie za bardzo wiedział, co ze sobą zrobić. Był to jedyny dzień w tygodniu, kiedy odczuwał głębokie niezadowolenie z własnego życia. W niedzielę dwupokojowe mieszkanie Dallasa, małe, zagracone i niezbyt czyste, zawsze wydawało mu się małe, zagracone i niezbyt czyste. W inne dni tygodnia rzadko to dostrzegał, a jeśli nawet tak się stało, po prostu wychodził z domu. Ale w niedzielne poranki wszystkie ulubione mety Dallasa były pozamykane, a mężczyźni, z którymi grywał, czuli się zobowiązani zostać w domach ze swymi rodzinami, przynajmniej póki nie obejrzą transmisji meczu piłki i w południe właściciele nie otworzą barów.

Dla Dallasa Youngera kuchnia Loraine, pachnąca świeżymi bułeczkami z cynamonem, nierozłącznie kojarzyła się z niedzielnym rankiem. Kiedy jeszcze żył jego brat, Dallas, który miał klucz, czekał w kuchni na ich powrót z kościoła. Pogodnie przyjmował besztańskie Loraine, że jest bezbożnikiem, i udawaną złość Davida o to, w jaki sposób obszedł się z niedzielną gazetą, w której strony były pomieszane i źle poskładane, zanim jeszcze David miał okazję do niej zajrzeć. Co gorsza, Dallas czytał na głos wiadomości sportowe. Obaj mężczyźni byli zagorzałymi kibicami, ale David zawsze zostawiał sport na sam koniec, sumiennie i dokładnie czytając pozostałe działy, nim pozwolił sobie na czystą przyjemność poznania wyników rozgrywek bokserskich. Całe życie był taki. Jako chłopiec rozdzielał markizy i najpierw zjadał suche herbatniki, zostawiając

na koniec słodkie, białe nadzienie. Nigdy nikomu nie udało się zmienić jego przyzwyczajęń, nawet bratu, który zawsze najpierw dobierał się do nadzienia, napychał nim usta i szczyrzył zęby, na tyle szeroko otwierając buzię, by ujawnić głębię swego dziecięcego zepsucia. Dallas, naturalnie, zjadał swoje ciasteczka w odwrotnej kolejności, ponieważ wszystko, co robił, rozpoczynał do tego, co najbardziej lubił. Krajobraz jego życia był zaśmiecony drobnymi ogłoszeniami i suchymi herbatnikami.

Ale po śmierci Davida Dallas przestał być regularnym gościem w domu bratowej. Czasami budził się dopiero w południe, co oznaczało, że sprawa niedzielnego ranka rozwiązała się sama. Kiedy indziej nie składał wizyty Loraine, mając niejasne przeczucie, że bratowa nie ma ochoty go widzieć. Nie pokazał się u niej od dnia, kiedy wydawało mu się, że są urodziny jego bratanicy, i dopiero teraz, gdy zajechał przed dom brata, przypomniał sobie o obietnicy danej Loraine, że rozejrzy się za pracą dla niej. Jednak nie przypominał sobie, by cokolwiek usłyszał na ten temat, i był za to wdzięczny.

Loraine otworzyła drzwi znowu w szlafroku, wyraźnie zdziwiona na jego widok, a może nie spodziewała się nikogo.

- Co to znaczy? - spytał Dallas. - Jest dziesiąta. Może byś się ubrała?
- Dzięki za radę. Dla twojej informacji, przez całą noc nie spałam, siedząc przy chorym dziecku. Miała trzydzieści osiem i dziewięć.
- Może bym się z nią pobawił?
- Nie ma mowy. Dopiero co udało mi się ją uśpić.
- Aha - powiedział Dallas. Zastanawiał się wcześniej, czy będzie żałował, że tu przyjedzie, i rzeczywiście żałował. Loraine wyglądała na zmęczoną i była nie w humorze, w kuchni nie pachniało cynamonem.
- Ale wejdz, proszę. Jest kawa, a przyda mi się, jak mnie ktoś rozerwie.

Dallas zajął swoje zwykłe miejsce i od razu poczuł się lepiej. Gdyby kiedykolwiek miał dom, co było mało prawdopodobne, chciałby, żeby przypominał dom Davida i Loraine. Właściwie nie było to nic specjalnego, ale miało w sobie coś. Kiedy parzyła się kawa, wkoło rozchodził się jej aromat, a w święta, gdy w piecyku piekł się indyk, można się było delektować jego zapachem. Ale dzisiaj w zlewie piętrzył się stos naczyń z kilku dni i Dallasowi przeszło przez myśl, czy przypadkiem tłumaczenie bratowej, czemu jeszcze chodzi w szlafroku, nie było wygodnym wykrętem. Nalała kawę do dwóch filiżanek.

- W pokoju jest gazeta.
- Może później ją przejrzę.

Lorraine naląła sobie do kawy trochę śmietanki.

- Przypuszczam, że musiałeś być na mnie wściekły, że cię tak okropnie potraktowałam.

Dallas zrobił zdumioną minę.

- Byłem zajęty i tyle.
- Nawet wiem czym - powiedziała Loraine. - To te same zęby, co poprzednio, czy inne?

- Nie bądź taka dowcipna. Co jest malej?

- Prawdopodobnie grypa.
- Chcesz, żebym zabrał ją do lekarza?
- Gdzie? Przecież dziś niedziela.
- Do szpitala.

Lorraine pokręciła głową.

- Nie jest aż tak źle. Poza tym sama mogę się o nią zatroszczyć. Potrzebny mi ktoś, kto zaopiekowałby się mną.

- Jeśli to kwestia pieniędzy...

Uśmiechnęła się.

- Nie. Marzę, żeby wyjechać gdzieś, gdzie jest gorąco. Gdzie mogłabym leżeć na słońcu i miałabym kogoś, kogo jedynym zajęciem byłoby przynoszenie mi napojów z owoców tropikalnych w szklankach ozdobionych miniaturowymi palemkami. Mógłby też smarować mi plecy olejkami do opalania, gdyby miał ochotę.

Dallas był zaskoczony nastrojem bratowej i nie wiedzieć czemu czuł się trochę zakłopotany.

- Nie musisz tak na mnie patrzeć - oświadczyła Loraine. - Był czas, kiedy chłopaki się biły o to, by móc mnie smarować olejkami.

- Czy coś powiedziałem?

- Nie. Jesteś za delikatny, by to powiedzieć.

Popijali kawę, Dallas mieszał swoją, by czymś się zająć. Znow stało się dla niego oczywiste, że nie powinien tu być przyjeżdżać, i zastanawiał się, czy istnieje sposób, by wyjść, nie sprawiając Loraine przykrości. Nie znosił sytuacji, kiedy nie wiedział, co ludzie myślą. Najczęściej dotyczyło to kobiet. Gdy był żonaty, nigdy nie wiedział, co sądzić o Annie, której nastroje były nieprzewidywalne i o wiele za subtelne, jak dla niego, by potrafił je trafnie odczytać. Zawsze śmiał się w nieodpowiednim momencie, myśląc, że tego po nim oczekiwano, i był poważny, kiedy próbowała z nim żartować. Czuł wdzięczność dla niebios, że kobiety nie grają w

pokera, bo wtedy zawsze pasowałby albo podnosił stawkę nie wtedy, kiedy należy, zresztą i bez nich miewał z tym kłopoty.

- Nigdy nie marzy ci się, by ktoś się tobą zajął? - spytała Loraine. - Ugotował ci coś do jedzenia? Wyprasował koszulę? Zawsze by wiedział, gdzie jest twoja sztuczna szczęką?

- Mów dalej.

Zmarszczyła czoło.

- To nie jest odpowiedź.

- W takim razie nie. Nie chcę, by ktokolwiek się o mnie troszczył. Żyję tak, jak chcę.

- Bzdura. Nikt nie żyje tak, jak chce.

- Jeśli chcesz poznać kogoś nowego, nie możesz siedzieć w domu.

Przecież nikt nie przyjdzie tutaj ciebie szukać, prawda?

- No właśnie. Nawet nie jestem pewna, czy chcę kogoś poznać. Nie znosiłam randek, nawet jako nastolatka. Tego wiecznego bycia miłym, kiedy wcale nie miało się na to ochoty. I pragnienia, by być mądrzejszym i ładniejszym, niż się jest. Nie mam już do tego cierpliwości. Brakuje mi nawet zdecydowania, by rozejrzeć się za pracą.

- Rozmawiałem z paroma osobami - skłamał Dallas. - Na pewno coś się trafi. - Zanotował sobie w pamięci, by naprawdę się za tym rozejrzeć. Nie znosił okłamywać tych, których lubił, ale może uda mu się znaleźć pracę dla Loraine. Wtedy by się zrehabilitował.

- Nie proś nikogo o przysługę - powiedziała mu Loraine. Jak przyjdzie co do czego, może się okazać, że się nie nadaję.

- A jakie masz inne wyjście?

- Sprzedać dom i przez jakiś czas żyć z uzyskanych pieniędzy. Kiedy Dawn podrośnie, będzie mi już wszystko jedno.

Akurat w tej chwili z góry dobiegł płacz dziewczynki i Loraine już miała wstać.

- Chcesz, żebym poszedł za ciebie? - spytał Dallas.

- Właściwie nie. Potrafisz tylko laskotać.

Kiedy Dallas został sam, poszedł do pokoju i odszukał gazetę. Zaczął ją czytać od działu sportowego i lektura szybko całkowicie go pochłonęła. Przyjemnie byłoby poczytać na głos, gdyby było komu. Bardzo chciałby, żeby David jeszcze chociaż raz ze złości na niego poczerwieniał na twarzy. Bezmyślnie przesunął językiem sztuczna szczęką, a potem pozwolił, by wróciła na miejsce. Stracił przednie zęby jako dziewiętnastoletni chłopak, kiedy wdał się w bójkę i nie chciał się poddać, chociaż dostał straszne manto. Niezbyt przejął się stratą zębów, nawet wtedy.

Kiedy David odwiedził go w szpitalu, w pierwszej chwili go nie poznał. Dallas był zapuchnięty i szary na twarzy, a kiedy się uśmiechnął do swojego młodszego brata, chłopak się załamał. Nawet jeszcze po latach, po ślubie z Loraine, Dallas wciąż potrafił zdenerwować brata, wyjmując sztuczną szczękę i szczerząc się do niego. Kiedyś David tak się rozłościł, że wymusił na Dallasie obietnicę, że nigdy więcej tego nie zrobi. „Straciłem zęby - powiedział mu Dallas. - Nie rozumiem, dlaczego tak cię to gnębi, skoro ja się tym nie przejmuję”. Ale od tamtej pory rzadko wyjmował sztuczną szczękę w obecności brata.

Kiedy Loraine wróciła na dół, Dallas był kompletnie pochłonięty wynikami rozgrywek piłkarskich. Przyglądała mu się z zaciekawieniem, stojąc u podnóża schodów. Jej zmarły mąż był szczupły, po ukończeniu dwudziestu lat zaczęły mu wychodzić włosy. Później, po radioterapii, zupełnie wyłysiał. Dallas wciąż miał gęstą, czarną czuprynę, był mocno zbudowany, mierzył metr osiemdziesiąt. Ktoś, kto go nie znał, mógłby wziąć jego skupioną minę podczas lektury gazety za oznakę wybitnej inteligencji, a Loraine, która dobrze go znała, nie mogła oprzeć się wrażeniu, że jej szwagier wcale nie jest taki głupi, a jego zwariowany sposób bycia to tylko poza. Wszyscy mówili, że jego syn Randall bardzo dobrze się uczy, musiał po kimś odziedziczyć inteligencję. Może po Annie, ale może i po ojcu. Kiedy ludzie żartobliwie pytali Dallasa, po kim dzieciak jest taki bystry, Dallas odpowiadał, że mieli mądrego mleczarza. Prawdę mówiąc, sam niezbyt wierzył w inteligencję syna.

W końcu zauważył obecność bratowej.

- Dawn spadła gorączka - powiedziała. - Chciałaby się zobaczyć ze stryjkiem.

Szybko wstał i podszedł do wąskich schodów.

- Gdzie jest moja pieszczoszka?

Z góry dobiegł perlisty śmiech uradowanej dziewczynki.

9

Ku ogromnej uciechu Mathera Grouse'a ładna jesienna pogoda utrzymała się do listopada. Po raz pierwszy od początku lata czuł się dobrze i nawet nie psuła mu humoru perspektywa nadchodzącej zimy i przejmujących wiatrów, co zmuszało go do siedzenia w domu. Jesień zawsze była jego ulubioną porą roku, popołudniami mógł odbywać krótkie spacery

bez maseczki z materiału, którą dostał od doktora Waltersa. Sąsiedzi grabili liście i palili je w ogromnych pojemnikach, słodkawy dym unosił się jeszcze długo, gdy z samych liści pozostał już tylko biały popiół. Mather Grouse lubił zapachy jesieni, ponieważ przypominały mu one wiersz Keatsa, który z kolei nastawiał go do życia przychylniej, niż na ogół na nie patrzył. Po lecie, wypełnionym wonią olejku do opalania i potu, zapach palonych liści był pokrzepiający.

Kiedy mijało lato, żał mu było jedynie małego ogródka za domem, który pozostanie martwy przez kolejny rok, z gruntu sterczały suche, brązowe pędy krzaków pomidorów. Dziś przykłęknął na jedno kolano, by dotknąć ręką ziemi. Z domu dobiegało go nucenie pani Grouse. Ocecił, że żona jest w kuchni. Kiedy nucenie przeniosło się do odleglejszego zakątka domu, odsunął obluźowaną deskę nad okienkiem do piwnicy i wyciągnął plastikową torbę, którą pod nią schował. W środku szczelnego plastikowego woreczka było kilka cameli. Wyjął jednego, wsunął go do kieszeni koszuli i szybko zapiął wiatrówkę pod samą brodę, a potem odłożył torebkę do kryjówki. Na szczęście pani Grouse zajęła się porządkami i nie przerwie swego świętego obowiązku, by pójść z nim na spacer, nawet mimo to, że po powrocie męża będzie spoglądała na niego podejrzliwie i gniewnie.

Takie krycie się z czymś sprawiło, że ożyły w nim wspomnienia z dzieciństwa. Jak Mather Grouse sięgał pamięcią, zawsze potrafił odróżnić dobro od zła, chociaż jego matka broniła go przed ojcem, kiedy coś zbroił, argumentując, że syn jest za mały, by zrozumieć znaczenie swego czynu. Ale jego ojciec był mądrym człowiekiem, który nigdy nie miał wątpliwości, kiedy już zdjął pas. Mather zawsze ze stoickim spokojem znosił manto, śledząc narastanie bólu do apogeum, potem jego stopniowe słabnięcie, aż po zakończonym laniu mógł z radością stwierdzić, że ma wszystko za sobą. Nie widział powodów, by oburzać się na wymierzane mu kary, przynajmniej wtedy, gdyż w głębi serca wiedział, że i tak wiele rzeczy uchodzi mu na sucho, dzięki czemu życie nie wydawało się takie nędzne i nic niewarte.

Po przedwczesnej śmierci ojca, spowodowanej opróżnianiem zbyt wielu butelek dżinu i brakiem kogoś, kto by mu za to łoł skórę, Mather Grouse wziął na siebie obowiązek poskramiania swych pasji. Matka za bardzo się nad nim litowała i brakowało jej zdecydowania, by pomóc synowi, więc dość często dobrowolnie przywdziewał włosiennicę - zawsze, kiedy uznał to za słuszne. Nie przejmował się znanymi przykazaniami, a jedynie starał się trzymać z daleka od kobiet i pilnować swego nosa,

co wystarczało, by uniknąć prawie wszystkiego, co mogłoby mu przynieść poważne zgryzoty. Już jako nastolatek był poważnym i pracowitym młodzieńcem, a kiedy wyprowadził się z domu matki, by podjąć pierwszą pracę w życiu, mógł sobie pogratulować, że udało mu się z powodzeniem utrzymać w korbach wrodzony pociąg do zła, chociaż od czasu do czasu nadal lubił coś zbroić po kryjomu. A gdy skończył sześćdziesiąt cztery lata i jego siła woli osłabła, żona pilnowała, by zachowywał się jak należy.

Tego popołudnia postanowił pójść do Choir Park - znacznie dalej, niż normalnie się wybierał, bo szybko się męczył. Ale dziś czuł się silny, a już od dawna naprawdę nie miał okazji się sprawdzić. Lubiał symetryczne alejki, wijące się między żywopłotami i sosnami. Jeśli się zmęczy, może zawsze zatrzymać się obok muszli koncertowej i odpocząć na jednej z ławeczek. O tej porze roku nie było już kwiatów, ale przy odrobinie szczęścia może dojdzie go zapach palonych liści.

Było pochmurno i kiedy Mather Grouse dotarł do parku, cieszył się, że włożył wiatrówkę. Miał cały park wyłącznie dla siebie. Nie musiał się nigdzie śpieszyć, ponieważ pani Grouse będzie podejrzliwa i rozdrażniona bez względu na to, na jak długo jej mąż wymknie się z domu. I tak po powrocie będzie musiał znosić widok jej uniesionych brwi, gniewnie zaciśniętych zębów, odętych ust, ale na razie miał przed sobą jesienne popołudnie i niemiłą perspektywę niekończącej się zimy, podczas której pozostaną mu tylko wspomnienia. Kiedy doszedł do muszli koncertowej, wcale nie oddychał ciężko, a zapach liści sprawił, że poczuł się młody i silny. Zadowolony usiadł na ogrodowej ławce.

Siedział tak, póki nie doszedł do wniosku, że wystarczająco długo odmawiał sobie największej przyjemności. Wtedy wyciągnął camela, zapalił go i zaciągnął się głęboko. Matherowi Grouse'owi wydawało się dziwne, że już nic nie dociera w głąb jego płuc z wyjątkiem dymu papierosowego, który w jakiś sposób przedzierał się przez flegmę i rozlewał po całym ciele. Czasami myślał, że największą rozkosz pod słońcem sprawiłoby mu wypalenie całej paczki cameli, jednego po drugim, bo tylko wtedy, kiedy palił, miał wrażenie, że naprawdę oddycha. Rozum mu mówił, że to tylko brutalne oszustwo - że każdy camel zmniejsza liczbę przydzielonych mu oddechów - ale rozum swoje, a odczucia swoje. Nawet czysty tlen, który mu podawano w szpitalu, nie docierał tam, gdzie dym cameli, i Mather czasem się uśmiechał na myśl, że powinien być podłączony nie do butli z tlenem, tylko do niekończącego się camela.

Mather Grouse zorientował się, że nie jest sam, dokładnie wtedy, kiedy po raz ostatni zaciągnął się papierosem. Śniady mężczyzna mniej więcej w jego wieku stał z założonymi rękami obok muszli koncertowej. Mather uświadomił sobie jego obecność akurat wtedy, gdy stwierdził, że zrobiło się przenikliwie zimno, a ławka parkowa zachowuje się jak przewodnik, którym chłód z ziemi płynie do jego ciała. Nie miał pojęcia, od jak dawna mężczyzna tam stoi, ale był pewien, że z pewnością od dłuższego czasu, ponieważ kątem oka nie zanotował żadnego ruchu. Mather Grouse wiedział, kim jest mężczyzna, zanim go jeszcze rozpoznał.

Rory Gaffney skinął mu i zaczął kuśtykać w jego stronę. Był potężnym poczwicwem, jak brat, ale z uwagi na to, że miał trudności z poruszaniem się, sprawiał wrażenie groźniejszego. Żadne dziecko nigdy sobie z niego nie żartowało, tak jak z jego brata policjanta, ulubionego obiektu wszelkich dziecięcych psikusów. Rory Gaffney miał zmierzwione włosy, a brodę i policzki zawsze szare, bez względu na to, jak często przesuwiał po nich ostrzem brzytwy. Jego ogólnie niechlujny wygląd wyraźnie kontrastował z eleganckim, mlecznobiałym skórzanym płaszczem, w który Rory był ubrany. Mather Grouse, który całe życie miał do czynienia ze skórami, nigdy nie widział nic równie pięknego. Skóra należała do takich, za przywilej krojenia której płaciło się pracodawcy. Rory Gaffney zatrzymał się przed rzędem ławek, gdzie siedział Mather Grouse, a potem ruszył wzdłuż nich.

- Pan Grouse - powiedział Rory Gaffney, sięgając do kieszeni płaszcza po paczkę papierosów. - Jak się pan miewa? - Pytanie to bynajmniej nie było zadane uprzejmie.

- Tak jak na to zasługuję - odparł Mather Grouse, nie odwracając głowy. Mogli być jedynymi ludźmi w kościele, którego sklepieniem było niskie, szare niebo, a ołtarzem muszla koncertowa.

- Jak na to zasługujesz - z zapalem powtórzył Rory Gaffney. - No właśnie. Cóż, dzięki Bogu, każdy z nas ma to, na co sobie zasłużył! - Potrząsnął pudełkiem papierosów, tak że jeden z nich trochę się wysunął. Wyjął go i zaproponował Matherowi Grouse'owi. Kiedy Mather nie skorzystał z poczęstunku, Rory Gaffney dość wyraźnie dał do zrozumienia, że oferta jest wciąż aktualna, nie chowając paczki papierosów, żeby nie było żadnych wątpliwości.

- Już się nie widuje takich skór - zauważył Gaffney, wyciągając jedną rękę, by Mather Grouse z bliska mógł się przyjrzeć skórze. Postronny obserwator mógłby pomyśleć, że podsuwa mu dłoń do pocałowania. Ale nie było postronnych obserwatorów. Park był pusty.

Mather Grouse z podziwem patrzył na skórę, ale jej nie dotknął, nawet kiedy Gaffney nie cofnął ręki, jak poprzednio nie schował papierosów.

- Dobry surowiec należy do przeszłości - powiedział, pragnąc, by Gaffney już zabrał rękę.

Gaffney w końcu ją opuścił.

- Przeważnie - uprzejmie przyznał mu rację Rory Gaffney. Potarł zapałkę o paznokcie i koniec jego papierosa rozżarzył się czerwono, palący się tytoń przesuwał się w kierunku rozchylnych ust mężczyzny. - Nigdy nie zaglądasz do zakładu.

- Nigdy - zgodził się Mather Grouse.

- Zerwałeś z przeszłością.

- Tak.

- Rozumiem - powiedział Rory Gaffney. Palił, skrzyżowawszy nogi, wypuszczając dym nosem. - Nie jest tak, jak za dawnych dni. Świat się zmienia.

- Większość rzeczy pozostaje po staremu.

- Tak. Ale niektóre się zmieniają. Ty i ja zestarzeliliśmy się, a to duża zmiana.

Mather Grouse się uśmiechnął. Wciąż nie patrzył na swego rozmówcę.

- Świat świetnie sobie poradzi bez nas.

- Ale jak my sobie poradzimy bez niego?

- Chyba tak, jak na to zasłużyliśmy.

Nagle Gaffney zakrztusił się i zaczął kaszleć, papieros drżał mu w ustach. Ale go nie wyjął, chociaż obydwoma rękami chwycił się ławki parkowej.

- Jak zasłużyliśmy - powiedział. - Zawsze mówisz to samo, Mather.

Wiecznie do tego wracasz. Chcesz mi powiedzieć, że nie boisz się śmierci?

- Nie.

- To dobrze. Bo słyniesz z tego, że mówisz prawdę.

Mather Grouse patrzył na liście.

- A ja nie znoszę myśli o śmierci - zauważył jego towarzysz. - Nie ma lepszego miejsca od tego, w którym znajdujemy się teraz. Zostało mi jeszcze kilka lat i nie rozumiem, dlaczego cokolwiek miałoby je zepsuć.

To zabrzmiało w uszach Mathera Grouse'a jak pytanie.

- Zawsze miałeś szczęście.

- Racja! - zgodził się jego rozmówca. - Możesz uważać, że więcej, niż

sobie zasłużyłem, ale tak już jest w życiu. Liczę na to, że szczęście się ode mnie nie odwróci.

- Tak - powiedział smutno Mather Grouse.

Jego rozmówca wyglądał na zadowolonego.

- Powinieneś odwiedzić zakład. Nadal trochę pracuję, uczę młodych.

Mather Grouse zmienił pozycję. Od kilku minut czuł ściskanie w piersiach, które teraz stało się nie do zniesienia, i nagle zaczęło mu brakować powietrza. Nie zdziwiło go to, chociaż zaledwie pół godziny temu czuł się tak dobrze. Ataki duszności pojawiały się i znikwały bez uprzedzenia.

- Nie żeby ci młodzi chcieli się uczyć tego, co najważniejsze - powiedział Rory Gaffney. - Dla nich liczy się tylko dzisiaj. Ja żyję myślą o przyszłości.

Ta uwaga wydała się Matherowi Grouse'owi tak niezrozumiała, że po raz pierwszy spojrzął prosto w twarz swemu rozmówcy, na chwilę zapominając nawet o kłopotach z oddychaniem.

- I co tam widzisz? - zapytał.

- Wszystko - odparł Gaffney.

- Wszystko?

- Tak, wszystko. Rozumiesz?

- Nie.

- Wobec tego pozwól, że ci to wytłumaczę. Któregoś popołudnia poderwałem autostopowiczkę. Miała może piętnaście lat. Podniosła bluzkę do góry, by mi pokazać cycuszki. - Rory Gaffney udawał, że zadziera koszulę pod samą brodę, trzymając łokcie prosto przed sobą.

Nie opuścił ich nawet, kiedy Mather Grouse odwrócił wzrok. - Miała najpiękniejsze cycuszki, jakie kiedykolwiek widziałem. Nie wierzysz mi?

Mather Grouse pochylił się, by zaczerpnąć tchu.

- Jak Boga kocham!

Przez jakiś czas siedzieli w milczeniu. Gaffney najwyraźniej nie miał ochoty kończyć swej opowieści, ale po chwili powiedział:

- Większość ludzi w naszym wieku żyje przeszłością. A ja mówię: zapomnijmy o przeszłości. Korzystajmy z życia. Będzie czas na rozpałmiętywanie wszystkiego, kiedy znajdziemy się w grobie.

Mather Grouse nic nie powiedział.

- Jak pamiętasz, żona mnie rzuciła. Przez jakiś czas cierpiałem z tego powodu. A potem powiedziałem sobie: do diabła z nią. Będzie czas na

rozpamiętywanie wszystkiego, kiedy znajdziemy się w grobie. - Rory Gaffney przesunął dłonią po włosach, a potem się wyprostował. - Masz rację, że trzymasz się z dala od zakładu - powiedział, najwyraźniej zapominając, co mówił wcześniej na ten temat. - Nie należysz do ludzi, którzy rozpamiętują to, co się stało i się nie odstanie.

- Nie.
- I założę się, że dobra pani Grouse też się nie zmieniła.
- Nic nie wie o tym, co się kiedyś wydarzyło.

Gwałtowny powiew wiatru rozwał przerzedzone włosy Gaffneya, odsłaniając łysinę w większym stopniu, niż życzyłby sobie tego mężczyzna. Rory przyglądał włosy, nie przekładając papierosa do drugiej ręki. Czerwona, żarząca się iskierka spadła na czapkę mężczyzny, ale nawet jeśli Gaffney coś poczuł, nie dał tego po sobie poznać. Wstał i zapiął mlecznobiały płaszcz.

- Powinieneś nosić coś cieplejszego, Mather. Nadchodzi długa zima. Należy sobie dogadzać. Dobrze byś wyglądał w takim płaszczu, jak ten. Zaslugujesz na niego.

Postawił kołnierz i rozejrzał się po pustym parku. Mather Grouse nie wstał. Nie był pewien, czy da radę; czuł w piersiach coraz większy ciężar.

Gaffney zapalił kolejnego papierosa.

- Córka i wnuk mieszkają z wami?
- Tak... na górze.
- Mam wnuczkę. Wspomniałem ci kiedyś o tym?
- ...nie...

Rory Gaffney skinął głową.

- Tak. Ma dwanaście lat. Dbaj o siebie, Mather. Kiepsko wyglądasz.

Potem sobie poszedł i Mather Grouse został sam na ławce w parku w pochmurne popołudnie. Ktoś zagrabił brązowe, suche liście z rabat kwiatowych na stos w pobliżu wielkiego pojemnika, ale wiatr je rozwał. Mather Grouse obserwował, jak kilka liści tańczy w podmuchach wiatru, wirując gwałtownie, potem raptownie opadły na ziemię. Do domu było strasznie daleko i nie miał pojęcia, skąd weźmie siły, by tam wrócić. Przypomniawszy sobie swojego ojca i po raz pierwszy pomyślał, że być może mężczyzna specjalnie zapisał się na śmierć.

Na ziemi obok jego nóg leżał niedopałek pierwszego papierosa, wypalonego przez Rory'ego Gaffneya. Był rozdeptany, pokrywał go suchy pył. Mather pochylił się, by go podnieść, i osunął się na ziemię. Zobaczył

przed sobą szare niebo. Obserwował szybko przesuwające się chmury, póki nie pojawił się jego wnuk Randall, jego twarz otaczały odległe gałęzie uschniętych drzew. Chłopiec podał mu inhalator, który Mather zostawił na ławce. Wziął go niechętnie, bo już zaczął odczuwać przyjemne odprężenie w całym ciele. Pierwszy oddech sprawił mu ból. W powietrzu było czuć zime.

10

Pewnego dnia na początku listopada Diana Wood i Anna Grouse umówiły się na obiad w nowo otwartym Holiday Inn przy autostradzie. Anna przyszła pierwsza i zajęła stolik pod oknem, z widokiem na Cayuga Creek, ginącą w lesie jakieś trzydzieści metrów dalej. Ojciec mówił jej, że kiedy jako młody mężczyzna przyjechał do Mohawk, były w niej pstrągi. Ale potem ryby zaczęły dziwnie wyglądać i Związek Wędkarski zrezygnował z ich hodowli w rzeczce. Ostatnio zaczęto mówić o jej ponownym zarybieniu, by pokazać, że co było, minęło, a garbarnie powróciły do łask.

Anna uśmiechnęła się na tę myśl. Przyjrzała się uważnie swemu odbiciu w szybie. W jej lekkim uśmiechu było niewiele beztrioskiej radości, ale parę osób i tak uznałoby go za prześliczny, chociaż sama nie wiedziała, co o nim sądzić. Wprawdzie przestała być zarozumiała, jak kiedyś, niemniej było jej przyjemnie, że wciąż jest atrakcyjna. Miała długie, granatowoczarne włosy. Ostatnio zastanawiała się, czy ich nie obciąć. Już ich nie rozpuszczała, co tak podobało się mężczyznom. Na początku tygodnia usłyszała niechęcący, jak kolega z pracy, przed którym się tłumaczyła, skomentował to jednym słowem: „Hańba!”, i odebrała to jako komplement. W liceum chłopcy tak samo mówili o ślicznej, młodej dziewczynie, która rzuciła szkołę i wstąpiła do klasztoru akurat wtedy, gdy zaczęły jej rosnać piersi.

Di się spóźniła i Anna prawie skończyła pić Krwawą Mary, nim pojawiła się jej kuzynka.

- Świetny pomysł - powiedziała i zamówiła to samo dla siebie, a także drugą kolejkę dla Anny. - Mam nadzieję, że nie musimy się śpieszyć?

Anna powiedziała, że ma czas do połowy popołudnia.

- Wspaniale - odparła Di. - Zaszalejmy.

- Czy kiedykolwiek ci się zdarzyło zaszać?
- Nie - przyznała jej kuzynka. - Nie uważasz, że najwyższa pora?
- Mam nadzieję, że się nie rozczarujesz. Kończy się potężnym kacem.

- Gwiżdżę na to. Przynajmniej to będzie mój kac. Nie mojej matki. Nie mojego męża.

- W porządku. - Anna była ciekawa, co spowodowało u kuzynki taki niezwykły dla niej nastrój. Diana słynęła z przezorności.

- Przepraszam za spóźnienie, ale matka wpadła w histerię, kiedy jej powiedziałam, że idę do Holiday Inn. Wiesz, jak lubi jadać na mieście. Nazywa to miłą odmianą po moim pichcieniu. Musiałam ją zawieźć do twojej matki, by nie dostała udaru.

- Jestem pewna, że matka jest wniebowzięta.

- Czego nie można powiedzieć o biednym wujku Matherze. Znasz tę jego przerażoną minę na widok gości?

- Jest okropnie nietowarzystki.

- I nie potrafi tego ukrywać.

- Nigdy nie wywiesiłby w drzwiach transparentu „Witajcie”. Mówi, że ludzie biorą wszystko zbyt dosłownie.

- Ale i tak go lubię.

- Ja też.

- Mam ochotę na krewetki - powiedziała Di z niesłychaną pewnością siebie, nawet nie zaglądając do menu. - Lodowato zimne, w sosie koktajlowym. To zaostrza apetyt. - Z głośnym siorbnięciem wciągnęła przez słomkę resztki drinka.

Obie zamówiły krewetki u młodego kelnera. Di Wood, już trochę na rauszu, nie mogła się oprzeć, by się z nim trochę nie poprzekomarzać.

- Proszę o krewetki, ale tylko jeśli są duże. Czy naprawdę są duże?

- Tak, proszę pani.

- Ile sztuk?

- Cztery na porcję.

- A jak duże?

Kelner pokazał jej palcami.

- Zawinięte czy proste?

- Zawinięte.

- Świetnie.

Kelner się oddalił, a barmanka przyniosła im jeszcze dwie Krwawe Mary.

- Umawiajmy się tu codziennie i upijajmy się - zaproponowała Di.

- Zapomniałaś, że pracuję?

- A ja nie?
- Wiesz, co mam na myśli.

Di za dobrze się bawiła, by się poczuć dotknięta. Nigdy nie piła i trzy szklaneczki to było o dwie za dużo, jak na jej możliwości.

- Smakuje mi to - powiedziała.
- Powinnaś od czasu do czasu przyrządzić sobie w domu drinka.

Dan ucieszyłby się, gdyby nie musiał pić sam.

- Skończyłoby się to tym, że oboje wepchnęłabym do basenu. - Diana roześmiała się głośno, wyobrażając to sobie, a potem zawstydzona rozejrzała się wkoło, zaskoczona swym hałaśliwym zachowaniem. - Jeśli się nie pośpieszy i nie zrobi sobie tej cholernej operacji, zwariuję. Do końca.

- Myślałam, że miała się odbyć jutro.

- Dla mnie to za późno. Jeśli jeszcze raz zaczniesz coś, co będę musiała dokończyć za niego, uduszę go. Powiedziałam „stop”, jeśli chodzi o samochód. Wiem, jak lubi majsterkować, ale nie może do niczego dotrzeć, co oznacza, że cały czas biegam tam i z powrotem. Zrób to, zrób tamto, zaraz obok karburatora, jakbym wiedziała, co to jest karburator. Potem jest zmęczony albo się zniechęca i domyśli się, kto musi wszystko posprzątać. Przez cały czas matka wydziera się z drugiego końca domu, że już chce wyjść z wanny i czy sobie poszłam na dobre i ją zostawiłam, żeby się utopiła.

Kiedy przyniesiono krewetki, obie kobiety z apetytem wzięły się do jedzenia. Di zjadła wszystko, zostawiając tylko ogonki.

- Boże, ale było dobre - powiedziała, kiedy na talerzu został tylko łód i sos. - Chociaż to dziwne. Nigdy nie lubiłam jeść. Zamówmy jeszcze.

- Może jedną porcję na spółkę. - Anna już nie miała ochoty na krewetki, ale nie chciała sprawić kuzynce zawodu. Kiedy je przyniesiono, nalegała, by Di wzięła sobie trzy, a jej zostawiła jedną.

Wszystko było w porządku, ale w pewnej chwili Di, paplająca radośnie, nagle umilkła i oblała się potem. Kiedy przeprosiła i odeszła od stolika, Anna odczekała kilka minut, nim podążyła za nią do toalety. Diana klęczała z głową w umywalce. Kiedy było po wszystkim, Anna pomogła jej wstać. Diana przyjrzała się sobie w lustrze i poprawiła rozmazany makijaż.

- Miałaś rację. Rzeczywiście źle się to kończy - powiedziała. - Zostaw mnie samą na kilka chwil, dobrze?

Anna wróciła na salę i zapłaciła rachunek, a potem wyprowadziła kuzynkę na parking.

- Pozwól odwieźć się do domu - powiedziała.
- Nie trzeba. Zostawiłam alkohol w środku, razem z tymi ślicznymi krewetkami. To nie do pomyślenia, zapłacić tyle pieniędzy za krewetki, a potem wszystko zwrócić.

- Zdarza się.

- Nie mnie. Obiecuję, że nic nie powiesz Danowi.

- Dlaczego nie? Wszyscy wiedzą, że nieraz mu się to przytrafiało.

- Nie o to chodzi - powiedziała. - Po prostu nie chcę, żeby się domyślał, jak bardzo potrzebuję... czegoś takiego. Żle by się czuł, gdyby wiedział.

- Jest już dużym chłopcem.

Jej kuzynka się uśmiechnęła.

- Nieprawda.

- Uważaj podczas jazdy. Nie mogę sobie pozwolić na stratę najlepszej przyjaciółki.

Diana była zaskoczona, a zarazem zrobiło jej się przyjemnie.

- Jesteśmy dobrymi przyjaciółkami, prawda?

- Naturalnie.

Diana zaczęła grzebać w torbie, aż znalazła kluczyki do volkswagena. Nie chciała się nauczyć prowadzić lincolna Dana, przystosowanego dla inwalidów, bojąc się, że w sytuacji podbramkowej straci głowę i wszystko jej się popłaczę. Przekręciła kluczyk w stacyjce, ale nie ruszyła z miejsca. - Pamiętasz tamten wieczór, kiedy we czwórkę wracaliśmy z jeziora?

- Tak.

- Tamtej nocy miałam taką ochotę to zrobić. Boże, jak tego pragnęłam. Ale nie mogłam. Czy to nie smutne?

- Nie wiem. Może nie.

- A ja uważam, że tak. Tak bardzo ci zazdrościłam tego, że zawsze robiłaś to, na co miałaś ochotę. Chyba nadal ci zazdrościsz.

- Już nie jestem taka postrzelona, jak kiedyś.

- Przynajmniej możesz sobie pozwolić na to, żeby się rozłościć. Czasami sobie myślę, że gdybym potrafiła być dobra i zła... Nie wiem... Tak czy inaczej, zazdrościsz ci.

- Naprawdę nie ma czego, Dianio.

- Nic nie mogę na to poradzić. Spójrz na siebie.

Anna nic nie powiedziała. Oświadczenie Dianie, że poślubiła mężczyznę, w którym Anna była zakochana przez całe swe dorosłe życie, nie stanowiłoby pocieszenia.

- Zawsze czuję, że tamtego wieczoru wszyscy znaleźliśmy się na rozstaju dróg. Ty i Dallas. Dan i ja. Gdybym nie była taka... kto wie? Wszystko mogłoby się inaczej potoczyć.

- Wątpię - powiedziała szczerze Anna. - Czasami podejrzewam, że wszystko jest zaplanowane, zanim jeszcze się pojawimy na tym świecie.

- Nie - sprzeciwiła się Diana. - To my kierujemy swoim losem. W przeciwnym razie to wszystko nie miałoby sensu. W przeciwnym razie...

Anna poklepała kuzynkę po dłoni.

- Pozdrów ode mnie Dana.

- Dobrze - obiecała Diana. - Biedny Dan.

11

Dorastając w Mohawk, Anna Grouse miała niewiele okazji, by obracać się w towarzystwie innych chłopaków niż synowie sklepikarzy, krojczych skóry i właścicieli stacji benzynowych. Wśród nich Dallas Younger miał największą fantazję. Według miejscowych standardów, był dość dobrym sportsmenem o jedynie lekko zszarganej opinii, co w oczach Anny, młodszej od niego o rok, czyniło go dwa razy bardziej atrakcyjnym. Po kłótni z rodzicami Dallas po prostu wyprowadził się z domu i zamieszkał w pokoju nad drogerią Scallese, wiodąc dość niezależne życie, którego mu zazdrościli wszyscy chłopcy z liceum. Kiedy się okazało, że pewna maturzystka jest w ciąży, podejrzania natychmiast padły na Dallasa Youngera, ponieważ kiedyś oboje ze sobą chodzili i uznano, że należy się spodziewać, iż siedemnastolatek zrobi właściwy użytek z własnej chaty.

Kiedy Anna zaczęła się z nim spotykać, miała nadzieję, że czegoś się od niego nauczy. Ona też cieszyła się opinią szalonej dziewczyny, chociaż nic nie zrobiła, żeby sobie na nią zasłużyć, ale zarazem niewiele czyniła, by ją zmienić. Najbardziej bała się tego, że jeśli szybko nie zdobędzie się na jakiś krok, by potwierdzić obiegową opinię o sobie, ryzykuje, że bezpowrotnie straci w oczach rówieśników. Rozmyślanie o swej niewinności napawało ją znacznie większym lękiem niż obawa przed niepożądaną ciążą. Pani Grouse nie dzieliła się z nią swą wiedzą, a jej ojciec nie należał do mężczyzn, do których młoda dziewczyna zwraca się ze swoimi wątpliwościami. Anna wiedziała niewiele więcej niż to, że zadawanie się

z chłopakami grozi zajściem w ciążę, a zadawanie się z chłopakami w rodzaju Dallasa Youngera niebezpieczeństwo to wielokrotnie potęguje.

Istniało również niebezpieczeństwo zniweczenia marzeń ojca, że córka uzyska stypendium na naukę w uniwersytecie stanowym. Nikt nigdy nie studiował ani w jego rodzinie, ani w rodzinie jego żony. Mather Grouse, który sam skończył zaledwie osiem klas, spędził większą część swego dorosłego życia na tym, co nazywał „doskonaleniem umysłu”. Jego lektury były przypadkowe, a nawet chaotyczne, ale nim ukończył trzydzieści lat, wiedział całkiem dużo, jeszcze nie zaczawszy zaspokajać własnej ciekawości ani nie odkrywając jej źródła. Wiedział również, że chociaż przeczytał więcej książek niż znakomita większość ludzi wykształconych, faktem pozostawało, że oni byli wykształceni, a on nie.

Od samego początku Anna podzielała szacunek ojca dla książek, a on prowadził ją w sobotnie popołudnia do biblioteki publicznej w Mohawk, tak jak inni ojcowie z Mohawk prowadzili swoje dzieci na poranki filmowe. Nim Anna znalazła się w drugiej klasie liceum, rozczytywała się w książkach, których on osobiście by dla niej nie wybrał, i musiał się pocieszać mocnym przekonaniem, że większość tego, co mu nie odpowiadało w Mohawk i w ogóle w życiu, nie było wynikiem tego, że ludzie czytali niewłaściwe książki, ale raczej faktem, że nie czytali żadnych.

Jednak jeśli chodzi o chłopców, Mather Grouse okazał się surowym satrapą i w kółko przypominał swej córce, że jej przyszłość zależy od tego, by nie zakochała się w jakimś miejscowym chłopaku, który dużo obiecuje, ale brakuje mu ambicji. „Największym nieszczęściem - lubił cytować z «Dawida Copperfielda» - w małżeństwie jest różność charakterów i usposobień”. Nie mówił jej, że jest lepsza od swych szkolnych znajomych, a raczej, że mało prawdopodobne, by spotkała w Mohawk kogoś, kto chciałby od życia tego samego, co ona, a raczej czego jej ojciec pragnął dla niej i wierzył, że kiedyś córka też będzie pragnęła dla siebie.

Dziwne, że w kwestii chłopców w ogóle, a Dallasa Youngera w szczególności, Anna po raz pierwszy w życiu znalazła sojusznika w swej matce. Pani Grouse, która nie przyznałaby się do tego otwarcie, nie podzielała ambicji męża, jeśli chodzi o ich córkę, częściowo dlatego, że bała się

dla upartej Anny losu znacznie gorszego niż tego, jaki wiązał się z ustawianiem się i prowadzeniem odpowiedzialnego, przykładowego życia, jakie wiodła ona sama. A konieczność - potrzeby męża, dzieci i domu - z pewnością zmusi córkę do obowiązkowości, którą to cechę próbowała przede wszystkim jej wpoić. Według pani Grouse wysiłki męża, by podnieść poziom wymagań córki, sprawiały jedynie, że stawała się jeszcze bardziej próżna i zarozumiała, niż była z natury. Dziewczyna robiła się z każdym dniem coraz bardziej krnąbrna, doszło nawet do tego, że kwestionowała sposób postępowania matki, domagała się wyjaśnień, dlaczego robi właśnie tak, a nie inaczej, i otwarcie wyrażała powątpiewanie, czy w ogóle kieruje się jakimiś istotnymi przesłankami w życiu.

W normalnej sytuacji, nawet gdyby żona i córka były w zмовie, Mather Grouse nigdy by nie pozwolił Annie spotykać się z takim chłopakiem, jak Dallas Younger. Ale tak się złożyło, że pan Grouse ostatnio uratował córkę przed czymś, co uważał za znacznie większe zagrożenie dla jej pomyślności. Anna nigdy nie zrozumiała przerażenia ojca, kiedy ją zobaczył na ulicy w towarzystwie Billy'ego Gaffneya, spokojnego chłopaka, który od kilku miesięcy był w niej zadurzony. Pewnego dnia chłopak wreszcie zebrał całą odwagę i podszedł do niej, by stwierdzić, że odjęło mu mowę. Niezdolny do poproszenia Anny o przywilej poniesienia jej książek, w końcu, całkowicie zdesperowany, wyrwał je dziewczynie i szedł obok, nie patrząc na nią, półsłówkami kwitując jej próby zagajenia rozmowy towarzyskiej.

To, że ojciec wyraźnie zabronił jej w jakikolwiek sposób zadawać się z chłopakiem Gaffneyów, z pewnością najbardziej niewinnym z jej kolegów, wydawało się Annie zupełnie niezrozumiałe, ale nigdy nie widziała Mathera Grouse'a bardziej nieugiętego. Normalnie nie posłuchałaby ojca, lecz rezygnacja z Billy'ego Gaffneya nieco przypominała rezygnację z wątróbki podczas Wielkiego Postu. Było jej go żal. Nawet wtedy, kiedy było powszechnie wiadomo, że ona i Dallas Younger „chodzą” ze sobą, Billy Gaffney łąził za nią ze szkoły do domu i wystawał po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko domu Grouse'ów, jakby czekając na zaproszenie na obiad. Potem coś się stało - ludzie mówili, że został ofiarą wypadku samochodowego - i już nigdy nie wrócił do zdrowia.

Mather Grouse, postawiwszy twardo na swoim w kwestii Billy'ego Gaffneya, nie chciał znowu zgłaszać poważnych zastrzeżeń, chociaż nigdy nie krył swego zdania, że Anna szybko sama stwierdzi, jakie wady ma Dallas Younger. Jak na ironię, minus, który zauważyła niemal

natychmiast, to brak doświadczenia u Dallasa, bo okazało się, że jest niemal równie nieśmiały i nie znający się na rzeczy, jak Billy Gaffney.

Dallas miał pewne doświadczenie z dziewczętami, ale nie z „porządnymi” panienkami, i nie miał pojęcia, jak postępować z dziewczyną zbyt ładną i dobrze wychowaną, by czuć się w jej obecności swobodnie. Mieli kilka randek, nim Dallas musnął ustami usta Anny. Dotyk jej warg, zapach jej oddechu przekonały Dallasa, że życie w gruncie rzeczy nie jest takie złe. Natomiast Anna doszła do wniosku, że ktoś inny musiał uwieść Mary Sue Bergen. Było to oszałamiające odkrycie. Ostatecznie Dallas był znany z tego, że kręci się w pobliżu pływalni, i wcale się nie krył z tym, że traci pokaźne kwoty w pokera.

Jeśli pominąć niewinność, zostawało jeszcze dużo do podziwiania. Dallas był niezależny, miał własne mieszkanie i samochód i nie wróciłby do klasy maturalnej, gdyby nie baseball. Utrzymywał się z pracy w pobliskim warsztacie samochodowym i wyglądało na to, że nigdy nie brakuje mu gotówki. Było nawet coś romantycznego w Dallasie w kombinezonie roboczym, w którym wyglądał bardziej na mężczyznę niż na chłopaka. Anna czasem zwilżała chusteczkę językiem i ścierała mu z policzka smugę brudu: czyn ten obojgu wydawał się wysoce bezwstydnym i podniecającym.

Twierdzenie, że Dallas „ma samochód”, mogło nieco wprowadzać w błąd, ponieważ na ogół wóz rozłożony był na części, rozciągnięte po całym garażu. Bez względu na to, jak patrzeć na samochód, jakkolwiek samochód, robi on wrażenie, ale być może Dallas najbardziej lubił podziwiać swoje auto, rozłożone na czynniki pierwsze, bo wtedy w pełni mógł podziwiać własny stan posiadania. Gdy go poskładał do kupy, samochód zawsze był sprawny, i podczas weekendów Dallas nigdy nie musiał prosić ojca o kluczyki, by się gdzieś przejechać. Anna nie знаła dotąd nikogo, kto by przypominał Dallasa, który stanowił również całkowite przeciwieństwo jej ojca. Mather Grouse każdego ranka udawał się do warsztatu i podczas tych wszystkich lat dorobił się jedynie rozedmy płuc. Jesienią matka zapełniała spiżarnię przetworami na wypadek, gdyby ojciec stracił pracę podczas zimy. Nie mieli nic poza skromnymi oszczędnościami, nawet samochodu.

Był czas, kiedy się wydawało, że sytuacja się polepszy, ale trwało to krótko. Pan Grouse awansował na majstra, co oznaczało nie tylko więcej pieniędzy, ale również zatrudnienie zimą. Jednak po miesiącu znów został zwykłym krojczym. Na własną prośbę wrócił na dawne stanowisko; powiedział pani Grouse, że z funkcją majstra wiąże się zbyt wiele

polityki, a poza tym nie odpowiada mu kierowanie ludźmi, z którymi tak długo pracował ramię przy ramieniu. Ale po raz pierwszy w swym życiu Anna podejrzewała, że ojciec nie mówi całej prawdy. Na jego miejsce awansowano człowieka, którego nie lubił, i skończył się krótkotrwały dobrobyt i poczucie bezpieczeństwa.

Więc kiedy Mather Grouse insynuował, że Dallasowi brak ambicji, Anna uśmiechała się gorzko do samej siebie. To prawda, że Dallasa nie interesowało to, co cenil jej ojciec, ale w wieku osiemnastu lat chłopak miał już własny dach nad głową, a do tego samochód. Nie kwestionowała szacunku, z jakim ojciec traktował wykształcenie, jego wyjątkowej prawości czy pragnienia czegoś więcej od życia niż wystarczającej ilości pieniędzy, by zakładać się codziennie, jaki będzie numer, czy upić się w sobotę i niedzielę. Ale jeśli nawet mierzyć Mathera Grouse'a jego własną miarką, trudno go było uznać za człowieka sukcesu. A Dallas, chociaż lekkoduch, miał się czym pochwalić, a poza tym był o wiele zabawniejszy od jej ojca, dla którego, według Anny, życie oznaczało właściwie ciąg poświęceń bez najmniejszej obietnicy nagrody.

Anna Grouse, wówczas siedemnastoletnia, bała się również, że świat znajdujący się poza granicami Mohawk - to lepsze życie, które dla Mathera Grouse'a wiązało się z wykształceniem i ciężką pracą - z natury niechętnie przyjmuje tych, co się w nim nie urodzili. Wyciągnęła taki wniosek na podstawie lektur i jednego dnia, spędzonego z Dallasem w Saratodze. Kiedy tamtego ranka przyjechał po nią, można powiedzieć, że życie było takie, jakie, jego zdaniem, powinno być. Samochód Dallasa lśnił, niebo było błękitne. Poprzedniego wieczoru wygrał prawie dwieście dolarów w kości i w drodze na wyścigi zdał jej szczegółową relację. Słuchała jego opowieści jednym uchem, ale sama też odczuwała podniecenie. Tamtego dnia było otwarcie sezonu, co oznaczało, że obecni będą koniarze z całego wschodniego wybrzeża. Słyszała sprawozdania z wielkiej gali i była dumna, że Dallas chciał jej to pokazać z bliska.

Przyjechali ponad godzinę przed otwarciem i chociaż Dallas chciał się udać prosto na tor, kiedy mijali okazały stary hotel, otoczony klombami, i ludzi, ubranych na biało, jedzących śniadanie na długim tarasie, osłoniętym markizą, Anna poprosiła go, by się zatrzymał. Natychmiast tego pożałowała. Na parkingu było mnóstwo wielkich nowych aut, które stały tu jakby specjalnie, by zepsuć humor Dallasowi, dumnemu z wyremontowanego chevroleta. Na hotelowym tarasie biel obrusów, świeża farba i drogie letnie stroje rzucały osłepiający blask i Anna się zorientowała, że

Dallas nie czuje się zbyt pewnie, nim jeszcze podszedł do nich schludnie odziany kelner i powitał ich chłodno.

Dallas, który nie należał do osób małowównych, zauważył na głos, że, jego zdaniem, w Mohawk są przyjemniejsze miejsca, i to niejedno. Nagle Anna wyraźnie zobaczyła u niego cienką warstewkę smaru samochodowego, która nigdy nie zniknęła całkowicie, bez względu na to, jak bardzo by szorować. Zastanawiała się, czy zauważyli to również wszyscy ci wytworni ludzie. Podczas rozmowy wymachiwał srebrnym widelcem niczym pałeczką w takt muzyki, którą słyszał tylko on.

Na torze Dallas nalegał, by pójść do siedziby klubu, gdzie otaczający ich ludzie przypominali tych z tarasu hotelowego. Kobiety nosiły biżuterię, a ich towarzysze rozmawiali szeptem. Dallas, uważający się za wielkiego znawcę koni, bez skrępowania służył radami ludziom kwitującym jego przyjacielskie uwagi znudzonymi uśmiechami i jawnie obojętnie traktowali rady, które - gdyby ktoś ich posłuchał - okazałyby się oplakane w skutkach. Stracił wszystko, co wygrał poprzedniego wieczoru, i jeszcze trochę. Następnie oświadczył, że nie ulega wątpliwości, iż dzokeje ustalili wyniki wszystkich biegów dnia i że reszta frajerów może zostać dłużej, jeśli ma ochotę, by dać się oskubać, ale on ma dosyć.

W drodze do domu Dallas był ponury, zniknął gdzieś jego niedawny entuzjazm i pewność siebie. Objął Annę ramieniem, kiedy się do niego przytuliła, ale widziała, że wydarzenia dnia mocno się na nim odbiły. Wydawało mu się, że silnik nie pracuje jak należy, nawet nie tak dobrze, jak rano. Jutro będzie go musiał rozłożyć na części. Kiedy minęli tablicę z napisem MOHAWK, Dallas nie mógł się powstrzymać od wydania westchnienia ulgi. Nawet Anna, której Main Street wydała się teraz po raz pierwszy szara i nędzna, cieszyła się, przez wzgląd na nich oboje, że znów są u siebie.

12

W niedzielne ranki, kiedy jego żona udaje się do kościoła, Mather Grouse często śpi w swoim ulubionym fotelu. W domu jest wtedy cicho, a Mather głęboko wierzy, że nie umrze w niedzielę. Czasami ogląda telewizyjnych kaznodziei. Nieistotne, którego, ponieważ Mather Grouse nigdy nie nastawia telewizora wystarczająco głośno, by wyraźnie słyszeć, co mówią. Lubi rytmiczne skandowanie i jeśli kazanie jest odpowiednie,

nie tylko śpi, ale nawet oddycha zgodnie z intonacją padających słów. Często jego „pobożne drzemki”, jak je określa, są najspokojniejszą porą w ciągu całego tygodnia.

Mather Grouse nie sypia nocami. Trudno mu oddychać, kiedy leży, często męczą go koszmary, że do jego płuc nie dociera dosyć tlenu. Każdej nocy spędza wiele godzin przycupnięty na skraju łóżka, marząc o papierosie i myśląc, jak by to było przyjemnie móc jednocześnie zająć pozycję półleżącą i oddychać.

Ale w niedzielne poranki jego stary fotel jest idealny. Ma wytarte podłokietniki, lecz Mather nie pozwala pani Grouse nakryć ich pokrowcami, chyba że spodziewają się gości, co - jeśli on ma coś do powiedzenia w tej sprawie - zdarza się rzadko. Uważa, że chorego, starego człowieka należy zostawić w spokoju z wyjątkiem chwil, kiedy sam pragnie towarzystwa innych, i przez lata udawało mu się na ogół unikać gości. Dzisiaj rano pani Grouse, Anna i Randall odwiedzą po mszy Woodów. Zostawili mu w lodówce talerz z jedzeniem na wypadek, gdyby zgłodniał, ale nie sądzi, by miał dziś być głodny. Lekarstwo pozostawia metaliczny posmak w ustach i on na ogół je z rozsądku, by nie zasłabnąć. Głowa mu się kiwa, broda opadła na piersi, jego łysina patrzy na uśmiechniętego czarno-białego kaznodzieję.

Mather Grouse drzemał zaledwie od kilku minut, kiedy rozległ się dzwonek u drzwi. Zlekceważył go, nawet nie otworzył oczu. Czasami w niedziele przychodzą dziwni ludzie, chcąc rozprawiać o Piśmie Świętym. Bardziej prawdopodobne, że odejdą, kiedy nie otworzy im się drzwi, niż wtedy, kiedy się ich o to poprosi. Mather Grouse nie pamięta, czy rolety są spuszczone, ale to nieważne. Jeśli zajrzą, zobaczą skulonego na fotelu starca, którego nie obudził dzwonek, i pójdą sobie. Zasadniczo trzymają się Pisma Świętego, a Pismo Święte nie podpowiada, co robić w takich sytuacjach. Wkrótce Mather usłyszy ich ginące w oddali kroki.

Kiedy dzwonek rozlega się ponownie, Mather Grouse ukradkiem unosi jedną powiekę, tylko na tyle, by móc coś zobaczyć. Na ganku stoi samotny mężczyzna, ale rolety są do połowy spuszczone i Mather Grouse nie widzi, któż to taki. Nie przypomina sobie, by ktokolwiek miał jakikolwiek powód, by stać na progu jego domu w niedzielny ranek, ale kiedy dzwonek dzwoni po raz trzeci, podnosi się z fotela i idzie do drzwi, za którymi cierpliwie czeka jego stary przyjaciel, doktor Walters.

- Mather, zaprosisz mnie do środka?

Mather Grouse nie ma ochoty, ale otwiera drzwi i robi przejście.

- Nie jesteś w kościele - zauważa.
 - Nie chodzę tak systematycznie, jak kiedyś - przyznaje stary doktor.
- Prawdę mówiąc, ostatnio stałem się wyjątkowo mało pobożny. Chociaż nie sądzę, by kryzys wiary był czymś dobrym dla ludzi w naszym wieku.

Mather Grouse już wrócił na swój fotel.

- Dla ludzi w naszym wieku nic nie jest dobre.

Doktor Walters zdejmuje płaszcz, składa go starannie i przerzuca przez oparcie kanapy. Gdyby pani Grouse była w domu, powiesiłaby jego wierzchnie okrycie i zaproponowałaby mu filiżankę herbaty, ale Mather Grouse słynie ze swego braku gościnności, nawet wśród przyjaciół.

- Przestały mnie już prześladować wątpliwości ogarniające ludzi młodych. Zaczynam podejrzewać, że w środku jest coś mrocznego. Nie uważasz, że to głupie?

- Nie.

- Ja teraz też nie, ale może mi to minie. Jednak nadal mam wątpliwości, czy ty i ja kiedykolwiek byliśmy ludźmi głęboko wierzącymi.

Z niedzielnego chodzenia do kościoła najbardziej lubiłem nasze niewinne współzawodnictwo.

Mather Grouse się uśmiecha. Zbierali pieniądze na tacę i za każdym razem zakładali się o drobną kwotę, kto uzbiera więcej.

- Zawsze było cię stać. by pokryć różnicę. Po mojej stronie były dziesięciocentówki i ćwierćdolarówki, rzadko kiedy trafiał się banknot jednodolarowy. Szeleszczący papierek z wizerunkiem prezydenta Hamiltona nieodmiennie pojawiał się u ciebie. Gdyby nie to, nigdy byś nie wygrał.

- Byłeś lepszy w wywoływaniu u ludzi poczucia winy. Na twój widok sięgali do kieszeni. Widząc mnie, mówili „Niech on zapłaci”. Może bym się nawrócił, gdybyś znów zaczął chodzić do kościoła.

Mather Grouse wie, że doktor do czegoś zmierza. Jego przyjaciel jest mistrzem krążenia opłotkami, ale nie będzie w stanie długo ukrywać celu swej wizyty.

- Jeśli już o tym mowa, to ty nalegałeś, bym z tym zerwał.

- Tak - przyznaje jego towarzysz, ale trochę niepewnie.

- Poza tym - mówi Mather Grouse - mam tu tyle religii, ile mi potrzeba.

Dwaj przyjaciele się uśmiechają i patrzą na kaznodzieję, którego twarz jest zaróżowiona od miłości do bliźniego i od makijażu.

- Mam jeszcze jednego pacjenta z rozedmą płuc - mówi doktor Walters. - Mniej więcej w twoim wieku, chociaż sądząc po wynikach prześwietlenia rentgenowskiego, zmiany chorobowe są znacznie większe.

Mather Grouse nic nie mówi. Mężczyźni nie patrzą na siebie. Są już bardzo blisko sedna i Mather Grouse zaczyna się domyślać, w jakim kierunku zacierają.

- Zajmuje się przewodzkami. Nosi meble w górę i w dół po schodach. Powiedziałem mu, że musi z tym skończyć. Ma dwóch rośli, silnych synów. Oświadczyłem mu, że najcięższe prace powinien zlecać im.

- Bardzo dobra rada.

- Domyślasz się, do czego zacieram?

- Nie - skłamał Mather Grouse.

- A więc słuchaj. Cierpisz na rozedmę, chorobę, którą dopiero poznajemy. Wiemy, że stopniowo twój stan będzie się pogarszał, bo nie ma innej możliwości. W końcu, jeśli wcześniej nie potrąci cię samochód, choroba spowoduje twoją śmierć. Tyle wiemy. Ale od dawna podejrzewałem - a teraz mam pewność - że jesteś bardziej chory, niż powinieneś. Twoje płuca są częściowo uszkodzone, i stąd flegma. Ale nie powinieneś mieć trudności z oddychaniem.

- Bardzo dobrze o tym wiedzieć. Obiecuję, że zacznę wszystko od nowa.

Doktor Walters marszczy brwi. Mather Grouse zawsze był trudnym człowiekiem. Jest oporny i lekarz niełatwo wydobędzie z niego to, co chce wiedzieć. Jeśli w ogóle mu się to uda.

- Powiedz mi o złych dniach. Kiedy się zdarzają?

- Nie ma reguły - mówi Mather Grouse. - Czasem czuję się dobrze i niespodziewanie dostaję duszności. Jeśli akurat nie śpię, mam czas, by się przygotować. Kiedy przytrafi mi się to podczas snu, czasem nie zdążam.

- Śniesz?

- Nie za często. Czasami mi się wydaje, że tak, ale po przebudzeniu nigdy nie mogę sobie przypomnieć, co mi się śniło.

- Powiedz mi o swoim ostatnim ataku.

Mather Grouse jest coraz bardziej rozdrażniony.

- Byłem w parku, siedziałem na ławce. Nie powinienem iść tak daleko.

- A dlaczego poszedłeś?

- Nie wiem.

- Czy była z tobą pani Grouse?
- Nie.
- Co robiłeś?

Mather Grouse postanawia powiedzieć prawdę, co mogłoby zbić jego przyjaciela z tropu.

- Palilem papierosa. Czulem się cudownie.
- Rozumiem.

- Wątpię - mówi Mather Grouse. - Nigdy mi się nie uda cię przekonać, ale to nie papierosy mi szkodzą.

Mather Grouse spogląda ukradkiem na doktora, zaskoczony, że jego towarzysz jest tak czujny. Z takim skupieniem, że niemal od tego zezuje, Walters przygląda się Matherowi Grouse'owi, jakby miał przed sobą preparat mikroskopowy.

- Wierzę ci - mówi. - Mam innego pacjenta. Małą dziewczynkę z astmą. Jej rodzice są w trakcie rozwodu. Przeprowadzają go w sposób bardzo mało kulturalny. Jej ataki zbiegają się z odwiedzinami ojca.

- Mój ojciec nie żyje - mówi Mather Grouse. - Tylko ty składasz mi wizyty.

- Tak. - Doktor Walters rozsiada się wygodnie na kanapie i krzyżuje nogi. - Chcę wiedzieć, o czym myślisz. O czym myślisz i co ci się śni, kiedy masz atak duszności. Chcę, żebyś mi to powiedział, mój przyjacielu.

13

Anna Grouse po raz pierwszy ujrzała Dana Wooda po jego powrocie z Korei. Wtedy już prawie od roku chodziła z Dallasem. Dan nie był taki przystojny, jak Dallas, ale tamtego popołudnia, kiedy się poznali u jej kuzynki, żalowała, że tak otwarcie związała się z Dallasem, który nagle wydał jej się nieciekawym. Nie żeby Dan lubił się popisywać. Wprost przeciwnie, stanowił odwrotność Dallasa. Dallas był gadatliwy, Dan - powściągliwy. Wszystkie dziewczyny uważały Dallasa za najprzystojniejszego chłopaka pod słońcem i Anna była pewna, że w porównaniu z nim uznałyby Dana Wooda za przeciętnego, a jednak nigdy nie poznała nikogo atrakcyjniejszego od niego. Wątpiła, czy jakkolwiek dziewczyna, nie wyłączając jej kuzynki, potrafi naprawdę go docenić. Najbardziej podziwiała jego spokojną pewność siebie. Nie zawsze siłił się

na powiedzenie czegoś dowcipnego, ale kiedy już coś powiedział, nie odczuwał potrzeby powtarzania tego innym.

Anna walczyła z tym uczuciem, ale i tak zazdrościła swej kuzynce szczęścia, bo od samego początku Diana i Dan tworzyli dobraną parę. Poznali się jeszcze przed jego wyjazdem i chociaż ze sobą nie chodzili, zaczął do niej pisywać listy. Ta korespondencja była równoznaczna z zalotami do kobiety, której właściwie wcześniej nie znał, nie licząc tego, czego mógł się o niej dowiedzieć z jej odpowiedzi na swoje listy. Jeśli Dan rozczarował się prawdziwą Dianą, nigdy nie dał tego po sobie poznać. Natomiast Di przypominała księżniczkę z bajki, która czeka, pewna, że wszelkie obietnice przyszłego szczęścia spełnią się w całej rozciągłości, a także że rozpozna mężczyznę, który jest jej przeznaczony, a on ją odmieni. Nie była zbyt urodziwa, ale kiedy Dan wrócił z Korei, zwyczajnie przyjęła go z otwartymi ramionami, a robiąc to, stała się śliczna w oczach zarówno własnych, jak jego.

Przez długi czas Anna Grouse nie przyjmowała do wiadomości, że jest zakochana w narzeczonym swojej kuzynki. Nikt niczego nie podejrzewał. Często spotykali się we czwórkę, inicjatywa zazwyczaj wychodziła od Anny. Mimo różnicy wieku wyglądało to dość naturalnie. Wprawdzie czasami Dallas wolałby być ze swoją dziewczyną sam na sam, ale kiedy byli tylko ze sobą, nie okazywała mu czułości w takim stopniu, jak by sobie tego życzył. Była o wiele miłsza, bardziej chętna do odwzajemniania jego uczuć, kiedy dzielili przytulną łóż z Danem i Dianą. Dan traktował Dallasa jak rozpieszczanego młodszego brata, spełniał jego zachcianki, nigdy nie wprawiał go w zakłopotanie, niepostrzeżenie uczył go rozmaitych rzeczy, zupełnie bezboleśnie, niemal na zasadzie osmozy Dallas nabył przy nim nieco oglądy towarzyskiej. Dallas natomiast, szczególnie kiedy za dużo wypił, miewał napady szalonego podziwu dla swego najlepszego przyjaciela.

- Niesamowity facet - powiedział kiedyś, kiedy byli sami z Anną.
- Tak.
- Niesamowity facet - powtórzył, oczy mu błyszczały, jakby wyczuł u niej jakąś rezerwę. - Chcę, żebyśmy wszyscy pozostali najlepszymi przyjaciółmi. Powinniśmy natychmiast, wszyscy czworo, wziąć ślub. Póki śmierć nas nie rozłączy.

Gdyby nie Dan, ich wspólne wieczory wiele razy zakończyłyby się bójką, której powodem była jakaś wyimaginowana zniewaga. Dallas czuł się wewnętrznie rozdarty w związku z tym, że gdziekolwiek poszli, Anna okazywała się najładniejszą dziewczyną. Na początku wieczoru, kiedy

Dallas był jeszcze stosunkowo trzeźwy, sprawiało mu to ogromną satysfakcję, ale później świadomość tego zaczynała mu doskwierać, szczególnie, kiedy wkraczali inni młodzi mężczyźni i prosili Annę do tańca. Dan często rozładowywał sytuację, sam idąc z Anną na parkiet, i z braku pretekstu nie dochodziło do awantury. Wprawdzie Dan pił równie dużo, jak Dallas, ale był od niego starszy i miał mocniejszą głowę; Dallas proponował, żeby się upili, i rzeczywiście się upijał dzięki własnej gorliwości.

Kiedy po takim wieczorze Anna znalazła się z powrotem w swoim pokoju w domu rodziców, a za oknem budził się nowy dzień, próbowała kurczowo chwytać się minionych chwil. Ale wkrótce ogarniało ją poczucie beznadziejności. Wszystko wyglądało świetnie, kiedy byli razem, lecz gdy znalazła się sama, nie mogła udawać, że nie wie, iż Dan należy do jej kuzynki i niepodobna zwyczajnie wymienić się partnerami. Na domiar złego zawsze lubiła Dianę i sprawiało jej prawdziwą przyjemność to, że nie sprawdzi się rodzinna przepowiednia o staropanieństwie kuzynki. Jeśli cokolwiek irytowało ją w kuzynce, to odkrycie, którego Anna dokonała latem - że Diana i Dan są kochankami. Początkowo odrzuciła tę myśl jako absurdalną. Diana zawsze była aż do przesady skromna, w obecności innych dziewcząt wstydziła się przebrać w kostium kąpielowy, nie śmieszyły jej świńskie dowcipy. Co więcej, razem z Danem rzadko pozwalali sobie na otwarte okazywanie uczuć. Dallas zawsze trzymał Annę za rękę i często ją całował, kiedy mu się wydawało, że ktoś na nich patrzy. Chociaż Dan i Diana byli znacznie bardziej powściągliwi, im bliżej Anna się im przyglądała, tym więcej dostrzegała subtelnych oznak ich zażyłości. Długo nie dopuszczała do siebie myśli, że Diana i Dan przypominają jej parę małżonków.

Jak na ironię, uświadomienie sobie tego przez Annę zbiegło się z drugim odkryciem, które dziwnie nie pasowało do pierwszego - że Dan Wood może coś do niej czuć. Oczywiście do niczego między nimi nie doszło, Dan nigdy nie zwracał na nią szczególnej uwagi, z wyjątkiem sytuacji, kiedy Dallas za bardzo się upił. Ale wtedy Dan przyjmował na siebie rolę niezawodnego przyjaciela, odsuwając jej krzesło albo służąc ramieniem.

Anna ubóstwiała tańczyć, a Diana, która tańczyła tak sobie, zawsze z radością odstępowała jej Dana. Dallas tańczył tak, jak robił wszystko: z szalonym entuzjazmem, ale brakowało mu wytrwałości. Energia, jaką wkładał w jitterbuga, często wywoływała komiczne wrażenie, na oślep wymachiwał rękami i nogami. Mając go za partnera, tańczyło się na własne

ryzko. Kiedy tańczył, rzadko udawało mu się postawić nogę tam, gdzie należy, zawsze istniało niebezpieczeństwo, że będąc na lekkim rauszu wpadnie z Anną na stolik niczego niespodziewających się ludzi. Natomiast Dan poruszał się bez wysiłku, zawsze panował nad swoim ciałem i w takim samym stopniu, jak Anna, wyczuwał niuanse melodii. Znaki, jakie sobie nawzajem dawali, nie były ani fałszywe, ani nie rzucały się w oczy.

14

Szalony Bill Gaffney jak zwykle wstąpił do baru Mohawk o trzeciej po południu. Nigdy nie korzystał z wejścia frontowego, tego dla prawdziwych gości, tylko z drzwi wychodzących na zaułek. Jak zawsze, czekał do pory zastoju w interesach w środku popołudnia, kiedy Harry był sam. Jeśli w środku siedzieli klienci, cierpliwie tkwił na zewnątrz, aż sobie pójda. Wiedział, że wtedy Harry ucieszy się na jego widok, przynajmniej trochę, a może nawet bez pytania należy mu kawy. Dziś w barze nie było nikogo, ale kiedy Szalony Bill usiadł na stołku w głębi sali, stwierdził, że w środku nie można należycie docenić jego nowego zimowego odzienia. Od rusztu u Harry'ego rozchodziło się dosyć ciepła, by ogrzać całe pomieszczenie, a stołek Szalonego Billa znajdował się tuż obok.

Co gorsza, Harry był dziwnie podejrzliwy i kiedy zapytał, skąd to nowe okrycie, Szalony Bill nie wiedział, co odpowiedzieć. Mężczyzna, który mu je dał, oświadczył, że nie ma o czym mówić, więc on natychmiast o wszystkim zapomniał. Szalony Bill był dobry, jeśli chodzi o puszczenie rzeczy w niepamięć. Czasami zapominał o czymś, nawet kiedy go o to nie proszono. Najgorsze, że o niektórych rzeczach nie udawało się zapomnieć. Kiedy mu się wydawało, że na dobre coś wymazał z pamięci, ta płatała mu figla i znów sobie wszystko przypominał. Nic nie mógł na to poradzić.

Nie chciał pamiętać, kto mu dał kurtkę, ponieważ tego po nim oczekiwano, ale była taka ładna i ciepła, że nie mógł przestać o niej myśleć. Jeśli kiedykolwiek musiałyby sobie przypomnieć, od kogo ją ma, skupiwszy się i odtworzywszy ciąg wydarzeń, które do tego doprowadziły, udałoby mu się odpowiedzieć na to pytanie. Najpierw by sobie przypominał, gdzie był i jak się czuł bez kurtki, a potem, jakie to uczucie nie

dygotać już z zimna, aż osoba, która mu ją wręczyła i kazała przymierzyć, by się przekonać, czy jest na niego dobra, stanęła mu wyraźnie przed oczami. Już samo myślenie o tym, w jaki sposób starałby się to sobie przypomnieć, sprawiło, że nieomal to zrobił, ale kiedy ujrzał postać darczyńcy, zmusił się, by zniknęła, zanim stanie się coś złego.

Kurtka była do pasa, ciemnoniebieska, z białymi prążkami na rękawach. Wyglądała jak napompowana i szeleściła, kiedy poruszał rękami. Szalony Bill czuł się w niej jak balon. Była bardzo ciepła, szczególnie kiedy wsunął ręce do kieszeni. Może nie pamiętał dokładnie, skąd ją ma, ale nawet dogadywanie Harry'ego nie mogło zachwiać głębokiego przekonania Szalonego Billa, że jej nie ukradł.

Szalony Bill szybko wypił kawę. Na twarz wystąpił mu pot. Nie był przyzwyczajony do takiego gorąca i do tak licznych pytań swego jedynego przyjaciela. Miał trochę drobnych i położył monety na kontuarze. Harry wziął jedną czy dwie, a resztę kazał Billowi schować do kieszeni. Na dworze listopadowe powietrze było ostre, a wiatr, hulający na Main Street, sprawił, że Szalony Bill znów poczuł się dobrze w swojej kurtce. Ani się nie pocił, ani nie dygotał. Miał nadzieję, że nikt mu jej nie odbierze.

Kiedy wyłonił się z alejki, w gimnazjum akurat skończyły się lekcje, niektórzy chłopcy i dziewczyny, idący drugą stroną Main Street, zaczęli coś do niego wykrzykiwać. Pomachał im i odkrzyknął, co tylko spotęgowało ogólną wesołość. Jeden z chłopaków zaczął iść, przesadnie kulejąc, ręce zwiesił wzdłuż ciała, wyglądał jak goryl. Szalony Bill pomyślał, że niektóre młode dziewczyny są ładne, ale nie tak, jak ta, o której zapomniał. Czasami, kiedy się wyjątkowo skupił, przypominał ją sobie, przypominał sobie jej długie czarne włosy i szczupłe białe ramiona, ale ponieważ się bał, że przyłapie go na tym jego ojciec albo stryj policjant, nie myślał o niej często. Jednak czasem, kiedy zobaczył kogoś, kto mu ją przypominał, znów się pojawiała. Lubił o niej myśleć. Czasem czekał na nią przed szkołą, ale nigdy nie wychodziła, a jego przepędzano.

Kiedy chłopcy i dziewczęta zniknęli, Szalony Bill zapiął kurtkę i ruszył z powrotem alejką między barem Mohawk a gimnazjum. Wciąż myślał o dziewczynie i prawie ją sobie przypominał. Nie zauważył, że nie jest sam, póki właściwie nie wpadł na grupkę chłopaków. Natychmiast ich poznał, chociaż nie znał ich imion. Jeden z nich kiedyś mocno go uderzył, aż krew mu poleciała z nosa, czuł w ustach jej słony smak. Kiedy Szalony Bill podszedł bliżej, zauważył, że chłopak przewrócił kogoś

na ziemię i wykręcił mu jedną rękę. Pozostali dopingowali szamoczących się. Młodszy się wił, ale za każdym razem, kiedy próbował się uwolnić, chłopak siedzący na nim okraciemiem wolną ręką łapał go za włosy i przyniatał mu twarz do ziemi. Ten, który padł ofiarą większego, nie płakał, chociaż z nosa i ust leciała mu krew. Szalonemu Billowi wydawało się, że zna tego chłopaka, chociaż nie miał pewności, bo jego twarz była podrapana i zakrwawiona.

Szalony Bill podszedł bliżej i przyglądał się, jednocześnie z przejęciem i podejrzliwie, bo ci sami chłopcy kiedyś go oszukali, udając, że się ze sobą biją. Gdy próbował ich rozdzielić, zaczęli wyć, robić miny i powiedzieli mu, by poszedł robić coś nieprzyzwoitego ze swoją matką. Potem uciekli. Szalony Bill wcale nie był pewien, czy tym razem to znów nie kawał, mimo krwi lecącej chłopakowi z nosa i strachu malującego się w jego oczach.

Wydawało się, że wszyscy jednocześnie zauważyli Szalonego Billa, nawet chłopak leżący na ziemi.

- Wynos się stąd - powiedział ten większy, nie puszczając wykręconej ręki swej ofiary ani nie pozwalając powalonemu na ziemię wstać.

Z pewnym ociąganiem jeden z chłopaków wystąpił do przodu i zaczął podskakiwać przed Szalonym Billem, skakał to w prawo, to w lewo, wymachując mu drobnymi pięściami przed nosem. Bill stał, zmarszczywszy czoło. Ani się nie uchylał, ani nie kulił, więc za trzecim razem chłopak go trafił. Szalony Bill poczuł, jak mu puchnie dolna warga. Kiedy chłopak znów się zamachnął, Szalony Bill przewrócił go na ziemię.

- Przyłóżcie mu! - krzyknął któryś, ale nikt się nie poruszył, widząc, z jaką łatwością pokonał ich towarzysza.

W końcu największy z nich wstał, by osobiście się z nim rozprawić. Jego przeciwnik, teraz wolny, sztywno trzymał wykręconą rękę, która sterczała niby zwichnięte skrzydło, ale nie uciekł. Szalony Bill stwierdził, że zdecydowanie go zna, to on przywoził mu na myśl dziewczynę. Pochłonięty tym odkryciem, nagle zwinął się w kablak po mocnym ciosie w brzuch. Ale kiedy chłopak zamachnął się kolejny raz, trafił pięścią w twarde czoło Szalonego Billa i aż mu zatrzęszczały kości dłoni. Bill przysiadł na ziemi, ale po chwili zerwał się na nogi, zdecydowany nie dać się ponownie uderzyć i zmieszany tym, że na moment usiadł. Bolał go brzuch. Kiedy w końcu jeden z chłopaków, zawstydzony okrzykami kolegów i podniesiony na duchu widokiem chwiejącego się przeciwnika, próbował po raz drugi znokautować Szalonego Billa, mężczyzna złapał go w pasie i cisnął na metalowy śmietnik przed barem Harry'ego. Chłopak

z całej siły grzmotnął głową o stalowy kontener. Na ten widok pozostałym odeszła ochota do walki, nawet największemu. Stłoczyli się wokół pojemnika na śmieci. Nieraz brali udział w bójkach, nieraz poleciała im krew z nosa i tracili zęby, ale jeszcze nigdy nie widzieli, by ktoś leżał tak bez ruchu, jak teraz ich kumpel, i powaga sytuacji sprawiła, że zupełnie zgłupieli. Zapomnieli o Szalonym Billu, on zapomniał o nich i uśmiechał się życzliwie do chłopaka, którego wyratował z opresji.

- Jezu Chryste - wymamrotał największy dryblas. - Jezu Chryste.

Kiedy w alejkę skręcił samochód dostawczy, rozbiegli się, został tylko Szalony Bill i zakrwawiony chłopak oraz ten, który leżał bez ruchu na ziemi. Kierowca zatrzymał ciężarówkę, wysiadł, uklękł obok nieprzytomnego chłopaka, obrzucił go szybkim spojrzeniem, a potem pośpieszył do baru. Kiedy wrócił z Harrym, alejka była pusta, nie licząc nieprzytomnego chłopaka. Jednak wkrótce wypełnił ją tłum ludzi, a karetka, która miała do pokonania zaledwie półtora kwartału od Hospital Hill, musiała poczekać, aż rozstąpią się gapie.

Szalony Bill szedł w bezpiecznej odległości za chłopcem, najpierw wzdłuż Main Street aż do siedziby straży pożarnej, potem w górę wzgórza aż do Mountain. Kiedy chłopak, kulejąc, zmierzał do domu, idący za nim mężczyzna - z pewnością wyglądający dość osobliwie z długimi, zmierzwionymi włosami i nieogolony - czuł coraz większy niepokój, bo chłopak najwyraźniej prowadził go do jedyne miejsce w Mohawk, gdzie wstęp był mu najsurowiej wzbroniony. Im dalej szli, tym bardziej się bał. Szalony Bill czuł ściskanie w dołku, ale nie miało ono nic wspólnego z tym, że dostał pięścią w brzuch. Zupełnie zapomniał o bójce. Nikt mu nie kazał, zwyczajnie zapomniał i już.

Zdjęty grozą obserwował, jak chłopak przechodzi na drugą stronę ulicy i wchodzi po schodach do domu. Czy nie wiedział, że to zakazane miejsce, że stanie się coś strasznego, jeśli nie będzie się trzymał z dala od tego miejsca? Szalony Bill bał się o chłopaka, ponieważ kiedyś jemu przytrafiło się coś strasznego. Wprawdzie nie pamiętał, co to było, ale mu powiedziano, że spotka go to jeszcze raz, jeśli sobie przypomni pierwsze wydarzenie. Potem otworzyły się drzwi i na progu pojawiła się nie wiadomo skąd ona, ta, o której zapomniał, a którą jednak czasami sobie przypominał, ta, która - jak mu mówiono - odeszła. Szybko wciągnęła chłopaka do środka i drzwi znów się zamknęły. Szalony Bill długo czekał po drugiej stronie ulicy, ale drzwi nie otworzyły się ponownie.

Było już ciemno, kiedy wrócił do centrum miasta. W barze Mohawk panował ścisk, gdy przez nikogo niezauważony wślizgnął się do środka i czekał, by przekazać Harry'emu nowinę. Jednak nie miał okazji, ponieważ gdy tylko Harry usłyszał skrzypnięcie drzwi na zapleczu, zaciągnął Bilia do magazynu, gdzie stały wielkie puszki pomidorów i przecieru z dyni. Jeden z nich był zbyt przejęty, by mówić, a drugi aż bełkotał z podniecenia.

- Tym razem się doigrałeś - mówił Harry, twarz miał czerwoną ze strachu i złości. - Nikt tego nie naprawi! Słodki Jezu, Billy, jaki czort cię opętał?

Widząc swego przyjaciela tak zdenerwowanego, Szalony Bill poczuł jeszcze większe podniecenie i błędnie przyjął, że przyczyną ich podekscytowania jest to samo. Tak mocno złapał Harry'ego za ramiona, że kiedy ten, chociaż większy, próbował się cofnąć, stwierdził, że nie może zrobić kroku.

- Żyje! - powiedział Szalony Bill, ściskając Harry'ego, który nagle pożałował, że nie ma przy sobie swojej łopatkii. - Żyje!

Harry się wyswobodził, popchnął Szalonego Billa na pustą skrzynkę i jedną dłonią złapał go za twarz, tak że ten nie mógł ani mówić, ani się poruszyć. Właściwie Bill nie zamierzał nigdzie pójść, ale schwytyany za usta, nie dokończył mówić, a do oczu napłynęły mu łzy. Skórę na szyi miał rozpaloną.

- Tak - powiedział Harry. - Żyje, ale ledwo ledwo. Napytałeś sobie biedy i nic ci nie mogę pomóc. Czy to do ciebie nie dociera? Nie rozumiesz? Nic ci nie mogę pomóc!

Szalony Bill gapił się głupawo na swego przyjaciela. Przestał się z nim szarpać, ale gdy tylko Harry rozluźnił uścisk, Bill się oswobodził i energicznie potrząsnął głową.

- Och... och...

Wtedy Harry uderzył go w twarz na tyle mocno, że Billowi znów napłynęły łzy do oczu. Można było wyczytać z jego miny, że najbardziej zdumiewające rzeczy, które mogły go spotkać, spotkały go w ciągu ostatnich kilku godzin, i nie ma pojęcia, kiedy to się skończy.

- Nic nie mów! - powiedział ostro Harry i znów go złapał za twarz.

- Nic nie mów, do cholery! Siedz tu, dopóki się nie zorientuję, co robić. Słyszysz?

Szalony Bill chciał się uwolnić, ale tym razem Harry był na to przygotowany. Chwytał go mocniej, jego kciuk i palec wskazujący niemal zetknęły się na szyi Billa. Dopiero kiedy Bill skinął głową na znak, że będzie

siedział cicho, Harry zdecydował się wrócić do swych niecierpliwących się gości. Przez chwilę spoglądał smutno na Billa, nim zostawił go samego w magazynie, pomiędzy wysokimi półkami, zastawionymi po sam sufit puszkami sosu jabłkowego, fasoli i brzoskwiń oraz jutowymi workami kielkujących ziemniaków na podłodze. Po zamknięciu drzwi w magazynie było zbyt ciemno, by móc czytać etykiety.

15

Pewnego razu pod koniec sierpnia wybrali się we czwórkę nad jezioro. Wszyscy byli rozdrażnieni, częściowo dlatego, że przez cały tydzień panowała parna, gorąca pogoda, a także dlatego, że lato prawie się skończyło. Nawet Dan był bardziej milczący niż zwykle. Ale najgorszy humor miał Dallas. Zepsuł mu się samochód, a po południu Anna mu oznajmiła, że zgodnie z życzeniem ojca, od jesieni zamierza uczęszczać na uniwersytet stanowy w Albany. Uznała, że to głupie rezygnować ze stypendium, które zdobyła, ale Dallas był niepokieszony, chociaż do Albany była zaledwie godzina drogi. Miał dość oleju w głowie, by się domyślić, że jej decyzja o wyjeździe o czymś świadczy, podobnie dobrze wiedział, że nigdy stosunki między nimi nie były tak chłodne, jak ostatnio. Poza tym nie udało mu się osiągnąć tego, co sobie zaplanował na wakacje. Minęło prawie całe lato, a wciąż nie zdobył się na odwagę, by wsunąć jej rękę pod stanik. A przecież byli właściwie zaręczeni. Wstydził się przed samym sobą, ostatnio życie wydawało mu się płytkie i bezwartościowe.

Perspektywa wyjazdu wywoływała u Anny dziwną mieszaninę przygnębienia i rezygnacji. W pewnym sensie wyglądała wrześnie, który da jej okazję stopniowego zerwania z Dallasem, bo nie chciała urazić jego uczuć. Również rzadsze spotkania z Danem powinny jej tylko wyjść na dobre. Nie można też było wykluczyć, że jej uczucia się zmieniają, chociaż sama w to nie wierzyła.

- Widzę, że to ja będę musiała wszystkich dzisiaj rozweselić - zauważyła Di, kiedy byli w połowie drogi nad jezioro, a nikt nie odezwał się ani słowem. Mieli takie miny, jakby wiedzieli, że Diana nie podoła temu zadaniu.

Jechali nie na jedną ze zwykłych potańcówek w hotelu. Tę zorganizowano w starym, rozwalającym się pawilonie po drugiej stronie jeziora. Prowadziła do niego jedynie sieć wąskich, nieutwardzonych dróg, wijących

się pośród pól namiotowych. W nocnej ciszy w powietrzu rozbrzmiewał głównie akcent z Nowego Jorku. Tak jakby w sierpniu wszyscy mieszkańcy metropolii wynieśli się z miasta w góry Adirondacks.

- Będzie zatrzęsienie miastowych dziwek i drwali - poskarżył się Dallas. Szczególnie nie lubił tych ostatnich, prostych i nieokrzyszanych chłopaków, którzy w sobotnie wieczory ściągałi z gór.

- Przynajmniej jest wiaterek - zauważyła Di.

W środku pawilonu ozdobionego pomarańczowymi lampionami stwierdzili, że alkohol sprzedaje się w sali obok. Dallas i Dan znaleźli wolny stolik, przy którym usiadły dziewczęta, a następnie udali się do baru. Nim wrócili, dwaj poczciwi wieśniacy w czarnych kowbojskich kapeluszach dosiedli się do Di i Anny. Głośno im coś opowiadali i namawiali do picia z wielkiej cynowej manierki. Dallas miał ogromną ochotę rzucić się na nich z pięściami, ale nieznanymi byli zbyt pokojowo nastawieni, by się dać sprowokować, i spokojnie się wynieśli. Tak czy inaczej, mało brakowało.

Dallas specjalnie chciał się upić, ale humor mu się nie poprawił. Szybko doszedł do wniosku, że Annie nie zależy na nim tak, jak by sobie tego życzył.

- Przyznaj się - powiedział niespodziewanie, gniewnie patrząc na nią zaczerwienionymi oczami.

- Do czego mam się przyznać? - spytała Anna.

- Że mnie nie kochasz.

- Takiego, jak teraz, nawet cię nie lubię.

- No to się przyznaj - upierał się.

Anna próbowała szukać pomocy u innych, ale Di specjalnie odwróciła wzrok, a Dan wyglądał, jakby był nieobecny.

- Przecież wiesz, że cię kocham - powiedziała Anna.

Dallas wpatrywał się w szklaneczkę z dżinem, jakby zawierała jakąś smutną prawdę. Po minucie oświadczył:

- Potrafię to znieść.

- Co znieść, Dallasio? Co potrafisz znieść?

- Że mnie nie kochasz.

- Przecież powiedziałam, że cię kocham - powtórzyła Anna.

Di stwierdziła, że, jej zdaniem, to prawda.

- Wiem, że mnie kochasz - przyznał Dallas. - Ale nie naprawdę.

- Mówisz bzdury.

- Nie - warknął Dallas, jego uśmiech był pełen litości nad sobą. - Założę się, że Dana kochasz tak samo, jak mnie.

Anna wiedziała, że jeśli o to chodzi, Dallas niczego nie podejrzewa. Powiedział to jedynie, by mu zaprzeczyła. A jednak poczuła, że się rumieni, i nie miała odwagi spojrzeć na nikogo z obawy, że odkryją jej tajemnicę.

- Tak jest - powiedział Dallas, obejmując Dana za ramiona. - Założę się, że ciebie kocha tak samo, jak mnie.

- Są gusta i guściki - zauważył Dan.

Dallas nie od razu zrozumiał i przez chwilę gapił się na swego przyjaciela, nim wybuchnął głośnym śmiechem.

- Kocham tego faceta - ryknął. - Nie można go nie kochać. Po prostu nie można i już.

Wtedy wszyscy się roześmiali i nawet Dallasowi zrobiło się lżej, chociaż mocno trzeba by go naciskać, żeby sobie przypomniął, że to on wywołał tę napiętą atmosferę. W tej chwili wiedział jedynie, że jest niezwykłym szczęściarzem. Znajdował się wśród przyjaciół, a najpiękniejsza dziewczyna na sali należała do niego.

- Chodź! - Złapał Annę za łokieć. - Pokażemy tym wieśniakom, jak się tańczy.

Poszła za nim na zatłoczony parkiet, gdzie wiejska kapela bardzo się starała oddać subtelności rytmu jitterbuga.

- Z drogi! - wrzasnął Dallas, biorąc dziewczynę w ramiona. A potem jego nogi zaczęły wyczyniać szalone wygibasy, jakby żyły własnym życiem.

Kiedy tamtego wieczoru wracali z potańcówki do domu - Dan za kierownicą, Dallas pijany i w melancholijnym nastroju na tylnym siedzeniu z Anną, Diana wyglądająca przez okno - wszystkich ogarnął niewysłowiony żal, że to już naprawdę koniec lata. Dallasowi się wydawało, że serce mu pęknie z miłości do dziewczyny, przyjaciół i wszystkich, których mógł sobie przypomnieć. Uznał, że wszystko jest tak, jak należy, i nie chciał niczego zmieniać. Czarna woda jeziora połyskiwała jak atrament, drobne fale uderzały łagodnie o brzeg.

- Kocham was wszystkich - oświadczył Dallas. - Naprawdę.

- Nikt w to nie wątpi - powiedziała Anna.

- Naprawdę - upierał się. - Jesteście... najlepsi.

- Racja - stwierdziła Di. Przez cały wieczór wypila dwa kieliszki. Trochę się wstawiła, ale teraz była zupełnie trzeźwa.

Dan jechał wolno, z wprawą, jeśli uwzględnić ilość wypitego alkoholu. Anna obserwowała go z tylnego siedzenia, starając się czytać w jego

myślach, ciekawa, czy mu przykro w związku z jej wyjazdem. Przez cały wieczór niewiele mówił i ani razu z nią nie zatańczył. Miała nadzieję, że nie tak będzie wyglądał koniec ich beztroskiego lata. Uważała, że coś powinno się wydarzyć. Gdyby dostała od niego jakiś wyraźny znak, wtedy wyjazd miałby sens. Ale Dan robił wrażenie, jakby był gdzieś daleko stąd.

- Jesteś śliczna - zwrócił się Dallas do Di z taką prostacką szczerością, że zabrzmiało to fałszywie. - Naprawdę. I zgrabna. Cholernie zgrabna. Ale wiesz co?

Wszyscy z zaciekawieniem nadstawili uszu.

- Muszę być wierny swojej dziewczynie - oświadczył, przyciągając do siebie Annę, nie zważając na to, że się opiera jego pijackim czułościom. - Jest prześliczna. Naprawdę. Ty, Di, jesteś ładna. Nie zrozum mnie źle. Ale muszę być wierny swojej dziewczynie.

Anna dała mu mocnego kuksańca. Dallas nigdy nie potrafił ocenić, kiedy wprawia ludzi w zakłopotanie. Diana wiedziała, że nie jest ładna, i komplementy od kogoś, kto się upił na smutno, z pewnością wywołują efekt przeciwny zamierzonemu.

- Urznąłeś się, Dallas. Jeszcze bardziej niż zwykle.

- Muszę być wierny swojej dziewczynie - powtórzył, składając na jej ustach wilgotny pocałunek.

Anna pragnęła, żeby Dan coś powiedział. Jeśli ktoś nie odwróci uwagi Dallasa, istniało duże prawdopodobieństwo, że będzie ciągnął w tym tonie przez całą drogę powrotną do Mohawk, a Anna nie miała pewności, czy jeszcze długo zniesie jego głupie gadanie. Był zbyt słodki, by mu sprawić przykrość, ale stwierdziła, że jest niebezpiecznie blisko wygarnięcia mu, iż uważa go za głupca i już nie może się doczekać dnia swego wyjazdu. Wiedziała, że potem oboje by tego żalowali, więc kiedy znaleźli się w miejscu, gdzie droga biegła zaledwie kilka metrów od jeziora, zaproponowała:

- Chodźmy popływać. Dallas usiadł prosto.

- Na nygusa! - wykrzyknął. - Chciałem powiedzieć na nagusa.

- Uważam, że powinniśmy wrócić do domu - odezwała się Di.

- Zatrzymaj się! - wrzasnęła Dallas, chwytając Dana za ramiona i potrząsając nim.

- Może być zabawnie - powiedziała Anna. - Może niektórzy nawet wytrzeźwieją.

- Ja nie - uprzedził Dallas. Już próbował ściągnąć koszulę przez głowę, zbity z tropu tym, że jest zapihana na guziki.

Nim Dan wolno zjechał na pobocze, znaleźli się prawie sto metrów za małą zatoczką. Dallas, wciąż szamocząc się z koszulą, rzucił się na oślep między drzewa, tam, któredy w jego najgłębszym przekonaniu prowadził skrót. Kiedy Dan wyłączył silnik, usłyszeli, jak Dallas przedziera się przez zarośla. Mruknął raz, a potem usłyszeli łomot i plusk.

- Znalazłem! - wrzasnął.

- Nie patrz tak na mnie - powiedział Dan do Diany.

Anna jeszcze nigdy nie słyszała, by podniósł głos na jej kuzynkę.

- To szaleństwo...

- No to co? Może wszystkim nam przyda się odrobina szaleństwa. A szczególnie tobie.

- Przepraszam - odezwała się Anna. - To wszystko moja wina...

Dan nie pozwolił jej dokończyć.

- Lepiej dokończ Sokole Oko, nim się utopi.

Anna wysiadła i ruszyła w kierunku, skąd dobiegał plusk wody, ale kiedy się obejrzała, zobaczyła, że Di wciąż siedzi w samochodzie.

Księżyc zaszedł i było bardzo ciemno, ale podążając za odgłosami, Annie udało się znaleźć Dallasa na skraju wody, gdzie się szamotał, próbując zdjąć spodnie. Przeklinał gniewnie, podskakując na jednej nodze. Anna szybko się rozebrała do bielizny i weszła do wody, zanim zauważył jej obecność. Kiedy Diana i Dan wyłonili się spośród drzew, stanął przed nimi w samych majtkach i skarpetkach.

- Pośpieszcie się! - powiedział podochocony. - Zostaliście daleko w tyle.

Kiedy Dallas zdjął majtki, Di się odwróciła i oświadczyła, że wraca do samochodu. Dallas odebrał to jako zniewagę i, zamiast wskoczyć do wody, dalej stał na brzegu w samych skarpetkach.

- O co chodzi? - spytał. - Przecież wszyscy jesteśmy przyjaciółmi.

- Idziesz? - zwróciła się Diana do Dana.

- O co chodzi?

- Daj jej spokój, Dallas - powiedziała Anna. - Chociaż raz nie bądź palantem.

- No widzisz? - oświadczył Dallas, zaskoczony, że głos Anny rozległ się tak blisko. W tej chwili jej obecność wydała mu się bardziej znacząca niż to, co miała do powiedzenia. Fakt, że była w wodzie, uczynił z niej sprzymierzeńca. - Anna się nie wstydzi, ale ona jest ładniejsza.

- Di może robić to, na co ma ochotę - powiedział Dan.

Gdyby Dallas był chociaż odrobinę trzeźwiejszy, usłyszałby ostrzeżenie w tonie głosu przyjaciela.

- Kogo to obchodzi? - rzucił. - Niech nie udaje świętej. Wszyscy wiedzą, że nie takie z niej niewiniątko.

Przez moment Anna była pewna, że Dan mu przyleje, Dallas też musiał sobie tak pomyśleć, bo zaczął się cofać. Mężczyźni znajdowali się tylko dwa metry od siebie, ale dno stromo opadało. Dallas, stojąc w wodzie do kolan, przechylił się do tyłu, potem za mocno się wygiął w drugą stronę i runął do wody. Dan złapał głowę Dallasa, jakby to była piłka do koszykówki, przez sekundę trzymał ją nieruchomo, a potem delikatnie wepchnął pod wodę. Nim Dallas, parszkając, wynurzył się na powierzchnię, Dan zniknął między drzewami, goniąc narzeczoną.

Dallas stwierdził, że jest teraz sam w jeziorze ze swoją ukochaną i jeśli się nad tym zastanowić, to nieobecność przyjaciół jest mu bardzo na rękę. Wypatrzył kupkę ubrań Anny na pobliskim pniu drzewa, ale było zbyt ciemno, by dostrzec, co dokładnie tam leży. Oto nadarzyła się wyjątkowa okazja i może jednak on nie zmarnuje całego lata. Odwrócił się i kilka metrów dalej ujrzał jej ciemną sylwetkę. Serce waliło mu jak oszalałe. Zanurkował, mając nadzieję, że ją zaskoczy. Uważał swój pomysł za przyjemne połączenie gry wstępnej i futbolu. Niestety, pod wodą było jeszcze ciemniej niż na powierzchni, i po przebyciu kilku metrów Dallas zaczął podejrzewać, że źle ocenił dzielącą ich odległość. Jednak był uparty i nie wynurzył się, póki nie wymacał przed sobą nagiego ciała. Anna ze swojej strony doskonale wiedziała, do czego zmierza Dallas, i z łatwością mogła śledzić jego ruchy, ponieważ tylko głowę zanurzył całkowicie. Kiedy w końcu dopłynął, na wpół uduszony, spodziewając się, że obejmie udą swej ukochanej, poczuł na swoim czole jej stopę. Kompletnie zaskoczony, że go odepchnęła, wypuścił resztki powietrza z płuc i opił się słonawej wody, nim udało mu się wynurzyć.

Najpierw dostrzegł Annę kierującą się w stronę brzegu, do pniaka, na którym zostawiła ubranie. Kaszląc i prychając, rzucił się za nią, niezupełnie pewien, czy został odtrącony. Najwyraźniej tak się stało, o ile ktoś inny nie był z nimi w jeziorze, ale wciąż nie mógł w to uwierzyć. Dallas nie był również pewien, czy uciekająca przed nim dziewczyna jest naga, ale z pewnością na taką wyglądała, i rozpaczliwie próbował ją złapać. Ale podczas gdy Anna bez wysiłku biegła w wodzie, on co chwila upadał na głowę, kiedy piasek usuwał mu się spod stóp. Miał coraz więcej wody w płucach, a gdy próbował zawołać Annę, stwierdził, że z jego ust wydobywa się jedynie bulgot. Kiedy w końcu wygramolił się na brzeg, był zbyt zmęczony i za bardzo go mdliło, by przypuścić atak. Opadł na kolana i wyjąkał:

- Ja... ja... ja...

Piersi Anny połyskiwały w świetle księżycy i nagle poczuł, że opuszcza go odwaga, tak poraziła go jej uroda.

- Powinieneś się wstydzić, Dallasie - powiedziała Anna.

Z trudem wstał na nogi.

- Ja...

- Tylko spójrz na siebie.

Dallas posłuchał i był zaskoczony, widząc, że mu akurat mija wzwód. Żle ją zrozumiał, powiedział:

- Zaraz stanie. Pozwól mi się tylko dotknąć.

Ale jej pozwolenie na niewiele by się zdało, ponieważ jednocześnie do gardła podszedł mu cały wypity dzin i woda z jeziora. Zdesperowany, nakreślił sobie skromniejszy plan. Jeśli rzuci się do przodu, może przynajmniej uda mu się przewrócić ją na ziemię i ukryć swoje rozczarowanie, wtulając twarz w jej piersi, zanim Anna zbierze siły, by go odepchnąć. Z pewnością zasłużył sobie przynajmniej na tyle.

Ale ten zamiar też mu się nie powiódł. Najpierw nogi odmówiły mu posłuszeństwa, potem poniosły go w kierunku odwrotnym niż zamierzony, w stronę drzew, gdzie znów padł na kolana i dostał torsji.

Anna nie poszła za nim, tylko odnalazła ubranie i wykręciwszy wodę z długich włosów, próbowała jak najlepiej się osuszyć. Postanowiła nie wkładać suchej sukienki na mokrą bieliznę, tylko zdjęła wilgotny stanik i majtki, a po ich wyżęciu wykorzystała je jak gąbkę, by się wytrzeć. Nocne powietrze przyjemnie chłodziło jej skórę, własna nagość wprawiała ją w radosne podniecenie, a jednocześnie poczuła się tak całkowicie opuszczona i odarta ze złudzeń, że miała ochotę płakać. Nie słyszała, kiedy wrócił Dan; stał dokładnie w tym samym miejscu, gdzie kilka minut wcześniej klęczał Dallas, i się jej przyglądał. Gdzieś od jeziora dobiegł krzyk ptaka. Poza tym żaden dźwięk nie mącił nocnej ciszy.

16

Przez kilka dni po tym, jak oberwał, Randall Younger wyglądał dość imponująco - jedno oko zapuchnięte, fioletowa śliwa na policzku, rozkwaszony nos i usta. Matka była przerażona, kiedy go zobaczyła. Sytuację pogorszył sam Randall, odmawiając wyjaśnień, co się stało, poza stwierdzeniem rzeczy oczywistej - że brał udział w bójce. Była tak

wystraszona i zła, że zagroziła mu przeniesieniem do Najświętszego Serca, gimnazjum katolickiego. Nie ma powodu do paniki, powiedział, czym jeszcze bardziej ją rozsierdził.

Właściwie jeśli chodzi o Randalla, sprawy nie wyglądały źle. Opowieści o tym, co się wydarzyło, krążyły po całym mieście, jeszcze nim wrócił do szkoły we wtorek przed Świętem Dziękczynienia, a kiedy inne dzieciaki zobaczyły, jak wygląda, były pełne podziwu dla niego. Co więcej, nauczyciele nie mieli nic przeciwko temu, by nosił okulary przeciwsłoneczne w budynku, który to przywilej nigdy nikomu nie przysługiwał. Ale najdziwniejsze ze wszystkiego było natychmiastowe uznanie ze strony tych, którzy tak bezlitośnie go stłukli. Pierwszego dnia w szkole natknął się na kilku z nich na korytarzu, wszyscy uśmiechali się do niego porozumiewawczo, jakby dając do zrozumienia, że w ich księgach jego konto jest najzupełniej czyste. Mieli za sobą wspólne doświadczenie i od tej pory uważali, że istnieje między nimi braterstwo krwi. Każdemu, kto by go zaczepił, zrobiliby dokładnie to samo, co zrobili jemu.

Niewątpliwie Randall w znacznym stopniu sam się przyczynił do tego, że okazywano mu taki szacunek, uparcie odmawiając oskarżenia kogokolwiek. Wezwany przez dyrektora szkoły, zaprzeczył, by w ogóle się bił, wyjaśniając, że grał w koszykówkę i niechcący wpadł na trybuny. Wprawdzie dyrektor Randallowi nie uwierzył, ale spadł mu kamień z serca. Nie znosił kłopotów, a za każdym razem, kiedy wyciągał konsekwencje dyscyplinarne wobec jakiegoś ucznia, ktoś wyciągał konsekwencje dyscyplinarne wobec niego. Przebijano mu opony albo na masce samochodu wypisywano kremem do golenia wulgarne hasła. Poza tym w tej chwili dyrektor miał większe zmartwienie na głowie. Najwyraźniej w mieście grasował jakiś szaleniec. Na terenie szkoły napadł na jednego z uczniów, powodując u niego poważne obrażenia, i rodzice chłopca, dwójka potężnych grubasów, woniejących potem i nie wiadomo czemu sokiem cytrynowym, grozili mu sądem. Więc bez zmruczenia oka przyjął nieprawdopodobne wyjaśnienie Randalla.

Randall też nie widział powodów, by się nie cieszyć. Jakimś cudem zachował wszystkie zęby, a siniaki i zadrapania już zaczęły znikać. Właściwie nie mógł mieć pretensji do Boyera Burnhoffera, swego prześladowcy, który od miesiący go ostrzegał, co zamierza zrobić, więc to sam Randall okazał się nadto zarozumiały, sądząc, że uda mu się jakoś wykręcić. Poza tym bójka wyrównała wszystkie rachunki, przestał być uważany za dłużnika, pobicie traktowano jako swego rodzaju spłatę

należności w pełnym wymiarze. Burnhoffer osobiście to potwierdził. Ostatnio miał więcej kłopotów niż zwykle i wiedział, że jeszcze jeden wybryk, a trafi z powrotem do poprawczaka. Już się pogodził z tym, że kiedyś tam wróci, ale nie tęsknił za tą chwilą, podobnie jak nie paliło mu się do zabicia tego, przez kogo znów się tam znajdzie, gdy ponownie opuści poprawczak.

Randall nie przejmował się tym, że mógłby zostać zamordowany przez Boyera Burnhoffera, ale chłopcu nie dawało spokoju panujące obecnie nieporozumienie, dotyczące jego wybawiciela. Cieszący się teraz złą sławą Szalony Bill Gaffney na szczęście zniknął. Nikt w Mohawk ostatnio go nie widział i zaczęły krążyć najbardziej nieprawdopodobne pogłoski. Dla młodzieży z gimnazjum imienia Nathana Littlera od dawna stanowił legendarną postać, w dużym stopniu dzięki swemu osobliwemu wyglądowi i sposobowi wyrażania się. Ale szczególną postawę zajęli teraz rodzice uczniów, którzy wcześniej na widok Szalonego Billa odruchowo odwracali głowy. Po incydencie obok baru Mohawk córki zaczęły im opowiadać, jakie to wielkie przyrodzenie ma Szalony Bill, porównywały je do liny albo do węża ogrodniczego, a ponoć zobaczył to ktoś na własne oczy, kiedy Szalony Bill sikał w zaułku przed barem Mohawk. Ileż to razy dobrzy obywatele Mohawk mijali Szalonego Billa, nie podejrzewając, jaki jest niebezpieczny, zawsze uważając go jedynie za niegroźnego pomyśleńca. Tymczasem okazał się groźny. Kilku uczniów gimnazjum przypomniało sobie nagle, że Bill podarował im przerzutywy, i wyciągało je w wymiętoszonych plastikowych opakowaniach z tajnych przegródek w portfelach, gdzie długo czekały na odpowiedni moment. Obywatele Mohawk nie mogliby polować z większym entuzjazmem, nawet gdyby znaleźli się na tropie Kuby Rozpruwacza.

Bardzo niewiele osób wiedziało, co się naprawdę wydarzyło owego dnia, kiedy Szalony Bill Gaffney przyszedł na pomoc Randallowi Youngerowi. Ale tak czy inaczej, było o wiele bardziej podniecające uważać Szalonego Billa Gaffneya za maniaka, i siłą rzeczy opowieści, które zaczęły o nim krążyć, były coraz barwniejsze i bardziej pomysłowe. Wkrótce centrala telefoniczna w ratuszu stała się przeciążona, bo każdy chciał wiedzieć, co czynią władze miasta, by na ulicach Mohawk znów było bezpiecznie. Dzwonili między innymi koledzy szkolni Szalonego Billa, którzy teraz przypomnieli sobie, że nigdy nie był zupełnie normalny. Przez lata pił skażoną wodę z Cayuga Creek, która spowodowała u niego raka mózgu. Całe miasto szukało Billa, a w powszechnym przekonaniu

ktoś, kto ma mózg zniszczony przez zatrutą wodę, nie może zwodzić policji i mieszkańców Mohawk dłużej niż przez kilka dni. Wkrótce musi się znaleźć.

Kiedy to nie nastąpiło, tematem rozmów stało się, co będzie, kiedy się pojawi. Szczególnie dużo rozprawiano o tym w gimnazjum. Boyer Burnhoffer wystąpił z teorią, że do głowy Szalonego Billa podłączą przewody elektryczne, a potem: Bzzzzyt! - Boyer przedstawiał obrazowo, jak Billowi zadrżą nogi i ręce, a szczeka opadnie.

- Nie wiem, co dobrego by to dało - powiedział ktoś.

Boyer właściwie też nie wiedział, wiedział jedynie, że tak się robi.

- Na pewno staje ci wtedy ptaszek - poinformował. Kiedyś w poprawczaku poddano go elektrowstrząsom i ten niespodziewany efekt szczególnie mocno zapisał mu się w pamięci.

Im dłużej Randall tego słuchał, tym większy ogarniał go niepokój. Kiedy w środę przed Świętem Dziękczynienia skończyły się zajęcia w szkole, czuł, że żołądek ma zupełnie ściśnięty. Chociaż próbował wszystkiego, co tylko mu przyszło do głowy, by lekceważyć trapiące go wyrzuty sumienia, nic nie skutkowało. Mówił sobie, że Szalony Bill właściwie wcale mu nie przyszedł na ratunek. Burnhoffer prawie skończył szorować jego twarzą o chodnik, kiedy pojawił się Szalony Bill. Wszyscy mówili, że jest niespełna rozumu, i istniały po temu powody. Czy nie zmusił Randalla, zupełnie mu nieznanego, do przyjęcia w darze prezerwatywy? Podobnie jak połowy młodych chłopaków z Mohawk, co teraz wyszło na jaw? Nadstawiać karku dla przyjaciela to jedno, ale Randall nie widział żadnego sensu, gdyby to miał zrobić dla kogoś takiego, jak Szalony Bill. A na dłuższą metę biedak prawdopodobnie byłby o wiele szczęśliwszy, gdyby dzieciaki przestały się z niego wyśmiewać. Postanowił, że po obiedzie delikatnie poruszy tę sprawę ze swym dziadkiem, który zawsze potrafił rozsądnie doradzić w rozmaitych drażliwych sytuacjach.

Zastał Mathera Grouse'a w salonie, dziadek siedział z nosem w książce w ulubionym fotelu. Pani Grouse nuciła sobie cicho, zmywając naczynia. Kiedy skończy, zdejmie i przepłucze pończochy, a potem je powiesi na brzegu wanny, by wyschły. Gdy zamknęły się za nią drzwi do łazienki, Randall przystąpił do dzieła. Uznał, że najlepiej nie wdawać się w konkrety, przynajmniej na początku. Kiedy dziadek czytał, czasami udawało się z nim przeprowadzić całą dyskusję w taki sposób, że ani razu nie oderwał oczu od książki. Randall ufał, że teraz też tak będzie, bo Mather Grouse miał przenikliwy wzrok, który - jak się obawiał Randall - ukłuje

go w samo serce, teraz szczególnie podatne na zranienie.

- Czy istnieje dobry sposób, by wiedzieć, co należy zrobić? - spytał.

Mather Grouse natychmiast opuścił książkę o kilka centymetrów i spojrzął na wnuka. Randall nie był pewien, czy oznacza to, że jego pytanie jest bardzo dobre, czy też niezwykle głupie. Spodziewał się długiej, skomplikowanej odpowiedzi, pełnej zastrzeżeń, ale Mather Grouse znów go zaskoczył.

- Nie - powiedział jego dziadek z takim przekonaniem, że Randall się obawiał, że to jedno słowo może oznaczać koniec rozmowy. - Oczywiście możesz zawsze zapytać sam siebie, co chcesz zrobić, a potem postąpić dokładnie na odwrót, ale nawet wtedy nie będziesz miał stuprocentowej pewności, ponieważ od czasu do czasu ludzie pragną uczynić słuszną rzecz. Nie wiem dlaczego.

- A jak ty postępowałaś?

- Nie pamiętam. Już od dawna nie podejmowałem decyzji w żadnych istotnych sprawach. Na ogół staram się tylko nie denerwować twojej babci.

- Czy kiedyś bałeś się zrobić coś, co uważałeś za słuszne?

Mather Grouse zmarszczył czoło i odszukał zakładkę do książki. Wyglądało na to, że uznał za konieczne przerwanie lektury.

- Tak - powiedział. - Wiele razy.

- Ale i tak zrobiłeś to, co należało?

- Czasem. Nie zawsze.

- Możesz mi opowiedzieć o jednym takim przypadku, kiedy nie zrobiłeś tego, co należało?

- Nie.

Chłopiec pokiwał głową. Zawsze rozumiał swego dziadka i zastanawiał się, czy właśnie dlatego tak bardzo go kocha. Wziął głęboki oddech.

- Czy widziałeś kiedyś tego mężczyznę, który włóczy się po mieście? Nazywają go Szalony Bill.

Mather Grouse niezauważalnie drgnął, słysząc to, i spojrzął na swego wnuka tak, jakby podejrzewał chłopca o jasnowidztwo.

- Nazywa się William Gaffney.

Randall skinął głową.

- Gdybyś uważał, że coś złego może się przydarzyć komuś takiemu, jak on, w związku z czymś, co nie było jego winą, zrobiłbyś coś, nawet gdyby oznaczało to kłopoty dla ciebie samego?

Mather Grouse nie od razu odpowiedział. Szczępłymi palcami stukał w zniszczone poręczce fotela, jakby wygrywał melodię na wymaginiowanej klawiaturze.

- Byłoby dobrze - powiedział w końcu - gdybyś mógł pomóc jakiemuś Williamowi Gaffneyowi. Ale jest wielu Williamów Gaffneyów, a bardzo mało można dla nich zrobić. Można im dać jedzenie albo ciepłe ubranie, albo leki, dla Williamów Gaffneyów jednak na wszystko jest już za późno. Kiedyś ktoś powinien był coś zrobić, ale nikt nic nie zrobił. Ale to nie powinno ci spędzać snu z powiek. Nie sądzę, byś mógł teraz cokolwiek zrobić dla Williama Gaffneya. Wątpię, by ktokolwiek mógł.

- W takim razie nie byłoby czymś bardzo nagannym, gdyby się nawet nie spróbowało?

- Prawdopodobnie i tak, i tak nie byłoby dobrze.

Tamtego wieczoru Randall położył się wcześniej do łóżka, ale długo nie mógł zasnąć. Matka już dawno zamknęła drzwi i pogasiła wszystkie światła. Dom i ulicę spowijała cisza i chłopiec w żaden sposób nie mógł wiedzieć, że jego dziadek leży piętro niżej i też myśli o Szalonym Billu Gaffneyu. Tak samo, jak nie mógł wiedzieć, że Mather Grouse będzie zmuszony wstać z łóżka i podeprzeć się na rękach i nogach. Od drewnianej podłogi tak ciągnęło, że zrobił się zimny jak sople lodu, nierówny oddech wstrząsał nim niczym jakaś uparta bestia.

17

Święto Dziękczynienia jest w Mohawk szare i zimne. Nawet Kings Road wygląda ponuro, wysokie, obnażone dęby przypominają czarne kikuty po pożarze lasu, przystrzyżone żywopłoty odarte z liści wyglądają jak żerdzie powtykane w ziemię. Pole golfowe opustoszało, chorągiewka koło ósmego dołka nieopodal domu Woodów zatrzepotała krótko na wietrze, by po chwili znów oklapnąć. Diana Wood przygotowała indyka, upiecze go na świąteczny obiad, wielkie ptaszysko będzie musiało bardzo długo siedzieć w piecyku. Diana nie wyobraża sobie, by ona, jej matka i mąż - odznaczający się skromnymi apetytami - byli w stanie spowodować widoczny uszczerbek w pieczystym. Wie, że dziś matka będzie miała jeden ze swych złych dni.

Już wpół do dziewiątej, ale Milly wciąż nie może się zdecydować, czy wstać, czy zostać w łóżku. Jest wściekła na męża swej siostry, ponieważ

Mather Grouse kategorycznie sprzeciwił się propozycji Milly, by obie rodziny wspólnie uczyły święto w domu Woodów. Doprowadza ją do furii fakt, że dysponuje zbyt skromnymi środkami, by narzucać swoją wolę. Zamiast zmuszać ludzi do robienia tego, czego ona chce, często musi się zadowolić tym, że później żałują, iż jej nie posłuchali, a to nie to samo. Naturalnie Mather Grouse zawsze stanowił twardy orzech do zgryzienia, taki zasklepiony w sobie i samowystarczalny. Nic dziwnego, że jej siostra w kółko mu zarzuca, iż jest taki uparty, ale on pozwala sobie wiercić dziurę w brzuchu do czasu. Jedyńy sposób, jaki przychodzi Milly do głowy, by mu się odplacić pięknym za nadobne, to kazać swej córce Dianie zawieźć się do szpitala. Nogi jej spuchły i wie, że jeśli powie, że ją bolą, córka natychmiast zabierze ją do lekarza. Ale ten plan ma poważny minus - kiedy już będą w szpitalu, Diana, kierując się poczuciem taktu, odmówi poinformowania o tym Grouse'ów, póki nie będzie pewna, że zakończyli swój świąteczny posiłek. Może w ogóle do nich nie zadzwonić, jeśli uzna, że sytuacja nie jest wystarczająco poważna, a sama Milly wątpi, czy potrafi ją przekonać, że jej spuchnięte nogi to coś naprawdę groźnego. Drugim wyjściem jest pozostanie w łóżku i obejrzenie defilady na przenośnym telewizorze. Później może zawsze odmówić jedzenia, kiedy Diana przyjdzie z tacą. W ten sposób odegra się niezupełnie na Matherze Grousie, ale przynajmniej da do zrozumienia, co o tym wszystkim sądzi. Zawsze to jakaś kara, nawet jeśli wymierzona nie temu, komu należy. Milly żałuje, że nie jest głodna.

- Może podałybyś mi kurtkę? - pyta Dan, kiedy jego żona wygląda z kuchni.

Diana marszczy czoło.

- Na dworze jest zimno. Dlaczego nie obejrzysz sobie defilady?

- Mam chandrę. Widok tych długonogich siusiumajtek może ją jeszcze powiększyć.

Ale Diana nie zwraca uwagi na słowa męża. Nasłuchuje.

- Czy to znowu mama? - Dom jest duży, a pokój matki znajduje się w drugim jego końcu. Staruszka ma donośny głos, ale woli wołać ci-chutko, by później móc zarzucić córce, ile razy musiała wzywać domowników, nim ktokolwiek raczył ją usłyszeć.

- Weź poduszkę i ją uduś, dobrze?

- To wcale nie jest dowcipne.

- Masz absolutną rację. Nigdy nie żartuję z takich rzeczy.

Diana się wyłączyła. Mimo wielu lat spędzonych pod jednym dachem, nigdy na tyle dobrze nie rozumiała poczucia humoru swego męża, by być wystarczająco pewna siebie i mu odpowiedzieć. Gniewają, że jej mąż wykorzystuje to, by dystansować się od niej. Wyjmuje wiatrówkę z szafy i rzuca mu ją.

- Żałuję, że nie jestem długonogą siusiumajtką.

Do Dana dociera, że w jakiś sposób udało mu się ją urazić, może nawet tego chciał.

- O co chodzi, skarbie?

Diana wzrusza ramionami.

- Przepraszam. Myślałam, że właśnie o to.

- Chodź tutaj - mówi on, wyciągając do niej rękę. Ale Milly znów woła, tym razem nieco głośniejszej, i Diana się odwraca. Pod wpływem impulsu Dan chwytą niebiesko-zielony jasiek i rzuca nim przez cały korytarz za swoją żoną; poduszka ląduje u jej stóp. - Zapomniałaś o czymś.

Dan Wood niezgrabnie wkłada wiatrówkę i wyjeżdża wózkiem na dwór. Basen, z którego spuścił wodę, wygląda jak rozwarta betonowa paszcza w samym środku ogrodu, kilka suchych liści wiruje w pobliżu odpływu. Obserwuje je, jak tańczą zawzięcie i unoszą się między turkusowymi ścianami basenu, nim znów opadną na dno, by czekać na kolejny powiew wiatru. Dotarło do niego, że pozwolił sobie na większe podniecenie w związku z operacją, niż należało. Późniejsze rozczarowanie przyszło tak wolno i niezauważenie, jak świadomość, że owszem, kolejny raz w jakiś sposób niepotrzebnie obudził w sobie nadzieje. Zawsze był dumny z trzeźwości swojego umysłu i kiedy stracił ten dar, czuł się trochę jak członek Klubu AA, który znów zaczął pić. Nadzieja to luksus, na który go nie stać - właściwie to okrucieństwo.

Nie potrzebuje nikogo, by mu wytłumaczył, co jest tego przyczyną. Nawet nie rozważał na serio poddania się kolejnym operacjom, póki do Mohawk nie wróciła Anna. Ale kiedy znów ją zobaczył, otrząsnął się z wygodnego marazmu, który czynił życie znośnym. Naturalnie Anna nie zdawała sobie z tego sprawy. Była zbyt dobra, by świadomie odebrać mu ten środek znieczulający, a on nie wiedział, jak jej to wyjaśnić, nawet gdyby chciał to zrobić. A nie chciał. Nawet ból był lepszy od odrętwienia, przynajmniej chwilowo, a nadzieja, raz obudzona - o tyle słodka, o ile krótkotrwała.

Powinien wiedzieć, że to będzie niebezpieczne. Od samego początku wszystko, co łączyło się z Anną, wiązało się z ryzykiem. Zawsze wydawała mu się szalona, tym bardziej że najczęściej starała się okiełznać to

szaleństwo. Nie grając, wyrachowaniem roli kusicielki, i tak pozostawała jego największą pokusą. „Nigdy nie powiem, że cię nie Kocham - wyznała mu kiedyś. - Będę tak ostrożna, jak tego chcesz. Nie będziemy mówili o tym, czego pragniesz uniknąć. Ale będę cię kochała zawsze i będziesz musiał z tym żyć, czy ci się to podoba, czy nie”.

Na początku nie wierzył, że Anna potrafi być ostrożna. Ale ani Diana, ani nikt nie domyślali się niczego z jej zachowania. Jak na ironię, bywały takie chwile, kiedy Diana prawdopodobnie podejrzewała, że jej mąż podkochuje się w Annie, ale tylko dlatego, że Anna była tak cudowna, iż każdy normalny mężczyzna musiał się w niej kochać, przynajmniej trochę.

Nie istniał sposób, by stwierdzić, czy Diana ma żal do kuzynki, by odgadnąć to, co Diana chciała zachować w tajemnicy. Prawdopodobnie najdziwniejsze w jego żonie było to, że potrafiła być tak otwarta, kiedy ją coś zachwyciło, a tak skryta w kwestiach, które sprawiały jej ból, zawsze wolała zaszyć się w jakimś ciemnym, niedostępnym dla innych kąciuku, by wylizać się z ran, niż przyznać, że coś ją dotknęło do głębi czy pokazać bliznę. Kierowała się jakimś wewnętrznym kodeksem postępowania, spisany, kiedy była jeszcze tak młoda, że powód jego stworzenia został dawno zapomniany, kodeksem, który rządził jej najskrytszymi myślami i zachowaniem, sprawiając, że pozostawała do szpiku kości przyzwoita i nie potrafiła być inna. Jeśli Dan zarówno podziwiał, jak przeklinał jakąś jedną cechę charakteru swej żony, to właśnie tę niezachwianą stałość.

I może jej brak u Anny Grouse sprawił, że ta kobieta stała się jego pokusą. W głębi jej jestestwa panowało nie prawo, tylko bezwstydną bezprawie. Kiedy to odkrył, czuł się ogłuszony, podniecony, pełen obaw - ponieważ to korespondowało z czymś, czego istnienie od dawna podejrzewał u siebie. Jej uroda wydawała mu się ucieleśnieniem tej wewnętrznej nieobliczalności i być może dlatego Anna tak mało się zmieniła od tamtej nocy, kiedy wrócił przez czarny las nad brzeg jeziora, poruszając się bezszelestnie, wstrzymując oddech, aż najpierw natknął się na zemdlonego we własnych rzygowinach Dallasa, a potem ujrzał Annę, wycierającą się w srebrnej, księżycowej poświacie. Tylko ona nie zmieniła się przez te wszystkie lata, w przeciwieństwie do niego i Diany, zmęczonej nieustannym dawaniem. Nawet Dallas skarłowaciał, gdy już i tak wąski krąg jego doświadczeń i pragnień zacisnął się wokół niego jeszcze bardziej. Ale ani czas, ani macierzyństwo, ani rozczarowanie nie odcisnęły najmniejszego piętna na Annie, której codzienna egzystencja, jej

niekwestionowana realność, zdawała się nie mieć żadnego wpływu na życie wewnętrzne tej kobiety. Pozostało ono równie szalone i pełne nadziei jak zawsze.

Zachowywał dystans tak długo, jak mógł, jakby okres wymagany, by pozwolił jej się uwieść, mógłby później mieć jakieś znaczenie, świadczyć o tym, że nie był całkowicie lekkomyślny. Od tamtej nocy nad jeziorem, kiedy się całowali i czuli dreszcz emocji, wyznając sobie miłość - tak, Kocham cię, kochałem od samego początku, jak sama wiesz, jak musisz wiedzieć - nie widział jej przez wiele dni, nie dzwonił ani nie pisał. Potem, w piątek, Diana się przeziębiła i została w łóżku, a kiedy Dan poszedł zobaczyć się z Dallasem, zastał go w garażu z chevroletem rozłożonym na tysiąc części, połyskujących obiecująco na ziemi.

Dallas nie spotykał się z Anną przez cały tydzień po swojej kompromitacji. Przez dwa dni nie pokazywał się nikomu na oczy, nie ruszył się z kanapy, na której położył go Dan, nie chodził do pracy, a nawet nie odbierał telefonów. Teraz fizycznie czuł się lepiej, ale serce nadal miał obolałe.

- Do diabła z nią. Nie kocha mnie.

To prawda, pomyślał Dan. Kocha mnie. Ale nie sprawiało mu to satysfakcji.

- Naturalnie, że cię kocha - powiedział. - Wróci do ciebie.

- Będzie musiała. Nie pokażę się na Mountain Avenue, jestem gotów się założyć, o co chcesz.

- Daj jej trochę czasu.

- Myśli, że na uczelni zakocha się w jakimś milionerze. Mohawk to dla niej za mało.

- Mylisz się.

- Wiecznie słucha swego staruszka, a on jej to powtarza. Do diabła z nim. - Zatoczył ręką krąg, obejmując tym gestem swój rozłożony na części Chevrolet, garaż, miasto. - Kocham to miejsce.

Dan go zostawił i pojechał do „Mohawk Republican”, gdzie Anna pracowała na niepełnym etacie do czasu rozpoczęcia roku szkolnego. Zaparkował przy krawężniku, trzy domy dalej, i siedział, rozmyślając nad przeznaczeniem. W końcu podjął decyzję. Była piąta po południu i istniało duże prawdopodobieństwo, że Anna, która nie miała stałych godzin pracy, już poszła do domu. Istniała również duża szansa, że jeśli jeszcze nie poszła do domu, nie zauważy go siedzącego tutaj, kiedy wyjdzie na jasne popołudniowe słońce. Podąży do domu w przeciwnym kierunku, może nie będzie sama. Jeszcze bardziej prawdopodobne, że

będzie na niego zła za tyle długich dni, prawie tydzień, podczas którego nawet do niej nie zadzwonił. Istniała również niewielka szansa, że podczas tego tygodnia doszła do wniosku, iż uczciwi ludzie nie mogą iść za uczuciem, które sobie nawzajem wyznali.

Czekał do kwadrans po piątej, oparty plecami o drzwiczki, paląc papierosa za papierosem, obserwując, jak dym zbiera się pod sufitem. Po tem drzwi od strony pasażera otworzyły się i wsiadła Anna. Nie spojrziała na niego od razu, nie poruszyła się, póki nie usiadł prosto i nie zgasił papierosa. Wtedy odwróciła się do niego i uśmiechnęła.

- Diana... - zaczął.

- ...ma grypę - dokończyła. - A Dallas dziś wieczorem jest zajęty swoją drugą miłością - samochodem.

- Czekają na ciebie w domu?

- Tak, ale nie spodziewają się mnie prędko. Jeśli nie pocałujesz mnie w ciągu dwóch sekund, spoliczkuję cię.

Zrobił, co mu kazała.

- I chcę, żebyś mi powiedział, że mnie kochasz.

- Już ci to powiedziałem.

- Nie chcę mieć ani cienia wątpliwości. Wtedy byliśmy pijani.

- Dobra. Kocham cię. No i jak?

- Cudownie. Mogę się domagać, żebyś od czasu do czasu mi to mówił. To moje jedyne żądanie.

- Nie ma sprawy - powiedział. - Mam tylko nadzieję, że nie będziesz sobie robiła zbytnich złudzeń.

Roześmiała się.

- To dla mnie znaczy wszystko. To znaczy, że nie jesteś złymi ludźmi.

Dla niej było to takie proste być może dlatego, że nie kochała Dalla. Może dlatego, myślał Dan, że jej miłość do niego to jedyne credo, jakiego potrzebowała. Jeśli tak istotnie było, odczuwał zarówno lęk, jak wdzięczność.

Pojechali do Albany i wynajęli pokój w małym motelu na uboczu. Nie zjedli obiadu. Pamiętał, jak myślał, kiedy się kochali: Posunąłem się... za daleko, by kiedykolwiek zawrócić. Wyobrażał sobie siebie, jak włamuje się do domów wszystkich szanowanych ludzi, których zna, i ładuje cały ich najcenniejszy dobytek do wielkiego płóciennego worka. I nikt go nie przyłapuje.

Kiedy jechał z powrotem do Mohawk, z Anną przytuloną do niego, ogarnęły go wyrzuty sumienia i aż wstrzymał oddech.

- Co się stało? - zapytała Anna.
- Nic.
- Przeszedł cię dreszcz.
- To nocne powietrze - wyjaśnił, zamykając okno po swojej stronie. - Czuć w nim jesień.
- Nigdy nie było mi cieplej - powiedziała.

Dan Wood uśmiecha się do swych wspomnień. Podjechał wózkiem do szopy, otwiera ją i wyciąga na taras obok basenu wielkie wiadro piłek golfowych, które zbierał. Bierze pierwszą z brzegu i przesuwa palcami po jej zagłębieniach. Wie co nieco o piłkach golfowych, jak ściśle są tkane, to masa kauczukowych włókien, splecionych pod wielkim ciśnieniem i okrytych zwodniczo białą skórą. Od dziecka intryguje go, jakim cudem piłka nie eksploduje gwałtownie. Rzuca piłeczką w kierunku ósmego dołka i obserwuje zataczany przez nią łuk. Ale ledwo widzi chorągiewkę powiewającą za płotem i nie może stwierdzić, czy piłka wylądowała na trawie. Rzuca następną. Zajmuje mu dwadzieścia minut opróżnienie wiadra. Akurat kiedy sięga po ostatnią piłkę, nad parkanem pojawia się twarz nastoletniego chłopaka. Niezrażony zimnem, najwyraźniej wymknął się na pole golfowe, by trochę poćwiczyć. Nie wygląda na szczególnie rozgarniętego.

- Ej! Co pan robi?
- Gram w golfa - odpowiada Dan. - Nie widzisz?

Chłopak patrzy głupawo najpierw na Dana, a potem na trawnik, teraz zasłany przeszło setką piłek golfowych.

- Która jest moja?
- Wszystkie są twoje.
- Naprawdę? Nie chce ich pan?
- A co mi po nich?
- Jezu, wezmę je - mówi chłopak i znika.
- Weź.

Po chwili przesuwiają się drzwi na taras i wychodzi Diana. Obserwowała swego męża przez okno w kuchni, czekając, aż, jak sądzi, zaakceptuje jej towarzystwo. W rzeczywistości Dan cieszy się z tego. Stojąc z tyłu wózka, Diana masuje mu plecy, Dan czuje znajomy zapach perfum, których jego żona używa od zawsze.

- Wiesz, że cię kocham - mówi mu.
- To zrozumiałe, że mnie kochasz. - Uśmiecha się. - Kto by mnie nie kochał? Przecież ze mnie chłop na schwał.

Proszę, proszę - powiedział Harry, kiedy otworzyły się drzwi frontowe do baru Mohawk i pojawił się w nich Dallas Younger. Było szare popołudnie. Dallas należał do stałych klientów Harry'ego, zazwyczaj przychodził w roboczym ubraniu, ale dziś miał świeżą koszulę, starannie wyprasowane spodnie i sportowy płaszcz z madrasu, świadczący o chwilowym zaniku rozsądku. Ten brak rozsądku nie dotyczył kupna płaszcza, tylko jego przyjęcia, ponieważ ktoś, Dallas nie mógł sobie przypomnieć kto, mu go podarował. Dziś włożył okrycie po raz pierwszy. Płaszcz wisiał w szafie ponad rok i od przynajmniej kilku miesięcy Dallas zachodził w głowę, skąd się tam wziął. Jednak płaszcz to nie było coś, co spędzało mu sen z powiek. W życiu Dallasa pojawiały się różne rzeczy, które potem znikwały, i jeżeli pojawiały się mniej więcej w takim samym tempie, w jakim znikwały, bardzo mu to odpowiadało.

Był przygotowany na kpinki. Kiedy Harry otworzył usta, by coś powiedzieć, Dallas podniósł jedną rękę.

- Harry, zawsze staram się wyglądać jak najlepiej, kiedy jestem w eleganckim lokalu. - Wybrał sobie stół w połowie długości baru.

Harry miał mieszane uczucia, czy otworzyć lokal. Wiedział, że trudno będzie dziś mówić o jakimś interesie. Święto Dziękczynienia i Boże Narodzenie to były dwa dni, kiedy osoby samotne krępowwały się jeść w takich lokalach, jak jego. Większość wołała w ogóle zrezygnować z obiadu niż przyznać, że nie ma dokąd pójść. Tak jak oni, Harry też nie miał dokąd pójść, więc otworzył bar.

- Chyba musisz się wybierać na spotkanie ze swoją byłą - powiedział chytrze Harry. Był nie w ciemię bity. Nie trzeba w końcu geniusza, by rozgryźć Dallasa Youngera.

- Ze swoim dzieciakiem - poprawił go Dallas.

- Aha.

- Napiję się kawy, jeśli nie jesteś zbyt zajęty.

Harry nalał mu kawy i położył na spodeczku torebkę śmietanki w proszku. Dallas wziął śmietankę i rzucił nią żartobliwie w Harry'ego.

- Od piętnastu lat przychodzę tu na kawę, a jeszcze nigdy nie podałeś mi takiej, jaką pijam.

Harry wrzucił śmietankę z powrotem do puszki, w której trzymał torebki, zadowolony, że trochę zaoszczędził. Kawa ze śmietanką kosztowała

tyle samo, co bez niej, a lubił przyjemne uczucie, że zarabia więcej niż zwykle, kiedy jego goście pili czarną kawę.

- Nigdy jej nie widuję na mieście - zauważył.

Dallas wzruszył ramionami.

- Wiesz, jak to jest, kiedy ktoś się uważa za lepszego.

Harry widział żonę Dallasa raz czy dwa, nim się rozwiedli, ale nigdy od jej powrotu do Mohawk. Jednak nie należała do kobiet, które się łatwo zapomina, i było mu szkoda Dallasa, że stracił taką reprezentacyjną babkę. Harry już nie potrafił się doliczyć, ile miał dziewczyn, ale żadnej z nich nie można by uznać za taką, do której się wzdycha po nocach, kiedy odejdziesz.

- Mam indyka i sos - zaproponował. - I zieloną fasolkę. Całe danie za dwa dolce ćwiartkę.

Dallas pokręcił głową.

- Spodziewają się mnie na obiedzie.

Harry wcale się nie zdziwił.

- Nie sprzedałem dziś ani jednej porcji.

- Nie wierzyłem własnym oczom, że bar otwarty. Wielka szkoda, że nie ma w pobliżu twojego przyszywanego siostrzeńca. Jest dość dobry w wymiataniu wszystkiego z garnków.

Harry odruchowo spojrział na pusty stół przy końcu kontuaru. Dallas lubił żartować, że Harry i Szalony Bill są spokrewnieni. Harry zawsze udawał, że się złości, kiedy to słyszał. Ale dziś jakoś wcale mu nie było do śmiechu.

- Nie widziałem go, odkąd napytał sobie biedy.

Chłopak, którym Szalony Bill rzucił o śmietnik, nadal leżał w szpitalu z pękniętą czaszką i wstrząsem mózgu.

- Wszystkim tym chłopakom by się przydało, żeby porozbijać im głowy za to, że mu dokuczają. Powiedziałem to gliniarzom. Jego stryj pojawił się tu natychmiast. Aż się palił, by go aresztować.

- To zrozumiałe - zauważył Dallas.

Dziwne, ale ta sprawa nie dawała mu spokoju, odkąd Anna powiedziała mu przez telefon, że Randall pobił się z kolegami i dobrze by było, gdyby on przeprowadził ze swym synem męską rozmowę. Ze słów Anny nie mógł wywnioskować, czy chodzi jej o to, by nauczył chłopaka, jak dawać drapaka, czy też jak wygrywać. Nie żeby miało to jakieś znaczenie. Jeśli nawet dojdzie do tej rozmowy, wątpił, by do czegoś doprowadziła. Ludzie gadali, że jego syn jest cholernie inteligentny, ale Dallas w głębi serca w to wątpił. Chłopak był dziwny i tyle. Z drugiej

strony, większość inteligentnych ludzi, których spotkał w życiu, też była dziwna, więc nie mógł tego wykluczyć.

- Oświadczyłem temu tłściochowi, że nie chcę go więcej u siebie widzieć. Może przed barem wypisać nawet setkę mandatów, jeśli chce, ale już nigdy nie dostanie filiżanki kawy u Harry'ego Saundersa.

- Gaff jest w porządku - odezwał się dyplomatycznie Dallas.

- Jasne - przyznał mu rację Harry. - Tyle tylko że to duppek, jak jego brat. Wszyscy Gaffneyowie to kutasy, wszyscy bez wyjątku... Na pewno nie chcesz indyka?

Dallas miał wielką ochotę. Indyk pachniał smakowicie, a niezbyt mu się paliło do obiadu u Grouse'ów. Namówiła go do tego Loraine. Powiedziała, że jeśli Dallas zadzwoni i powie, że chce zabrać syna na świąteczny obiad, Anna z pewnością go zaprosi do nich. „A jeśli nie, zjesz z nami” - dodała. Na nieszczęście Anna go zaprosiła. Dallas zdecydowanie wolałby zjeść obiad u swojego brata. A raczej u swojej bratowej.

Przez długi czas po rozstaniu przypuszczał, że on i Anna się zejdą. Ale minęło dziesięć czy dwanaście lat i nagle pewnego dnia uświadomił sobie, że może jednak się myli. Jeszcze bardziej zdumiewające było to, że niezbyt mu brakowało Anny i nie przypominał sobie, by kiedykolwiek za nią tęsknił, a nawet jeśli tak, już dawno o tym zapomniał. Był całkiem zadowolony ze swojego życia, a z Anną miał więcej problemów niż z pozostałymi pięcioma kobietami, z którymi coś go łączyło. Nawet jeśli jakimś dziwnym zrzędzeniem losu by ją odzyskał - po upływie tych wszystkich lat nie postawiłby na to ani centa - utrzymanie jej przy sobie oznaczałoby wieczną walkę, podobnie jak domyślanie się, dlaczego nie jest szczęśliwa. A całkiem dobrze mu się żyło bez tego.

Były czasy, gdy potrafił bić się o kobiety. Kiedy miał dziewiętnaście lat, stracił przednie zęby w bójce o Annę. Mieszkańcy Mohawk nadal o tym opowiadali, przynajmniej ci, którzy mieli dość lat, by to pamiętać. Wszystko się zaczęło od tego, że kiedy pewnego popołudnia wyszedł z pracy, wpadł na kumpla, który mu powiedział, że widział Annę w samochodzie Dana Wooda, zaparkowanym przed redakcją gazety. Oświadczył, że się całowali. Dallas był zbyt uczciwy, by nie dać chłopakowi szansy odszczekania wszystkiego, ale ten twardo obstawał przy swoim, nawet kiedy Dallas powalił go na ziemię.

- To najprawdziwsza prawda - upierał się chłopak. - Nie mogę odszczekać tego, co widziałem na własne oczy.

Kiedy Benny D. wstał, Dallas znów go uderzył, ale tym razem tamtemu udało się utrzymać na nogach i nie widząc innego wyjścia, pozwolił

sobie złamać Dallasowi nos. Dallas był wprawdzie wysportowany, ale nie umiał się bić. Mimo wszystko nie potrafił się wycofać i straszliwie oberwał od sprawniejszego od siebie przeciwnika, który uderzał, uchylał się i atakował jak zawodowiec. Raz za razem Dallas ze zdumieniem stwierdzał, że leży na ziemi, a ledwo udało mu się podnieść, znów lądował na chodniku. Wkrótce Benny D. był cały zakrwawiony, z czego Dallas wyciągnął całkowicie błędny wniosek, że wygrywa, chociaż po każdej wymianie ciosów leżał znokautowany. Nie miał pojęcia, że przyczyną fatalnego wyglądu przeciwnika jest jego złamany nos. Właściwie spodziewał się, że Benny D. w każdej chwili się podda, póki chłopak nie uderzył go w twarz tak mocno, że wybił mu kilka zębów, co spowodowało taki ból, że Dallas nie mógł powstrzymać łez.

Fakt, że się rozplakał, doprowadził go do furii. Rezygnując z użycia pięści, pochylił głowę niczym nacierający baran i zaatakował. Benny D., wielce zaskoczony taką taktyką i pogwałceniem przestrzeganych do tej pory reguł gry, poczuł, że unosi się wysoko w powietrze, a potem wyrznął kością ogonową w chodnik tak mocno, że aż rozległ się trzask. Jednocześnie cała krew odpłynęła mu z twarzy i stracił zapał do walki. Dallas usiadł na nim okrakiem i walił jego głową o bruk niczym arbutem, aż Benny D. zemdlął. Nie należąc do tych, którzy wykorzystują przewagę, Dallas ogłosił, że bójka skończona, co naturalnie było prawdą.

W Mohawk wieści o bijatykach rozchodziły się lotem błyskawicy i zwycięstwo Dallasa wkrótce przeszło do legendy. Obaj uczestnicy pojedynku trafili do szpitala, Dallas ze złamanym nosem i powybijanymi zębami, Benny D. z obrażeniami mniej widocznymi, ale poważniejszymi. Podziwiano zarówno zwycięzcę, jak i pokonanego, ponieważ chodziło o prawdziwą bijatykę, a nie tylko jawne oszczerstwa i kilka kuksańców. To, że byli przyjaciółmi, dodawało wszystkiemu pikanterii i sprawiało, że pojedynk zdawał się jeszcze bardziej szlachetny. Fakt, że pobili się o dziewczynę, przydał całemu wydarzeniu cech heroizmu.

Po dwóch dniach pobytu w szpitalu Dallasa wypisano do domu. Anna przyjechała po niego jego własnym samochodem i pomogła mu wejść po schodach do mieszkania nad drogerią. Była śmiertelnie biała, a on nie posiadał się z dumy, że broniąc jej honoru, doznał takich obrażeń, i imponowało mu, że wywarło to na niej aż takie wrażenie. Od miesięcy zadreślał się, że Anna go nie kocha tak, jak kiedyś, a teraz nie krył radości, że się jednak mylił. Kiedy szli na górę po schodach, pozwoliła, by wsparł się na jej ramieniu, więc przyszło mu do głowy, że może się nie nadarzyć

lepsza okazja i postanowił kuć żelazo, póki gorące, nawet jeśli wyglądał jak żywy trup z drugorzędnych filmów.

- Wczoraj wieczorem odwiedził mnie w szpitalu Dan - odważył się napomknąć.

- Naprawdę? - spytała takim tonem, jakby nie słyszała, co powiedział.

- Wyznał, że on i Di chcą się ochajtnąć w przyszłym miesiącu.

- Tak.

- Chyba mnie pierwszemu się z tego zwierzył.

- Tak, Di powiedziała mi dziś rano.

- Żałuję, że tak okropnie wyglądam. W przeciwnym razie też bym cię poprosił o rękę.

Przyjrzała mu się uważnie - wydawało mu się, że trochę smutno, ale wcale nie była zaskoczona, a w jej spojrzeniu dostrzegł więcej uczucia niż ostatnio. Wyjęła chusteczkę, zwilżyła jej róg językiem i dotknęła nią jednego z jego podbitych oczu.

- Nie byłbyś ze mną szczęśliwy - powiedziała. - Poza tym obiecałam ojcu, że pójdę na jeden semestr na uczelnię.

Wzruszył ramionami, wyraźnie zadowolony, bo spodziewał się z jej strony znacznie poważniejszych obiekcji.

- Co powiesz na styczeń? Mogę zaczekać.

Uśmiechnęła się.

- Ludzie się nie pobierają w styczniu.

- W Austrii tak.

- Chciałeś powiedzieć w Australii?

Owszem, chciał powiedzieć w Australii.

- Chciałem powiedzieć, że cię kocham.

Okna pokoju wychodziły na Main Street; z miejsca, gdzie siedzieli, było widać całe miasto aż do Myrtle Park, górującego nad okolicą. Dopiero kiedy Dallas w końcu zauważył, że Anna płacze, uświadomił sobie, jak bardzo go musi kochać. Przysiągł sobie wtedy, że postara się być wart jej miłości.

Ale im nie wyszło. Nie winił jej za rozpad ich małżeństwa. Zasługiwała na kogoś lepszego i nie widział, co dobrego mogłoby przynieść rozpoczynanie wszystkiego od nowa. Składał najróżniejsze przysięgi, a potem nie dotrzymywał danego sobie słowa. Teraz znał siebie na tyle dobrze, by wiedzieć, że może żyć bez niej.

- Dobra, Harry - powiedział. - Daj mi tego indyka, zanim zaczniesz się mazać. Tylko nie żałuj sosu.

Dallas Younger był tego dnia pierwszym i ostatnim prawdziwym klientem Harry'ego w barze Mohawk, co oznaczało, że przez świąteczny weekend będzie królował indyk z dodatkami. Dallas siedział do późnego popołudnia, aż na schodach za ścianą rozległ się tupot nóg. Pożyczył od Harry'ego pięćdziesiąt dolarów i poszedł na górę pograć. Pozostali gracze mieli dość widoku swych rodzin, a ogryzione kości indyka wpływały na nich przygnębiająco.

Harry czyścił ruszt i szykował się do zamknięcia baru, kiedy wszedł Gaffney. Miał trochę niepewną minę, odkąd Harry wygłosił poważne ostrzeżenie. Przez dwa dni posłusznie stosował się do nakazu, by się nie pokazywać w barze Mohawk. Ale brak wygodnego miejsca, gdzie mógłby się napić kawy, zaczął mu doskwierać, wyglądał na zabiedzonego.

- Nie - powiedział Harry, kiedy policjant przymierzał się do zajęcia swego ulubionego miejsca.

Gaffney nie miał odwagi usiąść, chociaż jego tyłek wisiał zaledwie kilka centymetrów nad okrągłym siedziskiem, a on sam, stojąc na ugiętych nogach, przypominał kowboja.

- Do diabła, Harry - odezwał się. - Nie możesz odmówić obsłużenia mnie.

- Mogę zrobić wszystko, co mi się spodoba. To mój lokal, zapłaciłem za niego, prowadzę go i ja tu ustalam zasady gry.

- Do diabła, Harry.

- Zresztą nie odmówiłem obsłużenia ciebie. Odpowiedziałem na pytanie, które zamierzałeś mi zadać, kiedy skończysz biadolić i narzekać. Nie, nie widziałem Billy'ego. Nie, nie mam pojęcia, gdzie może być. Nie, nie ukrywa się na dole w piwnicy ani w magazynie. I nie, nie możesz się rozejrzeć, by to sprawdzić. Nie i już.

Gaffney się wiercił, wisząc nad stołkiem, niepewny, czy wolno mu usiąść.

- To wcale nie jest tak, że ci nie ufamy, Harry. Wszyscy podziwiają jak diabli Harry'ego Saundersa i nikt od ciebie nie był lepszy dla tego chłopaka. Po prostu dla jego własnego dobra musimy z nim porozmawiać.

- Nie - powtórzył Harry.

Policjant opadł nieznacznie, aż poczuł pod sobą twardy stółek.

- Do diabła, Harry, rozumiem cię. Dlaczego miałbym nie rozumieć? Na litość boską, przecież jesteśmy przyjaciółmi. Po prostu nic nie mogę poradzić na to, że jestem tym, kim jestem. Muszę stać na straży prawa. To należy do obowiązków każdego policjanta.

Harry przerwał czyszczenie rusztu i odwrócił się.

- Nie jesteśmy przyjaciółmi, Gaff. Nie mów tak, bo to nieprawda. I nie chrzań mi o prawie, bo wcale nie o to tu chodzi. Jeśli jesteś taki służbista, na górze właśnie grają. Hazard nadal jest zabroniony, więc możesz od razu przystąpić do egzekwowania prawa. A kiedy skończysz, znajdzie się jeszcze kilka spraw. Mogę ci powiedzieć, kto kradnie skóry z garbarni Tuckera, a także kto je kroci i sprzedaje. Chyba że już wiesz.

A potem możesz się udać do samego starego Tuckera i przyskrznić go za to gównu w rzeczce, przez które chorują wszyscy w okolicy. Możesz zaprowadzić porządek w całym mieście, Gaff. Bądź prawdziwym bohaterem zamiast się uganiać za nieszczęsnymi półgłówkami, takimi jak Billy, których wszyscy mają w nosie, póki biedacy nie wpakują się w jakieś tarapaty.

Gaffney zbladł, słuchając tej tyrady Harry'ego, i cofnąłby się o krok czy dwa, gdyby nie siedział na stołku. Harry dla nadania swoim słowom większej wagi wymachiwał Gaffneyowi tuż przed nosem błyszczącą łopatką, która przypominała oszalałego metalowego ptaka. Wydawało się nie w porządku, by ktokolwiek mówił do stróża porządku takim tonem, ale Gaffney w tym konkretnym przypadku nie wiedział, jak zareagować. Przyszedł, by jakoś załagodzić stosunki z Harrym, a wyszło jeszcze gorzej, niż było. Został źle zrozumiany i tyle.

- Prawo... gównu, nie prawo - wściekał się Harry, chociaż już się trochę uspokoił, wyrzuciwszy z siebie to, co mu leżało na wątrobie. Odłożył łopatkę i wrócił do roboty. - Dla twojego zafajdanego brata Bill to jedynie czek, który przychodzi co miesiąc. Kiedy ostatni raz ten biedak jadł miskę zupy pod dachem jego domu? Kiedy ostatni raz Rory podarował mu parę skarpetek? Dobrze by było, gdyby ktoś zadzwonił do tych ludzi z opieki społecznej i zapytał ich, czy wiedzą, co się dzieje z pieniędzmi, które przysyłają co miesiąc. - Harry powoli znów wpadał w złość. Kawałki wypalonych cegieł spadały na metalowy ruszt, który połyskiwał zło-wrogo poprzez czarny popiół. - Prawo...

- Nie chciałem, żebyś w Święto Dziękczynienia tak się denerwował - powiedział policjant. - Przyszedłem się tu napić kawy i pobyć w twoim towarzystwie.

- Mam nadzieję, że jesteś zadowolony z mojego towarzystwa, bo nie dostaniesz kawy - powiedział Harry, nie odwracając się.

Gaffney, pokonany, zsunął się ze stołka i wyszedł.

Kiedy Harry skończył czyścić ruszt i schował do lodówki łatwo psujące się produkty, zamknął drzwi frontowe i wywiesił za szybą napis ZAMKNIĘTE, a następnie wyłączył światło. Potem wyrzwał przez rolety. Po drugiej stronie Main Street widział przez krótką chwilę żarzącego się czerwono papierosa we wnęce z drzwiami do drogerii. W mroku stali dwaj mężczyźni. Jednym z nich był Gaffney, i Harry domyślał się, kim jest drugi, potężniejszy. Zajęli takie miejsce, by móc widzieć zarówno frontowe drzwi baru, jak i tylne wyjście, prowadzące na zaułek. Harry się uśmiechnął, ujrawszy, jak papieros się rozjarzył, potem przygasł, w końcu upadł na chodnik i został zgnieciony. Wtedy roślejszy z mężczyzn wyszedł na ulicę i podążył Main w kierunku siedziby straży pożarnej.

Wiatr, gwizdzący przez cały dzień, teraz zawodził w przejściu utworzonym przez budynki. Gaffney, stojący w drzwiach drogerii Scallese, postawił kołnierz płaszcza. Harry'emu Saundersowi w barze Mohawk było ciepło.

20

Ostatni raz wszedłeś po tych schodach - powiedziała pani Grouse, kiedy razem z mężem znalazła się na półpiętrze. Właśnie skończyli wspólny świąteczny obiad na górze, u córki. Anna się uparła, że sama coś przygotowuje, i naturalnie wszystko poszło nie tak, jak należy. Dallas jakimś cudem się do nich wprosił, i nie pojawił się, co było dla niego typowe, ale nie zaczęli obiadu, aż wszystko wystygło. Pani Grouse nie pochwałała czekania z posiłkiem na spóźnialskich. Nawet kiedy jej mąż pracował, wiedział, o której godzinie będzie obiad i że lepiej przyjść punktualnie. Kończył pracę o piątej, a obiad stał na stole kwadrans po piątej, nie dwadzieścia po, bo dojście z pracy do domu zajmowało piętnaście minut, a nie dwadzieścia. Od czasu do czasu pani Grouse przymykała oko na spóźnienia wnuka, ale Dallas to dorosły mężczyzna, który nie miał nic na swoje usprawiedliwienie. Powiedziałyby to, ale nie była u siebie, a poza tym zawiniła jej córka, zapraszając go, chociaż doskonale wiedziała, czym to się skończy.

- Nic mi nie jest - powiedział Mather Grouse. On też był zirytowany, ale z innego powodu. - Na litość boską, nie trzymaj mnie pod łokieć.

- Co za pomysł, żeby ci kazać wspinać się po tych schodach, a potem godzinami czekać na coś do zjedzenia. Musiałeś umierać z głodu.

- Jadłem migdały. Jadłem orzechy włoskie. Jadłem jajka faszerowane. Jadłem winogrona.

- To nie obiad.

- Zadała sobie wiele trudu.

- Nie powiedziałam, że...

Znaleźli się u podnóża schodów i skierowali do swojej kuchni. Mather Grouse przepuścił żonę przodem.

- To przestań gderać. Jesteś zła, bo ktoś inny ugotował obiad, a nie ty.

- Czy ktoś słyszał, żeby na Święto Dziękczynienia podawać udziec jagnięcy?

- Smakował mi. Lubię jagnięcinę. Nigdy jej nie przyrządzasz.

- Możesz jeść udziec jagnięcy, kiedy tylko masz ochotę. Wystarczy, że poprosisz.

- Od dwudziestu lat mam na niego ochotę. Ile razy go zrobiłaś?

- Jest taki tłusty.

- Mmmm.

- Zapach unosi się w domu przez kilka dni - powiedziała pani Grouse, otwierając na całą szerokość jedno z okien, chociaż na dworze był przenikliwy ziąb. - Czuć go aż tutaj.

- I bardzo dobrze - oświadczył Mather Grouse, biorąc głęboki oddech. - Lubię ten zapach. Będę jadał na górze, póki wszystkiego nie zjemy. Idź pomóc córce pozmywać. Nic mi nie będzie.

- Tłuste talerze po jagnięcinie. Nigdy się ich nie domyje.

Zmęczony dyskusją i długim popołudniem nie u siebie, Mather

Grouse wycofał się do salonu i usiadł w swoim ulubionym fotelu, po drodze włączając telewizor, by obejrzeć mecz piłki nożnej. Wciąż był zły na Dallasa Youngera. Nie pamiętał, by kiedykolwiek był bardziej zły na swego byłego zięcia, a to już świadczyło samo za siebie. Mather Grouse nie pochwalał stosowania przemocy fizycznej, ale nie wiedzieć czemu zawsze miał ochotę złoić skórę Dallasowi - co było o tyle dziwne, że wiele osób darzył mniejszą sympatią niż Dallasa, a jednak wcale go nie korciło, by im przyłać. Właściwie Dallas nie był złym człowiekiem. Prawdę mówiąc, Mather Grouse nie znał nikogo, kto byłby równie nieszkodliwy jak Dallas Younger. Kiedy teraz się nad tym zastanowił, uznał, że prawdopodobnie dlatego czuł ochotę, żeby go sprać. Gdy się ma do czynienia

z ludźmi z gruntu złymi, nie pomoże im nawet porządne manto, ale może właśnie coś takiego przydałoby się Dallasowi, chociażby dla przywołania go do porządku.

Gdyby się teraz pojawił, istniały poważne szanse, że by oberwał, ale wcale nie od Mathera Grouse'a. Wiedział, że Anna jest wściekła, i wcale jej się nie dziwił. Dobrze by było, gdyby mógł jej to powiedzieć, ale nie potrafił. Od tamtego popołudnia, kiedy wyrwała go ze szponów śmierci, wiele razy chciał jej wyznać, jak bardzo mu brakuje bliskości, która istniała między nimi, gdy Anna była dziewczynką. Wiedział, że to jego wina, ale wiedzieć coś i wiedzieć, jak postąpić, to dwie zupełnie różne rzeczy. Wiedział również, że doszła do wniosku, iż przyczyną ich oddalenia była jego dezaprobata, i nigdy nie wyprowadził jej z błędu. Nie znał żadnego sposobu, by dać jej do zrozumienia, że odkąd zaczęła z dziewczynki przeistaczać się w kobietę, po prostu wywoływała w nim lęk. Nie chodziło tylko o jej kobiecość. Bardziej niż cokolwiek przerażało go, że odziedziczyła wszystkie cechy charakteru po nim, z wyjątkiem powściągliwości, a żadnej po swej matce. Zaczął podejrzewać, że tylko okoliczności mogą ją utrzymać w szachu, wszystkie jej zalety graniczyły z przywarami. Była zbyt dumna, zbyt lojalna, zbyt ambitna, może zbyt ładna. I zbyt wrażliwa, chociaż tylko Mather Grouse to dostrzegał.

Pani Grouse weszła do salonu i z dezaprobatają spojrzała na telewizor.

- Zamierzasz tu siedzieć i oglądać mecz, chociaż wiesz, jak cię to denerwuje?

- Futbol mnie nie denerwuje. Niezbyt lubię piłkę nożną. Denerwuje mnie baseball. A właściwie nie denerwuje, tylko podnieca.

- Nie powinienes się niczym ekscytować.

- Dzięki tobie rzadko mi się to zdarza.

Jedną z przykrzejszych cech egzystencji Mathera Grouse'a były niekończące się dyskusje o tym, co go denerwuje. Od jakiegoś czasu pani Grouse zaczęła traktować niemal wszystko, co sprawiało mu przyjemność, jako potencjalne źródło zdenerwowania. Jakby postawiła sobie za cel, by ostatnie lata jego życia zamienić w jeden długi okres postu. Kiedy się sprzeciwiał, przypominała mu, że sprzeciwianie się denerwuje go.

- Zawołaj chłopaka na dół, jeśli ma ochotę! - krzyknął Mather Grouse za żoną.

Pani Grouse była w drzwiach do kuchni, kiedy rozległ się dzwonek. Marszcząc czoło, spojrzała na zegar ścienny.

- Kto to może być? - zapytała, nim pomyślała. Potem przyszło jej do

głowy, że dzwonek do drzwi o tak późnej porze w Święto Dziękczynienia może oznaczać, że coś się stało jej siostrze, i pośpieszyła z powrotem do salonu. - Kto to? - spytała męża, który nie ruszył się ze swojego miejsca.

- Nie dowiemy się, póki nie otworzysz drzwi. Ktokolwiek to jest, powiedz, żeby sobie poszedł. - Ale prawdę mówiąc, sam był ciekaw.

Schody na ganek zazwyczaj skrzypiały pod ciężarem gości, a tym razem nic nie usłyszał.

Pani Grouse otworzyła drzwi frontowe i spojrzała w mrok. Już doszła do wniosku, że ktoś splątał im głupiego figła, kiedy z ciemności wyłonił się potężny mężczyzna. Mather Grouse nie mógł go widzieć z miejsca, gdzie siedział, ale natychmiast rozpoznał głęboki bas o schlebającym tonie.

- Domyślam się, że pani Grouse? - zapytał Rory Gaffney.

Pani Grouse machinalnie się cofnęła i spojrzała pytająco na męża, który wyraźnie sposepniał. Wystarczyło, że zrobiła jeden krok do tyłu, a mężczyzna stanął w drzwiach, które prawie całkiem wypełnił swoją postacią. Pani Grouse najbardziej rzuciły się w oczy wielkie ręce mężczyzny, co momentalnie nastawiło ją do niego niechętnie. Jej mąż miał małe dłonie, niemal kobiece, i to była jedna z rzeczy, które najbardziej u niego lubiła. Świat był pełen mężczyzn o spuchniętych palcach i kostkach u rąk. Inną odrażającą cechą ich gością były jego brwi, czarne i nastroszone. Przesunął po nich łapskiem.

Rory Gaffney uśmiechał się i kiwał głową, uważnie lustrując salon i każdy przedmiot, który się w nim znajdował, jakby był licytátorem poproszonym o ich ocenę.

- Wygląda dokładnie tak, jak się spodziewałem - powiedział. - Mather Grouse postarałby się właśnie o taki dom dla swoich najbliższych. Pani mąż zawsze na pierwszym miejscu stawiał rodzinę, pani Mather. Nigdy nie grał w totka ani nie chodził na wyścigi. Ani razu przez te wszystkie lata. Niektórym w warsztacie się to nie podobało, ale to nie byli ludzie, dla których rodzina była najważniejsza, pani Mather. Owszem, mieli rodziny, niektórzy nawet większe, niż przypuszczali, ale tacy, jak oni, zawsze znaleźli pięćdziesiąt centów, by postawić na szczęśliwy numerek, albo dolara na totka. Widzi pani, robotnicy w warsztacie zawsze chcieli się trochę rozerwać. Ale nie Mather Grouse. On myślał wyłącznie o swojej rodzinie.

Podenerwowana obecnością mężczyzny pani Grouse była zbyt grzeczna, by mu przerwać, więc nieznajomy ciągnął swój monolog. Za

najdziwniejsze w tym wszystkim uznała to, że mężczyzna mówi do niej, ale jakby wcale nie do niej. Patrzył na nią i z pewnością wyglądało to tak, jakby zwracał się do niej. Ale chociaż stał tyłem do jej męża, pani Grouse czuła, że właściwie mężczyzna mówi do niego i nawet by nie zauważył jej zniknięcia.

- Nie, pani Mather, niektórym się to nie podobało. Niektórzy mówili, że Mather Grouse uważa się za kogoś lepszego, ale ja zawsze twierdziłem, że to dlatego, że rzeczywiście był lepszy od tych facetów i miał prawo tak myśleć, jeśli chciał. Zawsze to powtarzałem, bo to święta prawda.

Mather Grouse nie wstał i kiedy ich gość w końcu odwrócił się w jego stronę i wyciągnął swoje potężne łapsko, z ociąganiem je uściśnął.

- Uścisk dłoni - powiedział Rory Gaffney, nie puszczać ręki Mathera, kiedy ten chciał ją wyrwać. - Jedna z niewielu przyjemności, jakie zostały takim starym ludziom, jak my.

Odwróciwszy się plecami do pani Grouse, zachowywał się, jakby zupełnie o niej zapomniał. Poczula się nagle skrępowana w swoim własnym salonie, którego sporą część zasłaniały szerokie bary mężczyzny w skórzanym płaszczu. Kiedy zakomunikowała, że jeśli nie mają nic przeciwko temu, uda się na górę i pomoże córce zmywać naczynia, mężczyźni jakby w ogóle jej nie usłyszeli.

Ale nie poszła prosto na górę. Sama nie wiedziała, dlaczego najpierw udała się do łazienki i wcale się nie śpieszyła, by z niej wyjść. Umyła ręce w zimnej wodzie i wytarła je dokładnie, próbując zrozumieć własną niechęć do pozostawienia męża sam na sam z tym mężczyzną, który - kiedy się teraz nad tym zastanowiła - nawet się nie przedstawił. Pomimo pięknego, skórzanego płaszcza i szacownego wyglądu w mężczyźnie było coś odpychającego. Kiedy skończyła myć ręce, zgasiła światło w łazience i stała cicho w ciemnych drzwiach, mając nadzieję, że uda jej się podsłuchać rozmowę toczącą się dwa pomieszczenia dalej. Stwierdziła, że w sytuacji, gdy światło w kuchni i łazience jest zgaszone, może bezpiecznie podkraść się i zajrzeć do salonu. Jednak kiedy to zrobiła, czekała ją przykra niespodzianka. Z miejsca, gdzie stała, nie widziała męża, ale nieznamy, rozsiadłszy się na kanapie, na której miała zwyczaj siadywać pani Grouse, patrzył przez ciemną przestrzeń pokoju stołowego na drzwi, więc kiedy pojawiła się w nich głowa pani Grouse, ich spojrzenia się spotkały na ułamek sekundy, nim pani Grouse się cofnęła jak oparzona. Zdenerwowała się, że została przyłapana. Z całą pewnością nie można jej było uznać za niedoświadczonego szpiega, chociaż śledzenie

Mathera Grouse'a nie wymagało szczególnych umiejętności. Jednak ich gość najwyraźniej należał do innego rodzaju ludzi. Poznali się zaledwie pięć minut temu, a jednak przewidział, jak kobieta się zachowa, co rzadko udawało się Matherowi Grouse'owi po czterdziestu kilku latach małżeństwa.

Im więcej pani Grouse o tym myślała, tym mniej wierzyła własnym zmysłom. Najprawdopodobniej mężczyzna wcale jej nie widział. Nie mógł jej widzieć przy zgaszonym świetle w pokoju stołowym, kuchni i łazience; po prostu akurat patrzył w tę stronę.

Pani Grouse miała ogromną ochotę sprawdzić tę teorię, ponownie zaglądając do salonu, ale zabrakło jej odwagi. A co, jeśli zostanie przyłapana drugi raz? Zamiast ryzykować, odwróciła się i spuściła wodę, by usprawiedliwić swoją obecność w łazience, a potem pośpieszyła do ciemnej kuchni, nawet nie patrząc w kierunku salonu. Idąc na górę po schodach, przypomniała sobie tamto popołudnie, kiedy stała skamieniała, podczas gdy jej córka sprawnie zajęła się ratowaniem Mathera Grouse'a. Nie rozumiała, dlaczego nagle przyszła jej na myśl tamta irytująca scena. Chociaż może to dobry pomysł, by posłać córkę na dół, żeby sprawdziła, czy wszystko w porządku. Mimo że pani Grouse była pewna, że wszystko jest jak trzeba.

Jednak to chłopiec zszedł na dół, z radością przekazując babci ścierkę do naczyń, ciekaw, któż to taki odwiedził jego dziadka. Randall natychmiast rozpoznał mężczyznę, którego widział miesiąc wcześniej w parku. Nie podszedł wtedy od razu, ponieważ obaj mężczyźni zdawali się pogrążeni w poufnej rozmowie, i zbliżył się do muszli koncertowej dopiero wtedy, kiedy zobaczył, że potężny mężczyzna się oddala, a jego dziadek zsuwa się z ławki. Mężczyzna znów siedział pochylony do przodu i mówił cicho, poufałym tonem.

- Nie ma pieniędzy - mówił - o ile nie dostaje od kogoś.
- Nie widziałem go od piętnastu lat - powiedział Mather Grouse. Nie patrzył na mężczyznę, wzrok utkwiał w jakimś punkcie ściany nad telewizorem.
- Pomyślałem, że mógł znów zacząć, jak dawniej...
- Nie widziałem go od piętnastu lat - powtórzył Mather Grouse.

W tym momencie potężny nieznajomy zauważył Randalla stojącego w drzwiach. Usiadł prosto i skinieniem ręki zaprosił go do środka, jakby to on, a nie Mather Grouse, był gospodarzem tego domu.

- Babcia prosi, żebyś się nie przemęczał - zakomunikował Randall.

Nie była to ani prawda, ani kłamstwo. Nie powiedziała tego akurat teraz, ale w kółko to mówiła, i był pewien, że właśnie to zamierzała powiedzieć. Rory Gaffney wstał i spojrzął z góry na Randalla.

- Wnuczek! - powiedział z entuzjazmem i wyciągnął swoją wielką dłoń. Randall uścisnął ją krótko, cofając rękę, zanim mężczyzna mógł ją przytrzymać. - Znam twojego ojca, to dobry człowiek, ale ty jesteś bardziej podobny do dziadka. Mały Mather Grouse, jeśli kiedykolwiek taki istniał. Założę się, że jesteś wspaniałym młodzieńcem z zasadami.

Mather Grouse wyraźnie zeszywniał, widząc ich uścisk dłoni.

- Dobry z niego chłopak.

- Naturalnie. Młody Mather Grouse. Mam wnuczkę. Lubisz dziewczyny?

- Niezbyt - przyznał się Randall, pewien, że akurat ta by mu się nie spodobała.

- Nie - powtórzył mężczyzna. - Ale przyjdzie czas. Mam nadzieję, że wtedy złożysz nam wizytę. Dobrze wiedzieć, że moja mała zaprzyjaźni się z młodym Matherem.

- Ma na imię Randall - zauważył Mather Grouse.

- Zapamiętam sobie - powiedział Rory Gaffney. - I wiem, że ty, Mather, też zapamiętasz. Dasz mi znać...

- Tak - potwierdził Mather Grouse, niezbyt dobry kłamca.

Prawdziwe zamiary dziadka były dla Randalla tak oczywiste, że chłopiec nie mógł zrozumieć, dlaczego nieznamy, szykując się do wyjścia, najwyraźniej zdaje się usatysfakcjonowany tą odpowiedzią. Kiedy Randall zamknął za nim drzwi, Mather Grouse zaczął wstawać z fotela, ale potem się rozmyślił. Wziął inhalator z podręcznego stolika. Wnuk mu się uważnie przyglądał.

- Dobrze się czujesz, dziadku?

Mather Grouse skinął głową i zamknął oczy.

- Chcesz, żebym zawołał mamę?

- Nie - powiedział z mocą jego dziadek. - Wyjrzyj przez okno i powiedz mi, gdzie on jest.

Chłopiec zrobił, o co go poproszono.

- Poszedł sobie.

- Sprawdź dokładnie.

- Nie ma go.

Mather Grouse pokręcił głową.

- Idź do sypialni. Nie zapalaj światła.

- Dobra - powiedział Randall, podniecony całą tą przygodą.

Kiedy wrócił kilka minut później, oczy miał okrągłe ze zdumienia. Jego dziadek pokiwał głową, kiedy chłopiec mu oświadczył, że mężczyzna wcale sobie nie poszedł. Randall zobaczył go tuż obok domu, jak na czworakach próbuje zajrzeć przez małe, brudne okienko do ciemnej piwnicy.

21

Policjanta nie było nigdzie widać, kiedy Harry zamknął drzwi frontowe baru i wyszedł na ulicę, schowawszy pod płaszczem aluminiową formkę z indykiem i dodatkami, żeby nie wystygł. Samochód zostawił w połowie kwartału. Ruszył prosto do domu zwykłą trasą, co chwila spoglądając w tylne lusterko. Kiedy się upewnił, że nikt go nie śledzi, zawrócił i zaparkował na Hospital Hill, naprzeciwko starego szpitala imienia Nathana Littlera. Cały gmach, nie licząc izby przyjęć, spowijały ciemności, potłuczone szkło chrzęściło pod butami, kiedy sapiąc, wspinał się pod górę. Udał się na tyły budynku, cały czas próbując wymyślić jakieś zgrabne wytłumaczenie, co tu robi, gdyby go ktoś przyłapał, jak o dziesiątej wieczorem w Święto Dziękczynienia zakrada się do opustoszałego skrzydła szpitala, przeznaczonego do rozbiórki. Nim dotarł na drugie piętro, zupełnie mu zabrakło tchu.

Szalony Bill Gaffney siedział w swojej kurtce, wygodnie oparty o ścianę pod tabliczką ostrzegającą kobiety ciężarne przed potencjalnym zagrożeniem, jakie stanowią prześwietlenia rentgenowskie. Z boku Harry wyglądał tak, jakby ta przestroga odnosiła się do niego, przynajmniej póki nie wyjął spod płaszcza foremki. Wręczył ją Szalonemu Billowi, który gapił się na brzuch swego przyjaciela, odkąd mężczyzna przystanął na szczycie schodów, sapiąc głośno. Harry odzyskiwał oddech, a Szalony Bill w tym czasie głośno pałaszował jedzenie.

- Nie śpiesz się tak - powiedział Harry. - Pochorujesz się.

Szalony Bill próbował zwolnić tempo, ale stwierdził, że nie potrafi. Zbyt długo czekał na jedzenie i za bardzo się cieszył na jego widok. Najwyraźniej generalnie był szczęśliwy.

Harry przyglądał mu się krytycznie. Miał ogromną ochotę zrobić coś takiego, co zepsułoby humor Billowi. Szalony Bill nie miał powodów do zadowolenia, przynajmniej Harry'emu nie było o tym wiadomo.

Szalony Bill zauważył, że Harry przygląda mu się uważnie, i radośnie wyszczerzył zęby.

- Żyje - powiedział.

- Tak, żyje. No i co z tego?

Szalony Bill energicznie pokręcił głową.

- Ano - powiedział, nim znów skupił całą uwagę na aluminiowej formie.

- Ano co?

Szalony Bill z zapalem skinął ręką. Harry pokręcił głową.

- Wiesz, że brak ci piątej klepki? Przez cały tydzień powtarzasz „ano”, ale nigdy nie kończysz cholernego zdania. Ano co?

Szalony Bill gapił się głupio na Harry'ego, aż ten, doprowadzony do rozpacz, poddał się.

- Musimy ci znaleźć lepszą kryjówkę. Niedługo budynek szpitala zrównają z ziemią. A poza tym robi się cholernie zimno.

Szalony Bill wygarniał palcem sos z foremki i nie wyglądał na specjalnie tym przejętego. Harry przyglądał mu się i po raz pierwszy zrozumiał, dlaczego niektórzy ludzie lubili Billowi dokuczać. Sam z przyjemnością dałby mu teraz kuksańca.

- Ano - powiedział Bill.

Harry potarł skronie, starając się nie stracić panowania nad sobą.

- Wiem. Ano. Ciągle ano. Bądź tak dobry i posłuchaj mnie przez chwilę. Niech diabli wezmą ano, posłuchaj mnie.

Szalony Bill nagle zrobił taką żalostną minę, że Harry urwał. W ciemnościach Harry nie widział łysych placków na głowie ani wymizerowanej twarzy Szalonego Billa, który - skulony pod ścianą - trochę mu przypominał nastolatka. I dopiero wtedy Harry doznał olśnienia. Nigdy wcześniej nie brał pod uwagę takiej ewentualności, i to było wstrząsające odkrycie. Usiadł obok swojego przyjaciela i położył mu rękę na kościstym kolanie.

- Ano - powtórzył Harry, tym razem łagodnie. - Powiedz no mi, Bilty, czy ty się przypadkiem nie zakochałeś?

22

Dallas bardzo szybko przegrał pięćdziesiątkę pożyczoną od Harry'ego. Ale miał szczęście, ponieważ akurat wtedy pojawił się Benny D'Angelo, właściciel komisji samochodowego Pontiac, w którym pracował Dallas.

Nie musiał więc pożegnać się z kumplami, tylko pożyczył następną pięćdziesiątkę od swojego szefa i mógł dalej grać, przekonany, że karta się odwróci, przynajmniej pod pewnymi względami. Benny D., gdy był trzeźwy, należał do wyrachowanych ludzi interesu z węzłem w kieszeni; ale kiedy sobie popił, robił się z niego równy gość. Na ogół był z niego równy gość. Przyjaźnili się z Dallasem od liceum. Kiedy jeszcze żył starszek Benny'ego D., pracowali razem na budowach w Albany, a także w tak odległych miejscowościach, jak Poughkeepsie i Binghampton. Starszek nigdy nie powiedział dobrego słowa o swym synu marnotrawnym, więc wszyscy się zdziwili, gdy zostawił Benny'emu D. interes, chociaż przez lata się zarzekał, że prędzej go puści z dymem. Najbardziej zaskoczony był sam Benny D. I gest ojca uczynił z niego fatalistę. „Spójrz tylko na nas - lubił mówić do Dallasa. - Trzy lata temu miałem gówno. Teraz mam wszystko i mogę szastać forszą. Ty trzy lata temu miałeś gówno i nadal masz gówno. Kto by to przewidział?”. Dallas musiał przyznać, że nie potrafi tego zrozumieć. Karta nadal mu nie szła. Ciągłe przegrywał, ale za każdym razem, gdy się podnosił, by wyjść, Benny D. rzucał mu pieniądze przez stół przykryty zielonym suknem. Przez jakiś czas Dallas dokładnie liczył, ile jest winien szefowi, ale kiedy doszedł do dwustu dolarów, machnął ręką. Zresztą i tak wygrywał Benny D., niemal w takim samym tempie, w jakim Dallas tracił, więc nikomu nie działa się krzywda. Benny przyniósł ze sobą dwie butelki dobrej szkockiej, które krążyły wokół stołu, zatrzymując się na dłużej jedynie przed Bennym D. i Dallasem. W miarę upływu czasu alkohol nastroił Dallasa melancholijnie. Zaczął mówić o swoim bracie.

- Kogo to obchodzi? - powiedział w końcu jeden z graczy. - Umarł i został pochowany. Lepiej zajmij się grą.

- To niesprawiedliwe - zauważył Dallas.

- Racja - poparł go Benny D. Popijał szkocką od wczesnego popołudnia i widział wszystko ze zdumiewającą jasnością. - Nie ma sprawiedliwości - powiedział. - Jest przeznaczenie. - Powiedziawszy to, usnął, broda opadła mu na piersi, w rękę zawzięcie ścisnął karty, które - jak się okazało - zapewniały mu wygraną.

- Trzecia - odezwał się jeden z graczy, mocno zdegustowany. - Siedzimy tu siedem godzin i wyszedłem na zero.

Zaczęło się ogólne podliczanie i okazało się, że wszyscy przy stoliku wyszli mniej więcej na zero z wyjątkiem Benny'ego D., który swoją znaczną wygraną zawdzięczał wyłącznie pechowi Dallasa. Dalsza gra wydawała się pozbawiona sensu i towarzystwo się rozeszło. Zostawili

Benny'ego D., tam gdzie usnął, jego szerokie czoło spoczywało teraz wygodnie na stole.

O trzeciej nad ranem na Main Street było tak cicho, że Dallas słyszał, jak na następnym skrzyżowaniu zmieniają się światła z czerwonego na zielone. Stwierdził, że nie ma nic smutniejszego na świecie, szczególnie, kiedy człowiek jest w takiej chwili zupełnie sam. Cóż takiego uczynił, że zasłużył na taki los? Przypomniał sobie Annę i że nawet do niej nie zadzwonił, by powiedzieć, że nie przyjdzie. Może to właśnie dlatego. Powinien zadzwonić, teraz było jednak za późno, a poza tym sygnalizacja świetlna już go pokarała. Nigdy nie był mile widziany w domu Grouse'ów, o nie. Czuje się, kiedy człowiek jest mile widziany, a jedynym miejscem, gdzie Dallas to czuł, był dom jego brata. Najporządniejszego człowieka pod słońcem, który się nigdy nie upił, nigdy nie zagrał w pokera, nigdy nie uganiał się za spódniczkami, nigdy w życiu nie złapał trypra. Ale umarł. I teraz nie ma miejsca na całym świecie, gdzie Dallas byłby naprawdę mile widzianym gościem.

Przy Four Corners skręcił na północ, w stronę cmentarza, użalając się nad swym bratem, którego tam pochowano, a jeszcze bardziej nad sobą. Na dobrą sprawę to on powinien już gryźć ziemię, chociażby dlatego, że nikomu by go nie brakowało. Z całą pewnością nie jego byłej żonie, a i synowi, który nigdy nic nie mówił, najprawdopodobniej też nie. Urwały się nawet mocne przyjaźnie z lat młodości. Jeśli kiedykolwiek widywał Dana Wooda, to tylko przypadkiem. Dan po ślubie z Dianą dorobił się i przeprowadził do domu przy Kings Road. Zresztą przyjaźnili się z Anną, więc do diabła z nimi, doszedł do wniosku Dallas. Trzeba przyznać, że życie nie obeszło się łaskawie z Danem, podobnie jak z masą ludzi. Może łaskawiej, niż z nim, ale i tak dość wrednie. Jeszcze zanim doszedł do tego wniosku, Dallas wiedział, że nie jest ze sobą do końca szczerzy, zachowywał się tak tylko po pijanemu. Rano nie potrafi znaleźć zbyt wielu ciemnych stron w swoim życiu, zakładając, że wciąż będzie miał swoją sztuczną szczękę. Ale z jakiegoś powodu te napady chandry były dla niego ważne i znosił je jak niektórzy ataki migreny.

Cmentarz był zamknięty, otaczało go wysokie ogrodzenie z żelaznych, ostro zakończonych sztachet. Dallas wdrapał się na nie z małpią zwinnością, jak to potrafią tylko lekkomyślni pijacy. Chociaż kiedy poczuł jeden z zimnych, żelaznych prętów, ocierający się o pachwinę, podjął ważną decyzję. Położył kres własnej bezsensownej egzystencji i dołączył do swego brata w grobie. Jeśli nie ma sprawiedliwości na tym świecie, nie ma

Boga, który by nie pozwalał, żeby dobrzy i porządni odchodzili w kwiecie wieku, a grzesznicy dalej żyli, to on pokaże, co to jest sprawiedliwość. Właśnie tej nocy, zanim wytrzeźwieje i przypomni sobie, że wcale nie chce umierać.

Grób Davida był w nowej części cmentarza, ale Dallas przeszedł przez ogrodzenie na przeciwnym końcu, co oznaczało, że musi odbyć podróż od przeszłości do teraźniejszości. Alejka w starej części wiała się wśród wysokich dębów, sterczących ku niebu i przesłaniających gwiazdy. Noc była bezchmurna, wiatr w końcu ucichł. Dwustuletnie nagrobki pochyły się w różne strony. Dallas nie miał ochoty czytać, co było na nich wypisane. Anna to lubiła. Mogłoby to być ciekawe, gdyby autorami epitafiów byli ci, którzy spoczywali w grobach, bo żywi nie mieli nic ciekawego do powiedzenia o zmarłych. W miarę jak Dallas zbliżał się do nowszej części cmentarza, pomniki stały coraz równiej, a przez nagie gałęzie mniejszych drzew zaczęły migotać gwiazdy. W końcu nagrobki zupełnie zniknęły, co wiązało się ze zmianą obyczajów. Tablice, leżące płasko na ziemi, były z alejki niewidoczne.

Ale Dallas wiedział, gdzie jest pochowany jego brat, i trafił bezbłędnie. Wzruszenie ścisnęło mu gardło. Zobaczył świeży bukiet kwiatów, co znaczyło, że była tu Loraine, prawdopodobnie ostatniego popołudnia. Pachniały korzennie, trochę jak sama Loraine. Nadal jestem mile widziany w domu mojego brata, pomyślał Dallas. Nawet o takiej porze nie zostałem odprawiony z kwitkiem. Po tym wniosku szybko wyciągnął jeszcze dwa - że człowiek nie powinien odbierać sobie życia, jeśli jest nadzieja, że gdzieś jest mile widziany, oraz że ma zobowiązania wobec swojej bratowej, zobowiązania, które mogą mu poprawić humor. Dallas obiecał bratu, że zaopiekuje się Loraine i jej dzieckiem. Jak może w ogóle myśleć o samobójstwie, kiedy w domu Davida jest tyle do zrobienia, a jego bratowa rozgląda się za pracą? Właściwie wcale nie zamierzał się zabić, ale uświadomienie sobie, że nie jest do tego moralnie zobowiązany, sprawiło mu ulgę.

Najpierw musi pójść do Loraine i powiedzieć jej, żeby się nie martwiła. Naprawi rury, wymieni instalację elektryczną, zaizoluje górę, pomaluje cały dom. Dallas ułożył sobie to wszystko w głowie, idąc z powrotem alejką. Znów przegramolił się przez ogrodzenie. Ponieważ do domu brata było przynajmniej półtora kilometra, zaczął biec. Potem przyszedł mu do głowy jeszcze lepszy pomysł i Dallas zmienił trasę. Piętnaście minut później znalazł się przed domem Grouse'ów. Mimo zimna był spocony i zasapany. Kiedy biegł, z ust wydobywał mu się

obłoczek pary. Ziemia wokół ganku wysypana była żwirem, Dallas wziął całą jego garść. Rozległ się głośny brzęk szyby w oknie sypialni na piętrze, należącej do jego byłej żony. Po chwili zapaliło się światło i pokazała się Anna. Na jej widok Dallas nieco stracił rezon. Mimo wewnętrznego przekonania, że właśnie w tym momencie dokonuje się zasadniczy przełom w jego życiu i że z czasem Anna zrozumie znaczenie tej chwili, jej uroda nadal była porażająca i ogarnął go lęk, tak jak wtedy, kiedy byli małżeństwem, później zresztą też. Gdy otworzyła okno, część szyby, która pękła od uderzenia kamykami, spadła z wysokości pierwszego piętra i roztrzaskała się na podjeździe.

- Przepraszam... - zaczął, zaskoczony dziwnym brzmieniem własnego głosu.

- Obiad był wczoraj, Dallas. Odejdź.

Najlepiej było zignorować jej słowa.

- Wszystko przemyślałem - powiedział wyraźnie podniecony. - Zaczęń postępować słusznie. Od dzisiaj. Od zaraz.

- Czytałeś Dickensa?

Zdecydowanie lepiej nie zwracać uwagi na jej słowa. Jej uwagi zawsze były pozbawione sensu.

- Czy możesz załatwić pracę dla Loraine?

- Dla jakiej Loraine?

- Dla mojej bratowej, dla kogo, jak nie dla niej?

- Piłeś?

- Tak. No więc możesz?

- Dallas...

- Proszę. Nie będę ci już więcej zwracał głowy. Nigdy.

- Nie rozśmieszaj mnie. Naturalnie, że będziesz. Wszystkim zawracasz głowę.

- Jeśli zgłosi się do warsztatu, znajdziesz coś dla niej?

- Nie wiem. Może.

- Świetnie. - Dallas się odwrócił, by sobie pójść. - Dobranoc.

Z tyłu dobiegł go głos jego byłej żony.

- Zawiodłeś dzisiaj swojego syna.

Dallas pokręcił głową.

- Nie. Nie zależy mu na mnie. A bardzo bym tego chciał.

- Może bardziej polubi ciebie odmienionego.

Dallas nie pomyślał o tym i jeszcze bardziej się ucieszył.

- A na razie jesteś winien mojemu ojcu za nową szybę. Czy ma tym obciążyć twój rachunek?

- Tak. Znaczy się, jestem winien. Wiesz, że nigdy nie wyjdiesz ponownie za mąż?

- Dziękuję, że mi o tym powiedziałaś. - Okno zamknęło się z trzaskiem, resztki szyby posypały się na ziemię, potem zgasło światło.

Okruchy wybitej szyby upadły obok niego. Dallas nadal był podniecony, ale stan euforii wywołanej alkoholem zaczął mijać, więc zrezygnował z biegu i całą drogę do domu Loraine szedł spacerkiem. Mimo pory - zbliżała się czwarta nad ranem - w salonie paliło się światło. Właściwie świecił się włączony telewizor, chociaż program dawno się skończył. Loraine natychmiast otworzyła mu drzwi i wcale nie była zaskoczona jego widokiem.

- Wejdz - powiedziała. - Zdaje się, że Święto Dziękczynienia trwało trochę dłużej, niż zakładałam.

W pierwszej chwili Dallas wziął to dosłownie. Była uczesana, miała na sobie bluzkę ze szczypankami, spódnicę i szpilki. Była trochę podchmielona. Ale w pokoju nie widział nikogo poza nią, a na starym, zniszczonym stoliku okolicznościowym stał tylko jeden kieliszek.

- Wszystko przemyślałem - oświadczył Dallas.

- W takim razie zachowaj wnioski dla siebie - oświadczyła Loraine. - Ja wciąż jeszcze próbuję dojść do ładu. Utknęłam na samym początku. Nie odbieraj mi całej przyjemności.

Czy z kobietami zawsze musi tak być? - pomyślał Dallas. Dlaczego nigdy nie słuchają? Czy zawsze muszą mówić takie rzeczy, których nikt nie jest w stanie zrozumieć?

- Pozwól mi tylko... - zaczął.

Ale nie dokończył. Loraine zrobiła najdziwniejszą rzecz, jaka kiedykolwiek spotkała go ze strony kobiety. Zamiast mu pozwolić pomóc jej, zamiast mu pozwolić powiedzieć o tym, spoliczkowała go. I to mocno, tak mocno, że aż otrzeźwiał.

- Czuję się paskudnie, Dallas. Nie widzisz, że czuję się paskudnie?

- Chciałem ci przekazać dobrą wiadomość - powiedział słabo Dallas, nagle niepewny, czy cokolwiek, co ma do zakomunikowania, to dobra wiadomość. Anna miała rację. Jego przeznaczeniem jest zawracanie ludziom głowy. Jeśli te wszystkie lata czegokolwiek go nauczyły, powinny go nauczyć, by słuchać Anny, kiedy mówi takie rzeczy.

- Nie chcę żadnych dobrych wiadomości - oznajmiła Loraine. - Chcę się czuć paskudnie. Nie rozumiesz tego?

- Rozumiem.

- Tylko tak mówisz. Nie jesteś wystarczająco bystry, by sam się czuć paskudnie, ani nawet zrozumieć, kiedy ktoś inny tak się czuje.

Dallas uznał, że to niesprawiedliwe, szczególnie że tak niedawno sam się paskudnie czuł. Nawiązując do podłego nastroju, powiedział:

- Widziałem kwiaty... - Przez chwilę bał się, że Loraine znów go uderzy.

- Zamknij się - powiedziała cicho. - Chociaż raz w ciągu całego swojego durnego życia nie bądź frajerem. David cię ubóstwiał, ale miał rację. Prawie pod każdym względem jesteś głupi jak but.

Przypominało to uwagi wygłaszane przez Annę i Dallas pomyślał, że Loraine prawdopodobnie ma rację. Jednakże czuł się zbity z tropu. Nie tym, co powiedziała, ale sposobem, w jaki to zrobiła. Powiedziała to cicho i smutno. Nie zrozumiał, póki się do niego nie przysunęła.

- Chociaż raz nie bądź taki tępy - powiedziała. Jej oddech miał zapach piżma, jak kwiaty na grobie męża. - Bądź zwyczajnie dobry.

Był zbyt zaskoczony i wystraszony, by oddać Loraine pocałunek, kiedy go pocałowała. Ale wiedział, że nie wolno mu jej odepchnąć. Może nie jest bystry, ale tej jednej rzeczy był pewien. Jak zwykle, pomyślał, akurat wtedy, kiedy wszystko sobie przemyślałem, okazuje się, że ma być nie tak. Niczym w kartach, zawsze wypadnie coś, na co się nie liczy. Zazwyczaj coś złego. Fart, na który się nie liczy, to było dla niego coś nowego. Jeśli to był fart. Im dłużej Loraine go całowała, tym usilniej się nad tym zastanawiał. Tak czy inaczej, nie znaczy to, że nie może pomalować domu i naprawić rur, jeśli zechce. Później jej powie o swoich zamiarach. „Scrooge!” - olśniło go nagle i zrozumiał sens wcześniejszej uwagi swojej żony. Przyjemnie było domyślić się, o co jej chodziło, nawet z pewnym opóźnieniem.

23

W pierwszą niedzielę po Święcie Dziękczynienia Anna Grouse oświadczyła rano matce, że nie pójdzie do kościoła.

- A czemuż to? - spytała pani Grouse. Kiedy jej córka milczała, pani Grouse odezwała się pojednawczo: - Chodzi mi o to, że jeśli jesteś chora...

- Wiem, o co ci chodzi, mamó. Nie jestem chora. Zawiozę cię i Randalla.

- Nie ma mowy. Natychmiast wracaj do ciepłego łóżka, jeśli...

- Na dworze jest tylko plus cztery.

- Phi! To zaledwie kilka przecznic.

Jeszcze jakiś czas walcowały ten temat, pani Grouse przynajmniej dla zachowania pozorów, bo twardo nie dopuszczała do siebie myśli, że jej córka wcale nie jest chora. W głębi duszy dobrze wiedziała, o co w tym wszystkim chodzi. Jej córka nigdy nie była gorliwą katoliczką. Chodziła na mszę tylko przez wzgląd na chłopca, który zaczynał zdradzać, jak się tego obawiała pani Grouse, wiele niepokojących cech. Przypominał matkę, kiedy była w jego wieku. Nieraz już oświadczył, że kazanie nie miało sensu. Pani Grouse nadzwyczaj kochała swego wnuka, ale była zdania, że staje się zbyt zarozumiała, a jego matka stanowiła żywy dowód, do czego to może doprowadzić, kiedy takich skłonności nie zdusi się w zarodku.

Im dłużej myślała o niespodziewanym wymówieniu się córki od pójścia na mszę, tym większego nabierała przekonania, że Anna zamierza dopaść swego ojca i poruszyć jakiś zakazany temat. Ostatnio pani Grouse zdwoiła czujność, chroniąc męża przed wszystkim, co mogłoby go zdenerwować. Szczególnie pilnowała, by nigdy nie zostawiać Anny sam na sam z Matherem Grouse'em, żeby córka przypadkiem nie zaczęła mówić o butli tlenowej czy na jakiś inny temat, który wywołałby u jej męża nadmierny entuzjazm. Ta ostatnia zagrywka Anny była nie fair, ponieważ zmuszała panią Grouse do rezygnacji z chrześcijańskiego obowiązku, aby mogła strzec ogniska domowego.

W samochodzie z ponurą miną wygładzała białe rękawiczki i zacisnęła usta w sposób świadczący o tym, że uważa los za wielce niesprawiedliwy.

- Twój ojciec miał kolejną złą noc - powiedziała, kiedy Anna zwolniła. Przed kościołem zawsze robił się korek, gdy starsi parafianie wysiadali z samochodów i przechodzili przez jezdnię. - Oboje nie zmrużyliśmy oka.

Anna wrzuciła na luz, by przepuścić starszą panią, która straciwszy nagle orientację, rzuciła się w złą stronę, a następnie została cofnięta i skierowana we właściwym kierunku.

- Czwarta noc z rzędu - ciągnęła matka. - Może pod naszą nieobecność uda mu się trochę zdrzemnąć.

Anna coś mruknęła pod nosem, ale pani Grouse wiedziała, że nie można tego traktować jak obietnicy.

- To pora, kiedy może być sam... - ciągnęła.

Ale akurat dojechali do przejścia. Randall wysiadł i przytrzymał drzwiczki babci, lecz pani Grouse wyraźnie się ociągała. Z tyłu rozległ się klakson.

- Przyjadę po was za godzinę - powiedziała Anna.
- Może wrócimy na piechotę.
- Przyjadę po was.
- Może wejdiesz do środka. Skoro już tu jesteś i wszyscy...
- Nie, mam. Dziękuję.

Nie pozostawało nic, jak tylko wysiąść, co też pani Grouse uczyniła.

- Pomodlimy się za nią - zwróciła się do wnuka. - Prawda?
- Pewnie - zgodził się Randall. - Czemu nie?

Mather Grouse rzeczywiście drzemał, kiedy Anna wróciła, ale natychmiast się obudził z miną winowajcy. Kaznodzieja w telewizji gestykulował zapamiętale, ale nie było słyhać, co mówi. Zdaniem Anny, ojciec bardzo się postarzał w ciągu ostatniego roku, a nawet od października. Klatka piersiowa mu się zapadła, a brak ruchu sprawił, że brzuch obwisł. Bardziej przypominał mężczyznę dobrze po siedemdziesiątce niż sześćdziesięciokilkuletniego. Skórę na szyi miał bladą i przezroczystą.

- Śpij dalej - zwróciła się do niego delikatnie; zdanie jej matki o tym, jak się rzeczy mają, wydało jej się nagle zbyt prawdziwe i precyzyjne, by je zlekceważyć. Jej ojciec jest chorym człowiekiem i nie powinna mu zwracać głowy.

- Nie - odparł stanowczo. - Sen to rzecz przereklamowana. Czy zauważyłaś kiedyś, jak bardzo jest zalecany ludziom, którzy powinni się obudzić, co mógłby z łatwością stwierdzić każdy półgłówek?

Anna się uśmiechnęła i przypomniała sobie, że kiedy była dziewczynką, zawsze mówił takie rzeczy. Jeszcze na długo przedtem, nim zrozumiała sens słyszanych słów, podziwiała ich brzmienie oraz to, że jej ojciec potrafi tak mówić, a oprócz niego nikt, kogo znała.

Matherowi Grouse'owi najwidoczniej to też się spodobało.

- Ciekaw jestem, czy gdzieś to przeczytałem, czy też sam wymyśliłem. Powinienem zapisać na wypadek, jeśli to jednak moje własne.

- Brzmi jak twoje.

- Nie wiem. Jestem podejrzliwy.

Teraz, kiedy się obudził, widziała, że jest w dobrym humorze, więc usiadła.

- Przyjemnie porozmawiać tak tylko we dwójkę. Dlaczego tego nigdy nie robimy?

- Bo to zabronione.

Anna zmarszczyła czoło. To prawda, że często sama w podobny sposób obwiniała matkę o różne rzeczy, ale otwarta krytyka, wyrażona przez

ojca, wydała jej się czymś niesprawiedliwym. Pozwalał żonie wiercić sobie dziurę w brzuchu, zawsze jednak dawał jej do zrozumienia, kiedy ma dosyć. I z chwilą, gdy to do niej docierało, przestawała.

- To nie fair winić mamę. Moglibyśmy to robić, gdybyśmy chcieli.
- Chyba kiedyś przestaliśmy i nigdy nie zaczęliśmy na nowo.
- To zacznijmy teraz. Jeśli nie potrzebowaliśmy powodu, by przestać, niepotrzebny nam powód, by znów zacząć.

Ojciec miał wątpliwości, ale się nie sprzeciwił.

- Czy możemy wyłączyć naszego przyjaciela? - spytała, wstając z kanapy i nacisnęła guzik. Na moment twarz pastora zrobiła się bardzo chuda, a potem zniknęła, zostawiając ojca i córkę tak przeraźliwie samych, że natychmiast zapragnęli jego powrotu.

- Otwieramy nowy magazyn - powiedziała, przybierając zwykły ton.

Mather Grouse pokiwał głową.

- Znowu w Nowym Jorku?

- Na przedmieściach. Właściwie w Connecticut. Zamierzają dużo wynajmować.

- Więcej zarobisz.

- To oznacza znacznie większe pieniądze. Chcą, żebym przynajmniej uruchomiła magazyn. Potem mogę zostać, jeśli będę chciała. Tutaj się marnuję.

- Przypominam sobie, że to samo mówiłaś, kiedy miałaś czternaście lat.

- Chyba wciąż mam wątpliwości. Chociaż tym razem innego rodzaju. Boję się jednak nie wyjechać. Byli cierpliwi, ale wiem, jak funkcjonuje firma. Raczej wolą w końcu człowieka wyrzucić niż nie móc mu mówić, co ma robić.

- Może mają na uwadze twoje dobro.

Nagle Annie zebrało się na płacz. Jak zwykle ojciec unikał jej wzroku. Nie przypominała sobie, kiedy ostatni raz naprawdę na nią patrzył. Na dobrą sprawę mógł nadal widzieć oczami duszy siedemnastoletnią dziewczynę, kiedy słuchał jej głosu. Jaki byłby zaskoczony, gdyby w końcu odważył się na nią spojrzeć.

- Chyba miałam nadzieję, że spróbujesz mnie odwieść od tego zamiaru.

- Nie - powiedział, wciąż wpatrując się tęsknie w ciemny ekran telewizora. - Nigdy nie uważałem twojego powrotu za rozsądny krok.

Anna poczuła nagle, że nie może głęboko odetchnąć.

- Zrobiłam to dla ciebie...
- Nieprawda - przerwał jej. - Wiem, co do mnie czujesz, i jestem ci... wdzięczny. Ale nie wróciłaś z mojego powodu.

- Wobec tego dlaczego? - Czekala, aż stało się jasne, że jej ojciec nie ma zamiaru mówić na ten konkretny temat.

I nagle milczenie uczyniło ich rozmowę bezprzedmiotową. Jeśli chodzi o siłę woli, zawsze dorównywała ojcu, ale dochodzili do celu innymi drogami, Anna działając, Mather Grouse - biorąc na przeczekanie. Jeśli chodzi o cierpliwość, nie była dla niego partnerem. Nie mogła nawet marzyć o tym, by czuć się tak dobrze, jak on, przemilczawszy coś.

- Poza tym chodzi jeszcze o Randalla. Myślę, że zaczynamy się od siebie oddalać. Kiedyś byliśmy bardzo ze sobą zżyci, ale ostatnio coraz mniej go rozumiem. Wiem, że nie znosi szkoły, i wątpię, by się uczył czegoś nowego. Szkoły w Connecticut z pewnością są lepsze.

- Nie martwiłbym się o niego zbyt. Nic złego nie może spotkać dobrego chłopca z wyjątkiem tego, że wydorosłeje. A wydorosłeje bez względu na to, gdzie zamieszkacie.

- Niechętnie go stąd zabiorę.

- Będę za nim tęsknił.

- A za mną?

Mather Grouse milczał przez chwilę.

- Też. Ale będę zadowolony, że jesteś w Connecticut. Ludzie czasem są lojalni aż do przesady. Niekiedy poświęcają całe swoje życie złej sprawie.

Tym razem Anna odwróciła wzrok, bojąc się, że ojciec obierze sobie tę szczególną chwilę, by spojrzeć jej w oczy. Nie rozmawiali o Danie Woodzie od pamiętnego wieczoru sprzed piętnastu lat, kiedy oświadczyła ojcu, że zgodziła się poślubić mężczyznę, którego ani nie kocha, ani nie szanuje, oraz że kocha narzeczonego swojej kuzynki.

- W takim razie wiesz, jak bardzo go wciąż kocham.

- Tak. Znam cię.

- Nawet tobie nigdy nie uda się mnie przekonać, że kochać kogoś to coś złego.

- A jednak tak jest. Ponieważ póki go kochasz, będziesz czekała na śmierć swojej kuzynki.

Surowość tych słów nie zaskoczyła jej; Mather Grouse zawsze był zdolny do okrucieństwa. Pokręciła głową.

- Jest jeszcze gorzej. Czasem się zastanawiam, czy nie czekam na jego śmierć.

- Czy nie byłoby lepiej zostawić go w spokoju?

- Tak... tak. Tylko że przez długi czas zmuszałam się do tego, by w jego przypadku zadawała się absolutnym minimum. Rzadko go widuję i prawie z nim nie rozmawiam tak naprawdę, chyba że w myślach. Od czasu ich ślubu nigdy nie zrobiłam nic, co Dan mógłby odebrać jako najmniejszą nawet zachętę z mojej strony, by zdradził żonę. Wszystko, o co prosiłam, to możliwość spotykania go od czasu do czasu, słuchania, jak mówi, świadomość, że jest blisko. Chciałabym, żeby ktoś mi wyjaśnił, dlaczego powinnam zrezygnować nawet z tej odrobiny.

- To jak z monetą pensową na chodniku. Nie należy do ciebie bez względu na to, jak bardzo jest ci potrzebna.

Anna już nie była w takim płaczącym nastroju. Od dawna potrzebny jej był ktoś, komu mogłaby się wytłumaczyć. Teraz znalazła się w innym świecie, gdzie nie istnieją lzy.

- Przeczytałeś to gdzieś czy sam wymyśliłeś?

- Tym razem to moje własne. Jestem tego niemal pewien.

Anna wzięła głęboki oddech, wiedząc, co powie. A kiedy już padną te słowa, nie będzie odwrotu.

- W takim razie wyjadę. Chciałabym tylko mieć trochę satysfakcji z tego, że postępuję słusznie. Albo siły. Czegokolwiek.

- Zawsze byłaś wystarczająco silna - powiedział jej ojciec. - Nigdy nie wiedziałem, po kim to odziedziczyłaś.

- Po tobie, naturalnie.

Ich spojrzenia niemal się spotkały.

- Nie - powiedział z takim naciskiem, że Anna aż się przestraszyła.

Jej ojciec nigdy nie umiał prawić komplementów: nie znosił kłamstw, a prawdą czuł się zażenowany. - Matka będzie czekała - powiedział, z nim zdążyła poprosić o wyjaśnienie, którego nie zamierzał jej udzielić.

24

Chłopcy w gimnazjum imienia Nathana Littlera słyszą na trzeciej lekcji ciężki sprzęt, z trudem forsujący zbocze Hospital Hill, i ogarnia ich rozpacz, że rozbiórka budynku zakończy się przed przerwą obiadową. Co odważniejsi postanawiają się urwać z czwartej lekcji, przechodzą pod barierką na końcu alejki i wdrapują się na wzgórze od strony zaplecza szpitala. Potem wspinają się na drzewa rosnące na końcu drogi dojazdowej dla

karetek pogotowia. Pozostali chłopcy dołączą do nich podczas przerwy południowej, do tego czasu modlą się, by jeszcze cokolwiek zostało z budynku, albowiem odczuwają nieprzepartą tęsknotę, by obejrzeć od dawna zapowiadaną rozbiórkę. Chcą być świadkami, jak stalowa kula rozbija cegły i zaprawę. Wyburzanie zaplanowano na piątek, ale kiedy chłopcy słyszą warkot buldożerów i widzą ludzi w żółtych kaskach, wiedzą, że oto nadeszła oczekiwana chwila.

Jak się okazuje, obawy, że coś ich ominie, są bezpodstawne. Mężczyźni w żółtych kaskach muszą rozstawić ciężki sprzęt, wymachują planami, pokazując sobie budynek. Stopniowo rozmieszczane są drewniane kozły, by trzymać gapiów w bezpiecznej odległości. W mieście jest dużo ciekawskich, którzy już zaczęli się gromadzić. Większość z kręcących się w pobliżu przyszła na świat w ponurym gmaszysku i potem jeszcze nieraz do niego wracała. Dla chłopców, akurat wypuszczonych na obiad, zabrakło wolnych miejsc na gałęziach drzew, więc się przepychają, by zająć najdogodniejszą pozycję wzdłuż zapór. Na Hospital Lane ludzie stają na gankach parterów i pięter dwurodzinnych domów, ciągnących się naprzeciwko starego, porośniętego bluszczem gmachu - początkowo są to jedynie właściciele z rodzinami, potem znajomi, w końcu znajomi znajomych. Kiedy na gankach brakuje wolnego miejsca, ludzka fala przelewa się na daszki ganków. Ludzie wychylają się przez okna. Panuje nastrój pełnego napięcia oczekiwania, atmosfera na ulicze staje się nerwowo odświeżona, chociaż żuraw ze stalową kulą przycupnął nieruchomo między dwoma buldożerami.

- Dlaczego nie zaczynają? - chcą wiedzieć wszyscy i natychmiast między niecierpliwą się gawiedzią zaczyna krążyć kilka teorii, wszystkie uzurpują sobie prawo jedynie słusznych, lecz żadna z nich nie jest prawdziwa.

Najbardziej denerwują się chłopcy z gimnazjum, bo mija przerwa obiadowa, a tu nic. Tak niedawno się modlili, by zegar się pośpieszył, teraz przeklinają swoją głupotę i ogarnia ich ogromna pokusa, by nie wrócić do szkoły, zastanawiają się nad nieuchronnymi konsekwencjami, jakie pociągnie za sobą ten krok. Zbijają się w grupki i przysięgają sobie uroczyście, że nigdzie się nie ruszą, póki szpital nie przemieni się w rumowisko gruzów, argumentując, że tak wielka liczba winowajców nie może zostać przykładnie ukarana. Nie, jeśli będą solidarni. Ale kiedy zbliża się pierwsza, niektórzy chłopcy, głęboko rozczarowani i w swoim mniemaniu pokrzywdzeni przez los, chyłkiem wracają do szkoły, aż zostają tylko ci, którzy najgłośniej gardłowali i teraz są niewolnikami

własnej brawury. Nawet ci, którzy uciekli z czwartej lekcji, zaczynają spadać z drzew na ziemię jak ulegalki. Rzucając przez ramię tęskne spojżenia, idą ścieżką do barierki na końcu alejki. Tylko niewielu uświadamia sobie, słysząc ciężki sprzęt, ozywający punktualnie z wybicciem godziny pierwszej, że padli ofiarą czegoś znacznie gorszego niż pech czy złe wycucie czasu.

Kiedy większość uczniów wróciła do szkoły, ekipa przystępuje do rozbiórki najdalszego skrzydła szpitala, w którym okna powybijano blisko rok temu, gdy pierwszy oddział przeniesiono do nowego budynku. Niestety, za pierwszym razem źle wycelowano, stalowa kula wleciała w jeden z pustych otworów okiennych na pierwszym piętrze. Tłum gwizdów, kiedy kula, powracając, robi tylko niewielką dziurę w murze z czerwonej cegły. Jednak następna próba jest udana, czarna kula z ogromną siłą przebija się przez cegły i bluszcz, z przyległych okien leci pył i kurz. Gorące wiwaty gapiów mieszają się z jękiem samego budynku, którego jeden węgiel aż się zatrząsł.

Harry w barze Mohawk nie rozumie, gdzie się podziali jego stali klienci, regularnie odwiedzający go w porze obiadowej. Powietrze wciąż drży od pierwszego uderzenia stalowej kuli, kiedy dostawca z piekarni otwiera drzwi od strony alejki i wchodzi z pojemnikiem pełnym chleba i bułek do hamburgerów.

- Cóż to było, do diabła?

- Burzą szpital - mówi dostawca. - Żałuję, że nie mam wolnego. Powinieneś popatrzeć na gapiów. Zebrało się ich całe mnóstwo.

Z twarzy Harry'ego odpyływa krew. Dostawca jest zbyt zajęty wyładowywaniem bułek, by to zauważyć.

- Dzisiaj! - krzyczy Harry. - Przecież mieli to robić w piątek!

Mężczyzna przestraszył się na widok rozgorączkowanej miny Harry'ego.

- Do tej pory może spaść śnieg. Być może...

- Chryste Panie - mówi Harry. - Chryste Panie.

Jest potężny i chociaż porusza się zgrabnie w ciasnym przejściu za kontuarem baru, na otwartej przestrzeni wydaje się ociężały i wyraźnie zagubiony. Pierwszych pięćdziesiąt metrów do podnóża Hospital Hill biegnie, ale kiedy zaczyna się wspinać po zboczu, zwalnia niczym dinozaur, który znalazł się na bagnisku. W połowie drogi czuje, jak ziemia drży pod jego stopami, kiedy wali się duży fragment muru. Powietrze wypełnia pył. Harry wyobraża sobie, że wciąż biegnie, ale jedynie energicznie wymachuje rękami. Przypomina grubego komika, udającego

chodźiarza poruszającego biodrami i rękami. Nagle stają mu przed oczami te wszystkie koszmary z dzieciństwa, w których gonilo go coś nieokreślonego i wzbudzającego grozę, a on stał jak wrośnięty, nie mogąc ruszyć nogami, ciężkimi niczym z ołowiu. Kiedy jest już prawie na wzgórzu, musi przystanąć i oprzeć się o kamienny mur. Powietrze jest gęste od jęków ludzi, sprzętu i fundamentów. Nawet gapiów na gankach i dachach widać niewyraźnie w powietrzu pełnym kurzu. Ich podniecenie bardziej teraz karmi się odgłosami niż widokami. Z miejsca, gdzie stoi Harry, ciężko dysząc, widać, że spora część dawnego szpitala już przestała istnieć. Ten widok stanowi bodziec, by znów ruszyć.

Po drugiej stronie tego, co pozostało z budynku, mała grupka chłopaków nie wycofała się pomimo huku, pyłu i sypiącego się gruzu. Początkowo zamierzali obejrzeć wszystko, siedząc wysoko na drzewach, ale ziemia drży za każdym razem, kiedy stalowa kula uderza w mur. Dlatego stłoczyli się na szczycie wzgórza, gotowi do natychmiastowej ucieczki, gdyby zaszła potrzeba. Budynek oglądany z tego miejsca niewiele się zmienił, ponieważ to frontowe i boczne mury rozsypują się pod gradem razów stalowej kuli, z okien leci pył i gruz. W chwili uderzenia wszystko przez moment się zamazuje, nim obraz znów nabierze ostrości. Chłopcy niezrozumiale dla siebie samych kibicują staremu szpitalowi, dostrzegając coś zachwycającego w jego wyraźnym oporze, stawianym stalowej kuli. Kiedy zapada się fragment dachu i ziemia drży, robi się tak ciemno od pyłu, że nie widzą, czy tylna ściana wciąż stoi. Stopniowo znów się ukazuje, ale wyraźnie nadwerężona. Pył opada i chłopcy początkowo nie wierzą własnym oczom.

Na trzecim piętrze, w jednym z okien z powybijanymi szybami, stoi nieruchoma postać. Chłopcy widzą ją wyraźnie przez ułamek sekundy, ale nagle budynek po gwałtownym wstrząsie wypluwa z siebie kolejną porcję pyłu. Nie wszyscy chłopcy zauważyli czyjąś sylwetkę i kiedy ci, którzy ją dostrzegli, wskazują okno, po postaci nie ma śladu.

Ci, którzy widzieli mężczyznę w oknie, są wstrząśnięci. Wszyscy jednocześnie dochodzą do jednego wniosku. Byli świadkami śmierci człowieka. Nic w dotychczasowym życiu nie przygotowało ich na ten widok, chociaż widzieli ludzi ginących na najrozmaitsze sposoby na filmach i w telewizji. Gapią się oniemiałi na okno, nie będąc w stanie oderwać od niego wzroku, nie mogąc nawet spojrzeć na siebie. Okno skupia ich uwagę z jakąś hipnotyzującą mocą. Jeden z chłopców, który nie widział postaci i nie wie, w które okno patrzeć, dostrzega mężczyznę, kiedy ten pojawia się ponownie pięć okien dalej.

- Ej! - krzyczy chłopak, pokazując palcem.
- Ej! - krzyczą wszyscy, ich głosy giną w powietrzu gęstym od pyłu i drżącym od ciągłych teraz wstrząsów szpitala. Kiedy zawala się kolejny fragment dachu, postać znów znika, by pojawić się w dalszej części skrzydła budynku. Ktokolwiek to jest, najwyraźniej trzyma się kilka sal przed stalową kulą. Z miejsca, gdzie stoją, chłopcy widzą, że wkrótce dotrze do końca skrzydła.

Kiedy Harry przedziera się przez linię drewnianych kozłów po drugiej stronie szpitala, zatrzymuje go Gaffney. Przygląda mu się ze szczerym zdumieniem, po części dlatego, że nigdy nie widział Harry'ego gdzie indziej niż za kontuarem w barze Mohawk. Dla policjanta sama jego obecność tutaj jest równie zagadkowa, jak szalone zachowanie i wyraźny zamiar dotarcia do rozsypującego się budynku. Chwytając Harry'ego mocno za ramiona, policjant zadaje mu pytanie, które w tej chwili najbardziej zaprzęta mu umysł:

- Kto pilnuje baru?
- Billy - wykrztusza Harry.

Gaffney ze zrozumieniem kiwa głową.

- Domyślaliśmy się, że go ukrywasz. Domyślaliśmy się...
- Nie! - Głos Harry'ego pełen jest złości. Próbuje wyrwać się policjantowi, ale większość sił opuściła go u podnóża Hospital Hill. Gaffney z łatwością go powstrzymuje. - Tam! - wskazuje Harry.

Gaffney gapi się na niego, nic nie rozumiejąc.

- Billy... tam...

Policjant spogląda przez ramię na to, co zostało ze szpitala, szukając potwierdzenia, a nie znajdując go, mówi po prostu:

- Nie.
- Tak! - upiera się Harry.

Gaffney uważnie studiuje budynek. Kiedy w końcu dociera do niego to, co powiedział Harry, nadal stoi nieporuszenie.

- W takim razie nie żyje. Koniec, kropka.
- Zatrzymajcie maszyny! - woła Harry, niemal płacząc, ale jego słaby okrzyk ginie w panującym zgiełku. Zaczyna naprawdę płakać, zły na własną słabość, niemożność uwolnienia się z uścisku Gaffneya. Gdyby mógł, powiedziałby policjantowi, że jest głupi, ale wie, że Gaffney ma rację. Jeśli Szalony Bill był w środku, to nie żyje. Musiał zginąć. Jednak nie wpływa to na zmniejszenie bezsilnej złości Harry'ego. - Jesteś głupcem, Gaff! - mówi, wczepiając się w jego mundur. - Przeklętym głupcem!

Kilku gapiów z zainteresowaniem obserwuje tę scenkę, ale nagle ich uwagę zwracają okrzyki ludzi stłoczonych na jednym z daszków i gorączkowo gestykulujących. Wszyscy teraz wyciągają szyje, by zobaczyć, o co chodzi, ale powietrze jest zbyt gęste od pyłu. Lecz ludzie ze wszystkich dachów przyłączają się do okrzyków, pokazując coś i starając się zwrócić uwagę tych w dole; i kiedy Gaffney luzuje uścisk, Harry mu się wyrывa. W tym samym momencie zapada się fragment ściany, wciągając to, co pozostało z dachu, w otwartą paszczę budynku. Kiedy Harry biegnie przez gruzy, zaczynają biec również inni, ktoś wspina się po żurawiu do kabiny operatora. Ryk sprzętu jest tak ogłuszający, że maszyna nie zostaje wyłączona, póki ten, co się wspinał, nie złapał operatora za ramię przez otwarte okienko.

Gaffney dogania Harry'ego jakieś dwadzieścia metrów od miejsca, gdzie kiedyś było główne wejście do szpitala. Jest tam już kilku innych, biegną w kierunku drzwi. Parę osób zeskoczyło z dachów domów po drugiej stronie ulicy i bez kasków biegnie żwawo przez rumowisko, osłaniając głowy ramionami przed spadającym gruzem, póki wszyscy nie znajdą się pod metalowym daszkiem u wejścia, chociaż daje on tylko symboliczną ochronę, jeśli uwzględnić dziury w blasze. Harry dociera prawie na końcu, ale udaje mu się dopchnąć do drzwi, gdzie zatrzymuje się razem z pozostałymi. Wszyscy wyglądają tak, jakby czekali na pozwolenie, by wejść do środka. U boku Harry'ego stoi Gaffney, uosobienie konsternacji.

- To nie Billy! - mówi Harry po dokładnym przyjrzeniu się chłopakowi, który stoi przed nimi w wyłożonej kiedyś niebieskim dywanem rejestracji. Wygląda na trochę zawstydzonego tym, że wśród stosów zaprawy, cegieł i potłuczonego szkła sam pozostaje bez najmniejszego zadrażnienia. - To nie Billy. To jakiś przeklęty dzieciak!

25

Na rogu Szóstej i Broad mieściła się w Mohawk tawerna Greeniego, która wyróżniała się jedynie tym, że była knajpą znajdującą się najbliżej największej garbarni w mieście. Ten budynek o niskim stropie, niegdyś pralnia, teraz cuchnął zwietrzałym piwem i miał toaletę, której drzwi nigdy nie udawało się porządnie zamknąć. Pod jedną ścianą stał obowiązkowy automat do gry w kręgle, kusząco migając światłkami nawet

wtedy, kiedy nikt na nim nie grał. Z chwilą kiedy do otworu wrzucono ćwierćdolarówkę, z góry opuszczały się z brzękiem plastikowe minikręgle i drżały nerwowo w oczekiwaniu na kulkę, która je przewracała.

Właściciel piwiarni nie nazywał się Greenie. Podobnie jak kilku poprzednich właścicieli, chociaż przypuszczalnie gdzieś w ekscentrycznej przeszłości lokalu był jakiś Greenie. Niewątpliwie wytoczył pięćset czy tysiąc beczek piwa, a potem umarł albo stąd uciekł, by wydać zarobione pieniądze, całkowicie zacierając się w pamięci zbiorowej. Pozostał po nim jedynie neon, którego kolejni właściciele nigdy nie zmienili z braku wystarczającej motywacji.

U Greeniego rzadko kiedy panował tłok, z wyjątkiem mniej więcej jednej godziny w ciągu dnia. Podczas tej godziny był to najlepszy interes w mieście. Kilka minut przed piątą pracownicy garbarni i okolicznych wytwórni rękawiczek zaczynali wpadać na piwko w drodze do domów na obiad. Między piątą i szóstą barman nie zakręcał kurka, tylko podstawił pod kranik zwiężające się szklanki.

Drugą najbardziej zajętą osobą u Greeniego był Untemeyer, bukmacher. Miał przed sobą trzy bloczki pokwitowań, każdy po sto egzemplarzy, i unosił znad nich głowę tylko na chwilę, by zobaczyć, czyje nazwisko wpisać jako następne. Nie żeby te kwity były potrzebne. Untemeyer słyszał z tego, że ma najlepszą pamięć w całym okręgu, i ci, którzy byli mu winni pieniądze, albo starali się nie wchodzić bukmacherowi w drogę, albo płacili, czy był kwit, czy go nie było. Untemeyer przez czterdzieści lat nie zapominał o żadnym zakładzie i prędzej czy później dostawał swoje pieniądze, ponieważ Mohawk to mała miejscina, gdzie trudno było uniknąć spotkania z nim. Jego klientelę stanowili robotnicy, nie stawiający dużych sum, ale przyjmował nawet najmniejsze zakłady i dlatego cieszył się taką popularnością wśród mężczyzn, którzy często nie mieli dwóch dolarów, by porządnie zagrać. Jednak grosik do grosika i z tych niewielkich zakładów zbierała się całkiem pokaźna sumka. Złodziejaszek, gdyby taki był w Mohawk, mógłby trafić znacznie gorzej, niż gdyby zaczął się na Untemeyera, wychodzącego o wpół do siódmej od Greeniego. Oczywiście tylko obcy mógłby go okraść, ponieważ Untemeyer znał wszystkich w mieście. Ale obcy nawet by na niego nie spojrział, bo jedynie ktoś, kto potrafi czytać w myślach, zorientowałby się, że Untemeyer ma coś, co warto ukraść. Zawsze nosił ten sam wyświechtany, czarny garnitur z elanobawełny, pokryty grubą warstwą popiołu z cygar. Chociaż był osobą publiczną, nieliczni wiedzieli, gdzie mieszka.

Kiedyś wiedziało to kilka kobiet, ale teraz wszystkie były mężatkami lub nie żyły - albo jedno i drugie. W przypadku bukmachera wystarczy wiedzieć, gdzie go szukać, a Untemeyer miał swój utarty szlak. Jeśliby o piątej nie siedział przy końcu baru u Greeniego, można by go było znaleźć w kostnicy.

Jedyną widoczną oznaką zamożności, na którą pozwalał sobie Untemeyer, był wielki złoty sygnet z brylantem. Od trzydziestu lat nie zdejmował go z serdelkowatego palca serdecznego. Dallas Younger, jeden z lepszych klientów Untemeyera, lubił sobie z niego żartować.

- Nie martw się tym sygnetem, Bill - szeptał Dallas. - Jak umrzesz, przyjdę z piłką do metali. - Potem podnosił własny palec serdeczny, by mu to zademonstrować.

- Utnę ci go dokładnie w tym miejscu, gdzie staw.

Untemeyer, którego trudno było wyprowadzić z równowagi, słysząc tę zabawną groźbę, najwyraźniej wyobrażał sobie uśmiechniętego Dallasa z piłą w ręku nad swoimi zwłokami i zawsze tracił zimną krew.

- Gdybym mógł go zdjąć, dałbym ci go natychmiast, ty skurczysynu. Odwal się - burczał. - Zresztą i tak nasikam na twój grób. Sam się przekonasz.

Siadał okrakiem na stołku w kącie i wypisywał pokwitowania, odrywając jedno po drugim, aż zgromadził imponujący stos monet i banknotów. W wypchanych kieszeniach marynarki od garnituru z czarnej elanobawełny nosił papierki do zawijania bilonu.

Dwa tygodnie przed Bożym Narodzeniem przyszło ocieplenie i być może ta nietypowa, jak na tę porę roku, pogoda sprowadziła do Greeniego niezwykłego gościa. Za kwadrans szóstą większość klientów w barze kończyła trzecie piwko i grzebała w kieszeniach spodni, by sprawdzić, czy starczy im pieniędzy na jeszcze jedno. Zaabsorbowani tym ważnym zajęciem, mężczyźni nawet nie zauważyli, kiedy do środka wszedł sześćdziesięciokilkuletni starszy pan, ubrany ze spokojną elegancją, zmrużył oczy, rozglądając się po ciemnym, zadymionym pomieszczeniu, i zajął niedawno zwolnione miejsce na przeciwległym końcu baru, daleko od Untemeyera. Najwyraźniej nie chcąc wrzeszczeć na całe gardło, co mu podać, siedział przez kilka minut i czekał, aż zostanie obsłużony. Większość gości u Greeniego była zbyt młoda, by go znać albo by wiedzieć, że jego obecność tutaj jest czymś niezwykłym. Należeli do innego pokolenia i nie mogli wiedzieć, że przez ponad trzydzieści lat ten mężczyzna kończył pracę razem ze wszystkimi i obojętnie mijał otwarte drzwi tawerny Greeniego. Głośny śmiech kumpli wylewał się na

ulicę, mieszając się z brzękiem automatu do gry oraz zapachem zwierzęcego piwa i moczu. Mężczyzna nigdy nie wszedł do środka. Dziś wieczorem obecna była tylko garstka mężczyzn z pokolenia starszego pana, ale żaden z nich nie poznał od razu Mathera Grouse'a, swego dawnego kolegi z pracy, który, kiedy go wreszcie obsłużono, duszkiem wypił pół szklanki piwa, nim ją odstawił na kontuar.

Mather Grouse bardzo lubił piwo, chociaż prawie nigdy go nie pijał. Czasem, kiedy był młodszy i jeszcze pracował, w drodze z roboty do domu kupował sześć butelek na rynku, by po obiedzie - wcześniej nie miał wolnej jednej chwili - bardzo wolno wysączyć butelkę, oglądając wiadomości. Zerwał z tym zwyczajem pewnej zimy, kiedy nie miał pieniędzy na piwo, i nigdy do niego nie powrócił, w tym czasie znalazł sobie bowiem inny sposób spożytkowania dodatkowych kwot. Pani Grouse nie miała nic przeciwko temu, żeby jej mąż pił piwo, oglądając wiadomości, ale nie lubiła zmieniać ułożenia produktów w ich małej lodówce, by pomieścić w niej butelki, i Matherowi Grouse'owi nigdy nie wolno było włożyć do lodówki wszystkich sześciu piw naraz. W najlepszym wypadku mógł liczyć na umieszczenie dwóch na półce w drzwiczkach. Pani Grouse kładła je płasko między przyprawami, przekonana, że wypadłyby na podłogę, gdyby postawić je pionowo, chociaż każdy po przyjrzeniu się półce mógł stwierdzić, że jest to fizycznie niemożliwe. Umieszczone w tym miejscu lodówki piwo nigdy nie było tak zimne, jak to lubił Mather Grouse. U Greeniego podawano bardzo zimne piwo i Mather Grouse z satysfakcją wypił to, co zostało w szklance, a następnie zamówił kolejne. W drodze powrotnej kupi sobie piwo, a w domu zmusi panią Grouse, by ustawiła wszystkie sześć butelek w głębi lodówki. Nigdy wcześniej nie zdawał sobie sprawy z tego, że jest to coś, o co warto kruszyć kopię, ale zanosilo się również na inne zmiany w jego życiu.

Mather Grouse niemal z przyjemnością rozejrzał się po piwiarni. Stwierdził, że w jego obecnym nastroju ciemny, obskurny bar to dokładnie takie miejsce, gdzie chce być, a zapach moczu wcale nie wywoływał u niego mdłości, jak to często bywało, kiedy mijał tawernę. Był to po prostu zapach człowieka i ostatecznie nie miało sensu się na niego oburzać. U Greeniego podawano bardzo zimne piwo, a to było najważniejsze. Mather Grouse postanowił, że od tej pory będzie pił zimne piwo zawsze, kiedy mu na to przyjdzie ochota. W tej chwili przeżywał rzadki okres buntu przeciwko żonie. Normalnie uznalby za samobójstwo sprzeciwianie się woli tej pocziwej kobiety. Trzeba przyznać, że ustępowała pola, z chwilą kiedy wytyczono linie bitwy, ale w miarę upływu dni,

miesiący, lat zawsze w jakiś sposób udawało jej się odzyskać to, z czego zrezygnowała, a nawet trochę więcej. Nieważne, ile wymagało to czasu. Można było niekiedy wygrać z nią jedną czy drugą potyczkę, ale potem musiało się za wszystko zawiązką zapłacić.

Tego wieczoru Mather Grouse po prostu obwieścił jej, że idzie na piwo, a pani Grouse, która przez czterdzieści kilka lat wspólnego z nim życia nauczyła się bezbłędnie oceniać jego nastroje, szczególnie w tych rzadkich wypadkach, kiedy nie pozwalał stroić sobie z siebie żartów, nie zgłosiła formalnego sprzeciwu. Ale zacisnęła usta, aż przemieniły się w cienką białą linię. Niemniej jednak Mather Grouse był pewien, że tym razem uda mu się powstrzymać ją od wymierzenia kary. Nie szkodzi, że wcześniej nigdy mu się to nie udało. Była tylko kobietą. Znał mężczyzn, którzy bili swoje żony. Może już trochę za późno, by zacząć prac panią Grouse, ale pomyślał, że można znaleźć jakieś pośrednie rozwiązanie między znęcaniem się fizycznym a niemęską uległością. Wprawdzie nie był pewien, co by to miało być, ale musiało coś takiego istnieć. Na początek musi znów zacząć myśleć samodzielnie. Rozglądając się za czymś szalonym i niezależnym, co mógłby zrobić, zauważył Untemeyera na drugim końcu baru. Mather Grouse znał go, naturalnie. Kiedy był młodszy, bukmacher obchodził wszystkie warsztaty. Teraz góra przyszła do Mahometa, jak lubił mawiać Untemeyer.

Właściwie zakończywszy przyjmowanie zakładów, Untemeyer starannie układał banknoty i pokwitowania, by później zająć się zawijaniem ćwierćdolarówek w papier. Wszyscy wiedzieli, że nie lubi przyjmować zakładów po szóstej, kiedy przystępował do wiązania kwitów gumkami.

- Czego? - warczał za każdym razem, kiedy poczuł obok siebie zapóźnionego klienta. Nigdy nie unosił wzroku.

- Proszę o przyjęcie zakładu - powiedział Mather Grouse.

Głos mężczyzny i oficjalny zwrot sprawiły, że Untemeyer drgnął. Spojrzał znad swych okrągłych okularów.

- A niech mnie szlag.

- Może lepiej nie - zauważył Mather Grouse.

- Mather Grouse.

- Jaki numerek jest dobry?

- Sześćset dwa - powiedział mu ucziwie Untemeyer. Sam nigdy nie grał, ale często myślał, że gdyby był hazardzistą, postawiłby na sześćset dwa. Prawdę mówiąc, w ciągu czterdziestu lat po raz pierwszy ktoś zwrócił się do niego o radę. Mieszkańcy Mohawk byli bezwzględnie wierni

numerkom, które sobie wybrali. Obstawiali ostatnie trzy cyfry numeru rejestracyjnego swoich wozów, daty urodzin swoich dzieci i kochanek, daty śmierci miejscowych samobójców. Nie musieli pytać Untemeyera, na co postawić, a Untemeyer tego po nich nie oczekiwał.

- Ile?

Mather Grouse położył na kontuarze szeleszczący banknot dziesięciodolarowy. Untemeyer zamrugnął powiekami.

- Dobrze się czujesz?

- Świetnie - powiedział Mather Grouse. Rzeczywiście czuł się cudownie, robiąc takie szalone głupstwo. Byłoby inaczej, gdyby zachowywał się tak zawsze, ale nietypowość sytuacji wywoływała w nim dreszczyk emocji. - Dziękuję, że zapytałeś.

Tawerna zaczynała powoli pustoszeć i wracając na swoje miejsce, Mather Grouse wypatrzył Rory'ego Gaffneya przy automacie do gry, otoczonego przez grupkę mężczyzn. Na jego widok Mathera Grouse'a na chwilę ogarnęła panika, chociaż samo pojawienie się tutaj Mathera miało ścisły związek z osobą Rory'ego Gaffneya. Czy nie spędził bezsennie pół nocy, wyobrażając sobie ich spotkanie? Skąd więc ta panika? Właśnie teraz, kiedy wmówił sam sobie, że takie uczucia należą do przeszłości? Skąd ten paraliż, nagła chęć wymknięcia się stąd, zanim zostanie zauważony? Mather Grouse zebrał całą siłę woli, by nie rzucić reszty pieniędzy na kontuar i nie wybiec na ulicę.

Zamiast tego zamówił jeszcze jedno piwo i ponownie wypił duszkiem połowę. Piwo go rozgrzało i Mather Grouse poczuł, że wraca mu wcześniejsza pewność siebie. Ucieszyło go to. Chwila paniki była bezsensowna, ale prawdziwa. Ogarniała go nieraz, nie zawsze wywoływał ją Rory Gaffney. I może głupotą było dążyć do konfrontacji.

A wszystko przez chłopaka. W obliczu śmiertelnego zagrożenia wszedł do rozsypującego się budynku, kiedy waliły się ściany i dach, a robiąc tak, uratował życie człowieka, o którym Mather Grouse nie mógł zapomnieć ani przez chwilę od ponad piętnastu lat i który uczynił z niego właściwie więźnia we własnym domu. Za jednym zamachem chłopiec spłacił dług swego dziadka, w większym stopniu uratował mu życie niż Anna tamtego popołudnia, gdy zasłabł, ujrawszy obdartusa sikającego na trawnik, i rozpoznał w tym nie mającym wstydu nędzniku kogoś całkiem innego.

Gdyby nie córka, Mather Grouse umarłby tamtego popołudnia. Ale nie była w stanie całkowicie przywrócić go do życia, nie tak, jak udało się to chłopakowi. Pomyśleć tylko! - powtarzał sobie w kółko Mather Grouse.

Pomyśleć tylko. Nikt się na to nie zdobył. Tylko chłopak. Ale mniejsza o to. Chłopak spokojnie wkroczył do piekła, słysząc za sobą okrzyki kolegów, którzy wypatrzili w oknie czyjąś postać. Wyobraź go sobie, jak zostawia innych z tyłu, właściwie oceniwszy sytuację, wiedząc podświadomie, że nie ma czasu, by zbiec na dół wzgórze, okrążyć szkołę i wdrapać się ponownie na Hospital Hill. Oceniając słusznie, że nawet gdyby był czas, nikt by mu nie uwierzył. Pomyśleć tylko, jak spokojnie gramoli się na gruzy, wchodzi przez jedno z okien na parterze, wszędzie wkoło lecą cegły, kable i deski, mury drżą od uderzeń stalowej kuli, powietrze jest zbyt gęste, by nim oddychać, a przynajmniej nabrać go wystarczająco głęboko w płuca, by się nie udusić. A w środku jeszcze gorzej: Sodoma i Gomora, wszystko wali się na głowę, i pomyśleć tylko, że idzie dalej, nie mając pojęcia, że ratuje życie dwojgu ludziom, tym drugim człowiekiem jest jego własny dziadek, jakby Mather Grouse był w tym gmachu obok Williama Gaffneya, jakby razem biegli z sali do sali, uciekając przed stalową kulą.

Z całą pewnością, jeśli chłopaka było stać na coś takiego, Mather Grouse może pójść za jego przykładem i powiedzieć to, co powinien powiedzieć ponad piętnaście lat temu. Rory Gaffneyu, kiedy skończymy tę rozmowę, nigdy więcej się do mnie nie odezwiesz. Jeśli spotkamy się na ulicy, będziesz udawał, że mnie nie znasz. Nigdy więcej nie zwrócisz się do żadnego członka mojej rodziny. Nigdy nie przyjdiesz do mojego domu ani nie przejeździsz obok niego swoim samochodem. Jeśli kiedykolwiek zrobisz coś takiego, jeśli kiedykolwiek przyznasz, chociażby lekkim skinieniem głowy, że się znaliśmy, wtedy, na Boga, zrobię to, co powinienem był zrobić już dawno temu, i dostaniesz, na co sobie zasłużyłeś. Tak, zasłużyłeś.

Mather Grouse wszedł do tawerny Greeniego pewny, że obwieści właśnie takie ultimatum, a kiedy to robi, znowu stanie się pełnoprawnym członkiem ludzkiej społeczności. Ale widok tego mężczyzny, otoczonego kumplami, po kolei pochylającymi się nad automatem do gry, szturchającymi go, pieszczącymi, podlizującymi się mu, w jakiś sposób odebrał Matherowi odwagę. Między nim a resztą zawsze istniała przepaść i nigdy nie miał pewności, czy chce ją zasypać. Czyż nie było to bractwo grzeszników, połączonych ignorancją, samozadowoleniem, strachem i rozwiązością? Ty kryjesz mnie, ja kryję ciebie. Jeśli stanie przeciwko Rory'emu Gaffneyowi, będzie musiał stanąć przeciwko nim wszystkim, bo Rory Gaffney był nimi wszystkimi, albo przynajmniej takim wydawał się Matherowi Grouse'owi. Ale to nie była cała prawda.

Wpływ, jaki wywierał Rory Gaffney na Mathera Grouse'a, namacalna niemal panika, która zawsze ogarniała Mathera na jego widok, nie mogła być wywołana czymś tak abstrakcyjnym. Wstręt Mathera Grouse'a był instynktowny, stanowił połączenie strachu i odrazy, które ogarniało go falami, jak mdłości. Gaffney zawsze wydawał mu się wyuzdany i często przypominał Matherowi Grouse'owi wydarzenie z jego wczesnego dzieciństwa, kiedy to gruby dziesięciolatek zwabił go do przejścia między domami i obnażył się. Młody Mather Grouse poczuł - nadal żywo to pamiętał - złość i wstręt na widok czerwonego przyrodzenia chłopca, a zarazem ogarnęło go współczucie, bo chłopak był gruby i obleśny. Dlatego pamiętał, że sobie pomyślał, iż Bóg stworzył piekło, nie by karać, lecz oddzielić czystych od zbrukanych.

Mathera Grouse'a wyrwał z zamyślenia dźwięk własnego imienia, wypowiedzianego tuż nad uchem. Drgnął przestraszony. Jego imię wypowiedział nie ten, którego się bał, tylko ktoś inny, mniej więcej w wieku Mathera Grouse'a, nędznie ubrany, nie licząc taniej, nowej, cytrynowo-żółtej wiatrówki. Mężczyzna miał nie więcej niż metr pięćdziesiąt wzrostu i wszystko, co nosił, wyglądało na o numer za duże. Był bardzo pijany.

- Czy to ty, Mather Grouse? - zagadnął mały człowieczek z pijackim zachwytem. - Wiedziałem. Nie pamiętasz mnie?

Mather Grouse, przypatrzawszy się uważnie mężczyźnie, stwierdził ze zdziwieniem, że go pamięta.

- Ależ owszem, panie Anadio. Pamiętam.

Mały mężczyzna był wyraźnie zadowolony.

- Właśnie o tobie rozmawialiśmy - powiedział. - Czy tam, w starym szpitalu, to nie był syn twojej córki?

- Owszem - potwierdził Mather Grouse. - Mój wnuk.

Samo wspomnienie chłopca natychmiast uspokoiło Mathera Grouse'a. Sprawilo, że chłopiec stał się kimś realnym. Zarówno chłopiec, jak i jego bohaterski czyn jakoś zbladły w przyćmionym świetle tawerny Greniego, jakby tutaj były nie na miejscu. Rory Gaffney, nadal zgarbiony nad automatem do gry, obracający kulką w serdelkowatych palcach, wydawał się znacznie bardziej prawdziwy. Mather Grouse przyglądał mu się, zapomniawszy o mężczyźnie, który do niego podszedł. To była dziesiąta runda i Rory Gaffney spokojnie przymierzał się do rzutu, by wygrać partię. Pieniądze przechodziły z rąk do rąk. Nawet z drugiego końca sali było widać, że Rory Gaffney sfaulował, zwalniając kulkę dobrze za czerwoną linią. Ale nikt nie zgłosił sprzeciwu, prawdopodobnie dlatego, że

wszyscy zazwyczaj oszukiwali. Dziwny sposób gry, pomyślał Mather Grouse, i ogarnęło go przygnębienie.

- Naturalnie słyszałeś, co u mnie? - mówił pan Anadio.

Mather Grouse musiał przyznać, że nie słyszał.

- Och - powiedział jego rozmówca. - Umieram, Mather. - Obwieścił to niemal radośnie, jakby zachwycony faktem spotkania kogoś, kto jeszcze o tym nie dowiedział się od kogoś innego. - Rak - wyjaśnił. - Jak u wszystkich. Rak i białaczka, każdego z nas to czeka, Mather.

Mather Grouse tak nieuważnie go słuchał, że potrzebna była cała minuta, by dotarł do niego sens słów pana Anadio. A kiedy to się stało, nie wiedział, co powiedzieć.

- Zabijali nas, Mather. Przez te wszystkie lata. Zwyczajnie nas zabijali i powiedziałem im to prosto w twarz. Młodemu Ralphowi Tuckerowi i Mike'owi Littlerowi. Dziesięciokrotnie więcej, niż średnia krajowa. Napisali o tym w „Republican”. Dziesięciokrotnie więcej niż średnia krajowa, ale te łobuzy nadal nie chcą przyznać, że to ich wina. Zabijali nas, ale się do tego nie przyznają. - Do oczu napłynęły mu łzy. - Nie przyznaliby się nawet, gdyby było tysiąckrotnie więcej niż średnia krajowa. Milion razy więcej. Nie te łobuzy.

Nagle wyrósł obok nich Rory Gaffney. Mather Grouse nie musiał się oglądać przez ramię, by się tego domyślić. Dlatego nie zaskoczył go dźwięk głosu Gaffneya.

- Panie Anadio, zarabiał pan na życie w tych warsztatach - oświadczył łagodnie. - Kto inny zapłaciłby komuś takiemu? Człowiekowi, jak my wszyscy.

- Ale wpędzili nas w choroby, Rory Gaffneyu - upierał się pan Anadio. - Nie mieli prawa robić z nas ludzi chorych.

Gaffney położył mu dłoń na ramieniu.

- Nie jestem chory, panie Anadio. Przez całe życie pracowałem w warsztatach. I spójrz na naszego przyjaciela Mathera Grouse'a. Jest chory, ale nie słyhać, by pomstował na warsztaty, dzięki którym żył. Mather Grouse jest człowiekiem, który potrafi zachować spokój. Gdybym ja się rozchorował, i tak byłbym wdzięczny warsztatom. Co by się stało z takimi jak my, gdybyśmy nie mieli pracy? Wszyscy jesteśmy tacy sami.

Pan Anadio stracił zainteresowanie dyskusją. Był zbyt pochłonięty walką ze łzami. Chciałby przestać płakać, ale nie był w stanie.

- Nie ja - zwrócił się do Mathera Grouse'a zbuntowanym tonem.

Jeśli o niego chodziło, Rory'ego Gaffneya mogło już tu nie być. - Powiedziałem im to. Nie ja, powiedziałem.

- Bardzo mi przykro, panie Anadio - odezwał się Mather Grouse.
- Nie ja - upierał się mały mężczyzna. - Powiedziałem im to.
- Powinieneś się leczyć - zauważył Gaffney.

Pan Anadio splunął.

- Leczyć! Nie ja, Mather. Może jestem chory. Nawet powiedziałem to młodemu Tuckerowi.

Potem pan Anadio się odwrócił i wyszedł. Zostawił Mathera Grouse'a, któremu nagle zrobiło się słabo i poczuł mdłości, jakby właśnie oddał krew.

- Chyba lepiej pójdę do domu - wymamrotał. Kłopoty pana Anadio jakoś mu uświadomiły, że nie powie tego, co przyszedł powiedzieć. To chłopiec okazał się odważny, a nie on. Mężczyźni po sześćdziesiątce nie zaczynają wszystkiego od początku.

- Tak, Mather, dom - powiedział Rory Gaffney. - To właściwe miejsce.

Untemeyer w zamyśleniu obserwował Rory'ego Gaffneya i Mathera Grouse'a z drugiego końca baru. Skończył robotę na dzisiaj, schowawszy pieniądze i kwity głęboko do kieszeni, popijał whisky z piwem, jak zwykle, kiedy pustoszała piwiarnia u Greeniego. Kiedy obaj mężczyźni wyjdą, zostanie tylko on i barman Woody. Osobliwa para, myślał Untemeyer, kiedy Rory Gaffney wziął Mathera Grouse'a pod ramię i ruszył z nim w stronę drzwi. Wtedy przypomniał sobie dziwną historię, którą opowiedział mu Dallas Younger przy piwie. Jeśli dobrze pamiętał, Mather Grouse pojawił się pewnego popołudnia w warsztacie, w którym pracował Dallas, i wcisnął Dallasowi dwadzieścia pięć dolarów z poleceniem, by Dallas kupił grubą zimową kurtkę nie dla kogo innego, tylko dla Szalonego Billa Gaffneya. Sam mu ją daj, zaproponował Dallas. Nie, ty to zrób, nalegał Mather Grouse, i żeby go dodatkowo zachęcić, powiedział, że jeśli Dallas wyświadczy mu tę jedną przysługę i nigdy nikomu o tym nie wspomni, uzna dług Dallasa za spłacony. Dziwna historia, pomyślał Untemeyer. Może nawet prawdziwa, w takim razie jeszcze dziwniejsza.

Drzwi się zamknęły za dwoma mężczyznami i pan Untemeyer chrząknął, popijając whisky. Naprawdę dziwna. Miał wrażenie, że Mather Grouse i Rory Gaffney mogą być nawet śmiertelnymi wrogami. Ale świat jest dziwny, pomyślał, jak to robił każdego popołudnia u Greeniego, kiedy popijał swoją whisky i piwo, spoglądając na milczącego Woody'ego, jakby szukał towarzystwa.

Stwierdzenie, że człowiek, który nie potrafi łatwo nawiązywać przyjaźni, rzadko miewa kłopoty z robieniem sobie wrogów, być może zawiera w sobie sporo ironii, albowiem zażyłość jest niezbędnym warunkiem obu tych relacji międzyludzkich. Mather Grouse nie miał w pracy przyjaciół, chociaż z większością współpracowników był na stopie koleżeńskej. Jednak nawet mimo to mieli powody do podejrzliwości - chociażby dlatego, że codziennie po pracy szedł prosto do domu, nigdy nie stawiał na numerek ani nie grał na wyścigach, kiedy po południu pojawiał się Untemeyer, nigdy nie wypełnił kuponu totalizatora, co kosztowało tylko pięćdziesiąt centów bez względu na to, jaka wygrana się skumulowała, kiedy przez kilka tygodni z rzędu nikt nie trafił szóstki. Nigdy też nie zabierał głosu na zebraniach, chociaż wszyscy inni biadolili. A było wiele powodów do narzekań. Niskie płace, kiepska jakość skór, sezonowe zwolnienia, szeroko krążące plotki o zamknięciu kilku warsztatów. Wielu przewidywało, że niedługo krojczy w ogóle staną się zbędni. Podczas tych spotkań nigdy niczego nie postanowiono, ale każdy miał okazję zrzucić to, co mu leżało na wątrobie, i szedł do domu szczęśliwszy, że wyraził swoją opinię w wolnym kraju. Pan Maroni, pomarszczony Włoch, pracujący w skórach od pięćdziesięciu lat, do którego zawsze należało ostatnie słowo, za każdym razem mówił to samo.

- Panie przewodniczący! - krzyczał, jego słaby głos ginął we wrzawie, póki w końcu nie zrobiło się cicho i nie zaczęto go słuchać. - Panie przewodniczący! Chcem powiedzieć jednomu rzecz o ludziach. Nie można zadowolnić każdego. Wszyscy robim błędy. Nawet ja.

Ponieważ Mather Grouse trzymał się od tego wszystkiego z daleka, nie był osobą godną zaufania. Niektórzy szeptali, że może jest kapusiem pracującym dla właścicieli, teoria ta zyskałaby większą popularność, gdyby nie to, że Matherowi Grouse'owi powodziło się gorzej niż pozostałym, zawsze dostawał najgorsze skóry do krojenia, bo z wprawą i znanstwem radził sobie ze skazami, ostrożnie, metodycznie, nie poddając się. Robotnikom płacono w zależności od ilości przerobionych skór i chociaż Mathera Grouse'a powszechnie uważano za jednego z najlepszych krojczych w Mohawk, w piątkowe popołudnie płaca w żaden sposób nie stanowiła odzwierciedlenia jego talentów.

Mather Grouse i Rory Gaffney mieli niewiele ze sobą wspólnego, póki ten pierwszy, ku wielkiemu zaskoczeniu wszystkich pracowników warsztatu,

nie został niespodziewanie awansowany na brygadziście, kiedy wyszło na jaw, że jego poprzednik kradł skóry i uciekł z miasta, zanim go aresztowano. Ledwo Mather Grouse zdążył objąć nowe obowiązki, kiedy pewnego popołudnia Rory Gaffney poszedł za nim do szatni. Niczego od niego nie wymagają. Wystarczy, jak będzie przemykał oko. Skóry zawsze znikają, i to od tak dawna, że gdyby nagle przestały znikać, wszyscy by to zauważyli, a wtedy mnóstwo osób znalazłoby się w opałach. Poza tym największymi oszustami byli właściciele, tyle że im wolno. Tak już jest ten świat urządzony. Właściciele pilnowali, żeby robotnicy byli biedni i zdesperowani. Jak myśli Mather Grouse, dlaczego pozwalają Untemeyerowi, by zaglądał do warsztatów w godzinach pracy, a nawet go do tego zachęcają? Dlaczego reklamują Mohawk jako światową stolicę kaletnictwa i namawiają do osiedlania się tutaj nowych robotników, kiedy wszyscy wiedzą, że nie ma dość roboty dla tych, którzy już tu mieszkają? Baseny w ich ogrodach są zbudowane na pocie i poświęceniu takich ludzi, jak Mather Grouse. Ma okazję, by wyrównać rachunki, przynajmniej trochę.

- A co z innymi? - zapytał Mather Grouse. - Co z panem Maronim? Rory Gaffney wzruszył ramionami.

- Jak sam mówi, „nie można zadowolnić każdego”.

Więc Mather Grouse znalazł jakiś pretekst, by wrócić na swoje dawne stanowisko, a kiedy przyszedł okres zastoju w interesach, został zwolniony, jak pan Maroni i reszta. Nigdy nikomu o tym nie powiedział, nawet pani Grouse, częściowo dlatego, że z punktu widzenia etyki sytuacja była wieloznaczna. Chociaż uważał się za człowieka uczciwego, Mather Grouse wiedział, że był nie mniej oburzony nieuczciwością propozycji Rory'ego Gaffneya, jak perspektywą współdziałania z człowiekiem, który, chociaż nosił króciutko obcięte paznokcie, i tak miał za nimi dość brudu. Gaffney należał do takiej kategorii ludzi, którymi Mather zawsze pogardzał - nieokrzęsanych, ordynarnych i buńczucznych. Człowiek, od którego śmierdziało sfermentowanym potem i spermą, który nie chciał od życia nic ponad to, co już miał. Tylko więcej tego samego i bardziej systematycznie.

Trudno było znaleźć dwóch ludzi bardziej się od siebie różniących. Mather Grouse nigdy nie pragnął zrobić kariery zawodowej. Nie żeby nie snuł snów o potędze, bo kiedyś miał takie marzenia. Ale życie uczyniło z niego realistę i szybko się przekonał, że aby zostać kimś więcej niż zwykłym krojczym skóry, nieodzowny jest łut szczęścia albo przebojowość.

Lecz z natury był ostrożny, a szczęście rzadko sprzyja tym, którym brak odwagi, nawet by rzucić kostką. Właściwie nie miał nic przeciwko temu, żeby być krojczym. Był mistrzem w swoim fachu i dawało mu to sporą satysfakcję. Niemniej uświadomił sobie, że nawet gdyby dożył setki, właściwie zostanie tym samym człowiekiem, robiącym to samo, ani lepiej, ani gorzej. Nie zazdrościł ludziom, którzy mieli więcej pieniędzy od niego, chociaż przyjemnie jest mieć dużo pieniędzy. Ale tęsknił za jakąś odmianą i często myślał, że w idealnym świecie ludzie zmienialiby swoją osobowość mniej więcej co dziesięć lat, przypuszczalnie przy okazji ucząc się czegoś nowego. Każda metamorfoza naturalnie oznaczała zmianę na lepsze. Żaden motyl, bez względu na to, jaki jest niepozorny czy daleki od ideału, nigdy nie jest brzydszy od poczwarki, z której powstał.

Mather Grouse nie był człowiekiem naiwnym. Wiedział, że większość ludzi, którzy mają dość pieniędzy, by pozwolić sobie na zmiany, wykołują się, zanim zdołają cegokolwiek dokonać. Wymieniali zawartość szaf i opony w samochodach. Ale nigdy nie powstawał piękny motyl. Jednak młody Mather Grouse doszedł do wniosku, że to wyłącznie ich wina. Mieli możliwości, nawet jeśli większość z nich wołała z nich nie korzystać.

Jednak z takimi, jak on, los rozprawiał się surowo. Karty były rozdane i mieli tylko jeden wybór: zagrać nimi dobrze albo źle. Osobiście postanowił zagrać nimi dobrze, ale nigdy nie mógł zdusić żalu, że nie może grać za wszystkich przy stoliku. Nie gardził tymi, którzy wygrywali, lecz miał pretensję do tych, którzy otrzymali podobne karty, jak on, a jednak byli zbyt głupi lub nieokrzesani, by odczuwać żal. Nie dostrzegali nic złego w swoim życiu. Nie dostrzegali cienkiej warstewki brudu za paznokciami, a nawet jeśli tak, uważali ją za czarującą. Dobry, ludzki brud. Dostrzegali jedynie jego brak u innych ludzi i stawali się podejrzliwi. Z dumą rozprawiali o swoich członkach, wyjaśniając, gdzie byli i dokąd zamierzają udać się w przyszłości. Nadawali im przezwiska.

Nudna monotonia życia gryzła Mathera Grouse'a niczym gryzoń o ostrych ząbkach i nakazała mu, kiedy jeszcze był młody, by jedyną satysfakcją w życiu czerpał z tego, że będzie podążał rzadziej uczęszczanymi ścieżkami. Dlatego też po pracy szedł do domu, chociaż wołałby wstąpić na szklaneczkę zimnego piwa. Trzymał się z dala od gier hazardowych, chociaż chętnie by sobie zagrał. Gryzł się w język i nic nie mówił, ponieważ inne zachowanie było nie tyle złe, ile bezskuteczne i pospolite.

Długo po tym, jak zrezygnował z własnych marzeń, Mather Grouse snuł marzenia dla swej córki. Ryzykując, że zrobi z niej snobkę, zaczął sugerować Annie, że życie to coś więcej, niż może jej dać Mohawk. Nie przyszło mu to wcale łatwo, szczególnie w sytuacji, gdy pani Grouse niewoczyła wysiłki męża swoją własną postawą, pełną stoickiej rezygnacji. Ale Anna była inteligentna i bardzo ładna, nawet jako dziecko, miała gładką skórę, karnację trochę ciemniejszą od rodziców, jeszcze ciemniejsze oczy, a włosy tak czarne, że niemal granatowe. Dla swego ojca była tak prześliczna, tak nadzwyczajna, że wmówił sobie, iż czeka ją wyjątkowa przyszłość. Była wybranką losu, dzieckiem o własnych, nietuzinkowych metodach postępowania. Jedną z takich metod był upór, dorównujący, a może nawet przewyższający upór jej matki. Anna była również bezwzględnie uczciwa i nienawidziła niesprawiedliwości, która rozpałała w jej oczach ogniki. Mather Grouse kochał córkę tak głęboko, że niemal nie posiadał się z dumy i nadziei.

Ale pielęgnowana przez niego wiara, że Anna jakoś udowodni, że jest kimś wyjątkowym, została wystawiona na próbę, kiedy jego córka chodziła do trzeciej klasy liceum. Wtedy Mather Grouse stwierdził, że niewykluczone iż to, co uważał za jej naturalny system obrony przed prymitywizmem Mohawk, w innych okolicznościach przerodzi się w wady. Podejrzewał, że może być jeszcze bardziej podatna na zranienie od niego samego. Jej lekkomyślność, która wywołałaby niepokój u wielu ojców, niezbyt go martwiła. Mather Grouse rozumiał, że taki temperament przestraszy synów Mohawk, którzy, chociaż równie gotowi i chętni, jak ich ojcowie, do umieszczenia swego nasienia wszędzie, gdzie się da, bledli na myśl o zbliżeniu się do córki Mathera Grouse'a. Cokolwiek rozpałało ogień w jej oczach, onieśmielało ich, tak jak jej uroda odbierała im pewność siebie. Wspinali się po kuchennych schodach ciemnych domów trzyrodzinnych, by sobie ulżyć w objęciach jakiejś samotnej kobiety w średnim wieku, ale, jak ich ojcom, brakowało im odwagi i siły woli, nie mówiąc o inteligencji.

Nie, Mathera Grouse'a dręczyły obawy całkiem innego rodzaju. Anna była zbyt inteligentna, by na dłużej zainteresować się chłopakami z Mohawk. Mógł być spokojny, że córce starczy rozsądku, ale co podpowie jej serce? Pod tą niemal okrutną urodą kryło się niewiele z wrodzonej wyniosłości, która mogłaby służyć za tarczę, więc serce było bezbronne. Zamiast wstrętu Anna często okazywała współczucie, a niesprawiedliwość zawsze ją oburzała. Uosobieniem obaw jego ojca pod tym względem miał zostać młody Billy Gaffney.

Pozostali pracownicy warsztatu nie wiedzieli, co zaszło między Rorem Gaffneyem a Matherem Grouse'em. Ten drugi czasem się zastanawiał, po czyjej stronie by się opowiedzieli, gdyby o tym wiedzieli, a nawet, czyby w to uwierzyli. Tylko najbystrzejsi widzieli to, co ostatecznie stało się jasne dla wszystkich - że Rory'emu Gaffney'owi powodziło się znacznie lepiej niż innym. Jakoś zawsze dostawał najlepsze skóry do krojenia, podczas gdy pozostali spędzali więcej czasu na ukrywaniu wad w swoim surowcu. Mogliby mieć pretensje do Rory'ego Gaffneya, gdyby kiedykolwiek w najmniejszy sposób okazał, że czuje się lepszy od nich, bo idee demokracji bardzo się liczą wśród tych, którzy mają tak niewiele. Człowiek bogaty mógł być zarozumiały, ale nie robotnik. Gaffney nie był taki. Opowiadał kawały, ścisnął dłonie, a skoro tak się złożyło, że miał pieniądze, stawał wszystkim kolejkę u Greeniego. To Mather Grouse, któremu powodziło się równie marnie, jak wszystkim, najwięcej cierpiał z tego powodu.

Gdyby się nad tym zastanowili, zdumiałaby ich wrogość, jaką wspólnie okazywali człowiekowi, który nigdy żadnego z nich nie skrzywdził. Ale kiedy nadarzyła się okazja, by wziąć odwet - jak to postrzegali - żaden z nich się nie zawahał ani chwili. Wydarzyło się to pewnego ciepłego wiosennego popołudnia; wielkie, sięgające sufitu okna były otwarte, by wpuścić trochę świeżego powietrza do dusznego, zadymionego warsztatu. Ci, którzy siedzieli najbliżej otwartych okien, tęsknie spoglądali na jasne słońce. Kiedy w liceum kończyły się zajęcia, śliczne dziewczyny z naręczami książek wybiegały na ulicę. Czasem ktoś w warsztacie zagwizdał, ale na ogół mężczyźni byli powściągliwi, bo ostatecznie to szły ich córki. Oczywiście, ze starszymi kobietami to zupełnie co innego, mężczyźni pohukiwali entuzjastycznie, szczególnie kiedy rozpoznali w kobiecie żonę kolegi z pracy.

Wszyscy znali córkę Mathera Grouse'a - była najpiękniejszą dziewczyną w miasteczku, miała najbardziej kobiecą figurę. Kiedy widzieli ją, jak idzie, szturchali się i wymieniali znaczące spojrzenia. Mather Grouse, chociaż pracował pod oknem, nigdy nie brał udziału w tej popołudniowej rozrywce, nigdy nie zachęcał córki, by wstąpiła do niego po drodze. Może to też mieli mu za złe, ponieważ sprawiał, że czuli się nieczyści, odczuwając takie żądze.

Chociaż rzadko który chłopak miał dość odwagi, by iść z Anną Grouse, niektórzy jechali za nią samochodami, okrążając kwartały, zwalniając przy krawężnikach, zagadując do niej i jej koleżanek, wyglądając przez okna. Zazwyczaj szła z koleżanką albo sama. Nikt nigdy nie widział jej w

towarzystwie chłopaka, którego ojciec kroił skóry z Matherem Grouse'em, aż do dnia, kiedy ktoś ją wypatrzył z młodym Billym Gaffneyem, który ze stoickim spokojem szedł obok niej, na próżno szukając w myślach czegoś, co mógłby powiedzieć. Szli, milcząc niezręcznie, Billy zły na siebie, a jednak bardzo szczęśliwy.

Mężczyźni w warsztacie też się ucieszyli. Początkowo rozległy się tylko pojedyncze gwizdy, ale wkrótce dołączyły do nich wyraźne sugestie i niebawem mężczyźni wychylali się z okna na drugim piętrze, każdy z nich wykrzykiwał niedwuznaczne zachęty pod adresem syna Rory'ego Gafiheya, a chłopak zaczął okazywać objawy neurotycznego obłędu, kiedy spadł na niego taki deszcz rad. Zawstydzony i zmieszany, nie zdawał sobie sprawy z tego, że wiele sugestii jest sprośnych. Im bardziej z niego żartowano i zachęcano go, tym bardziej czuł się zmieszany, bo rady były rozmaite i najwyraźniej spodziewano się, że skorzysta ze wszystkich naraz, chociaż nic takiego nie miał w swych planach, a to i owo wymagało większych umiejętności, niż posiadał. Nigdy dotąd nie przebywał w towarzystwie dziewczyny, a jedyną radą, jakiej udzielił mu ojciec, było nigdy nie kręcić się w pobliżu żadnej bez kondomu, którą to radę Billy zlekceważył, co pociągnęłoby za sobą straszliwe konsekwencje, tak jak to przepowiadał jego ojciec, gdyby posłuchał rad mężczyzn, wychylających się z okien.

Sama Anna jeszcze pogłębiła jego zmieszanie. Gdyby dała do zrozumienia, że czuje się dotknięta, wiedziałaby, jak zareagować. Tymczasem nie zwracała uwagi na mężczyzn, jakby w ogóle nie istnieli, nawet nie spojrzała w górę, w ich stronę. To sprawiło, że chłopak całkowicie stracił głowę. Czyżby spodziewała się po nim takiego zachowania? Tego było za wiele. Uciekł. Razem z jej książkami, póki za nim nie zawołała, a potem biegł bez nich, rzuciwszy je bezceremonialnie na trawnik. Później, kiedy ojciec nauczył go, by o tym zapomnieć, był mu wdzięczny.

W warsztacie żartobliwy nastrój wolno mijał, a gdy już było po wszystkim, mężczyźni zdali sobie sprawę z niewłaściwości swego zachowania, chociaż nikt otwarcie by się do tego nie przyznał. Ktoś zapytał, kiedy Mather Grouse da na zapowiedzi, i wszyscy wybuchnęli nerwowym śmiechem. Podczas całego tego incydentu Mather Grouse tylko raz wyrzwał przez okno, a potem wrócił do pracy. Skóra na karku zrobiła mu się ciemnoczerwona, ale nie odezwał się ani słowem.

Tamtego wieczoru nie powiedział też nic przy kolacji, nadal zbyt wzburzony, by mądrze zareagować. Czuł żal i złość. Mógł zapomnieć o swoim upokorzeniu, nie byłoby to nawet wcale takie trudne. Nie mógł

jednak zapomnieć o nowym odkryciu, którego dokonał: że jego córka, siedząca przy stole naprzeciwko niego, jest wrażliwą młodą kobietą. Zmieniła się tak szybko, że nawet tego nie zauważył. Jej dziewczęcość zdawała się na tyle samowystarczalna, że się nie martwił, jakby sama dziewczęcość była potężnym amuletem. Teraz kanciasta mała dziewczynka przeobraziła się w delikatną, prześliczną, słabą kobietę. Nagle stwierdził, że Anna nie potrafi sprostać wyzwaniom, które ją czekają, a widząc ją dziś w towarzystwie syna człowieka, który w największym stopniu uosabiał to wszystko, przed czym chciał uchronić swoją córkę, poczuł się zagubiony. A co, jeśli, mimo swych wielkich zdolności, ona też da się złapać w pułapkę? Zlituje się nad jakimś biedakiem i poślubi go, przeprowadzi się do jakiegoś zaniedbanego mieszkanka na pierwszym piętrze, by czekać cierpliwie na powrót męża do domu od Greeniego, odsunąwszy skromny posilek na bok kuchenki? Za rok jej powiewna szata maturzystki będzie skrywała ciążę? Czy za dziesięć lat on, Mather Grouse, sam starszy, za stary, będzie wspinał się po schodach do tego zatechłego mieszkanka, by stwierdzić, że w końcu uciekła, może z dziećmi, może bez nich?

Tamtego wieczoru ten scenariusz wcale nie wydawał mu się melodramatyczny. Bo taki był zasadniczy wątek tragikomedii, w kółko granej w Mohawk. Żona Rory'ego Gaffneya zносиła go tak długo, jak mogła, lecz pewnego chłodnego, zimowego popołudnia, tak jak stała, poszła do centrum, do Four Corners, wsiadła do autobusu jadącego do Syracuse, i wszelki ślad po niej zginął. Mather Grouse nigdy nie spotkał tej kobiety, ale był pewien, że ją zna. I kiedy przyglądał się teraz swej dorastającej córce, siedzącej po drugiej stronie stołu, wyobraził ją sobie na miejscu tamtej.

Na domiar złego owej nocy Mather Grouse śnił o swojej córce w taki sposób, że ogarnęła go straszliwa złość i wstyd, wstał z łóżka i poszedł do łazienki, gdzie płakał cicho w ciemnościach, aż odzyskał spokój. A więc ja też, myślał. Duchem byłem dziś wśród nich. Wychylałem się z okna, wykrzykując sprośne, nieprzyzwoite uwagi. Nie różnię się od nich. Ani piękno, ani niewinność, ani najlepsze intencje nie mogą zmienić tego, co zawsze istniało.

Mather Grouse tak rozmyślał w ciemnościach. A potem naszła go refleksja: może to nieprawda. Nadal jest taka sama. Nadal jest niewinna. I gdybym wszedł do jej pokoju, zastałbym tam tę samą dziewczynkę, którą opatuląłem każdej nocy, kiedy była małym dzieckiem. I gdybym to zrobił teraz, mógłbym na dobre przepędzić swoje kosmate myśli. Mather Grouse

podszedł do drzwi sypialni córki, ale nie wszedł do środka. A jeśli nie śpi? - przestraszył się. A jeśli się domyśla, co mu się przyśniło? To było tak, jakby ojciec i córka w jednej chwili dojrzeli.

27

O drugiej nad ranem Mohawk jest pogrążone we śnie i skostniałe z zimna. W mroźną noc nikt nie włóczy się po ulicach. Gdyby ktoś nie spał, mógłby zobaczyć pierwszy śnieg tej zimy, pokrywający miasto cieniutką warstewką. Do rana stopnieje, zostaną po nim co najwyżej błyszczące kryształki lodu na chodnikach i mali chłopcy, mający nadzieję zarobienia dolara przed Bożym Narodzeniem, będą rozczarowani.

Sygnalizacja świetlna przy Four Corners zmienia się na zieloną, potem na żółtą, potem na czerwoną. Od pół godziny nie przejechał skrzyżowania ani jeden samochód i nikomu by nie przeszkadzało, gdyby światła wyłączono do wpół do piątej, kiedy to na miasto wyjadą furgonetki mleczarzy. W dni powszednie po zamknięciu barów policjanci schodzą ze służby, tylko jeden śpi na posterunku przy telefonie, na wypadek, gdyby ktoś zadzwonił. W Mohawk nie ma knajpy otwartej całą noc ani w ogóle niczego, co by było otwarte całą noc. Przez jakiś czas Harry na próbę nie zamykał swego baru na noc, ale więcej było z tym kłopotu niż to warte. Zatrudniony na nocną zmianę traktował interes, jakby należał do niego - to znaczy zatrzymywał zyski dla siebie. W tygodniu na górze nikt nawet nie grywa w pokera.

Przed domem Grouse'ów przy Mountain stoi wielki wóz meblowy. Kierowca przyjechał późnym popołudniem i zaparkował tutaj, żeby z samego rana mogli przystąpić do pracy. Załadowanie mebli i kartonów z mieszkania na piętrze nie zajmie dużo czasu. Ciężarówka jest już w trzech czwartych wypełniona dobytkiem rodziny z Rochester, przeprowadzającej się do domu z czterema sypialniami w okolicach Stamford. Anna Grouse widzi dach ciężarówki z kanapy, na której siedzi, obstawiona kartonami. Jej łóżko jest rozkręcone, jeśli położy się dziś w nocy spać, to tu, gdzie teraz siedzi. Zamierzała pracować przez całą noc, ale pani Grouse i Randall spakowali wszystko wcześniej, nie zostawiając jej nic do roboty poza próbą przewyciężenia niewyraźnego uczucia, że ten wyjazd oznacza ucieczkę. Nie może się już jednak wycofać, podpisała umowę, złożyła obietnice, dała zaliczkę.

W domu było tak cicho, że kiedy włączył się agregat lodówki, Anna aż się wzdrygnęła. Postanowiła zajrzeć do Randalla, nie dlatego, żeby było mu to potrzebne, tylko dlatego, że jej jest to potrzebne. Ta przeprowadzka będzie dobra przynajmniej dla niego, szczególnie teraz, kiedy okrzyknięto go bohaterem, jego zdjęcie opublikował „Mohawk Republican”, a trzy organizacje społeczne spierały się o termin, by go uhonorować podczas oficjalnych uroczystości. Lepiej sobie z tym wszystkim poradził od niej. Ale Randall zawsze pogardliwie traktował opinie innych, nawet jeśli były pochlebne. Dziwny z niego chłopiec. Kiedy już była przekonana, że przejdzie przez życie jako wyniosły, lekko kpiący cynik, zaryzykował życie dla kogoś zupełnie obcego. I to akurat dla Billy'ego Gaffneya. Była w tym taka niesamowita logika, że nasuwało się podejrzenie, iż może jednak istnieje Najwyższy Architekt albo ktoś w tym rodzaju.

Billy Gaffney - nie myślała o nim od lat. Jeszcze długo po tym, jak jej ojciec zdecydowanie powiedział „nie”, Billy laził za nią ze szkoły do domu, udając, że ma jakiś ważny powód, by stać na rogu i gapić się na ich dom. Może czekał na kolejny przypływ odwagi, albo żeby przestało mu tak doskwierać upokorzenie, albo żeby usprawiedliwić mężczyzn z warsztatu lub za nich przeprosić. Przychodził tu, nawet kiedy zaczęła się umawiać z Dallasem. Potem nagle przestał się pokazywać. Wiedziała, że się w niej durzy, ale w tym okresie sama odkrywała różne tajemnice miłości na przykład tę, że równie łatwo jest się odkochać, co zakochać, mając jakiś nieistotny powód. Nie potrzebowała dużo czasu, by Dallas jej tego nauczył. Przyjęła, że Billy Gaffney dokonał takiego samego odkrycia.

Zgodnie z tym, co napisano w gazecie, mieszkał w opuszczonym szpitalu. Cóż, teraz już nie będzie takiej potrzeby. Po tym, jak Randall opowiedział, co się naprawdę wydarzyło w alejce tamtego dnia, kiedy został pobity, wycofano oskarżenie przeciwko Szalonemu Billowi. Niestety, mieszkańcy miasteczka nadal byli wobec niego wrogo nastawieni i zabrano go do Utica na obserwację, nim jego los, o którym już zdecydowano, zostanie formalnie przypieczętowany. Fakt, że porządny chłopiec naraził się na niebezpieczeństwo z powodu Szalonego Billa, dowodził, jeśli potrzebne były jeszcze jakieś dowody, że Szalony Bill w najlepszym wypadku stanowi utrapienie dla wszystkich. Kiedy Anna o tym usłyszała, nie kryła oburzenia. Jeśli tacy nieszczęśnicy, jak Billy Gaffney, są umieszczani w zakładach, powiedziała swemu ojcu, to polowa mieszkańców Mohawk może równie dobrze skończyć za kratkami.

Mather Grouse zgodził się z nią, od dawna przekonany, że połowa mieszkańców Mohawk powinna trafić za kratki.

Randall obrócił się na łóżku, ale się nie obudził. Kiedy spał, bardziej przypominał mężczyznę niż chłopca, i Anna doszła do wniosku, że młodość musi mieć coś wspólnego z ruchem. Może to tłumaczy, dlaczego tak trudno ocenić czyjś wiek, patrząc na fotografię. Ma zrobione niedawno zdjęcie śpiącego Dana Wooda, z jedną ręką nad głową, w ogrodzie obok basenu. Wgląda na nim, jakby miał dwadzieścia lat. W identycznej pozie zdrzemnął się jakieś piętnaście lat temu w hotelowym pokoju w Albany. Obserwowała go, jak śpi, pragnąc przesunąć palcami po jego wilgotnych włosach, ale bała się go obudzić. Od tamtej pory nieraz mogła to zrobić. Teraz, tak jak wtedy, powstrzymała się.

Na dworze płatki śniegu tworzą aureolę wokół latarni. Z dołu dobiega jakieś szuranie i Anna się zastanawia, czy to obudził się ojciec. Uparł się, by pomagać przy pakowaniu, prawdopodobnie dlatego, że oznaczało to coś w rodzaju pożegnania. Anna gasi światło i rozebrawszy się, przykrywa się kołdrą na kanapie. Wpół do trzeciej. Połowa grudnia. Prawie najdłuższa noc w roku.

Na dole pani Grouse przekręca się na łóżku i otwiera oczy. Zegar na szafce nocnej wskazuje wpół do trzeciej. Widzi, że łóżko Mathera Grouse'a jest puste, kołdra odrzucona na bok. Na pewno poszedł do łazienki. Pani Grouse postanawia zaczekać, aż usłyszy szum spuszczonej wody, uspokajający odgłos. Nie wstaje, by sprawdzić, co u męża, ponieważ go to złości, szczególnie nocą, w łazience, gdzie twierdzi, że każdy człowiek powinien mieć odrobinę spokoju. Czasem jedynie siedzi tam po ciemku, takie zachowanie wywołuje niepokój u pani Grouse, chociaż właściwie sama nie wie dlaczego.

- Po co mi światło? - mówi Mather, gdy go o to zapytać. - Wiem, co robię. To nieskomplikowana czynność.

Czasem potrafi być naprawdę okropny.

Ale Mather Grouse nie siedzi w łazience. Jest w salonie, w swoim ulubionym fotelu, głowa mu opadła na piersi. Kiedy przejeżdża samochód, jego reflektory omiatają pokój, oświetlają twarz i tors mężczyzny, ale on nie reaguje. Mather Grouse nie myśli o tym, co mu ostatnio tak nie dawało spokoju. Nie wspomina też pewnego popołudnia sprzed ponad piętnastu lat, kiedy coś w nim pękło. Siedział w tym samym fotelu, co teraz. Mógł z niego widzieć ulicę przed domem. Stał tam młody Billy Gaffney. Przychodził prawie od miesiąca i patrzył cierpliwie, a Mather

Grouse tak samo patrzył na niego, chociaż chłopak nie miał o tym pojęcia. Kiedy tak siedział, Mather Grouse znowu usłyszał gwizdy i okrzyki, ujrzał mężczyzn, wychylających się oknami. Oczywiście to nie była wina chłopaka. Właściwie przestał się w ogóle liczyć w tym wszystkim, bo jego córka spotykała się teraz z innym. Choć nie było powodu, chłopak Gaffneyów nie dawał spokoju Matherowi Grouse'owi. Przez to uporczywe wystawanie na ulicy, jakby wiedział, że czas pracuje na jego korzyść, jakby jego prywatna wyrocznia doradziła mu cierpliwość. Mather Grouse widział w nim nie zakochanego chłopaka, tylko uosobienie swojego własnego przegranego życia. Mohawk czekało na jego córkę, pewne, że ta wcześniej czy później wyjdzie i je przytuli. A czasem Mather Grouse wyobrażał sobie, że to wcale nie Bill Gaffney, tylko jego ojciec przyszedł tu po Annę. I wtedy coś pękło w Matherze Grousie i wstąpił w niego jakiś diabeł, nawet jeśli tylko na tak długo, by Mather zdążył zadzwonić. Jeszcze zanim odłożył słuchawkę, Rory Gaffney ruszył swoim starym, rozklekotanym samochodem i niebawem brutalnie wciągnął chłopaka do środka. Chłopak pojawiał się jeszcze dwa razy i dwa razy Mather Grouse korzystał z telefonu; za każdym razem jego groźba stawała się mniej zakamufLOWANA. Potem chłopak opuścił ostatni tydzień szkoły przed letnimi wakacjami i przez miesiąc nikt nie widział nikogo z Gaffneyów. Żona Gaffneya uciekła i ktoś powiedział, że Rory udał się na jej poszukiwanie. Niebawem znów pojawił się w warsztacie i wszyscy zaczęli mówić, że jest najnieszczęśliwszym człowiekiem pod słońcem. Nie tylko opuściła go żona, ale jego syn miał wypadek i doznał urazu. Przeżył chwilę paniki, ponieważ niektórzy chcieli dowiedzieć się czegoś więcej. Przez jakiś czas sam Rory Gaffney sprawiał wrażenie wstrząśniętego, ale wkrótce znów stał się taki, jak dawniej. Któregoś dnia miał okazję powiedzieć słówko Matherowi Grouse'owi na osobności.

- Nie musisz się martwić - szepnął. - Przynajmniej z powodu mojego nieszczęsnego chłopaka.

W jego tonie była dziwna poufalskość, jakby byli współnikami, a także zimna nienawiść, która aż zapałała dech Matherowi Grouse'owi.

Ale Mather Grouse nie myśli o tym wszystkim, jak coraz częściej mu się to zdarzało od czasu, kiedy wstąpił do Greeniego. Zwierzenia i insynuacje, szeptane przez Rory'ego Gaffneya, nie kłują go niczym nóż prosto w serce, jak to się działo przez ostatnie piętnaście lat. Nie myśli już też o odkupieniu win, o tym, by zaczerpnąć jednego długiego, głębokiego, oczyszczającego oddechu, co rozpuściłby swoją krystaliczną czystością

gorzką żółć, która się zgromadziła w jego płucach. Nie ma kłopotów z oddychaniem. Jego klatka piersiowa się nie porusza.

Przejeżdżający samochód znów budzi panią Grouse. Widząc, że jej mąż nie wrócił do łóżka, siada i wsuwa nogi w kapcie stojące przy łóżku. Widok Mathera Grouse'a w fotelu wcale jej nie dziwi, bo mąż często w nim siaduje nocami, kiedy nie może spać.

- Kochanie? - odzywa się.

Mather Grouse nie odpowiada.

- Kochanie?

Kiedy dotyka jego dłoni, stwierdza, że jest zimna. Pani Grouse cofa się gwałtownie, na jej twarzy maluje się przerażenie. Na szczęście dobrze zna to uczucie i szybko się opanowuje. Przez chwilę stoi nieruchomo, a potem bierze ciężką kołdrę z kanapy i przykrywa go, tym razem uważając, by go nie dotknąć.

- Proszę - mówi trochę głośniej, niż zamierzała. - Rozgrzej się.

Pani Grouse wraca do sypialni, ale już nie zasypia. Należy do osób cierpliwych. Wie, że wkrótce nadejdzie ranek.

28

Od samego początku były kłopoty, szczególnie ze znalezieniem mężczyn do niesienia trumny. Mather Grouse nie miał krewnych, a Anna nie zdawała sobie sprawy z tego, jak wąski jest krąg jego znajomych, póki nie zaczęła wydzwaniać do garstki osób z czasów, kiedy pracował, których nazwiska przypomniawszy sobie razem z matką. Oczywiście Randall będzie niósł trumnę, doktor Walters też natychmiast zatelefonował i zaproponował swoją pomoc. Ale od tego momentu zaczęły się trudności. Zadzwoił Dallas i zapytał, czy może się na coś przydać, ale mu podziękowała. Często zapominał o ważnych zobowiązaniach, a poza tym parę razy pożyczył pieniądze od jej ojca i nie oddał. Po kilku telefonach do osób, których nie znała i które nie znały jej, ogarnęło ją takie przygnębienie, że zadzwoniła do Woodów. Dzięki Bogu, odebrał Dan. On i jej ojciec nigdy nie mieli zbyt pochlebnego zdania jeden o drugim, ale Anna wiedziała, że w takiej sytuacji może na niego liczyć. A jednak rozgniewała ją, gdy Dan nie okazał zdziwienia, kiedy mu się zwierzyła ze swojego kłopotu. Ale naturalnie nie zawiódł jej, proponując, że poprosi o pomoc swego siostrzeńca, kilka lat starszego od Randalla, który winien mu był przysługę.

Czy znał mojego ojca? - spytała Anna.

- Nie mam pojęcia. Czy to ważne?

- Nie... masz rację.

- Nie spóźni się i przyjdzie w garniturze. Żałuję, że sam nie mogę tego zrobić.

Podniesiona na duchu tym sukcesem, wróciła do swej listy i udało jej się pozyskać jeszcze dwie osoby. Jedną był starszy Włoch nazwiskiem Maroni, najwyraźniej zachwycony, że się do niego zwróciła.

- Chcem powiedzieć jednemu rzecz o pani tatusiu - oświadczył jej przez telefon. - Był z niego porządny gość. Wszyscy robimy błędy. Nawet ja.

Brakowało jeszcze jednej osoby i kiedy Dallas zadzwonił ponownie, Anna się ugięła. Zaproponował nawet, że przyprowadzi kilku swoich kumpli.

- Znam paru facetów... - zaczął.

- Myślę, że poradzimy sobie bez nich - powiedziała. Sądząc po głosie, pan Maroni był człowiekiem sędziwym, ale musiała mieć nadzieję, że staruszek nie umrze przed dniem pogrzebu jej ojca.

- Pomyślałem, że może brakuje ci...

Cały świat wiedział, co odkryła w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin - że jej ojciec zmarł, nie mając właściwie przyjaciół.

W przeddzień pogrzebu Anna, przyjrawszy się sobie w lustrze, stwierdziła, że nie wygląda dobrze. Okazało się, że wszystkie sprawy, związane z pogrzebem, spadły na jej głowę. Za każdym razem, kiedy wylaniało się coś nowego i pytała panią Grouse, czy zechciałaby się tym zająć, matka robiła niepewną minę i mówiła: „Wolałabym, żebyś ty to załatwiła”. Dopiero kiedy wszystko było zapięte na ostatni guzik, zrozumiała, że pani Grouse właściwie zrobiła jej przysługę. Poczowała, że teraz ogarnia ją otepienie, z którego potrafiła otrząsnąć się jedynie na chwilę, poirytowana zachowaniem tych, którzy nie zasługiwali, by się na nich denerwować. Rodzina Woodów przyjechała do domu pogrzebowego wcześniej. Ku zaskoczeniu wszystkich, Woodowie zabrali ze sobą starą Milly, która nie wychodziła z domu przy Kings Road od października, nie licząc wizyt w szpitalu. Staruszka natychmiast dodreptała do pani Grouse i oświadczyła najgłośniej, jak mogła: „Moje biedactwo, nigdy o czymś takim nie słyszałam”. Anna wiedziała, że to tylko takie gadanie. Odkąd pamięta, kobiety z rodziny pani Grouse nigdy „nie słyszały” o mniej przyjemnych aspektach życia. A jednak Anna musiała się siłą powstrzymać, by nie powiedzieć: „Nigdy nie słyszałaś o śmierci, ciociu

Milly? Masz osiemdziesiąt lat, pochowałaś męża i nigdy nie słyszałaś o czymś takim?”.

Nie tylko ona ją irytowała. Diana stanęła obok pogrążonych w żalobie osób, przyjmujących kondolencje, co sprawiło, że grono to stało się liczniejsze od ewentualnych żałobników, którzy się pojawiają. Dallas przyjechał prosto z pracy, miał brudne ręce i zatłuszczone ubranie. Bardzo przeproszał za swój wygląd i w kółko powtarzał, że zna paru facetów. Benny D. chętnie by przyszedł, a Benny to porządny gość. Nawet Dan ją zirytował tym, że przystanął, by porozmawiać z jednym z pracowników kostnicy, nim podszedł do niej. Annie było żal tylko Randalla, który przez dwa dni prawie wcale się nie odzywał, a oczy cały czas miał pełne łez. Nie chciał spojrzeć na trumnę i stał tak, żeby jej nie widzieć nawet kątem oka. Anna przypuszczała, że chłopak jest w jeszcze gorszej formie od niej, ale bała się, że jeśli spróbuje go pocieszać, sama może się rozkleić.

Przez cały wieczór wszystko szło nie tak, jak należy. Dan trzymał się na uboczu. Nie chciał zawadzać swoim wózkiem inwalidzkim, więc Anna nie mogła czerpać sił z jego bezpośredniej bliskości. Właściwie prawie na nią nie patrzył. Ku jej olbrzymiej uldze, Dallas w końcu sobie poszedł, ale wrócił pół godziny później, tym razem umyty i w garniturze. Jako były zięć i osoba, która będzie niosła trumnę, powiększył i tak liczne grono osób przyjmujących kondolencje. Potem próbował rozmawiać ze swoim synem, ale niezbyt mu to wychodziło, więc w końcu się poddał i stanął obok Dana. Obaj wyglądali na niezwykle przybitych, może z uwagi na brak baru.

Łącznie z żałobnikami i personelem domu pogrzebowego w sali ani przez chwilę nie było więcej niż dwadzieścia osób. Z przybyłych Anna знаła tylko garstkę: sąsiadów i kilku starych znajomych. Niektórzy przedstawili się w taki sposób, że nie wiadomo było, kim są ani jak poznali jej ojca. Dwaj mężczyźni utrzymywali, że są szkolnymi kolegami, ale nie przypominała ich sobie i podejrzewała, że coś im się pomyliło. Tak czy inaczej, życie nie obeszło się z nimi łaskawie, a Anna, widząc, że gapią się na nią z nieukrywaniem zachwytem, ciekawa była, jak wyglądają ich żony. Przyszedł brzydki, niski człowieczek w czarnym garniturze. Palił wyjątkowo cuchnące cygaro. Stał przez chwilę, patrząc na trumnę, a potem szybko się ulotnił. Anna dopiero pod koniec wieczoru uświadomiła sobie, że niektóre nędznie odziane osoby, które złożyły jej kondolencje, pojawiły się tylko dlatego, by uciec przed chłodem, bo był to najbardziej nieprzyjemny wieczór tej zimy, a w holu buzował ogień na kominku.

Prawdę mówiąc, Anna właściwie nie zwracała na to wszystko uwagi. Czowała, jak zapada się coraz głębiej, miała przebliski świadomości tylko wtedy, gdy ktoś podawał jej rękę lub próbował się przedstawić. Kilka osób chciało porozmawiać o jej ojcu i wygłaszało pochlebne uwagi o nim, ale nie bardzo wiedziała, co im odpowiadać. Matka mówiła wszystkim, że zmarł „spokojnie, tak jak żył”. Wydawało się to oczywistym kłamstwem, przynajmniej jeśli chodzi o drugą część. Jego życie wypełniała ciężka praca, kurz i hałas oraz wstydlive zabieganie o pieniądze. Anna się cieszyła, że ostatecznie to serce odmówiło mu posłuszeństwa, że się nie udusił, rozpaczliwie próbując zaczerpnąć powietrza, ponieważ całe jego życie pełne było braków i wyrzeczeń. Spokojna śmierć nie stanowiła wystarczającej dla tego przeciwwagi. Matherowi Grouse'owi wiele się należało od życia, ale teraz już o nic się nie mógł upomnieć.

Pani Grouse natomiast ją zadziwiła. Nie pomogła przy organizowaniu pogrzebu, ponieważ załatwianie czegokolwiek nie wchodziło w zakres jej zwykłych obowiązków. Za to nie miała sobie równych, jeśli chodzi o bierne, stoickie cierpienie, naturalnie nie licząc jej siostry Milly. Podczas tych wszystkich chudych lat, kiedy Mather Grouse wracał do domu po Święcie Dziękczynienia z wypowiedzeniem w rękę - a w perspektywie czekało Boże Narodzenie i długa zima bez żadnych szans na zarobek - Anna nie przypominała sobie, by jej matka kiedykolwiek się uskarżała. Dla pani Grouse oznaczało to jedynie, że będą musieli jakoś sobie radzić do wiosny, kiedy prawdopodobnie sytuacja znów się poprawi. Ostatecznie czyż nie gromadziła zapasów i nie ciulała drobnych sum, przewidując taką ewentualność? Czyż nie kupowała wcześniej prezentów pod choinkę? Jeśli chodzi o resztę, oszczędzi na tym, na czym trzeba będzie oszczędzać - na ubraniu i jedzeniu. Obruszyłaby się, gdyby ktośkolwiek zaproponował, by poszukała sobie jakiejś pracy na część etatu. Nie żeby ktoś taki się znalazł. Ale była niezrównana, jeśli chodzi o odejmowanie sobie wszystkiego od ust i wymyślanie sposobów, jak nakarmić trzy osoby dziesięcioma dekagramami tłustego boczk.

Annie nieobce były przeciwności losu, ale zawsze nienawidziła sytuacji, kiedy można było jedynie zacisnąć zęby i biernie czekać. Potrafiła się zdobyć na dosyć odwagi na ryzykowny, zdecydowany krok, ale zwyczajne przeczekiwanie odbierało jej ducha, a odnosiła wrażenie, że im jest starsza, tym częściej zdarzają się takie sytuacje. Następnego dnia, kiedy stała razem z nielicznym gronem żałobników nad otwartym grobem, czekając, aż ksiądz zacznie przemawiać, nagle dotarła do niej

okrutna prawda o jej położeniu. Wkrótce skończy trzydzieści pięć lat, a nie ma nikogo wyłącznie dla siebie. Nikogo, jak kiedyś zauważyła Diana, z kim „musiałaby się dzielić”. Owszem, miała Randalla, ale synowie dorastają i się żenią, a Anna nie chciałaby trzymać się go kurczowo, nawet gdyby mogła. Kiedyś była pewna, że Dan uważa ją za najważniejszą osobę pod słońcem. Raz nawet jej to powiedział. Ale to było dawno temu, a takie wyznania muszą być od czasu do czasu powtarzane, by zachowały swoją moc. Nie wątpiła, że nadal o niej myśli, może nawet często. Ale nie tak, jak by tego chciała. Wątpiła, czy Dan pyta siebie sto razy dziennie - czytając coś w czasopiśmie albo oglądając w telewizji bądź spotykając kogoś - co Anna by o tym sądziła.

Rodzina Woodów stała kilka kroków dalej, za grupką osób otaczającą grób jej ojca. Anna przyglądała się Danowi, aż poczuł jej wzrok, i ich spojrzenia się spotkały. Jak zawsze, patrzył na nią czule i szczerze. Ale była to życzliwość wynikająca z tego, czego, jego zdaniem, Anna potrzebowała, a nie będąca jego potrzebą. Dallas też tam stał i uśmiechnęła się, gdyby nie smutne okoliczności. Dallas, jak można było przewidzieć, miał na sobie blezer, który ani dobrze na nim nie leżał, ani nie pasował do reszty jego ubioru. Pomimo mrozu nie włożył palta, a Anna знаła go na tyle dobrze, by się domyślić dlaczego. Niewątpliwie miał kilka ciepłych kurtek, ale żadna z nich nie była wystarczająco długa, by nie wystawał spod niej blezer. Wkładał go tak rzadko, że nie uważał za rozsądne zainwestowania w jakieś wierzchnie okrycie, które by do niego pasowało. O wiele prościej i taniej było udawać, że nie jest mu zimno, co właśnie dzielnie robił. Czasem się zastanawiała, jak potoczyłoby się jej życie, gdyby spróbowała utrzymać ich małżeństwo. Niewykluczone, że nauczyłaby się przyjmować wszystko z poczuciem humoru, chociaż bardzo w to wątpiła.

Miesiąc temu obudził ją o trzeciej nad ranem, by poprosić o pracę dla swojej bratowej, co Anna załatwiła. A wczoraj w domu pogrzebowym, kiedy biedactwo okazało się na tyle poczciwe, by złożyć uszanowanie rodzinie człowieka, którego nigdy w życiu nie widziała na oczy, potraktował ją, jakby była trędowata. Dallas, wiecznie włóczący się po mieście, zawsze nieprzytomny, jakoś spadał na cztery łapy, dziwił się, słysząc pisk opon i zgrzyt metalu, gdziekolwiek się ruszył, nigdy nie kojarząc tego ze swoją osobą.

No i była jeszcze jej matka. Pocieszenie stanowiłaby myśl, że śmierć Mathera Grouse'a je zbliży. Ostatecznie w jakimś sensie kłóciły się o niego przez te wszystkie lata. I z pewnością powinien istnieć jakiś sposób, by dwie dorosłe kobiety nie wyprowadzały się nawzajem z równowagi.

Ale na razie nic nie wskazywało na to, że cokolwiek się zmieni. Nie rozmawiały dużo od tamtego ranka, kiedy pani Grouse weszła po schodach, kilka minut przed pojawieniem się ludzi od przeprowadzek, by oznajmić córce, co zaszło w nocy.

- Twój ojciec nie żyje - oświadczyła z mocą, jakby Anna mogła jej nie uwierzyć i gotowa była zbiec po schodach, by zastosować sztuczne oddychanie metodą usta-usta. - Musimy poinformować, kogo trzeba.

Matka i córka w ciągu następnych dni ani przez chwilę nie opłakiwały wspólnie zmarłego, chociaż Anna domyślała się, widząc podpuchnięte oczy matki, że pani Grouse płakała, kiedy była sama. Ale matka nie potrzebowała niczyjego pocieszenia. Jeśli musiała się na kimś wesprzeć, mogła liczyć na Milly, która w tym okresie przypominała granitową opokę. Zazwyczaj niedołączna, dzięki czemu unikała robienia tego, co przyzwyczaiła się robić za nią jej córka, Milly zapomniała o swoim wieku i bezradności, i dwie starsze panie trzymały się za ręce i kroczyły chwiejnym krokiem w taki sposób, że każdy, kto tych kobiet nie znał, bał się o ich bezpieczeństwo.

Kiedy zakończyły się uroczystości nad grobem, ludzie zaczęli wracać do samochodów, pragnąc jak najszybciej się rozgrzać. Randall kawałek drogi szedł z matką, ale na widok czarnej limuzyny oświadczył, że woli wrócić do domu pieszo. Nie znalazła żadnego pretekstu, by mu na to nie pozwolić. Czasami go nie rozumiała, a kiedy indziej rozumiała go aż za dobrze. Tego dnia, tak zimnego i smutnego, nie chciał ciepła i pocieszenia.

Diana zaproponowała, że wróci z nimi, ale to oznaczałoby, że przyszlaby też stara Milly, a Anna wątpiła, czy zniesie chociaż jedną uwagę starszej pani. Dallas, w przyplýwie nietypowej dla siebie skromności, podziękował, że pozwoliła mu nieść trumnę, a nawet przypomniał, że jest winien „tacie” pieniądze. Powstrzymała się od uwagi, że osobiście oddała ojcu dług, a on może zawsze zwrócić należność jej, jeśli odczuwa taką potrzebę. Przełożona przeprowadzka miała kosztować więcej, niż Anna początkowo zakładała, i dodatkowe pieniądze bardzo by się jej przydały. Ale Dallas i tak ich nie miał. Przemarzał do szpiku kości, aż żal było na niego patrzeć, i nie miało sensu być złośliwym w stosunku do takich ludzi, jak on. Ostatecznie poślubiła go z litości, a już to samo było wystarczającym okrucieństwem.

Po minięciu bramy cmentarnej samochodu rozjechały się w różne strony, pozbawione wspólnego celu. A więc, pomyślała Anna, już po wszystkim. Usiadła z matką na wielkim tylnym siedzeniu limuzyny, która odstawi je do domu Mathera Grouse'a przy Mountain Avenue,

a potem wróci do firmy, by czekać na kolejny pogrzeb i krótki kurs. Kiedy przyjechali na miejsce, kierowca wysiadł i pomógł pani Grouse wejść na chodnik, a potem wsiadł z powrotem do auta i odjechał. Pani Grouse, zdradzając pierwsze oznaki roztargnienia podczas całej tej przeprawy, zatrzymała się przed schodami na ganek i zaczęła grzebać w torebce. Nagle wydała się Annie bardzo stara.

- Znalazłam - powiedziała pani Grouse i rzeczywiście obie usłyszały brzęk kluczy.

Żadna z nich nie zauważyła mężczyzny w czarnym garniturze, stojącego na rogu i trzymającego się w przyzwoitej odległości. Dopiero kiedy znalazł się obok niej, Anna drgnęła przestraszona i spojrzała na niego tak gniewnie, że wyjął grube cygaro z ust i wymamrotał słowa kondolencji. Potem ręką, w której nie trzymał cygara, sięgnął do kieszeni i wyciągnął stamtąd plik banknotów, które wcisnął pani Grouse. Kobieta cofnęła się, jakby ją pchnął nożem.

- Pani mąż... - wyjąkał pan Untemeyer. - Trafił numerek. - Ale nie potrafił rozmawiać z kobietami, od wielu lat nie mając po temu okazji, i szybko się poddał. - To pani, do cholery - rzucił szorstko.

Ale pani Grouse dalej cofała się po schodach ganku.

- Nie - powiedziała. - O nie.

Untemeyer był wyraźnie skonsternowany, nie mając absolutnie żadnego doświadczenia z ludźmi odmawiającymi przyjęcia pieniędzy. Uderzyło go to jako coś nienaturalnego, nawet rodzaj zboczenia. Zwrócił się do Anny, która była niewiele mniej zmieszana od matki. Czyżby w Mohawk istniała jakaś groteskowa loteria, w której wygrał jej ojciec, umierając konkretnego dnia?

- Właśnie pochowaliśmy mojego ojca - oświadczyła mężczyźnie. - Proszę odejść.

Prawdę mówiąc, Untemeyer miał taką minę, jakby niczego bardziej nie pragnął pod słońcem, ale ani drgnął, wymachując grubym plikiem banknotów niczym kartami do gry.

- To pani - upierał się. - Pański staruszek odgadł cholerny numerek. To nie moja wina.

Ku zdumieniu Anny, jej matka przestała się cofać i zwróciła się do mężczyzny, który wspomniiał o jej mężu.

- To jakaś pomyłka - oznajmiła. - Mój mąż nie był hazardzistą.

Bukmacher był na to przygotowany. Nigdy nie rozstawał się ze swoimi pokwitowaniami, a pokwitowanie Mathera Grouse'a, które nosił od tygodnia, znajdowało się na samym wierzchu.

- Widzi pani? - spytał, pokazując pani Grouse wyraźnie wypisane nazwisko jej męża. - Widzi pani?

Ale kobieta była nieprzejednana.

- Bardzo mi przykro - powiedziała.

- Jezu Chryste, proszę pani! - wykrzyknął Untemeyer. Ale uświadomiwszy sobie, że nic nie zdziała, po jeszcze jednej daremnej próbie wręczenia jej pieniędzy wsunął je do kieszeni i sztywno się wycofał, kręcąc głową.

Kiedy znalazły się w środku, Anna zauważyła, że jej matka, wyglądając przez żaluzje, jakby spodziewała się powrotu nieznajomego, płacze bezgłośnie.

- Dlaczego są na świecie tacy okropni ludzie? - spytała, jakby naprawdę chciała poznać odpowiedź i przypuszczała, że może jej otrząskana w świecie córka potrafi jej to wytłumaczyć. Nadal lekko wyglądając przez okno, pani Grouse dodała potem coś jeszcze bardziej zdumiewającego: - Naturalnie nigdzie teraz nie wyjedziesz. Zostaniesz tutaj.

Anna świetnie rozumiała swoją matkę. Przez „teraz” pani Grouse rozumiała nie śmierć Mathera Grouse'a, ale raczej to, co się właśnie wydarzyło. To mężczyzna, który tak obcesowo wciskał jej pieniądze, zmusił panią Grouse do śmiałego spojrzenia na niepewną przyszłość. Bała się, być może pierwszy raz od dnia swego ślubu.

- Naturalnie, że nie, mamó - usłyszała Anna swój głos. - Zostaniemy tak długo, jak zechcesz.

Część druga

29

Harry Saunders rozgląda się po barze Mohawk i dochodzi do wniosku, że życie to wieczny kalejdoskop. Dopiero niedawno uczynił to odkrycie, ale nie napełniło go ono otuchą. Prawdę mówiąc, zawsze wyznawał krańcowo różną filozofię, przy czym nie tyle on wybrał ją, ile ona - jego. Do niedawna dni Harry'ego przypominały kostki domina, rozstawione na tyle daleko od siebie, by przewrócenie jednej nie powodowało przewrócenia następnej; były raczej ofiarami rutyny, a nie konieczności, a efekt końcowy stanowiła nieprzerwana czarna linia, niewątpliwie prowadząca tu czy tam.

Dziś będzie ostatni dzień takiego życia, jakie znał do tej pory. Jutro pracownicy Blackstone Construction zburzą ścianę między barem a tym, co krótko było księgarnią. Wcześniej mieścił się tam salon piękności, a jeszcze wcześniej - sklep z odzieżą męską. W ciągu dwudziestu pięciu lat, odkąd Harry kupił bar, w sąsiedztwie uruchomiono i zlikwidowano osiem czy dziesięć interesów, każdy następny bardziej pechowy od poprzedniego. Wszystkie otwierano z pompą, tradycyjnym ogłoszeniem na jedną czwartą strony w „Mohawk Republican”, bezpłatnymi balonikami dla dzieciaków, nagrodami. Przez kilka miesięcy właściciel doglądał interesu i mówił, że wszystko się rozkręci wraz z nadejściem lata. Potem w lipcu ogłaszał takiego czy innego rodzaju wyprzedaż i ciekawscy zaglądali z ulicy, by pogrzebać w metalowych pojemnikach z towarem, a po chwili znów wyjść na dwór. Fakt, że jest to pechowe miejsce, nie był dla nikogo tajemnicą, a już najmniej dla Harry'ego Saundersa, który współczuł każdemu z zastępu bankrutów, przychodzącemu do niego na kawę, na którą na końcu nie było go stać.

Uwzględniając to wszystko, Harry odczuwa lekki niepokój, kiedy pomyśli, że zgodził się kupić ten lokal i rozbudować bar. Dał się skusić. Słowo to nieprzyjemnie brzmi. Wypowiada je na głos: - „Skusić!”. Odbijając się od ścian pustego baru, słowo brzmi jeszcze gorzej. Harry powtarza je kilka razy, nawet kiedy wchodzi jego pierwszy klient, kierowca ciężarówki Herb, z długimi rudymi bakami.

- Co powiedziałaś, Harry?
- Nic.
- Już gadasz sam ze sobą?

Herb zamawia czarną kawę. Wciąż podenerwowany, Harry rozlewa trochę kawy na spodeczek. Herb jest dobrym klientem i nie przesadnie zasadniczym. Z przyjemnością siorbie kawę ze spodeczka.

- Większość żonatych mężczyzn wcześniej czy później zaczyna mówić do siebie - zauważa Herb, pochłonięty lekturą jadłospisu. Zna go na pamięć, ale studiuje z uwagą każdego ranka, nim coś zamówi.

- Skąd wiesz? - pyta Harry.

Wybija dwa jajka na ruszt, gdzie skwierczą apetycznie. Będą gotowe, nim Herb postanowi, że chce na śniadanie jajka. Harry bierze talerz z wysokiego stosu naczyń i podgrzewa go na skraju płyty. Herb prawie zawsze zamawia boczek lub parówkę, bo szynka kosztuje dziesiętaka drożej. Harry nakłada na talerz trochę frytek i grzanekę.

- Dwa jajka sadzone - mówi Herb z za jadłospisu. - I chyba parówkę.

Kiedy Harry stawia przed nim talerz, Herb przystępuje do jedzenia.

- Kobiety są w porządku - przyznaje kierowca ciężarówki. - Przy najmniej niektóre z nich.

Pojawiają się dwaj kolejni klienci i Harry przyjmuje od nich zamówienia. Wkrótce za kontuarem nie ma wolnych miejsc. Odkąd konkurent Harry'ego z baru Fulmont miał wylew, interesy idą świetnie. Krążą plotki, że wkrótce ponownie zostanie otwarty bar Fulmont, ale właściciel nie odzyskał w pełni władzy w prawej części ciała, a widok krzywego uśmiechu z pewnością odstraszy klientów, którzy oczekują symetrii w wyglądzie kucharza z baru szybkiej obsługi.

- Może nawet pewnego dnia znowu się ożenię - snuje przypuszczenia Herb, w rozmarzeniu drapiąc jeden bak palcem umazanym jajkiem.

- Kto wie?

- Nie miałem pojęcia, że byłeś już żonaty.
- Byłem, i to dwa razy. Ale dawno temu.
- No i co się stało?
- Nie wiem. Coś.

Herb płaci i wychodzi. Pojawia się kelnerka, pomagająca rano Harry'emu, i są zajęci do przerwy obiadowej. Pomywacz rozpoczyna pracę o wpół do jedenastej, ale nie może nadążyć ze zmywaniem brudnych naczyń. Widok ludzi czekających na wolny stolik czy miejsce przy barze nie raduje Harry'ego, który wyobraża sobie puste stoliki i stołki, kiedy wyburzą ścianę, a fatum wiszące nad sąsiednim lokalem przeniesie się do niego.

Około wpół do trzeciej przychodzi Dallas Younger. Ma zaczerwienioną twarz.

- Ta twoja pani z pewnością jest przewrażliwiona - zauważa.
- Znów się na nią napatoczyłeś?

Poza tym, że Harry kupił sąsiedni lokal, wyremontował również górę, gdzie mieszka teraz razem z panią Saunders. Wprowadzili się tam jakiś czas temu i wszyscy się już do tego przyzwyczaili z wyjątkiem zamiejscowych i Dallasa Youngera, który wciąż się spodziewa, że natknie się tam na partyjkę pokera, zamiast szukać graczy trzy domy dalej, dokąd się przenieśli.

Dallas studiuje kalendarz z obrazkami, przyczepiony magnesem do automatu z mlekiem.

- Jest kwiecień, Harry. Czy sprawisz sobie tegoroczny kalendarz, czy też znowu będziemy mieli tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty pierwszy rok?

- Lubię tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty pierwszy rok.

Dallas kiwa głową.

- Muszę przyznać, że ta twoja pani jest w porządku.

30

Randall Younger musiał długo czekać, nim zatrzyma się jakiś samochód. To przez te włosy. Początkowo miał szczęście, na przedmieściach Buffalo zabrał go kierowca jadący autostradą na wschód, do Nowego Jorku. Mężczyzna wysadził Randalla koło Fultonville i od tamtego miejsca, praktycznie rzecz biorąc, nie było jazdy. Przez jakiś czas wolno szedł z podniesioną ręką wzdłuż szosy, przeszedł most na rzece Mohawk, ale kiedy dotarł do Fonda, zrobiło się ciemno, więc zrezygnował z obiadu i przelaził przez ogrodzenie centrum wystawowego. Pod zadaszoną trybuną nie zmoknie, gdyby zaczął padać deszcz. Teren był usłany śmieciami

pozostawionymi przez entuzjastów piątkowych wyścigów samochodowych, śmierzdziało, ale po jakimś czasie Randall przywykł do tego. Wiatr świstał wysoko na trybunach, rysujących się na tle nocnego nieba.

Rankiem wiatr ucichł, ale było szaro i zimno. Randall wstał cały zesztywniały i zwinął swoje tymczasowe legowisko. Przerzucił zawiniątko przez ogrodzenie, a potem sam się przez nie przegramolił. W Fonda była otwarta knajpa i jej właściciel, mamrocząc coś pod nosem, zgodził się nalać Randallowi kawy, kiedy młody człowiek udowodnił, że może za nią zapłacić. Nie zaproponował mu jednak dolewki, a Randall musiał się zadowolić jedynie tym, że - aby się odegrać - zostawi tylko pięć centów napiwku. To była jego ostatnia pięciocentówka.

Na dworze znowu zerwał się wiatr. Rozwiewał Randallowi włosy do ramion. Przejeżdżający kierowcy po krótkim namyśle rezygnowali z zabrania kogoś o takim wyglądzie. Jako chłopiec nie należał do dużych dzieci, wyrósł dopiero w ostatniej klasie liceum i na pierwszym roku studiów. Był teraz wyższy od swego ojca, a taki tyczkowaty, jak przedsiębiorcy pogrzebowi na filmach. Z trzydniowym zarostem wyglądał na znacznie więcej niż swoje osiemnaście lat. Kilku kierowców zwolniło, ale po bliższym przyjrzeniu się Randallowi znów nacisnęło pedał gazu. Pomyśl, że mógłby budzić w kimś lęk, bawił Randalla, który nie znał mniej agresywnej osoby od siebie.

Przed południem, w połowie drogi do Mohawk, rozklekotany volkwagen garbus zjechał na pobocze sto metrów dalej i stanął, silnik czał niepewnie, grożąc, że w każdej chwili zgaśnie. Randall się nie śpieszył. Godzinę temu zatrzymało się kilku nastolatków, pomachało mu, a kiedy podbiegł do ich samochodu - odjechało mu sprzed nosa. Jeżeli dobrze widział, w garbusie siedziała tylko jedna osoba, dziewczyna, na pierwszy rzut oka rok czy dwa lata młodsza od Randalla.

- Widzę, że ci się nie śpieszy - powiedziała, kiedy Randall się pochylał, by zajrzeć przez okno od strony miejsca dla pasażera.
- Mogę rzucić swoje rzeczy na tył?
- Czemu nie?

Randall zrozumiał odpowiedź dziewczyny, kiedy odchylił przedni fotel, by wcisnąć za niego zwinięty śpiwór. W kilku miejscach rdza przeżarła podłogę na wylot, a akumulator, nietypowo umieszczony tam, gdzie pierwotnie była tylna kanapa, chwiał się niepewnie zaledwie kilka centymetrów nad powierzchnią drogi.

- Niech zgadnę - powiedziała dziewczyna. - Do Mohawk?

Kiedy Randall zajął miejsce obok niej, ruszyła. Silnik zarzęził.

- Zgadłaś.

Po bliższym przyjrzeniu się dziewczynie stwierdził, że może mieć góra szesnaście lat, ale prowadziła wóz tak, jakby jeździła od zawsze. Coś w sposobie, w jaki trzymała kierownicę, dotykając jej jedynie dłonią, jakby mogła dostać mniej punktów, gdyby ujęła ją palcami, przekonało go, że dziewczyna się popisuje. Uśmiechnął się. Od dawna przed nikim się nie popisował, a jeszcze więcej czasu upłynęło od chwili, gdy ktokolwiek uznał za warte zachodu popisywanie się przed nim. Wszystkie wskaźniki na tablicy rozdzielczej klekotały.

- Nie martw się - powiedziała dziewczyna. - Uda nam się. - Kiedy naciskała na gaz i podjeżdżała blisko do samochodów jadących z przodu, kierowcy ustępowali jej drogi, może bojąc się, że ktoś na tyle szalony, by jeździć takim gruchotem, jest zdolny do wszystkiego. - Chcesz wiedzieć, jak zgadłam, że chodzi o Mohawk?

- Przy tej drodze nie ma zbyt wiele miejscowości - powiedział Randall, nie będąc w nastroju do rozmowy. Im bliżej był Mohawk, tym bardziej miał ochotę jedynie chłonąć otaczające go widoki. Znajome zabudowania na przedmieściach: punkt sprzedaży Forda, Dairy Queen, biura elektrowni. Wszystko wydawało się dziwnie nieproporcjonalne, jakby podczas jego nieobecności domy przybliżyły się do siebie.

Na nieszczęście jego towarzyszka miała ochotę na rozmowę. Jednym z minusów podróży autostopem było to, że wielu kierowców w zamian za podwiezienie domagało się pogawędki. Przynajmniej w tym wypadku kierowca był na swój sposób ładny. Biały sweter przybrał odcień lekko niebieskawy, efekt prania razem z dżinsami. Dziewczyna miała gładką cerę, ale z odcieniem niezdrowej szarości, apetycznie zaokrąglone kształty, a włosy nie tak jasne, jak się początkowo wydawało. Była bez butów.

Przy Rose Avenue skręciła w lewo z głównej drogi, w stronę centrum.

- Pojedziemy trasą widokową - powiedziała - żebyś mógł zobaczyć, ile się zmieniło. Obok banku otworzyli Kentucky Fried Chicken.

- Naprawdę? - spytał Randall, nie do końca jej wierząc. Kentucky Fried Chicken w Mohawk. Proszę, proszę.

Na początku Main było kilka nieczynnych sklepów, między innymi mały sklep spożywczy, należący do ojca jednego ze szkolnych przyjaciół Randalla. Jednego z jego niby-przyjaciół. Od wyjazdu z Mohawk nie widział się z nikim z liceum ani też z nikim nie korespondował. A jednak zrobiło mu się przykro na widok zamkniętego sklepiku spożywczego.

- A więc jak tam w college'u? - spytała dziewczyna.
- Skąd ci przyszło do głowy, że studiuję?
- Włosy - odparła dziewczyna rzeczowo.
- Rosną bez względu na to, czy płaci się chesne, czy też nie - odparł.
- Nie rozumiem, jaki to ma sens. Chodzi mi o college. - Powiedziała to takim tonem, jakby naprawdę ją interesowało, co on sądzi o studiach.

Randall nie miał na podorzędziu zgrabnego wytłumaczenia. Lubił się uczyć. Przyjemnie było siedzieć i czytać książki i nie mieć wkoło siebie ludzi, którzy cię uważają za oryginała. Na upartego można to było nawet nazwać pracą, i nikt tego nie kwestionował. Randall kiedyś naprawdę pracował, więc znał różnicę. Podejrzał, że nie on jeden. Ale nawet jeśli można mu było zarzucić udział w jakimś przestępstwie, uważał je za dość niewinne. Z pewnością o wiele bardziej niewinne niż jazdę na drugi koniec świata, by zabijać lub dać się zabić w imię bezpieczeństwa ojczyzny. Ciekaw był, co myślałby jego dziadek, wiedząc, że wnuk uchyla się od służby wojskowej. Bo już wkrótce Randall oficjalnie zostanie dekonikiem. Na dobrą sprawę może już nim jest. Od kiedy rzucił naukę na początku wiosennego semestru, niełatwo było trafić na ślad Randalla. Niewątpliwie matka zgromadziła mnóstwo oficjalnych zawiadomień na jego nazwisko. To była jedna z przyczyn powrotu Randalla do miasteczka. Musi spróbować wyjaśnić wszystko matce. Gdyby Mather Grouse jeszcze żył, Randall spróbowałby wyjaśnić to również jemu. Wątpił, czy jego dziadek by go zrozumiał, podobnie jak nie rozumiałby jego długich włosów i kilkudniowego zarostu. Randall uśmiechnął się na wspomnienie dziadka. W myślach zawsze widział Mathera Grouse'a tak samo - sprząającego chodnik, strzygącego trawę, usuwającego chwasty w małym ogródku za domem lub cierpliwie mieszającego farbę patykami - olej spływał delikatnie w kierunku leja pośrodku puszki, aż emulsja stała się gładka jak aksamit.

- Idź na wojnę - poradziłby mu dziadek. - Nie będziesz musiał zabijać. Będą wiedzieli, co z tobą zrobić, i zabijanie, sprzeczne z twoimi poglądami, zlecą komu innemu, kto prawdopodobnie nie będzie miał takich obiekcji. Nauczysz się czegoś o nich i o sobie. Nie spodoba ci się to, czego się dowiesz, ale tak czy inaczej, lepiej się z tym zapoznać.

- Ferie wiosenne czy co? - spytała dziewczyna.

Stali na świetłach przy Four Corners. Dziewczyna go nie okłamała. W połowie kwartału wielki czerwono-biały kubełek obracał się tuż obok kopyły Mohawk Bank and Trust.

- Chyba jestem dość wścibska, co?

- Średnio.
- Nawet wiem, kim jesteś.

Randall wątpił. Kiedy ostatni raz przeglądał się w lustrze, z ledwością siebie poznał. A nigdy wcześniej nie spotkał tej dziewczyny.

- Jesteś Randall Younger - powiedziała, gdy zmieniło się światło. - Kiedy chodziłam do drugiej klasy liceum, a ty do ostatniej, byłam w tobie zadurzona po uszy.

Randall się zdziwił.

- Powinnaś była dać mi jakiś znak.
- Masz pieniądze? - spytała, zatrzymując się przed Kentucky Fried Chicken.

- Trzeba było wcześniej mnie zabrać. Rano byłem nadziany. Wszystko zostawiłem pewnemu chciwcowi z Fonda.

- W takim razie ja funduję.

Randall był głodny, ale głupio by się czuł, gdyby pozwolił nieznajomej dziewczynie płacić za siebie. Istniało niewielkie prawdopodobieństwo, że jego dziadek pogodziłby się z tym, iż wnuk uchyla się od służby wojskowej, ale naciągnięcie na posiłek nastolatki, w której samochodzie rdza wygryzła dziury na wylot, trudniej byłoby mu wytłumaczyć.

- Dopiero wpół do jedenastej - spróbował Randall.
- Najlepsza pora. Kurczak jest świeży, jeszcze nie rozmiękły.

Już składała zamówienie do mikrofonu umieszczonego na słupku. Dziewięć skrzydełek, surówka, bułeczki, dwie cole.

- Jeśli chcesz, możesz mnie kiedyś gdzieś zabrać - oświadczyła i wkrótce zaczęła mu wręczać pudełeczka, po jednym, aż utworzyły mu na kolanach ciepłą piramidę. Postawiła garbusa na parkingu obok pojemnika na odpadki. - Nadal trochę się w tobie podkochuję. A raczej podkochiwałabym się, gdybyś się ogolił i ładnie ubrał.

- Nie wydaje mi się, żebym aż tak długo zabawił w mieście - powiedział. - Nie żeby nie było miło wybrać się gdzieś z tobą.

Oboje jedli z apetytem pomimo wczesnej pory, kurczak był bardzo smaczny. Dostali tylko jedną łyżkę, więc Randall zrezygnował z surówki na rzecz dziewczyny.

- Sądzę, że to nawet lepiej - powiedziała. - Tak czy inaczej, powinienam skończyć z tym zadurzaniem się. To niedobra rzecz, kiedy się jest po ślubie.

- Nie jestem żonaty - sprostował Randall, zadowolony, że w końcu przyłapał ją na błędzie.

- Wiem - powiedziała. - Ja jestem mężatką.

Randall przestał jeść i spojrzął na nią.

- Jesteś za młoda - oświadczył, zdając sobie sprawę z tego, że to nie-
zbyt mądra uwaga.

- Masz rację - zgodziła się beztrąsko dziewczyna. - Ale wystarczająco
duża, by zmajstrować mi dzieciaka. Powinieneś kiedyś poznać moją
małą.

Do czysta ogryzła swojego kurczaka i wrzuciła kostki do pudełka.

- Nie masz nic przeciwko temu, żebym zjadła jeszcze jedno skrzy-
dełko?

- Nic a nic - ochoczo odparł Randall. - Bierz.

- Są najsmaczniejsze. Gwizdnę na to, co mówią ludzie.

- Łatwo cię zadowolić.

- To prawda - przyznała. - Założę się, że ty jesteś zupełnie inny. Za-
łożę się, że nie jesteś bardzo szczęśliwy.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Pamiętam cię z dawnych czasów. Zawsze byłeś w szkole jakiś
smutny.

- Czasem pozory mylą.

Wzruszyła ramionami.

- Lubiałaś liceum w Mohawk? - spytał.

- Jasne. Żałuję, że musiałam rzucić naukę.

- Zawsze możesz wrócić do szkoły.

Zastanowiła się nad tym, skrzydełko kurczaka zawisło kilka centy-
metrów poniżej jej ust.

- Nie. Teraz wolę inne rzeczy.

Randall nagle sobie uświadomił, że rozmowa z dziewczyną sprawia
mu przyjemność. Zazwyczaj irytowała go bezmyślna paplanina, ale
dziewczyna robiła to z takim wdziękiem, że stwierdził, iż sam się uśmie-
cha.

- To znaczy co?

- Różne rzeczy. Masz trawkę?

- Wielki Boże!

- O co chodzi?

- To Mohawk.

- No to co?

- Nic. - Rzeczywiście, skoro jest tu Kentucky Fried Chicken. -
Przykro mi, że cię rozczarowałem.

- Niezbyt to miłe po tym, jak zapłaciłam za twój obiad. Prawdopo-
dobnie myślisz, że ci powiem, skąd ją biorę.

- Opowiedz mi o swoim mężu.

- Przeważnie cały czas jeździ na swoim motorze. Nie przypadłbyś mu do gustu.

- Wielka szkoda. Moglibyśmy zostać najlepszymi kumplami.

Dziewczyna nie zauważyła sarkazmu w jego słowach.

- Nie sądzę. Jesteście zupełnie inni.

- Założę się, że nie spodobałoby mu się, gdyby się dowiedział, że zabierasz autostopowiczów.

- Jest mu to obojętne. Ma dziewczynę w Ephrata.

- Nie mieszkanie razem?

Prychnęła.

- Skądże znowu! Dlaczego miałabym chcieć z nim mieszkać?

Randall nie wiedział. Jedli, aż opróżnili pudełka, a papierowa torba, w którą były pierwotnie zapakowane, wypełniła się ogryzionymi kosteczkami. Randall zaniósł tacę do pojemnika na śmieci i zaczerpnął powietrza głęboko w płuca. Pachniało trochę Kentucky Fried Chicken, trochę Mohawk i trochę odpadkami. Kilka domów dalej był bar Mohawk, za nim zaułek, gdzie go pobito, a wyżej, na wzgórzu, pusty parking w miejscu, gdzie kiedyś mieścił się szpital imienia Nathana Littlera. Miejsce jego największej chwały. Bohater, pomyślał Randall z uśmiechem, przemienił się w dekownika. Niektórzy ludzie prawdopodobnie nawet nie pamiętali starego szpitala. Już od prawie sześciu lat wycie syren karettek pogotowia rozlegało się na szosie; omijały miasto, jak wszystko inne.

Dziewczyna wytarła ręce w jedną ze specjalnych wilgotnych serwetek o zapachu cytrusowym, najpierw głęboko wciągnąwszy jej świeżą woń.

- Ubóstwiam te rzeczy - powiedziała. - A ty?

- Możesz wziąć też moją.

- Naprawdę? - zapytała i wrzuciła opakowanie do otwartej torebki. - Zostawię ją dla małej. Zawieźć cię na Mountain Avenue?

Randall zamrugnął powiekami.

- Już powiedziałam, że wiem o tobie wszystko.

- Rzeczywiście musiałaś być we mnie nieźle zadurzona.

Pojechali Main na północ.

- Wysadź mnie przed siedzibą straży pożarnej. Chciałbym kilka ostatnich przecznic przejść na piechotę.

- Nie ma sprawy. - Zatrzymała się i wysiadł.

Ku jego zdumieniu, śpiwór nadal tkwił za fotelem. - Nawet nie wiem, jak ci na imię.

- Możesz mnie nazywać B.G.

- Dobrze, B.G. Bądź dobrą dziewczynką. Pilnuj się, żebyś się tak łatwo nie zadurzała.

- W twoim przypadku nic nie mogę na to poradzić - powiedziała. Kiedy się zaczerwieniła, pod rumieńcem zniknęła lekka bladość cery, i dziewczyna wyglądała naprawdę ślicznie. - Prawdę mówiąc, sięga to czasów, kiedy ty miałeś trzynaście lat, a ja jedenaście.

- Nie żartuj.

- Słowo daję. Wtedy nawet cię jeszcze nie znałam.

Nie uwierzyłyby jej, gdyby nie mówiła tak poważnie.

- Przypuszczalnie nie powinnam ci mówić, co oznacza to „G”, ale co mi tam. To pierwsza litera mojego nazwiska panińskiego.

Nagle Randall wszystkiego się domyślił, chociaż nie rozumiał, skąd to niespodziewane olśnienie.

- Gaffney - powiedział, nim jeszcze skończyła mówić.

- Wtedy uratowałeś mojego stryjka - powiedziała. - Zakochałam się w tobie, nawet nie wiedząc, jak wyglądasz. Co się stało?

Randall nagle wszystko zrozumiał, jakby ni stąd, ni zowąd natknął się na rozwiązanie zagadki, którą usłyszał dawno temu i zdążył o niej zapomnieć.

- Nie wstydz się. Byłeś wspaniały.

Nie mógł się z tym zgodzić. Wcześniej, na przedmieściach, wydawało mu się, że wszystko wygląda nie tak, budynki stały zbyt blisko siebie. Jakby zniknięcie starego szpitala stworzyło pustkę, która przyciągała wszystko, co się znajdowało w Mohawk, trochę bliżej środka, niczym olej w puszczy z farbą mieszaną przez jego dziadka. Nawet jego ściągnęło tutaj z Buffalo. Może wcale nie przyjechał, by wyjaśnić wszystko matce. Może to ona miała mu coś do powiedzenia. Ostatecznie była córką Mathera Grouse'a i musiała wiedzieć.

- Wypuszczają go pierwszego - usłyszał głos dziewczyny i nie wiadomo dlaczego pomyślał, że mówi o jego dziadku.

- Wypuszczają...

- Tak - powiedziała. - Szalony Bill znów w akcji. Wraca do domu.

31

Anna Grouse obserwowała matkę przez okno kuchenne. Pani Grouse bardzo mało się zmieniła. Początkowo Anna się obawiała, że śmierć Mathera Grouse'a może sprawić, iż matka szybko podupadnie na zdrowiu, ponieważ od chwili stwierdzenia choroby u jej męża pani Grouse

całkowicie poświęciła się jego pielęgnacji i zdawała się nieprzystosowana do życia bez niego. Ale Anna nie doceniała swej matki i teraz się zastanawiała, czy przypadkiem nie było ich przeznaczeniem wieczne niedoceniecie się nawzajem.

Pani Grouse nie zdawała sobie sprawy z obecności córki na ganku z tyłu domu, gdzie Anna szykowała śmieci, odbierane we czwartki. Starsza pani, wytarłszy dokładnie naczynia po śniadaniu cienką ściereczką - odmówiła korzystania z plastikowej suszarki, którą kupiła jej córka w sklepie Woolwortha, wołąc wycierać każdą filiżankę ręcznie - była zajęta nakrywaniem stołu do południowego posiłku, do którego zostało jeszcze kilka godzin. Postawiła nakrycia dla dwóch osób, ponieważ Anna w południe wpadnie z pracy do domu, by się upewnić, że poranne wywożenie śmieci przebiegło bez żadnych problemów. Z upływem lat jej matka coraz bardziej przeżywała kwestię śmieci i poświęcała tej sprawie znacznie więcej uwagi, niż była ona warta. Kiedy psy dobrały się do nich przed przybyciem śmieciarzy, podczas wspólnego spożywania grzanek z serem racyła córkę plastycznym opisem bałaganu.

Pani Grouse była zazwyczaj niezwykle rozmowna w czasie tych czwartkowych lunchów, ponieważ kobiety stały się „niemal obcymi sobie ludźmi”, chociaż mieszkały pod jednym dachem. Po wyjeździe Randalla na studia Anna kategorycznie odmówiła przeprowadzenia się na dół. Przedstawione przez nią powody prowadzenia osobnych gospodarstw domowych były absolutnie niezrozumiałe dla pani Grouse, omawiającej ten dziwaczny układ ze swą siostrą podczas każdej wizyty starszej pani. To Milly użyła określenia „dziwaczny”. Oficjalnie cała wina spadła na Annę, która jednak wiedziała, że jej matka nie przystałaby na żadne inne rozwiązanie i nie pozwoliłaby przenieść rzeczy córki do pomieszczeń na dole.

Pani Grouse równiutko ustawiała filiżanki i talerze, jakby plastikowe podkładki miały wydrukowany wzór geometryczny, zharmonizowany ze wzorem naczyń i sztućców. Najpierw ustawiła talerze, przesuwając je centymetr to w jedną stronę, to w drugą, póki nie uznała, że stoją jak trzeba. Anna obserwowała to z ganku, walcząc z narastającym uczuciem buntu. Matka miała nieobecny wyraz twarzy, co oznaczało, że rozgryza jakiś trudny dylemat, mający znaczenie tylko dla niej i może dla jej siostry.

Śmierć Mathera Grouse'a ostatecznie przypieczętowała symbiozę istniejącą między obu siostrami. Pani Grouse początkowo była niepewna i zalek-niona, ale zaczęła dochodzić do siebie, gdy tylko jej córka zrezygnowała z

przeprowadzki i znalazła sobie w Mohawk inną pracę, znacznie gorzej płatną. Z nich dwu pani Grouse o wiele lepiej przystosowała się do nowych warunków. Ale ostatecznie starsza pani miała wzór do naśladowania. Milly przeżyła podobną stratę i pogodziła się z nią ze stoickim spokojem, zupełnie zapominając, że przez ostatnie dziesięć lat życia swego męża prawie się do niego nie odzywała. Dan Wood często mawiał, że gdyby ktoś ją usłyszał, jak snuje wspomnienia, mógłby pomyśleć, że straciła przyjaciela od serca. W rzeczywistości Milly, pochowawszy męża, zyskała pewną przewagę nad panią Grouse, albowiem obie kobiety czerpały ogromną satysfakcję z tego, że los rzuca im pod nogi wszystkie kłody, jakie tylko istnieją na tym świecie. Teraz z kolei pani Grouse była górą nad swą siostrą, bo nie tylko pochowała męża, ale jeszcze miała rozwiedzioną córkę. Ale należała do zbyt poczciwych natur, by wykorzystywać tę niezaskuszoną przewagę, i obie się zgodziły, że każda niesie ciężki krzyż.

Pani Grouse nie odchodziła od stołu kuchennego. Przystanie układać sztucce, kiedy rozwiąże problem, który ją trapi. Dopiero wtedy uzna, że stół jest odpowiednio nakryty, noże i widelce spoczywają jak należy. Anna otworzyła drzwi akurat w chwili, kiedy jej matka doszła do jakiegoś wniosku.

- Łakocie - powiedziała pani Grouse.

- Co?

Pani Grouse drgnęła, nie spodziewając się ujrzeć w drzwiach córki.

- Łakocie - powtórzyła. - No wiesz, wiśnie w czekoladzie. Fistaszki kandyzowane. Zapomniałaś, jak ubóstwiał kandyzowane fistaszki?

- Tata nie brał do ust kandyzowanych fistaszków. Pomyliło ci się. To ty je lubiłaś jeść.

Pani Grouse nagle dostrzegła jakiś błąd w ułożeniu sztuczków i zaczęła przesuwając widelec.

- Chyba wiem, czy lubił kandyzowane fistaszki, czy nie. Ostatecznie żyłam z nim pod jednym dachem przez ponad czterdzieści lat... Siedziałam z nim całe noce, kiedy nie mógł oddychać...

- Masz rację, mamo. Przepraszam. Jeśli chcesz, kupię kandyzowane fistaszki w drodze z pracy do domu.

- A niby dlaczego? Czy ja nie mogę przejść kilku krótkich przecznic?

- Świetnie, mamo. Naturalnie, że możesz.

Anna poszła na górę, by skończyć szykować się do pracy. Szczególnie nie znosiła czwartków. Pojawiała się w pracy późnym rankiem i wracała

do domu dobrze po dziewiątej. A następnego dnia musiała otworzyć sklep. Sześćdziesiąt godzin pracy tygodniowo za niewiele więcej niż pensja minimalna. Ale nie to było najgorsze. Najgorsza była świadomość, że pozostanie w Mohawk to był jej wybór.

Wkładła płaszcz, kiedy dobiegł ją z dołu głos pani Grouse.

- Kochanie, ktoś przyszedł.

Dzwonek nie zadzwonił, Anna nie słyszała też pukania do drzwi.

- Do mnie?

- Zejdź na dół - poprosiła pani Grouse. Jej głos był poirytowany i kiedy Anna weszła do kuchni, kobieta stała obok swojego krzesła i nerwowo wykręcała ręce. - Ma długie włosy - wyjaśniła pani Grouse. - Nie wygląda na przyzwoitego człowieka.

Podążyła za córką do pokoju. Żaluzje były opuszczone, w pomieszczeniu panował półmrok. Kiedy Anna je podniosła, salon zalało światło. Matka odruchowo się cofnęła, nie wiadomo, czy przed światłem, czy na widok miny swej córki.

- Kto to? - spytała.

32

Na dworze padał zimny deszcz. Wilgoć wciskała się do budynku Centrum Usług Medycznych w Mohawk. Pielęgniarki biegające korytarzami zarzuciły na fartuchy swetry. Diana Wood siedziała z gołymi ramionami przed salą numer 247, dygocząc z zimna, i żałowała, że w ogóle przyjechała, szczególnie w sytuacji, kiedy nie było takiej potrzeby. Zawsze tak się okazywało. Jej matka się ożywiła, gdy tylko skręciły na podjazd przed szpitalem, i oświadczyła pierwszemu napotkanemu lekarzowi, że nie ma pojęcia, po co to całe zamieszanie. Nigdy nie słyszała o czymś podobnym. A wszystko to po gorączkowym potrząsaniu ręcznym dzwoneczkiem, stojącym na nocnej szafce obok jej łóżka, i przerażonym spojrzeniu.

- Nie mogę oddychać! - wyszeptwała ledwo słyszalnym głosem, napędzając Dianie okropnego stracha.

Tylko Dan podszedł do tego z filozoficznym spokojem.

- Ja też nie - oświadczył swej drobnej, zasuszonej teściowej, przypominającej mumię. Kobieta niemal ginęła w wielkim łóżu małżeńskim.

Kilka minut później wyłonił się zza rogu w wózku inwalidzkim i dołączył do żony czekającej w jasnym korytarzu.

- Nie trwało to długo - zauważyła Diana, próbując przybrać pogodny ton.

- Zawsze trzymają naszą dokumentację pod ręką. Wypełniam rubryki „data” i „powód wizyty”. Resztę przepisują.

- Przepraszam - powiedziała.

- Zawsze przepraszasz. To stanowi część rytuału.

- Zawsze mówię to szczerze - zauważyła Diana. - Czy to się nie liczy?

- Naturalnie, że tak. To jedyne, co się liczy. Tylko nie próbuj mnie przekonywać, że nie mam powodu, żeby się złościć. Prawdę mówiąc, powinnaś spróbować sama trochę się zmienić.

- Widocznie wystarczająco się zmieniłam.

- Nie przejmuj się tamtym młokosem. To palant.

Jeden z młodych stażystów, pracujących w szpitalu, zapytał, czy Milly i Diana są siostrami.

- Wracam do domu - oznajmił Dan.

Światło na korytarzu na chwilę przygasło, a potem znów rozbłysło.

- Dobrze - powiedziała Diana, mrugając powiekami. - Jedź.

- Zabierz się ze mną. Obojgu nam przyda się spokojna noc.

Diana się zawahała, ale wewnętrzne zmaganie trwało krótko.

- Nie. Spróbuję wrócić za godzinę.

- Jedź teraz.

- Nie.

- W porządku. Zostań. Zadzwoń, jeśli będą jakieś niepomyślne wieści. - Obrócił się na wózku i skierował w stronę wyjścia.

- Dan, nie zmuszaj mnie do tego, żebym cię przestała lubić - powiedziała jego żona. Na korytarzu nie było nikogo poza nimi. - Chyba bym tego nie zniosła.

Zatrzymał się i odwrócił wózek bokiem.

- To był kiepski żart. Przepraszam.

- Poproś Freda, żeby ci pomógł. Kiedy wyjeżdżaliśmy, paliło się światło u nich w salonie. Na pewno jeszcze nie śpią.

- Dobra - powiedział Dan dla świętego spokoju.

- Mówię poważnie. Jesteś zbyt zmęczony.

Pojechał wózkiem do głównego holu. To prawda, że był zmęczony, ale nie zamierzał trąbić przed domem sąsiadów. Nie żeby Fredowi to przeszkadzało. Ale z jakiegoś powodu Dan miał ochotę na małe szaleństwo.

Wcześniej tego dnia czuł się całkiem dobrze i nie miał kłopotów z wystawianiem wózka inwalidzkiego przez drzwiczki dla pasażerów, rozłożeniem go, a potem zajęciem w nim miejsca. Kiedy jednak ogarniało go zmęczenie, czasem nie wszystko mu się udawało. Raz zapomniał o zaciągnięciu hamulca i pusty wózek zjechał po pochyłym podejździe na Kings Road. Dan stał, trzymając się kurczowo jedną ręką klamki, a drugą dachu lincolna, póki po pięciu nieskończonej długich minutach ktoś nie wybawił go z opresji. Palce miał pobielale, czuł, że lada chwila opuszczają go siły.

W holu obok drzwi był automat telefoniczny. Dan wrzucił dziesięć centów.

- Potrzebna mi twoja pomoc - powiedział do słuchawki. - Będę w lincolnie zaadaptowanym dla inwalidy, z symbolem wózka inwalidzkiego na tablicy rejestracyjnej. Nie zgadzam się na żadne zastępstwa.

Na parkingu wgramolił się na miejsce dla kierowcy, zdumiony, skąd nagle wzięło mu się tyle siły. Zatrzymał się jakiś przechodzień, by pomóc mu wstawić wózek inwalidzki.

- Nie trzeba - odparł. - Czy wyglądam na takiego, co potrzebuje pomocy?

33

Anna zaparkowała za lincolnem Dana. Z uwagi na późną porę na całej Kings Road tylko w domu Woodów paliło się światło. Deszcz przestał padać, ale było zimno, płytkie kałuże, które omijała Anna, marszczyły się w świetle rzucanym przez latarnię. Przewrócony wózek wciąż stał na podejździe.

- Zaciągnij hamulec - poprosił Dan. Z resztą poradził sobie sam. - Wstąp na chwilę.

- Nie powinnam.

- Nie rozumiem dlaczego.

Weszli przez garaż, Dan zapalił światło w kuchni.

- Zgadnij, kto się dziś u nas pojawił - powiedziała.

- Lyndon Johnson. Skąd, u diabła, mogę wiedzieć?

- Mógłbyś spróbować kilka razy źle zgadnąć, a potem udać zdumienie, jak ci powiem kto.

- No więc Lyndon Johnson?

- Nie. Randall.
- Dan zmarszczył brwi.
- To nie wróży dobrze.
- Anna się zamyśliła.
- Trudno powiedzieć. Zawsze był dziwnym chłopcem.
- To dziedziczne.
- Idź do diabła.
- Akurat rozmyślałem o Matherze i o tym, jak krew Grouse'ów przeskoczyła jedno pokolenie.
- Jestem bardzo do niego podobna.
- Nie jesteś podobna do nikogo. A jego przypominasz mniej niż wszystkich innych ludzi, do których nie jesteś podobna.
- Muszę się nad tym zastanowić.
- Spróbujmy to zrobić w salonie. Jeśli chcesz, możesz rozpaścić w kominku. Przez całą zimę nie paliliśmy w nim ani razu. Jej wysokość nie lubi zapachu płonących drzew.
- Kolejny fałszywy alarm?
- Trzeci w tym miesiącu. Zbiegają się mniej więcej z przypadkami, kiedy nie uda jej się postawić na swoim.
- Opowiedz mi o tym.
- Nie. Nie rozmawiajmy o starych kobietach. Lepiej się napijmy. Powinnaś coś znaleźć w barku.
- Stało w nim piętnaście czy szesnaście butelek. Burbon, szkocka, brandy. Zapasy wszystkiego.
- Na co masz ochotę?
- Wszystko mi jedno - powiedział. - Sama wybierz.
- Brandy.
- Pod warunkiem, że rozpalisz w kominku.
- Możesz mi wierzyć lub nie, ale nie potrafię.
- Pokażę ci. Ludzie cały czas wzniecają ogień, nawet kiedy tego nie chcą. Oblał czy co?
- Anna otworzyła drzwiczki pogrzebaczem, jakby już mogły być gorące.
- Mówi, że rzucił studia.
- Może to eufemizm. Najpierw włóż trochę drewna na rozpałkę. To te cienkie patyczki. Jezu, naprawdę nigdy nie rozpałałaś ognia w kominku?
- A gdzie miałabym to robić, w domu swego ojca?
- Wystarczy. Teraz porcję mniejszych szczap. Nieco je rozrzucić, żeby mogły oddychać.

- Sądzę, że mówi prawdę. Pod tym względem zawsze był z niego dość dobry dzieciak. Wiem, że czasem kłamał, ale nigdy, by się przedstawić w lepszym świetle.

- A więc czemu rzucił naukę?
- Nie wytłumaczył tego zbyt jasno. Ma to coś wspólnego z wojną.
- Zgnieć kilka gazet i wsuń je pod drwa.

Anna robiła to, co jej kazał. Zimny popiół po ostatnim, dawno zapomnianym razie, kiedy palono w kominku, był delikatny jak zasypka dla niemowląt. Dan rzucił jej pudełko zapalek.

- Teraz otwórz szyber.
- Wyrażaj się jaśniej.
- Przekręć tę mosiężną rączkę tuż obok głowy.

Gazety szybko się zapaliły i pomarańczowe płomienie zaczęły lizać drewniane szczapy, które się rozżarzyły.

- Mówi, że chyba nie zgłosi się do wojska, gdyby otrzymał wezwanie.
- Gdyby został na uczelni, nie groziłoby mu to.

- Tego też nie uważa za słuszne. To takie do niego podobne robić ze wszystkiego wielką sprawę.

- Pójdzie do wojska - orzekł Dan. - Jak dojdzie co do czego, pójdzie.
- Mylisz się.

Dan wstał z wózka i usiadł na kanapie. Anna zajęła miejsce obok niego i stuknęli się koniakówkami.

- Wydaje mi się, że mojemu ojcu podobało się na wojnie - powiedziała. - Nie sądzę, by był świadkiem zabijania, nienawidził przemocy.

Ale taka odmiana okazała się dla niego dobra. Dzięki temu dostrzegł nowe możliwości. To zabawne, lecz odnoszę wrażenie, że właśnie dlatego Randall przyjechał do domu. Nie, żeby się przede mną wytłumaczyć, tylko dlatego, że miał nadzieję, iż być może powiem mu, co by o tym sądził jego dziadek. - Urwała. - Uważałam, że dość dobrze znałam swego ojca, ale nie wiedziałam, co powiedzieć.

- Powiem ci, jeśli chcesz.

Anna zmarszczyła czoło.

- Nie chcę. Przez cały dzień wysłuchuję wersji matki. Kiedy jeszcze ty zaczniesz mi wygłaszać własne opinie, zacznę wątpić, czy kiedykolwiek istniał.

- Wtedy staniesz się wolna.
- Nie chcę tego.
- Lepiej byś zrobiła, gdybyś chciała.
- Dlaczego zawsze musisz występować w roli adwokata diabła?

- Ponieważ zawsze odnosisz korzyść z takiej terapii.

Nagle Annę ogarnęła wściekłość, jakby na jego rozkaz jakaś iskierka z paleniska wpadła jej prosto do serca. Ale nie podniosła głosu.

- Mam czterdzieści lat. I byłem jaką pracę. Nie wykorzystałam ani jednej okazji, które mi się nadarzyły w życiu, i nie jestem pewna, czy jeszcze mogę na coś liczyć od losu. Mam matkę, której sprawia przyjemność przypomnianie mi o tym wszystkim na wypadek, gdybym kiedyś postanowiła zapomnieć. Nie mam męża i jestem zakochana w kalece, który z każdym dniem coraz bardziej lubi swoją żonę, a coraz mniej mnie... Czy coś pominęłam?

- Nie - powiedział. - Poruszyłaś wszystkie główne kwestie.
- Rozkoszuj się swoim cholernym ogniem na kominku.

Dan złapał ją za rękę, kiedy zerwała się z kanapy. W oczach miał łzy.

- Nie - poprosił. - Zostań.

- Naprawdę nie powinnam - oświadczyła. - Poza tym lada chwila wróci Di.

Dan dopił brandy i nalał sobie drugą.

- Według mojej oceny, rano. Pielęgniarki przyniosą jej krzesło z poczekalni i będzie spała w nogach łóżka.

Annie nagle zrobiło się słabo i znów usiadła.

- Boże - westchnęła.
- Spróbuj ją zmienić.
- Randall prawdopodobnie się zastanawia, gdzie jestem.
- Przez sen?

- No dobrze. Ale tylko dlatego, że ogień przyjemnie buzuje na kominku i brandy jest dobra.

- To racja.
- Chciałabym mieć pieniądze.
- Ja też.

Anna uznała, że Dan żartuje, ale dosłyszała coś w tonie jego głosu, co kazało jej spytać:

- Oczywiście żartujesz?

- Mówiąc między nami, nie. Di rozważa, czy nie wrócić do pracy. Jest tylko jeden szkopuł: pielęgniarka, którą musielibyśmy zatrudnić, kosztowałaby więcej, niż wyniosłaby pensja Di.

- Jesteś bankrutem?
- Jak wszyscy.
- Nie możesz wziąć kredytu pod zastaw domu?
- Nie, dziękuję. Już wziąłem jedną pożyczkę hipoteczną.

Uśmiechnął się i wypił trochę brandy. Anna widziała, że alkohol zaczyna mu lekko uderzać do głowy. Kiedy Dan był młodszy, mógł pić całą noc, ale teraz nie potrzebował wiele, żeby się upić.

- Mogę zapytać, na co poszły wszystkie pieniądze?

- Na szpitalne izolatki.

- Ubezpieczenie...

- ...pokrywa część należności. Nie przejmowałbym się tym zbytnio. Nigdy nie przywiązywałem dużej wagi do pieniędzy. Warto byłoby stracić moje rozległe imperium tylko wtedy, gdybym mógł zobaczyć tę starą wydrę w jednym pokoju z ośmioma czy dziesięcioma podobnymi do niej wydrami. Wiesz, że nigdy nie jestem z premedytacją złośliwy.

- Żałuję, że mi o tym powiedziałaś. Zawsze lepiej się czułam, wiedząc, że ty i Diana macie trochę pieniędzy.

- Nalej sobie jeszcze brandy. I dołóż trochę drew do kominka, do brze? Jakoś nie mogę się rozgrzać.

Chociaż w pokoju było całkiem ciepło, Anna dorzuciła do kominka jeszcze trochę polan, które natychmiast zajęły się ogniem, tworząc płonącą piramidę. Kiedy wróciła na kanapę, miała zaczerwienione oczy.

- Och, nie płacz, na litość boską.

- Przepraszam - powiedziała. - Po prostu okropnie się czuję i tyle.

- Niepotrzebnie. Nie płacz i nie czuj się okropnie.

- Będę się czuła tak, jak mi się podoba - oświadczyła, siadając na drugim końcu kanapy. - Dlaczego nie ucieknijmy? Nie sądzisz, że bylibyśmy szczęśliwi?

- Obawiam się, że nie.

- Kiedy mówisz takie rzeczy, nienawidzę cię jak nikogo na świecie.

- W takim razie już nigdy tego nie powiem. Usiądź obok mnie.

Otarła łzy i przysunęła się do niego.

- Myślisz, że moglibyśmy to zrobić, czy też zabiłoby cię to?

- Nie zabiłoby mnie.

Zdjęcie ubrania zajęło jej chwilę, poczuła na skórze ciepło bijące od kominka. Ich pocałunki, początkowo delikatne, potem stały się napięte.

- Narażasz się na pewne rozczarowanie - powiedział.

- Nie - szepnęła. - Nie.

Na dworze było cicho, póki znów nie zaczął padać deszcz.

Koło trzeciej nad ranem ogień na kominku przygasł i w salonie znów zrobiło się zimno. Dan pogrążony był w głębokim śnie. Anna nie tyle spała, ile drzemała. Koldra, którą się przykryli, nie osłaniała jej ramion. Anna przytuliła się do Dana, rozkoszując się bijącym od niego ciepłem. Niezbyt się przejmowała tym, że Diana może wrócić do domu. Po części dlatego, że Dan się tym nie przejmował, a po części dlatego, że dzieje jej miłości do męża kuzynki bardziej przypominały dzieje wyrzeceń niż zdrady. Była dziwnie pewna, że ani Bóg, ani los nie mogliby okazać się tak okrutni. Jednak dalsze pozostanie z Danem oznaczałoby niepotrzebne ryzyko. A nawet byłoby arogancją. Więc wstała z kanapy i pośpiesznie się ubrała. Kiedy już była gotowa do wyjścia, uznała, że lepiej będzie, jak obudzi Dana. W przeciwnym razie, jeśli Diana wróci nad ranem, może go zastać w salonie, a jego ubranie porozrzucane w nieładzie w pobliżu dopalających się drew na kominku.

- Muszę już iść - szepnęła.
- Nie - powiedział. - Zostań.
- Nie mogę. Ale chętnie posłucham przez kilka minut, jak mnie błagasz.

- Jeśli chcesz wiedzieć prawdę, z największą ochotą bym cię błagał.

- Potrzebujesz pomocy?

Usiadł, uważając, żeby się nie odkryć, i rozejrzył się wkoło.

- Nie - powiedział. - Już mi pomogłaś. Dziękuję.

Uklękła obok niego i dotknęła jego policzka.

- Ani mi się waż dziękować. Nigdy, przenigdy.

- Zgoda. Miło się z tobą rozmawia.

- Czy będziemy się regularnie spotykali?

- Jasne. Może być raz na dwadzieścia lat?

Kiedy skrzyła w Mountain, stwierdziła, że to zły pomysł. Jeśli pójdzie do domu, zmęczenie prawdopodobnie weźmie górę i usnie jak kamień, a nie chciała tego. Jeszcze nie. Było jej zbyt dobrze, by uronić choćby chwilkę i zapaść w sen. Poza tym już dawno nie jeździła bez celu, a kiedy w samochodzie już się nagrzało, zrobiło się w nim całkiem przyjemnie.

Centrum Mohawk było ciemne i wyludnione, więc przejechała obok Myrtle Park i skrzyła na główną drogę. Tutaj musiała wybrać: czy pojechać na północ, do Adirondack, czy też na południe i wschód, w stronę Albany i Nowego Jorku. Na północy nie było nic poza czarną nocą aż do

samej Kanady, więc pojechała na południe, w kierunku żółtego, migoczącego neonu, nie przejmując się tym, że wszyscy byli w łózkach. Ford zdawał się mieć lepsze przyśpieszenie niż zazwyczaj, kiedy nacisnęła pedał gazu, wóz sprawiał wrażenie, jakby rwał się do przodu, nie zważając na zimny, oczyszczający, kwietniowy deszcz.

W Fultonville skręciła na autostradę, zupełnie pustą, jeśli nie liczyć przemykających od czasu do czasu ciężarówek. Właściwie nie lubiła prowadzić, ale dziś sprawiała jej to przyjemność i nagle zapragnęła pojechać do Nowego Jorku. Jeśli przycisnie gaz do dechy, dotrze do miasta na ósmą, dziewiątą, akurat na śniadanie. Miło będzie zahaczyć o przedmieście Hilton, może Price wciąż tam mieszka. Prawdopodobnie umówiłby się z nią na melon i szampana z sokiem pomarańczowym w jakimś barze. Tak czy inaczej, mogła zawsze na niego liczyć, jeśli chodzi o śniadanie.

Po separacji z Dallasem Anna wyjechała z Randallem do Nowego Jorku. Myślała, że ojciec pochwali jej decyzję, ale nie okazywał zbytniego entuzjazmu. Zaczęła sobie zdawać sprawę z tego, że pragnął, by wyjechała, zanim skomplikowała sobie życie. Potem uważał to za pozbawione sensu. Nie wierzył, że człowiek może uciec od poważnych błędów, które popełnił. Ale była dorosłą kobietą, a nie małą dziewczynką, z którą śmiało wiązać jakieś nadzieje. Postanowiła więc przenieść się do Nowego Jorku i przestać się przejmować tym, co sądzi jej ojciec - a jeśli jej się to uda, to może i zapomnieć o Danie Woodzie. Uważała, że warto spróbować.

Nadal była młoda i piękna, a w Nowym Jorku mieszkało mnóstwo mężczyzn. Na nieszczęście większości z nich brakowało pewności siebie, dopiero zaczynali się wspinać po szczeblach kariery urzędniczej. Ku jej zdumieniu, wielu przypominało jej Dallasa pomimo to, że mieli czystsze paznokcie i schludniej się ubierali. Nie spotkała nikogo, kto przypominałby jej Dana. Albo jej ojca. Za Price'em przemawiało to, że był pierwszym spokojnym mężczyzną, poznanym w mieście, oraz to, że chętnie zapraszał ją na śniadania. Umówili się trzy razy na wpół do siódmej rano, nim jej wyjawiał, że jest zawodowym piłkarzem. Wieczorne mecze wykluczały wychodzenie na kolacje, do teatru, kina czy na kawę w Village. Annie to nie przeszkadzało. Nigdy się nie nauczyła pozwalać mężczyźnie, którego nie lubiła, by wydawał na nią pieniądze.

Zanim go sprzedano drużynie Met, Price grał w ośmiu innych zespołach pierwszoligowych, chociaż większość życia spędził w podrzędnych klubach. Poznała go, kiedy wszystko było na najlepszej drodze. Zawodnik

Met, grający na trzeciej bazie, uległ kontuzji, i zastąpił go Price. Miał nadzieję, że tak już zostanie do końca sezonu. Zostawiał bilety dla Anny i Randalla na każdy mecz, rozgrywany na miejscu. Chłopak początkowo odnosił się do niego z rezerwą, ale potem uznał, że trudno mieć jakieś zastrzeżenia do nowego mężczyzny w życiu matki. Wprawdzie wolałby zawodnika drużyny Yankee, ale ostatecznie Price był jakimś tam piłkarzem, a Met jakąś tam drużyną, i Randall był w pewnym sensie pod wrażeniem. A Price wcale nie okazał się taki beznadziejny, jak większość jego kolegów z zespołu. To był jego najlepszy sezon. Wiedział, jak wykorzystać swoje atuty, i rzadko porywał się na coś, co nie miało szans powodzenia przy jego warunkach fizycznych. Anna uważała, że jest z niego niczego sobie facet, chociaż zazwyczaj miał przynajmniej jednego różnokolorowego siniaka - a to na piersiach, a to na lewym ramieniu, a to na udzie. Price twierdził, że go nie boli, chociaż środek stłuczonego miejsca był zawsze trupioblady i otaczały go koncentryczne koła - ciemnofioletowe, niebieskie, zielone, żółte.

W połowie sierpnia drużyna Met zaczęła przegrywać i Price, choć uważał, że jest w pełni formy, z niewyjaśnionych przyczyn trafił na ławkę rezerwowych. Według niego, ta decyzja była sprzeczna z wszelką logiką. Nikt w zespole nie grał lepiej od niego, a jego następcą, młody dzieciak z Dominikany, zawsze wyglądał, jakby za chwilę miał zemdleć. Przed każdym wyrzuceniem piłki robił znak krzyża, najwyraźniej modląc się, by piłkę rzucono w stronę innego zawodnika. Naturalnie chodziło o wiek. Price miał trzydzieści cztery lata i w drużynie nie było miejsca dla doświadczonego, ale nie wybijającego się gracza w średnim wieku. Jeśli zespół Met miał dalej przegrywać, lepiej przegrywać jako drużyna dziewiętnastolatków. Price doszedł do takiego wniosku, siedząc cały wrzesień na ławce rezerwowych, a kiedy zakończył się sezon, rozsądnie pomyślał, że nie ma sensu się tym gryźć przez całą zimę. Spotykał się z dziewczyną, którą lubił i która lubiła się z nim pokazywać na mieście i być przedstawiana jego znajomym. Podobał mu się również chłopak. Price zachowa formę i przy odrobinie szczęścia załatwi sobie transfer do drużyny rywali, potrzebującej doświadczonego weterana piłki.

Miło spędzili zimę. Price, rodowity Kalifornijczyk, nigdy nie lubił Nowego Jorku, ale w mieście było co zwiedzać. Anna i Randall okazali entuzjazm i wdzięczność. Price mało myślał o baseballu i nie dotrzymał złożonej sobie obietnicy, by utrzymać formę. Siniaki stopniowo zniknęły, przestało go boleć i szybko sobie wmówił, że wcale się nie obija, tylko regeneruje organizm. Kiedy nadeszła pora wyjazdu na Florydę

na wiosenne zgrupowanie, wiedział, że będzie musiał ciężko popracować. Ale był do tego przyzwyczajony.

Zadzwoił do Anny w marcu ze złą wiadomością.

- To nie ma wielkiego znaczenia - powiedział o swoim zwolnieniu z drużyny. - Prawdopodobnie dobrze się stało. Lepiej mi się powiedzie w innym zespole. - Zostanie na Florydzie kilka dni, może tydzień, bo ludzie muszą wiedzieć, gdzie go można znaleźć.

- Głowa do góry. W maju prawdopodobnie będę zawodnikiem drużyny Yankee - oświadczył Randallowi. - Boyer wygląda w tym roku nie najlepiej.

Tydzień później wrócił jednak do Nowego Jorku i w dniu otwarcia sezonu zabrał Randalla na mecz. Zapłacił za bilety.

- Później, kiedy zaczną się podwójne rozgrywki... - powiedział do chłopca, nie kończąc myśli.

W lipcu Anna wzięła dwa tygodnie urlopu. Postanowili pojechać do Maine, a po drodze zahaczyć o Mohawk, żeby Randall mógł się spotkać z dziadkami. Anna przygotowała Price'a na chłodne przyjęcie. Przez ostatni rok kilka razy pisała do rodziców o przyjacielu, ale matka w swoich listach do niej ani słowem o nim nie wspomniała. A kiedy Anna wymieniała jego imię podczas rozmowy telefonicznej, pani Grouse pytała: „Kto taki, moja droga?”. Niemniej jednak był przeświadczony, że podbił serca rodziców Anny. Często mu powtarzano, że jest czarującym mężczyzną, i miał powody, by w to wierzyć; nie przypominał sobie, by ktokolwiek z tych, na których sympatii mu zależało, go nie lubił. Mniej więcej po półgodzinie pobytu w Mohawk ojciec Anny i pani Grouse będą mu jedli z ręki. Pani Grouse miała obiekcje co do samej idei jakiegoś mężczyzny, „zadającego się” z jej „zameżną” córką. Stwierdziła natomiast, że Price'owi jako takiemu nie można nic zarzucić. Nie był ani wyniosły, ani zarozumiały, ani się nie wywyższał, w ogóle nie miał ani jednej cechy, którą, zdaniem pani Grouse, z pewnością powinien mieć, skoro jej córka wybrała właśnie jego i pochlebnie się o nim wyrażała. Dwuipółkilogramowa bombonierka, lekki pocałunek w policzek i nagle uznała, że - jeśli sprawy potoczą się właściwie - będzie miała nowego zięcia.

Co innego Mather Grouse. Price, co tydzień jeżdżąc do innego miasta, nauczył się pewnej bezpośredniości w stosunkach z nieznanymi. Wystarczyły mu dwie minuty, by zaprzyjaźnić się z barmanem, a pod koniec wieczoru pił na koszt właściciela. Na nieszczęście Mather Grouse nie był barmanem i na każdą uncję uroku osobistego Price'a odpowiadał dwiema uncjami rezerwy. Potrzeba czasu - dużo czasu - by dwoje nieznanych

sobie ludzi się zaprzyjaźniło, a fakt, że Price był gorąco polecany i chwਾਲony przez rodzoną córkę Mathera Grouse'a, nie miał tu większego znaczenia.

Na szczęście Price wiedział, że lepiej nie robić nic na siłę, szczególnie że przyjechali z wizytą na jedno popołudnie. Anna nie chciała dopuścić do dyskusji, kto gdzie ma spać, i wolała uniknąć noclegu w domu rodziców. Znajdą sobie na tę noc jakiś hotel w Saratodze, a następnego ranka pojedą do Nowej Anglii po obfitym śniadaniu, spożytym być może na tym samym białym tarasie, gdzie kiedyś była z Dallasem. Wydawało jej się teraz, że wydarzyło się to w jakimś innym życiu. Price nie miał nic przeciwko jej planom. Był przypuszczalnie najbardziej zgodnym człowiekiem pod słońcem, tak zgodnym, że nawet Matherowi Grouse'owi z trudnością przychodziło zachowanie rezerwy. Matka przygotowała świeżą lemoniadę, wszyscy usiedli na ganku, pani Grouse i Price gawędzili jak para kuzynów, która po długim niewidzeniu spotkała się na zjeździe rodzinnym, pozostali zadowolili się przysłuchiwaniem ich rozmowie. Po jakimś czasie Price i Randall, który napomknął o tym, że w przyszłym roku chciałby grać w lidze młodzieżowej, poszli na trawnik przed domem. Price chciał pokazać chłopcu, jak zastopować zawodnika drużyny przeciwnej. Przez całe lato codziennie uczył go czegoś nowego i Anna podejrzewała, że podczas dwóch najbliższych tygodni chłopcu prawdopodobnie najbardziej będzie brakowało tych lekcji.

- Tu jest baza - powiedział Price. - Ty biegniesz do niej.

Randall zrobił kilka wślizgów, a Price pokazał mu pracę nóg i co robić, żeby uniknąć faulu.

- Jeśli zaatakuje od dołu, jak powinien, wszystko w porządku. Jeśli zaatakuje od góry, usuń mu się z drogi i sam go zaatakuj.

Anna, przyglądając się ojcu, zauważyła, że twarz Mathera Grouse'a się zachmurzyła, a kiedy Price wrócił z Randallem, zostawiając za sobą mały wydeptany placek na zadbanym trawniku, jej ojciec zapytał:

- Uważa pan, że to mądra rzecz uczyć młodego człowieka, jak łamać zasady gry?

- Nie, proszę pana - odparł Price. - Każdy zawodnik powinien wiedzieć, jak się zabezpieczać, i tyle.

- Czy nie należy do sędziego dbanie o to, żeby gra toczyła się zgodnie z przepisami?

- Owszem. Ale czasem sędzia nie widzi wszystkiego. Czasem lubi faceta, który łamie zasady. Gra toczy się znacznie płynniej, kiedy każdy wie, na ile może sobie pozwolić.

- Czyli cel uświęca środki.

Price wzruszył ramionami. Wygodnie mu się żyło z tą filozofią, ale był na tyle inteligentny, że wiedział, iż taką postawą nie zyska uznania w oczach Mathera Grouse'a.

- A jak pan by postąpił?

- Zgłosiłbym naruszenie zasad gry sędziemu.

Price się uśmiechnął.

- Czy dzięki temu przestałaby panu lecieć krew z nogi?

- Może nie - powiedział Mather Grouse. - Ale miałbym satysfakcję, że postępuję honorowo.

Price uśmiechnął się szerzej.

- Nigdy o tym nie myślałem w ten sposób.

Anna też się uśmiechnęła. Nagle uświadomiła sobie, że bardzo lubi Price'a. Może nawet jest w nim zakochana.

35

Jak zwykle w drodze do pracy Dallas wstąpił do punktu totalizatora sportowego, by wziąć wydruki i zorientować się w sytuacji. Został tam już najwierniejszych kibiców, kręcili się, drapiąc się po trzydniowym zarości, i czekali na jakiś znak. Kilku przywitało się z Dallasem i zapytało, co się dzieje. Nie miał zielonego pojęcia. Uwierzyli mu i zapytali, kto może coś wiedzieć. Dyrekcja wyścigów konnych, powiedział im Dallas. Ona się orientuje w sytuacji. Wszedł Untemeyer, bukmacher, usłyszał koniec rozmowy i się uśmiechnął.

- Meyer będzie coś wiedział - powiedział Dallas.

- Idź się upić - odparł Untemeyer. - Younger Zdrajca. Zamierzam cię dopaść któregoś dnia. Znam tego i owego.

- Masz też gdzieś zakopanych trzydzieści milionów dolarów w dwudziestopięciocentówkach. Może pozwoliłbyś również komuś innemu zarobić dolca lub dwa? Musisz całą forszę zagarniać tylko dla siebie?

- Nie mam złamanego centa, odkąd wszystko jest legalne i opodatkowane - oświadczył stary bukmacher. - Younger Zdrajca.

Próbował się uchylić, ale Dallas był szybszy. Dallas złapał go za łokieć i podniósł rękę mężczyzny w taki sposób, że sygnet na grubym palcu Untemeyera zabłysnął w świetle.

- Kiedy umrzesz, będę czekał tuż za rogiem z piłką do metalu - powiedział i wydał gardłowy dźwięk, mający naśladować zgrzyt piły. Untemeyerowi już się przejadł ten stary dowcip, ale Dallas nadal widział w nim coś zabawnego.

- Połknę go, zanim położysz na nim łapę.

- I tak go zdobędę. - Dallas się uśmiechnął. - Patroszyłeś kiedyś pstrąga?

- Jesteś do tego zdolny, ty łobuzie. - Untemeyer wskazał na drzwi.

Dallas i bukmacher wyszli na dwór, gdzie Untemeyer musiał energiczniej wypuszczać dym z cygara, by zasmrodzić powietrze. Dallas nigdy, nawet w największe upały, nie widział go ubranego inaczej niż w luźny garnitur, zazwyczaj z czarnej elanobawełny, lekko pożółkłą białą koszulę i czarny krawat.

- Przez jakiś czas byłeś mężem tej dziewczyny Grouse'ów, prawda? Dallas skinął głową.

- A bo co?

- Nic - powiedział Untemeyer. - Widujesz się z nią?

- Założę się, że w ciągu ostatnich pięciu lat nie spotkałem jej więcej niż trzy razy. Ostatnio rok temu, kiedy mój chłopak kończył liceum.

- Starsza pani wciąż żyje?

- Jej matka? Jest nie do zdarcia. A co - myślisz, żeby ponownie się chajtnąć?

- Odwal się.

- To całkiem dobry pomysł, Meyer.

- Spadaj.

- Na to nigdy nie jest za późno.

- Akurat. Jestem za stary. Ty prawdopodobnie też.

- Chciałeś powiedzieć za mądry.

- Może za sto lat.

- Uważaj, Meyer.

- Bo co?

- I pilnuj tego złotego sygnetu.

Kiedy Dallas zamknął za bukmacherem drzwi, zadzwonił telefon. Dzwonił Benny D., jego były szef. Chciał postawić sto pięćdziesiąt zielonych na konia biegnącego w Santa Anita. Dallas odnalazł konia i gwizdnął.

- Muszę sprawdzić.

- Co? - spytał Benny D.

- Co? Twoją dupę. Wiesz co.

- Co?

- Stawiają na drania dwadzieścia do jednego. To trochę potrwa.
- Przyjmiesz zakłady czy nie?
- Oddzwonię do ciebie.

Dallas rzucił płaszcz w kąć i włączył telewizor. Pokój był duży, mieściły się tu kiedyś biura nieczynnego już domu towarowego. W pomieszczeniu stała tylko kanapa, telewizor i czarny telefon na kuchennym krześle. Z okien bez firanek rozciągał się ładny widok - na całą Main Street od Four Corners aż po Czwartą; z drugiego piętra Dallas widział nawet Myrtle Park. Prawie taki sam widok miał ze swojego mieszkania z czasów licealnych, znajdującego się zaledwie trzy domy stąd, póki nie rozebrano budynku.

Benny D. musi coś wiedzieć. Był stałym klientem, wpadał, by zrobić cztery, pięć zakładów dziennie. Zawsze duble, czasem triple. Na konie biegające na różnych torach. Grał zazwyczaj dość ostro, ale na ogół stawiał piątkę lub dziesiątaka na konie biegnące w Belmont. Do tej pory tylko dwa razy postawił setkę. W obu wypadkach na konia z jakiegoś toru w Kalifornii. I w obu wypadkach wygrał.

- Witaj, skarbie - powiedział Dallas do sekretarki Johna. - Połącz mnie z szefem.

- Jest zajęty...
- Nie szkodzi.

Po chwili w słuchawce rozległ się głos prawnika.

- Czego?
- Dzień dobry.
- Nie powiem, żeby to był szczególnie dobry dzień.
- Jak chcesz. Znów Benny D.
- Ile?
- Sto pięćdziesiąt.
- Bierz.
- Dwadzieścia do jednego. Zgadnij gdzie.
- Bierz - warknął John.
- Mogę część odłożyć.
- Na cholere?
- Jak chcesz.

Wykręcił numer Benny'ego D.

- Przyjąłem twój zakład, kolego.
- Nie jestem twoim kolegą. Wystawiłeś mnie do wiatru.
- Uprzedzałem, że się zwolnię. Dlaczego nie słuchałeś, co mówię?
- W warsztacie to mnie trzeba słuchać.

- Dobrze. Powiedz mi więc: dlaczego akurat Santa Anita?
- To mój szczęśliwy tor. Kiedy wrócisz do pracy u mnie?
- Kiedy się nauczysz trzymać z daleka od warsztatu.
- To mój warsztat, do cholery!
- Już niedługo, jeśli będziesz grał, kiedy płacą dwadzieścia do jednego.
- Wiem, co robię. Dlaczego chcesz pracować dla tego dupka?
- Cześć.

Koło pierwszej Dallas zadzwonił na zastrzeżony numer do baru Mohawk.

- Nie dostarczamy jedzenia do domów - burknął Harry. - Rusz swoje leniwe dupsko i przejdź na drugą stronę ulicy.
- Cały czas odbieram telefony.
- Nie mogę teraz nikogo posłać.
- A kiedy będziesz mógł?
- Zapomnij o tym.

Ale około wpół do drugiej Harry przysłał jedną z dziewczyn z kawą i kanapką. Właśnie ta podobała się Dallasowi najbardziej, bo była zgrabna i grzeczna. Zasadniczo nie przepadał za Gaffneyami, ale nie miał nic przeciwko dziewczynie.

- Kiedy się dokądś wybierzemy? - zażartował.
- Jestem mężatką.
- To menda, skarbie.
- Gadaj zdrow.
- Zresztą mam słabe serce - wycofał się Dallas, uśmiechając się do niej figlarnie.
- Zgadnij, kogo wczoraj widziałam.
- Skąd mam wiedzieć?
- Randalla Youngera.

Dallas zmarszczył czoło.

- Jest w Buffalo - powiedział.
- Tak ci się tylko wydaje. Zapuścił sobie włosy.
- Nie mów.
- Z nim się dokądś wybiorę.

Słuchał cichnących odgłosów jej kroków na schodach i patrzył, jak przemyka między samochodami. Nie wiadomo dlaczego nagle się zderwował. Zdjął słuchawkę z widełek i poszedł do punktu totalizatora sportowego, ale postawił tylko pięćdziesiąt dolarów, a nie sto pięćdziesiąt, jak mu zlecił Benny D. Jeśli Johnowi się to nie podoba, tym gorzej

dla niego. Jeszcze mniej chciałby przegrać trzy patyki. Nie żeby nie była to dla niego dobra nauczka.

Telefon dzwonił przez całe popołudnie i Dallas nie miał chwili czasu, by myśleć o czymkolwiek. Wszyscy jak szaleni stawiali na konia Benny'ego D. O wpół do siódmej skończył przyjmować zakłady i poszedł do baru Mohawk na hamburgera z cebulą. Właśnie zaczął jeść, kiedy wszedł John. Miał smętną minę, koszula wystawała mu spod kamizelki. Zajął miejsce obok Dallasa, który wrócił do przerwanoego posiłku.

- Ten pieprzony kalifornijski koń wygrał, dasz wiarę?

- A czego się spodziewałeś?

- Spodziewałem się, że przegra. Wszyscy się tego spodziewali. Dlatego stawiali dwadzieścia do jednego.

- Wszyscy z wyjątkiem Benny'ego D. - Dallas urwał, by przełknąć - który już dwa razy wykręcił ci taki numer.

- Skąd mógł cokolwiek wiedzieć akurat o Santa Anita?

Dallas odsunął talerz.

- Harry - zwrócił się do barmana. - Przychodzi do ciebie facet i chce się założyć o sto dolarów, że potrafi z talii kart wyciągnąć asa pik. Co robisz?

Harry nawet się nie raczył odwrócić.

- Mówię mu, żeby sływał.

Dallas zwrócił się do Johna.

- Sam słyszałeś. Nie trzeba kończyć prawa, żeby to wiedzieć.

John zrobił jeszcze bardziej ponurą minę.

- Dobra. Dokop mi. Powinienem być ciebie posłuchać.

- Na szczęście ja nie posłuchałem ciebie. Odłożyłem setkę.

- Nie mów.

- Powinienem to zatrzymać dla siebie.

Prawnik wyglądał, jakby właśnie urodziło mu się dziecko.

- Pozwól, że ci postawię obiad.

- Jeszcze nie jest ze mną tak źle.

- Jestem twoim dłużnikiem.

- Ani się obejrzyysz, a będziesz wszystkim coś winien, jeśli nie zmienisz postępowania.

- Masz rację - zgodził się z nim John.

Dallas był zadowolony z siebie i zamówił kawałek placka. Ledwo wyszedł John, kiedy pojawił się Benny D. i klepnął Dallasa w plecy.

- Wracaj do pracy u mnie - powiedział. - Twój aktualny szef nie utrzyma się długo, jak tak dalej pójdzie.

- Jakoś sobie radzi - odparł Dallas i przyznał się do tego, co zrobił. Benny D. był zdegradowany.

- Dlaczego mu pomagasz? Do diabła z takimi facetami.

- Prawdopodobnie masz rację. - Dallas w zasadzie nie lubił Johna. Jego staruszek dawał mu wszystko i wyciągał go z tarapatów, by mógł zgrywać wielką szycę. Dallas nie potrafił tego zrozumieć. Staruszek sam wszystkiego się dorobił. Co za przyjemność patrzeć, jak synalek trwoni to, co się z takim trudem zgromadziło? - Następnym razem zostawię go własnemu losowi.

- A jak ci poszło dzisiaj? - spytał Benny D.

- Wygrałem w Santa Anita.

- Kutas.

Wypili po kawie i wyszli razem.

- Dziś wieczorem grają partyjkę pokera.

Dallas wzruszył ramionami.

- Słyszałem, że mój chłopak jest w mieście. Pomyślałem, że może się z nim spotkam.

- Przypomniałem sobie coś. Widujesz się ze swoją bratową?

- Z Loraine?

Benny D. skinął głową.

- Podobno bywa w The Velvet Pussycat. Ktoś powiedział, że John się do niej dowala.

- Żartujesz.

- W ostatnią sobotę Gaff musiał ją odwiedzić do domu.

Dallas pokiwał głową. Życie wciąż go czymś zaskakiwało, chociaż na ogół potrafił przewidzieć różne rzeczy. Na przykład dzisiaj. Przez cały dzień wszystko prawidłowo przewidywał. Ale nawet kiedy człowiek ma najlepszy dzień, spotyka go coś, czego się zupełnie nie spodziewa. Jego chłopak był w mieście i zapuścił włosy, jego bratowa przesiadywała w najlepszej spelunie w mieście.

- Dlaczego?

- Była za bardzo pijana, by usiąść za kierownicą. Tak przynajmniej słyszałem. Zagrajmy w pokera.

- Nie.

- Daj spokój. Dobrze ci to zrobi, jeśli jesteś w kiepskim humorze.

- Nie wiem.

- Obalimy wspólnie butelkę burbona i świetnie się zabawimy.

A w przyszłym tygodniu wrócisz do pracy u mnie. Ten John to nie dobrego.

- Jest w porządku.

- Ale nie jesteście jak bracia. Ty i on nigdy razem nie zapieprzaliście.

To była prawda. Zanim Benny D. odziedziczył warsztat, razem z Dallasem harowali na budowach. Również wspólnie uganiali się za dziewczynami, nawet poderwali kilka, które specjalnie się nie opierały. Obaj byli świeżo po rozwodzie i żaden z nich nie był zbyt wybredny. Po Annie Dallas lubił kobiety, które nazywały swoje cipki cipkami. Benny D. nigdy nie znał innych. Był w porządku i razem wiele przeszli. Raz Dallas o mało go nie zabił, ale Benny D. nigdy mu tego nie wypominał.

Wytrąbili prawie całą butelkę burbona i wdrapali się po ciemnych schodach na drugie piętro, w kierunku odgłosów niskiego, męskiego śmiechu.

- Myślałem, że twój chłopak studiuje na jakiejś uczelni - powiedział Benny D.

- Studiuje. A przynajmniej studiował.

- Musiałeś za to bulić?

Dallas pokręcił głową.

- Dostał stypendium.

- Wielka sprawa. Zrobi się z niego mądrała, jak ten twój przyjaciel John.

- Zastaniemy na górze Johna - ostrzegł go Dallas.

Benny D. się roześmiał.

- Mam nadzieję.

36

Podczas wakacji w Maine cieszyli się piękną ciepłą pogodą, łagodną morską bryzą i oddawali się słodkiemu lenistwu. Price dotrzymał słowa i nie rozmawiał o baseballu. Codziennie kupował gazetę i sprawdzał wyniki, dzięki czemu wiedział, jakie drużyny grają i z jakim skutkiem. Ale nie poruszał tego tematu w rozmowie i zdawał się całkowicie zadowolony z wcierania olejku do opalania w plecy Anny. Kiedy wrócą do miasta, będzie sierpień, wtedy drużyny mogły angażować dodatkowych graczy; jeśli cokolwiek się wydarzy, to tylko wtedy. Codziennie wstawał

skoro świt i biegał wzdłuż plaży, potem brał prysznic, szedł po bułeczki i wracał w samą porę, by być świadkiem przebudzenia Anny. Nie wiadomo kiedy mocno się opaliła i jej ciemna skóra pięknie kontrastowała z bielą pościeli. Na ogół nie od razu zabierali się do jedzenia bułeczek.

- Pobierzmy się i miejmy dzieci - oświadczył Price ostatniego dnia wakacji.

Annę nie tyle zdziwiła sama propozycja, ile ton, jakim Price ją wypowiedział. Równie dobrze mógłby proponować przechadzkę plażą i zbieranie małży.

- Dobrze - powiedziała. - Czemu nie. Być może.
- Z tobą zawsze wiadomo, na czym się stoi. Lubię to.

Anna zgarnęła garść białego piasku i wtarła go w wysmarowany olejem, owłosiony tors Price'a.

- Nie lubię być w ciąży.
- Nie mów głupstw.
- Zresztą jeśli się pobierzemy, od razu będziesz miał syna.

W pierwszej chwili Price nie wiedział, co na to odpowiedzieć, ale Anna wyczuła jego rezerwę.

- Mężczyźni chcą mieć własnych synów. Nie potrafię wytłumaczyć dlaczego.

- Rozumiem.

- Naprawdę - nie dawał za wygraną. - Poza tym zostałem pozbawiony pierwszych lat życia Randalla. Chłopak już ma złe nawyki.

Price mówił to tak poważnie, że Anna nie mogła się powstrzymać od uśmiechu.

- Jak możesz mówić coś takiego!

Przewrócił się na bok i ręką ręcznika starł z piersi piasek.

- Dlaczego nazywasz go Randall, a nie Randy?

- Czy to jeden z jego złych nawyków?

- RzUCA bokiEM. Nie mogę go tego oduczyć.

- I dlatego nie może być twoim prawdziwym synem?

- Chyba nie - przyznał Price i nagle się roześmiał ze swej własnej powagi. - Ale ciężko w ten sposób kroczyć przez życie. Chciałbym mu tego oszczędzić.

- Czy przyszło ci kiedyś do głowy, że może zostanie prawnikiem?

- Prawnicy też bywają podobni do piłkarzy rzucających bokiEM. Jak się nad tym zastanowić, to nawet większość z nich jest właśnie taka.

- Masz duszę satyryka.

- Gówno prawda - powiedział. - Mam duszę piłkarza.

Minął sierpień. W połowie września Price zatrudnił się jako barman w pewnym hotelu na Manhattanie, w którym już kilka razy pracował poza sezonem. Ale kiedy nadeszła pora rozgrywek o mistrzostwo, stał się dziwnie ponury, w końcu przestał oglądać relacje z meczy. Nie mówili już o małżeństwie i robili wrażenie, jakby się bali, że druga osoba powróci do tego tematu, chociażby dla oczyszczenia atmosfery. Ich rozkłady pracy kolidowały ze sobą i coraz mniej wieczorów spędzali wspólnie. Czasami Price wydawał się bardziej zainteresowany synem Anny niż nią samą.

W lutym zadzwonili do niego z Met. Chcieli wiedzieć, czy zastanawiał się nad tym, żeby zostać obserwatorem strategii drużyn rywali. Powiedział, że do nich oddzwoni.

- Dlaczego nie? - spytała Anna.

- Ponieważ mogę grać jeszcze przez rok, może dwa lata. Wiosną nie byłem w formie przez to obijanie się. Tym razem będę gotów. Świetnie się czuję.

Biegał i robił dziennie do dwustu siadów z pozycji leżącej. Na jego spodenkach była krew od ocierania kością ogonową o podłogę. Podzwonił tu i tam, dwóch trenerów obiecało, że mu się przyjrzy na treningu.

- Jezu Chryste! - powiedział ktoś. - Myślałem, że już z tym skończyłeś.

Potem coś się wydarzyło. W przeddzień wyjazdu na Florydę przyszedł wcześniej, żeby zabrać Annę na śniadanie. Akurat szedł program „Temat na dziś”; Price przystanął, by obejrzeć fragment poświęcony wiosennemu zgrupowaniu. Przeprowadzano obszerny wywiad z przystojnym młodym Murzynem, może siedemnastoletnim. Price wysłuchał rozmowy do końca, a potem powiedział: „Do diabła ze śniadaniem”. Kochali się, jeszcze leżąc w łóżku, Price zadzwonił i przyjął pracę obserwatora meczy.

Potem wyjechał. Być może dlatego, że jego nieobecności trwały po kilka tygodni, Anna widziała zachodzące w nim zmiany, gdy się spotykali. Przytył, zrobił się nalany na twarzy, a jego mięśnie zniknęły pod warstwą tłuszczu. Kiedy był w Nowym Jorku, codziennie trenował z Randallem. Chłopak koniecznie chciał spróbować dostać się do ligi młodzieżowej. Nie był wybitnie uzdolniony, ale Price oświadczył, że talent nie jest najważniejszy, nigdy się nie liczył. Któregoś popołudnia Randall wrócił do domu ze złamanym nosem, który tak mu spuchł, że chłopak

zamiast oczu miał szparki. Sam Price był biały na twarzy, ale popchnął mocno chłopaka w kierunku zlewu.

- Przestań się mazać - powiedział. - To tylko piłka się odbiła. Jeszcze nieraz w życiu ci się to przytrafi.

Anna zmoczyła ręcznik i delikatnie wytarła Randallowi krew z brody i ust. Wiedziała, że oczy będzie miał podbite. Po kilku minutach chłopak się uspokoił, ostry ból przeszedł w tępe ćmienie. Price nalał sobie kawy i usiadł. Wyglądało na to, że gdyby nie było krzesła, usiadłby na podłodze.

- Co się stało? - spytała w końcu Anna.

Wystarczyło, że Price spojrział na nią, by się zorientować, że pytanie to jest właściwie oskarżeniem.

- Jak powiedziałem, odbiła się piłka. - Utkwił wzrok w blacie stołu.

- Za mocno ją rzuciłeś - powiedział Randall.

- Czy będziesz tak mówić do odbijającego? - spytał Price. - Nie bądź dzieckiem.

Na stole między nimi leżała piłka. Randall wziął ją i cisnął nią z całej siły. Chociaż miał dopiero dziesięć lat, byli dwa metry od siebie i piłka trafiła Price'a w brodę. Dał się zaskoczyć, przewrócił się do tyłu na krzesło i wylądował na podłodze. Zaczął masować bolące miejsce, a potem się zerwał z ziemi. Zanim Anna zdołała im przeszkodzić, Price z twarzą wykrzywioną wściekłością ściągnął chłopaka na podłogę, usiadł na nim i zamierzył się na niego, kolanami przygwoździwszy Randalla do zimnych płytek. Przez chwilę Anna była pewna, że Price uderzy chłopca uniesioną pięścią. Ale potem dotknął ręką własnego policzka i zlął z Randalla, jakby ktoś go chwycił z tyłu. Polazł na czworakach do kąta i zaczął szlochać. Randall stał z zaciśniętymi pięściami; chyba spodziewał się kolejnego ataku. Anna podeszła do niego, ale ją odepchnął. To była sprawa między nim a Price'em, i wyraz bezsilnego buntu na twarzy chłopca przeraził kobietę. Randall był niemal czarny na twarzy, zapomniał o bólu, nie potrzebował, by go ktokolwiek pocieszał.

Uświadomiła sobie, że nigdy nie pozbył się całkowicie tego wyrazu twarzy. W pobliżu Albany zrobiło się tłoczniej na drodze i szalony pomysł jazdy do Nowego Jorku, żeby zjeść śniadanie, stracił prawie cały urok. Skreśliła w Northway Exit, potem przegapiła wyjazd, który umożliwiłby jej powrót na autostradę w kierunku domu. Do diabła z tym, pomyślała. Droga, którą teraz jechała, też dokądś prowadzi. Wszystkie one dokądś prowadzą.

Odkąd Price złamał Randallowi nos, widziała go tylko raz. Następnego dnia znów wyjechał w teren i nigdy więcej do niej nie zadzwonił. Kilka miesięcy później ktoś jej powiedział, że Price już nie mieszka w Nowym Jorku. W pewien sposób straciła ich obu jednocześnie. Randall nie chciał, żeby go traktowała jak małe dziecko, i nawet kiedy wyzdrowiał, nie lubił, gdy go przytulała lub całowała. Czasami myślała, że może tamtego dnia po raz pierwszy ujrzał w niej kobietę. Albo tylko kobietę. Albo może przyczynę tego wszystkiego, ponieważ była kobietą. Dziwnie na nią patrzył, niemal tak, jakby wszedł i przyłapał ją podczas stosunku z Price'em. Nie uważała, że przestał ją kochać. Po prostu sprawiał wrażenie, jakby go to kępowało.

Dwa lata później znów zobaczyła Price'a. Wcześniej Dan miał wypadek, a ona wykorzystała chorobę ojca jako pretekst, by wrócić do Mohawk. Pewnego sobotniego popołudnia, wkrótce po swym przyjeździe, po przyjściu z pracy do domu zastała włączony telewizor. Randall wycofał się do swojego pokoju. W telewizji pokazywali Price'a. Nadawali program zatytułowany „Rozmowy o sporcie”. Price był szczuplejszy, niż kiedy widziała go ostatnim razem, zachowywał się swobodnie, o wiele lepiej niż pozostali, z których większość najwyraźniej bała się kamery. Price powiedział parę zabawnych rzeczy i kiedy się śmiał, to właśnie z dowcipów, a nie zadowolony z siebie, dlatego że je powiedział. Anna ucieszyła się, widząc, że znów dobrze sobie radzi, ale zaskoczyło ją odkrycie, że właściwie wcale jej go nie brak.

Rozpadało się na dobre. Wycieraczki ledwo nadążały z odgarnianiem deszczu, Anna nie miała pojęcia, gdzie jest. Jechała dwupasmową szosą, od czasu do czasu po jednej czy drugiej stronie drogi migał neon, reklamujący ciemne i opuszczone przybytki. Domyślała się jedynie, że kieruje się mniej więcej w stronę Mohawk. W końcu zaczęło tak lać, że nie miała odwagi jechać dalej, więc skręciła na niemal pusty parking przed odrapanym motelem. Siedziała prawie dziesięć minut, ogarnięta uczuciem beznadziejności, nim poznała, że to ten sam motel, do którego przyjechała z Danem jakieś dwadzieścia lat temu. Nosił inną nazwę, ale nie miała cienia wątpliwości, że to ten sam. Droga była wtedy ruchliwsza, a budynki, które stały wzdłuż niej, w lepszym stanie. Nie potrzebowała szklanej kuli, by się domyślić, co je czeka w przyszłości. Motel miał tylko dwanaście pokoi, ale Anna nie mogła sobie przypomnieć, w którym zatrzymała się z Danem. Wybuchnęła płaczem i nie mogła się uspokoić. Kiedy się obudziła, niebo na wschodzie szarzało. Było jej bardzo zimno,

ale czuła się znacznie lepiej. Przez jakiś czas nie mogła pozbyć się przeświadczenia, że jeśli posiedzi tu wystarczająco długo, pojawi się Dan, wysiądzie z samochodu - tego samego, którym jeździł dwadzieścia lat temu - i weźmie ją za rękę. Wiedziałby, który pokój jest ich, a może nie miałyby to znaczenia.

37

Rory Gaffney, brat policjanta, mieszka w ostatnim domu przy Division Street, ślepej uliczce po drugiej stronie szosy. Teoretycznie już poza granicami miasta i sierżant Gaffney nie powinien jeździć tam wozem policyjnym, chyba że kogoś ściga. Jednak to tylko kilkaset metrów i nikt na niego nie doniesie. Więc jedzie w górę wzniesienia, wyłącza reflektory i silnik. Samochód toczy się powoli, w końcu się zatrzymuje. W przyczepie kempingowej pali się światło.

Policjant cicho zamyka drzwiczki i sapiąc, idzie w górę podjazdu. Nigdy nie był szczupły, a ostatnio jeszcze znacznie przytył, pewny, że i tak nikt mu nie będzie robił trudności na rok przed emeryturą. Zatrzymuje się przed domem, by zajrzeć do salonu. Jego brat wyciągnął się na leżance i ogląda telewizję; w blasku telewizora, stanowiącego jedyne źródło światła, widać, jak porusza grubymi paluchami u nóg. Policjant, odsapnąwszy, udaje się ścieżką między drzewami do przyczepy kempingowej. Robi przy tym dużo hałasu i przeklina pod nosem. Firanki w oknie sypialni nie sięgają do parapetu. Widzi w środku kompletnie ubraną dziewczynę. Dziś wieczorem jest wyjątkowo chłodno, jak na koniec kwietnia. Gaffney przez kilka minut z nadzieją obserwuje dziewczynę, a potem wraca tą samą drogą wśród drzew, którą przyszedł, bojąc się, że jego brat zobaczy samochód i zacznie się zastanawiać, co robi policjant.

Rory Gaffney podnosi wzrok, kiedy jego brat wchodzi, ale nie wstaje z leżanki, z wyraźną obojętnością traktuje jego pojawienie się. Pięćdziesięciodziewięcioletni policjant jest prawie dziesięć lat młodszy od brata, ale wygląda starzej.

- Wydawało mi się, że słyszę samochód.

Sierżant Gaffney kładzie czarny policyjny radionadajnik, a potem siada. Z głośnika wydobywają się tylko trzaski i przy odrobinie szczęścia policjant będzie miał godzinkę spokoju.

- Wyłącz to - mówi jego brat.
- Nie chcę niczego przeoczyć - wyjaśnia policjant.
- To siedź w samochodzie.

Sierżant Gaffney wstaje, trochę przycisza radio i wraca na swoje miejsce. Przez chwilę oglądają telewizję, ale żaden z mężczyzn nie komentuje tego, co się dzieje na ekranie.

- Lubię ten program - mówi policjant po zakończeniu audycji.
- No więc? - pyta Rory Gaffney.
- Wrócił.
- Słyszałem.
- Harry zatrudnił go przy zmywaniu naczyń.

Rory Gaffney mruży oczy, ale milczy.

- Harry kupił sobie wielką nową zmywarkę. Pokazywał mi ją dzisiaj.
- To czego chce od mojego chłopaka?
- Potrzebuje kogoś do wkładania do niej naczyń i naciskania guzika.

Harry uważa, że Billy sobie z tym poradzi. Ja też tak myślę.

- Czy Harry'emu nigdy nie przyszło do głowy, że może przydałaby mi się tu pomoc?

Zbił policjanta z tropu.

- Mąż dziewczyny pojawia się tu kiedykolwiek?

Rory Gaffney patrzy na swojego brata, który w końcu wstaje i wyłącza radio policyjne. Zresztą i tak już pora wracać do roboty. Myśli sobie, że mąż dziewczyny musi być skończonym łobuzem, jeśli ją rzucił, ale coś go powstrzymuje przed powiedzeniem tego na głos. Sam nigdy się nie ożenił i ostatnio zaczął tego żałować. Może byłby lepszym mężem i ojcem od facetów, których odwozi do domów po zamknięciu barów. Dobrze traktowałby żonę, dzieciaki też. Nie dziwi się bratowej, że uciekła od męża. Były czasy, kiedy sam miał ochotę to zrobić, a Rory jest jego jedynym bratem. Czasem i teraz chciałby gdzieś uciec, ale nie ma dokąd.

- Harry będzie dla niego dobry - odzywa się nieśmiało. - Harry go lubi.

Brat wyłącza telewizor pilotem i pokój pograża się w mroku.

- Coś ci chodzi po głowie, Walt?
- Mnie? - Jego głos brzmi dziwnie w ciemnościach. Po paru sekundach nie może dłużej znieść ciszy. - Myślę sobie tylko, że powinienś zostawić chłopaka w spokoju, i tyle.
- To wszystko?
- Tak, to wszystko.

Walt Gaffney wychodzi i zamyka za sobą drzwi. Przez całe życie bał się swojego brata. Wolalby się go nie bać, ale po tylu latach chyba już nic nie może na to poradzić. Dziewczyna w przyczepie ma teraz na sobie szlafrok, a głowę owiązała ręcznikiem niczym turbanem. Chociaż zrobiło się jeszcze chłodniej, policjant, który ukucnął obok przyczepy, zaczyna się pocić. Od strony domu dobiega jakiś odgłos i Gaffney chowa się głębiej w cieniu drzew. Rozlegają się ciężkie kroki i szelest suchych liści, które opadły ostatniej jesieni. Policjant już ma zamiar się podnieść i stanąć twarzą w twarz z bratem, przyznać się do swojego występku i błagać o wybaczenie, kiedy Rory Gaffney puka do drzwi. Dziewczyna w środku ciaśniej owija się cienkim szlafrokiem. Opuszcza sypialnię, ale policjant widzi ją w korytarzyku i słyszy jej głos przez cienkie ściany przyczepy. Głos jego brata niknie w ciemnościach.

- Wszystko w porządku - mówi dziewczyna. - Wracaj do domu.

Jego brat mówi coś.

- Są zamknięte na klucz - mówi dziewczyna. - I pozostaną zamknięte.

Przyczepa się trzęsie.

- Obudzisz małą.

Policjantowi robi się słabo i siada na zimnej ziemi. Przez długi czas nie patrzy na nic i otrząsa się z tego stanu, dopiero kiedy słyszy odgłos zatraskiwanych drzwi do domu. W lesie znów zalega cisza. Z największą ostrożnością podnosi się, stara się zachowywać jak najciszej. Dziewczyna zdjęła cienki szlafrok. Nigdy nie widział piękniejszej kobiety od niej. Płacze bezgłośnie. Tak pragnie jej to powiedzieć. Obserwuje, jak dziewczyna szcztokuje długie, proste włosy przed małym lustrem, stojącym na toalecie. Chciałby wierzyć w reinkarnację, chciałby jeszcze raz przeżyć wszystko od początku.

Wiatr zmienia kierunek i policjant słyszy głośny trzask radia w samochodzie zaparkowanym przy drodze. Piątkowy wieczór w Mohawk.

38

Lato nie było ulubioną porą roku pani Grouse. Chociaż się nigdy nie skarżyła, upał sprawiał, że była spocona i rozdrażniona. Nawet jako dziecko nie rozumiała, co takiego pociągającego jest w lecie. W połowie lipca asfalt topił się na drogach, a matka jeszcze się przyczyniała do wzrostu

temperatury powietrza, szykując potrawy w piekarniku. Od rozpalonego pieca aż buchało i pani Grouse zastanawiała się, czy to nie źródło całego ciepła na ziemi. Rozgrzane powietrze nie zatrzymywało się w obrębie kuchni, pokoje na górze, w których spała ona i jej dwie siostry, były duszne, dopiero dobrze po północy w dotychczas nieruchomym powietrzu można było wyczuć orzeźwiający powiew wiatru. Matka pani Grouse nie należała do kobiet, które zwracają uwagę na pogodę. Prawdę mówiąc, nauczyła swe córki, że ludzie prawi posłuszni są tylko woli Boga. Więc w połowie sierpnia, kiedy słupek rtęci w termometrach wskazywał ponad trzydzieści stopni, a psy walczyły zaciekle na zakurzonej drodze - a nawet robiły coś gorszego, aż jeżyła im się sierść na karkach - w piekarniku matki rodziły się parujące zapiekanki.

Pani Grouse zawsze z rozrzewnieniem wspominała swoją matkę, szczególnie odkąd ta dobra kobieta pokornie posłuchała w końcu woli Boga. Jej największym marzeniem było móc wpoić zalety swej matki własnej córce Annie, której skłonności do przedwczesnego poddawania się były dla takiej kobiety, jak pani Grouse, czymś niepokojącym. Latem Anna zwyczajnie odmawiała przyrządzania prawdziwych posiłków, ograniczając się do jedzenia sałatek i owoców. Pani Grouse nie rozumiała, jak ktoś może oddać tyle pola, a zachować jeszcze dość siły, by toczyć pojedynki z życiem.

Lato obfitowało w okropieństwa. Pani Grouse nienawidziła wszystkiego, co pełza i lata. Jak na kobietę siedemdziesięciokilkuletnią, była niezrównaną pogromczynią, nie rozstającą się z łapką na muchy, i trudno było przewyższyć jej czujność, jeśli chodzi o letnie insekty. Każdej wiosny, kiedy w sklepach prowadzono promocyjną sprzedaż środków owadobójczych, pani Grouse zaopatrywała się w dwie wielkie puszkę i codziennie skrapiała ich zawartością listwy przypodłogowe. Z tego powodu Anna odmawiała wejścia do pomieszczeń na dole, póki nie potwierdzano wszystkich okien, który to pomysł wielce się pani Grouse nie podobał.

Pewnego popołudnia pod koniec czerwca pani Grouse zamiatała ganek przed domem, kiedy dostrzegła coś, co zaabsorbowało jej uwagę. Przez dwa dni padał deszcz i wąski pasek trawnika między domem a chodnikiem był wilgotny i zielony. Jednak kiedy pani Grouse przyjrzała mu się bliżej, zauważyła setki małych otworków, jakby jakieś niedorozwinięte dziecko spędziło całą noc, systematycznie dziobiąc szpikulcem ziemię, póki nie została jednolicie podziurawiona. Bo były to dziury.

Przyglądała im się na czworakach i właśnie w takiej pozycji zastał ją pan Murphy, mieszkający dwa domy dalej.

- Dżdżownice - powiedział, spoglądając znad okularów. Pani Grouse zmarszczyła czoło.

- Po deszczu wychodzą na powierzchnię - wyjaśnił mężczyzna.

39

Nad barem Mohawk wisi nowy szyld, znacznie większy od poprzedniego. Wypisane jest na nim wymyślnymi literami *The Grotto*, a niżej, mniejszymi - *Zapraszają Beverly i Harold Saundersowie*. Długi kontur ar pozostał niezmieniony, jedynie kasę przeniesiono bliżej wejścia. Pilnuje jej żona Harry'ego, najbardziej płomiennoruda kobieta, jaką kiedykolwiek policjant widział. Przypomina mu buldoga podejrzewającego, że masz kość - jego kość. Rudego buldoga.

Policjant nigdy nie był w nowej restauracji, z przyćmionymi światłami, niepołączonej z dawnym lokalem. Woli jadać w barze, gdzie jest widno i można pogawędzić z innymi gośćmi, ściskającymi kupony wyścigów konnych, jeśli się czuje potrzebę rozmowy. Sąsiednią salę przeznaczono głównie dla kobiet, lubiących spożywać sałatki w „intymnej atmosferze”, jak to określa rudowłosa. Dziewczyna jest kelnerką w sąsiedniej restauracji, ale wpada do baru po potrawy. Kiedy się pochyła obok niego, policjant czuje jej zapach i widzi zarys stanika przez materiał sukienki. Czasami dziewczyna chodzi bez stanika i policjanta ogarnia wtedy dziwna tęsknota, skłaniająca go do rozmyślań nad własnym życiem i wieloma sprawami. Niekiedy zazdrości nawet Harry'emu, który przynajmniej ma swojego buldoga.

- Cześć, skarbie - mówi, gdy pojawia się dziewczyna, by wziąć hamburgera z frytkami. Stara się, żeby to „skarbie” zabrzmiało zwyczajnie.

Ostatecznie są spokrewnieni. Ale zawsze wypada to tak, jakby zebrał.
- Jak mała? - pyta, chociaż wie, że dziecko chowa się zdrowo, ma przed oczami obraz, jak niemowlę ssie jej pierś. - Czy ten twój nicpoń czasem się odzywa?

Ale dziewczyna już zniknęła. Nawet jeśli go zauważyła, widocznie uznała, że nie warto mu odpowiadać. A może jest zbyt zajęta. Policjant zamawia hamburgera i prosi Harry'ego, by nie dodawał cebuli.

- Jeszcze dwa tygodnie, Harry - mówi. - Aż trudno uwierzyć.

John, prawnik, siedzący dwa miejsca dalej, podnosi głowę znad zupy.

- Na pewno ktoś ukradnie sygnalizację świetlną.

- Myślisz, że napiszesz wspomnienia, Gaff? - pyta ktoś. - Pamiętnik

Niebieskiego Rycerza?

- Niebieskiego Wieloryba - poprawia go inny.

Prawnik się uśmiecha.

- Sądziś, że się roztyjesz, kiedy nie będziesz miał nic do roboty?

- Będę miał mnóstwo roboty - oświadcza policjant. - Już ty się o mnie nie martw.

- Dobrze - mówi prawnik.

- Na przykład co? - krzyczy ktoś z drugiego końca baru.

- Mnóstwo i już.

- Możesz prowadzić samochód, którym twój brat ucieka z miejsca przestępstwa - mówi John.

- Albo ty - rzuca Harry.

- Nie będzie dzisiaj napiwku, Haroldzie - oświadcza John.

- Mam cię w dupie - mówi Harry *alias* Harold.

- Harry! - krzyczy rudowłosa siedząca przy kasie.

- Tak, Haroldzie - mówi John. - Jestem zbulwersowany.

- Pocałuj mnie w...

- Harry?

Otwierają się drzwi do kuchni i wyłania się z nich chłopak Youngerów. Bierze dwie cole i znika z nimi. Policjant dostrzegł Szalonego Billa ustawiającego szklanki na zielonej plastikowej tacy na blacie z nierdzewnej stali. Żeby nie myśleć, mówi:

- Powinieneś mu kazać nosić siatkę na włosy albo coś w tym rodzaju.

Harry nie zwraca uwagi na jego słowa. Kolejny raz żałuje, że posadził żonę przy kasie.

Policjant podejrzliwie traktuje tego Youngera, i to od wielu lat, od dnia, kiedy burzono stary szpital. Chłopak pojawił się w rozwalonej recepcji, wyglądał, jakby sam Pan Bóg posłał go tam, gdzie nikt nie miał prawa się znaleźć, wśród spadających cegieł i odłamków tynku. Dwaj mężczyźni, którzy weszli do budynku, najpierw po chłopaka, a potem po Szalonego Billa, doznali obrażeń, a ten czternastolatek wyszedł z tego wszystkiego bez najmniejszego zdraśnięcia. Policjant był odosobniony, podejrzliwie traktując opowieść chłopaka. Wszyscy się uparli, żeby uczynić z niego bohatera, w gazecie pojawiły się jego zdjęcia, w lokalnych wiadomościach telewizyjnych nadano relację z wydarzenia. Ale wiele faktów nie pasowało do siebie, a Gaffney był zbyt dobrym policjantem, by nie

wzbudziło to w nim wątpliwości. Chłopak musiał mieć powód, że polaził do szpitala, tak samo, jak musiał mieć powód, by zatrudnić się w kuchni za dwa dolary za godzinę. Należy pilnie obserwować tego młodzieńca, nawet jeśli Gaffney może mieć na niego baczenie jeszcze tylko przez dwa tygodnie.

Otworzyły się drzwi i weszła dziewczyna. Rzuciła plastikową tacę na stół i znów zniknęła w kuchni, kiedy drzwi się zamknęły. Szalony Bill nadal stał obok zmywarki, otoczony pojemnikami pełnymi brudnych naczyń. Zamiast wstawiać je do zmywarki, pochylił się, by zajrzeć do odwróconej szklanki na wodę, w której kostka lodu przykleiła się do dna, na przekór prawu ciężenia. Policjantowi zawsze przypominał psia-ka, nawet jako chłopak. W jego spojrzeniu było bezgraniczne zaufanie.

Tamtego dnia jego brat zbił chłopaka tak, jak bije się psa. Najpierw go uderzył, a kiedy chłopak próbował się chyłkiem wymknąć, warknął: „Chodź tu!”. Ten podszedł i oberwał drugi raz po głowie. „Nie możesz mi zabronić!” - powtarzał w kółko, podczas gdy jego ojciec krzychał: „Co ci mówiłem?”, jakby tylko to potrafili powiedzieć. Tym razem Walt Gaffney osobiście przywiózł chłopaka do domu z Mountain Avenue. Jedyne tam stał, ale nie miał żadnego powodu, żeby tak sterczeć. „Nie wtrącaj się do tego, Walt, do jasnej cholery. Jak mi Bóg miły, nie wtrącaj się”. Więc wyszedł przed dom, by poczekać, ale na dworze było jeszcze gorzej, dlatego wrócił do środka. Chłopak miał już zapuchnięte jedno oko, a jego brat zrobił się czerwony na twarzy, ale Bill nadal powtarzał swoje. A Rory Gaffney wrzeszczał: „Chodź tutaj!”, i ten głuptas, zamiast nie usłuchać tego nakazu, jak nie słuchał tylu innych, robił, co mu kazano. Nic nie widział na jedno oko, usta miał spuchnięte i fioletowe, ale krzychał: „Nie możesz mi tego zabronić!”. I wtedy Rory Gaffney, który do tej pory bił swego syna otwartą dłonią, zwinął ją w pięść. Chłopak to widział, ale był zbyt otepiały i jedynie odwrócił głowę. Kiedy dostał w skroń, osunął się na ziemię. Szukając oparcia, rzucił się do przodu i objął ojca za kolaną. Wtedy zarówno ojciec, jak syn umilkli. Policjant zostawił ich i wyszedł na ganek. Chwilę później wyszedł Rory Gaffney, na jego rękach i spodniach były plamy krwi. Opadł na stojące obok krzesło. Wzrok miał tępy.

- Walt, chyba zrobiłem krzywdę swojemu chłopakowi. Tak myślę.

Policjant wszedł do środka, by rzucić okiem. Bill leżał nieprzytomny na kanapie, gdzie położył go ojciec. W pierwszej chwili policjant pomyślał, że chłopak nie żyje. Ale w końcu udało mu się go skłonić, by usiadł i otworzył oko, to, które mógł otwierać. Ale co chwila mdlał i w

końcu policjant się poddał. Rory Gaffney obserwował ich, stojąc w drzwiach.

- Lepiej zabierz go do szpitala - powiedział. - Źle z nim, Walt.

- Zaczekaj - odparł policjant. Nie wyobrażał sobie siebie, jak wnosi chłopaka do izby przyjęć, składa wyjaśnienia, pokazuje palcem na własnego brata. - Zaczekaj. Nie wiadomo. Może dojdzie do siebie, jak go zostawimy w spokoju.

- Chyba zrobiłem krzywdę mojemu chłopakowi, tak myślę - powtórzył Rory Gaffney.

- Skąd możesz wiedzieć...

Policjant nie ma ochoty wspominać tego wszystkiego, ale kryje się to na dnie jego filiżanki z kawą. Czuje nienawiść do siebie i do chłopaka Youngerów, który wkroczył, kiedy zdawało się, że sam Pan Bóg postanowił, iż Szalony Bill powinien umrzeć i przestać się męczyć. Już jakiś czas temu policjant zrozumiał, że kiedy powiedział: „Zaczekaj!”, podjął najważniejszą decyzję w swym życiu, chociaż wtedy, a nawet jeszcze wiele lat potem, nie zdawał sobie z tego sprawy. „Zaczekaj” - powiedział, a później, kiedy stało się oczywiste, że nie ma sposobu ukrycia tego, co zaszło, to nie Rory Gaffney wymyślił, jak wszystko rozegrać, tylko on. Powiedział swemu bratu, dokąd ma zabrać chłopaka, co robić, jak długo nie pokazywać się w mieście, co mówić ludziom po powrocie - cały czas wiedząc, że powinien skorzystać z broni, którą od tak dawna nosił za pasem, że zapomniał o jej istnieniu. Zastrzelić go, myślał. Potem chłopaka. A na końcu siebie.

Szkopuł w tym, że może tylko czuć do siebie nienawiść.

Otwierają się drzwi do kuchni i wylania się Szalony Bill z pustą szklanką po coli. Oddaje ją Harry'emu, od którego ją wziął. Nie rozumie, że należy ją postawić razem z innymi brudnymi szklankami. Zamiast tego stawia ją w zlewie pod kontuarem.

- Wracaj do kuchni - mówi Harry.

Przez wahadłowe drzwi sierżant Gaffney obserwuje kuchnię. Chłopak Youngerów kroi główkę sałaty błyszczącym nożem. Dziewczyna, mijając Randalla, cmoka go w kark. On łapie ją, nim zdołała uciec, i całuje w usta. Policjant widzi to wszystko, nim zamknęły się drzwi, i jeszcze długo potem.

40

- Nigdy o czymś takim nie słyszałam - mówi Milly, patrząc podejrzliwie na splachetek ziemi, wsparta na ramieniu pani Grouse. - To wystarczy powód, by zamieszkać w bloku.

Dan właśnie przywiózł starszą panią do siostry i ją zostawił. Tamtego ranka wypisali ją ze szpitala i Diana, która zazwyczaj towarzyszyła matce podczas takich wizyt, jeszcze przed południem nieprzytomna padła na łóżko, a Dan nie pozwolił Milly zbudzić córki.

- Jak mam wejść po schodach? - spytała.

- W takim razie zostań w domu - powiedział Dan. - Ale jej nie obudzisz.

- Chyba jakoś sobie poradzę - oświadczyła staruszka. - Zawsze jakoś sobie radzę.

- Zgadza się - mruknął Dan.

Dwie starsze kobiety podtrzymują się teraz. Przypominają dwa pochyle boki trójkąta równoramiennego o krótkiej podstawie.

- Bardzo są duże? - pyta Milly.

Pani Grouse musi przyznać, że właściwie nigdy żadnej nie widziała.

- Przez nie żółknie trawa - zauważa Milly, wskazując kilka placków suchej trawy, gdzie jej siostra rozpyliła skoncentrowaną dawkę środka owadobójczego.

- Wychodzą nocą - oświadcza pani Grouse. - Z ziemi.

- Moje biedactwo! - uzala się jej siostra i chwiejnym krokiem wspinają się obie na stopnie ganku.

41

Kiedy Randall przekręcił się na bok, żeby spojrzeć na dziewczynę, przyczepa kempingowa się zakolysała. B.G. patrzyła na niego spod ściągniętych brwi, jak zawsze, kiedy byli razem w łóżku. Ostatnio zdarzało się to nawet dość często.

- Przestań - powiedział.

- Co mam przestać? - Podparła się na łokciach i spojrzała na niego z góry. Była największą kokietką, jaką znał.

- Tak też nie rób - powiedział, kiedy dotknęła jego szyi.

- Dlaczego wszyscy mężczyźni boją się laskotek?

Randall nie wiedział.

- Nie zmieniaj tematu.

Przybrała poważną minę.

- A o czym rozmawialiśmy?

- O tym, dlaczego zawsze na mnie tak patrzysz.

- Próbuję zrozumieć, czego ode mnie chcesz.

- Niektórzy by powiedzieli, że już dostałem to, czego chciałem.

Położyła mu głowę na piersiach i przesunęła palcem wskazującym po jego brzuchu.

- Jesteś inny - oświadczyła.

- W takim razie powiedz mi, czego chcę.

Dziewczyna westchnęła.

- Nie wiem. Znając cię, prawdopodobnie czegoś dziwnego.

Randall się zastanawiał, dlaczego ludzie mówią o nim takie rzeczy.

Zupełnie jakby ktoś rozpuścił plotkę, kiedy był jeszcze małym dzieckiem, i do tej pory każdy już ją zdążył usłyszeć. Sobie nigdy nie wydawał się dziwny pomimo powszechnie panującej opinii. Leżeli bez ruchu, dziewczyna prawie usnęła z głową na jego piersiach, kiedy zapłakało niemowlę. Zerwała się. Randall pierwszy raz przyszedł do jej przyczepy. Akurat ta była tak osobliwie skonstruowana, że gdy ktokolwiek się poruszył, w pierwszym odruchu człowiek pragnął się czegoś chwycić, żeby nie upaść.

- Wiem, co mi się w tobie podoba - powiedziała, kiedy wróciła, ziewając, z pokoju dziecka. - Nigdy nie zasypiasz po tym, jak się kochamy.

- W przeciwieństwie do ciebie.

- Ktoś musi być pierwszy.

- Nie pomyślałem o tym.

- Dobranoc. - Zamknęła oczy i natychmiast usnęła.

Rzeczywiście, czego od niej chciał?

- Czytałaś dziś wieczorem gazetę? - zapytał.

- Co? - spytała sennym głosem.

- Czytałaś?

- Nie.

- Powinnaś - masa tam ciekawych rzeczy. Wiesz, że kolejny chłopak z Mohawk zginął w Wietnamie?

Nic nie powiedziała.

- Ale nie to jest najciekawsze - ciągnął. - Chcesz wiedzieć, co jest najciekawsze?

- Nie.
- Najciekawsze jest to, że chłopak, który zginął, pobił mnie kiedyś, gdy jeszcze chodziłem do szkoły. Na tyłach baru Harry'ego. Potem pojawił się twój stryjek, wybawił mnie z opresji, a przy okazji sam napytał sobie biedy.
- No i co w tym ciekawego?
- Nic. Śpij.
- Dobra - powiedziała i zamknęła oczy. Po chwili je otworzyła. - Jesteś na mnie zły?
- Skądże znowu.
- I naprawdę nic nie było w tym ciekawego?
- Nic a nic.
- To dobrze - powiedziała. - Nigdy nie wiem, o co chodzi ludziom, i bardzo tego nie lubię.

Pół minuty później jej oddech stał się równy, powieki zaczęły lekko drżeć. Randall mógł jej się spokojnie przyglądać. Dziewczyna nie była taka ładna we śnie, jak wtedy, kiedy nie spała - jakby świadomość stanowiła najważniejszy element jej urody. Gdy spała, wyglądała na siedemnastolatkę, która stała się trzydziestopięciolatką. Randallowi nigdy nie przyszło do głowy, że we śnie ludzie się zmieniają, tak jak to się działo z B.G. Kiedy spała, jej ciało traciło młodzieńczą pewność siebie. Ciekaw był, jak będzie wyglądała, kiedy naprawdę będzie miała trzydzieści pięć lat.

Przyjemnie by było, gdyby nie usypiała od razu i mogli trochę porozmawiać. Nie żeby miał o to do niej pretensję. Nikt u Harry'ego nie harował ciężiej od niej, biegała tam i z powrotem między salami, pośród mężczyzn z kuponami wyścigów konnych przy barze i kłótliwych starych bab, jedzących sałatkę z kurczaka. Te drugie domagały się, żeby pojawiała się na każde skinienie, ale jednocześnie się im nie narzucała. Była za ładna, by nie irytować kobiet, niektóre z nich odznaczały się kiedyś tym samym typem urody, co ona. Kiedy stała przy stoliku, pragnęły, żeby sobie poszła; ale gdy znikwała na zbyt długo, czuły się lekceważone i skąpiły na napiwku. Mężczyźni przy barze chcieli, by została z nimi, i opowiadali stare dowcipy, przy których słuchaniu powinna się rumienić. Mężczyźni rzadko kiedy stawali się napastliwi, będąc z natury nieśmiali, ale nie lubili, kiedy się ich lekceważyło. Odkryła, że kiedy z nimi żartuje i zachowuje się zgodnie z ich oczekiwaniami, traktują ją dość dobrze. Nie przeszkadzały jej ich uwagi, rzucane, kiedy była odwrócona plecami, pośpiesznie wymieniane spojrzenia, usta otwarte w niemym zachwycie.

Pod koniec dnia pracy marzyła jedynie, żeby pobawić się z małą, poko-chać się i usnąć. Powiedziała Randallowi, że przestała już myśleć o swoim mężu i, o ile się orientował, mówiła prawdę. Nie chodzi o to, że przestała się o niego martwić czy wściekać się na niego za to, że zostawił ją samą z dzieckiem, czy też odczuwać wyrzuty sumienia, że go zdradza. Po prostu przestał dla niej istnieć.

Nie była zbyt rozmowna, słuchać zresztą również nie potrafiła. Może dlatego Randall tak lubił z nią rozmawiać. Rzadko reagowała na cokolwiek, co powiedział; a jeśli już, to najczęściej okazywała zdumienie, jakby nie miała pojęcia, skąd się biorą takie dziwne poglądy. Randall stwierdził, że po dysputach z profesorami na uczelni jej towarzystwo wpływa na niego ożywczo, a im częściej marszczyła czoło, tym krytyczniej oceniał to, co właśnie sam powiedział. Tylko raz spróbował wyjaśnić jej naturę dylematu moralnego, ale się poddał, kiedy sobie uświadomił, że w życiu codziennym B.G. rzadko ma okazję dokonywać jakichś wyborów i prawdopodobnie nigdy się to nie zmieni. Gdyby mógł ją przedstawić jako dowód na swoim niedawnym seminarium, dotyczącym wolnej woli, zajęcia skreślono by z programu. Albo, dajmy na to, własnego ojca, który całe życie spędził, próbując odgadnąć, jakie są szanse na wygraną, nigdy nie rozumiejąc losowej natury wydarzeń, czyniącej z wyścigów konnych wyścigi konne, a z jego życia - niekończący się ciąg kompletnie zaskakujących go wypadków. Nowa sztuczna szczeka co drugi miesiąc, koniec przyjmowania zakładów co trzydzieści pięć minut. Proszę obsta-wiać.

Randall usiadł na łóżku i spuścił nogi na podłogę. Przyczepa się za-trzęsła, ale dziewczyna nawet się nie poruszyła. Wciągnął levisy i zapiał je. Noc była gorąca, nie było potrzeby wkładać koszuli. W sąsiednim pokoju dziecko spało w swoim łóżeczku, malutkie pomieszczenie pachniało zasypką dla niemowląt. Widok małych dzieci zawsze wywoływał u Randalla refleksje na temat ogromu możliwości, jakie niesie życie. Zdumiewające, jak szybko te możliwości znikają. Pięciolatkom często odznaczały się osobowością tak ukształtowaną i dojrzałą, jak ich rodzice, i nawet jeśli nie można przewidzieć, kto zginie na ulicy, potrącony przez pijanego kierowcę, da się z dużym prawdopodobieństwem powiedzieć, kto na pewno nie zostanie chirurgiem. I każdy człowiek wystarczająco inteligentny, by przewidzieć wojnę w Wietnamie, z pewnością mógł przewidzieć, że chłopak, który siedział okrakiem na Randallu Youngerze i okładał go po twarzy, skończy w kałuży krwi. To, że Randall trafi na uniwersytet, stanowiło część tego samego scenariusza, ale jak się do tego

ma jego rzucenie studiów i powrót do Mohawk? Może to też należy do tego obrazu. Czy gdzieś w jego przeszłości kryły się jakieś wskazówki, a może w życiu matki, ojca albo dziadka, gdyby dobrze poszperać? Może rzucił studia z uwagi na to, co się wydarzyło w zaułku na tyłach baru Harry'ego albo w starym szpitalu imienia Littlera, albo na boisku, gdzie Price trafił go piłką, albo w parku, w którym znalazł swego dziadka, jak zsunął się z ławki na ziemię i patrzył na rysujące się wysoko nad głową czarne gałęzie bezlistnych drzew, gdy drugi mężczyzna, dziadek dziewczyny, się oddalił? I czego chciał od tej dziewczyny? Z pewnością nie miłości, chociaż zależało mu na niej. I nie zmysłowej rozkoszy, chociaż lubił się z nią kochać. Nie podziwu, chociaż podobało mu się jej pojmowanie rzeczywistości.

Na dworze była czarna noc, wiał łagodny wietrzyk, którego nie czuło się w przyczepie. Randall usiadł na pustaku służącym jako stopień. Ostrożnie zrobił skręta i zapalił go, pomarańczowy punkcik przybliżał się do jego ust. Nie wiedział, dlaczego się nie przestraszył, kiedy tuż obok rozległ się czyjś głos. Zupełnie, jakby od dawna spodziewał się go usłyszeć.

- Mather Grouse - powiedział ktoś.

42

Czy zauważyłaś - spytała Anna Grouse swą matkę - ile czasu w naszych codziennych rozmowach poświęcamy dżdżownicom?

- Jeśli nie jesteś w nastroju, moja droga, możemy w ogóle nie rozmawiać.

- Chodzi mi o to, że już roztrząsałyśmy ten temat. Nie możesz wytepić dżdżownic, nie niszczyć trawy. Musisz zatruć glebę.

- Przede wszystkim nie rozumiem, dlaczego w ogóle się tutaj pojawiły - powiedziała pani Grouse. - Musiały mieć jakiś powód.

- Boże!

- Słucham?

- Ciągłe rozmawiamy o dżdżownicach. Są i już, mamó. Czy nie możemy tego tak zostawić? Nie wyrządzają szkody - prawdę mówiąc, wpływają dobroczynnie na stan trawnika - i prawdopodobnie były tu od zawsze. Wcześniej po prostu ich nie zauważałaś. Poza tym mieliśmy deszczowe lato. Są poważniejsze zmartwienia, gdybyś tylko chciała im poświęcić trochę uwagi.

- Randall obiecał, że pomaluje dom - powiedziała pani Grouse. Zanurzała torebkę herbaty we wrzątku i wyciągała ją z niego, jakby bawiła się jo-jo. W końcu, kiedy napar uzyskał właściwą moc, odłożyła torebkę na spodeczek. Wsypała dwie czubate łyżeczki cukru i przysunęła cukiernicę córce, która piła czarną kawę. - Jest do twojej dyspozycji - powiedziała.

To wszystko, na co potrafiła się zdobyć jej matka, jeśli chodzi o poczucie humoru. Starsza pani zaczynała żartować akurat wtedy, kiedy Anna była zupełnie poważna.

- Nie mam na myśli malowania domu, mamo. To najmniejsze z naszych zmartwień.

Niestety, temat remontu domu należał do zakazanych. Pani Grouse, uczyniwszy ze swojego męża świętego, rzadko była w nastroju, by dopuszczać do siebie bluźniercze sugestie, że z domem dzieje się coś złego. „Mather zostawił go w idealnym stanie” - lubiła powtarzać swojej siostrze.

Było typowe, że Anna i jej matka nigdy nie martwiły się tym samym. Dach zaczął przeciekać, zamokła izolacja na strychu i tapeta w rogach pokoju Anny się odbarwiła, ale pani Grouse myślała wyłącznie o dżdżownicach. Każdego ranka schodziła do piwnicy, niemal się spodziewając ujrzeć wyrwę w betonowej posadzce i dżdżownice wychodzące przez szczeliny w ścianach. Tymczasem woda deszczowa była czysta - przychodziła z nieba - i pani Grouse ani na moment nie dopuszczała do siebie myśli, że może być coś nie w porządku z dachem.

- To nie nasze zmartwienia - powiedziała pani Grouse. - Tylko moje. Jeśli kiedykolwiek dom będzie wymagał remontu, ja jestem za niego odpowiedzialna jako właścicielka. Nie mam w zwyczaju zrzucać odpowiedzialności na innych.

Anna potarła skronie.

- Mamo, to nie jest kwestia zrzucania odpowiedzialności. Nowy dach kosztuje tysiące dolarów. Nie mam ich, nie sądzę też, żebyś ty je miała. Ale jeśli szybko czegoś nie zrobimy, dom stanie się bezwartościowy. Nie będziesz mogła myśleć o jego sprzedaży.

- Nie mam najmniejszego zamiaru się go pozbywać. Skąd ci to przyszło do głowy?

- Świetnie - jak zawsze zakończyła Anna rozmowę. Dyskusja z jej matką przypominała próbę wsadzenia kota do worka; zawsze jedna łapa wystawała. - Rób, co chcesz.

- Twój ojciec położył najlepszy dach, jaki tylko można było kupić - powiedziała pani Grouse. - Najlepszy.

- Owszem. Ale było to ponad dziesięć lat temu. Przed burzą śnieżną, która przeszła tej zimy. Zanim drzewo upadło na dach.

- No cóż.

- Przejadę się gdzieś, mamó.

Kiedy się zatrzymała, Dan siedział obok swojego lincolna, który miał otwartą maskę. W jednym ręku trzymał klucz, a w drugim - koktajl.

- Robią te cholerne wozy tak, że inwalidzi mogą je prowadzić, ale nie mogą ich zreperować.

- Nie zmieniaj tematu - powiedziała.

Zmieszał się, ale nie poddawał się łatwo.

- Nawet nie próbuj zaczynać. Prawie udało mi się zniszczyć dwie kobiety w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin i myśl, że nie wykorzystałem okazji do końca, jest niemal nie do zniesienia.

- Mogłeś zadzwonić.

- Zastanawiałem się nad tym. Di to zrobiła?

- Dziś rano. Powiedziała, że Milly nie grozi niebezpieczeństwo.

- To już drugi raz w tym tygodniu. Wypiszą ją jutro, jak zwykle.

- Szkoda, że nie zadzwoniłeś.

- Ja też żałuję, ale nie możesz na mnie liczyć. Powinnaś o tym wiedzieć.

Anna się uśmiechnęła.

- A jednak mogę. Sam nawet nie wiesz, jak bardzo. - Skinęła głową w kierunku samochodu. - Pomóc ci jakoś?

Przyglądał się jej, zmarszczywszy czoło.

- Nie jesteś odpowiednio ubrana. Nie masz nic zniszczonego? - Wskazał na barek na kółkach, na którym stał kubełek z lodem, butelka whisky, opróżniona w jednej trzeciej, i pełna butelka wody sodowej. - Poczęstuj się.

- Jesteś zawsze świetnie przygotowany.

- Dobra szkocka ściąga tłumy. Przynajmniej ściągała. Przypuszczam, że w dzisiejszych czasach zastąpiła ją marihuana.

- Przeszkadza ci to?

- Nieszczególnie - odparł. Ale próba zachowania beztróskiego nastroju kosztowała go zbyt dużo, by był przekonywający. - Moja druga żona będzie mechanikiem samochodowym - powiedział, rzucając klucz przez ramię. Ten odbił się od silnika i zniknął, grzechocząc głośno, aż upadł na beton pod lincolnem. - Jak twoja matka?

- Wciąż zamartwia się dżdżownicami.

- Zatrucie glebę, to sobie pójdą.

- Nie znoszę się poddawać.

- I źle robisz.
 - Wciąż lubię twoje cenne rady.
- Wzniósł szklaneczkę i stuknęli się.
- Bardzo ci dziękuję.

Anna rozłożyła składane krzeselko. Siedzieli razem, nie odzywając się do siebie. Nagle Dan zaczął płakać. Bezgłośnie, łzy płynęły mu po policzkach, chociaż wyraz jego twarzy się nie zmienił. Kiedy zaczęła mówić, podniósł rękę i po kilku chwilach udało mu się uspokoić. Nie otarł ślądów łez.

- Chcesz usłyszeć coś pocieszającego? - spytał. - Znów zacząłem śnić. Po raz pierwszy od lat. Zawsze mam dwadzieścia trzy lata albo coś koło tego, jestem wyjątkowym wprost okazem zdrowia. Mieszkam w pobliżu plaży, wszystkie dziewczyny z sąsiedztwa mają wielkie piersi i opalają się nago. Moją żoną jest Diana. Nie Diana dwudziestotrzyletnia, tylko czterdziestoczworoletnia. We śnie wszyscy mnie pytają, jak to się stało, że poślubiłem starą kobietę. Nigdy nie wiem, co im odpowiedzieć. Trochę się bawię z dziewczynami z sąsiedztwa, a potem, kiedy zaczyna być interesująco, czuję, jak ogarnia mnie paraliż, i nagle nie mogę się ruszyć. Budzę się zlany potem.

Kiedy Anna nic nie powiedziała, dopił swego drinka i spojrzął na nią.

- Tylko nie zaczynaj wszystkiego od nowa.
- Dobrze - obiecała.
- Zresztą - powiedział - za drugim razem poślubię swoją rówieśnicę. Moja żona będzie miała dwadzieścia trzy lata. I wielkie cycki.
- A miałam nadzieję, że...
- Za nic w świecie. Jesteś dla mnie za stara.

Zanim odjechała, Anna wyciągnęła spod samochodu klucz, pomagając sobie kijem od szczotki, a Dan znów zaczął przeklinać wóz z typowym dla siebie poczuciem humoru. Upił się i kiedy Diana wróciła do domu ze szpitala, musiała położyć go do łóżka, żeby mógł znowu śnić, że jest młody i zdrowy.

43

Gracze wstali od stolika, kiedy Dallas i Benny D. mieli już dobrze w czubie i byli niezłe splukani.

- Jezu, nie mogę znieść tego pieprzonego Johna - powiedział Benny D.

kiedy znaleźli się na Main Street. Było jeszcze stosunkowo wcześnie, za ledwie parę minut po pierwszej. Obaj mężczyźni byli wstawieni, ale nie zalani w trupa. - Chodźmy gdzieś.

- Nie.

- Chodźmy - nalegał Benny D.

- Nie - sprzeciwił się Dallas i obaj powlekli się razem Main Street w stronę baru Harry'ego.

Bar był zamknięty, jak wszystkie lokale w centrum miasta. Po południu było gorąco, ale w nocy się ochłodziło.

- Nie mogę znieść tego kutasa - powiedział Benny D. - Nie rozumiem, jak możesz pracować...

- Nie widuję go częściej niż ty. Spotykamy się raz w tygodniu. To wszystko.

- Nie rozumiem, jak możesz u niego pracować i tyle.

- Jutro czeka go zły dzień - oświadczył Dallas.

Zawsze, kiedy miał kłopoty, Dallas zostawiał w książce zakładów jedno czy dwa wolne miejsca, które wypełniał później. Jedyny sposób, by mu się poszczęściło na wyścigach, to poczekać do końca gonitwy i dopiero wtedy wpisać zakład, zazwyczaj na nazwisko Benny'ego D. albo kogoś, kto będzie go krył w razie, gdyby mu się powinęła noga. Ale nawet ten sposób okazał się zawodny. Parę tygodni temu Dallas ledwie zdążył wpisać nieoficjalnego zwycięzcę do książki, kiedy wszczęto dochodzenie i skończyło się dyskwalifikacją łobuza. Trzeba jednak uczciwie przyznać, że Dallas nieczęsto uciekał się do tej metody. W ciągu kilku ostatnich miesięcy wiele razy uratował Johnowi tyłek, zresztą John miał forsy jak lodu.

- Mam nadzieję, że czeka go cholernie zły dzień - mruknął Benny D.

- Co byś powiedział na to, żeby znów pracować u mnie?

- Nie potrafisz nie wtykać nosa w nie swoje sprawy. Tak jak ci to powtarzałem tysiące razy.

- To mój warsztat, ty zakuta pało. Nie wolno mi interesować się tym, co się dzieje w moim własnym warsztacie?

- Nie. Tylko wszystko psujesz.

- Moi mechanicy odpowiadają przede mną - upierał się Benny D., wyraźnie rozdrażniony.

- I dlatego nie jestem już twoim mechanikiem.

- Wolisz pracować u takiego kutafona, jak John...

- John jest w porządku.

- ...niż u swojego kumpla.

- Idę do domu.
- Chodź, napijemy się - zaproponował Benny D.
- Mam już dosyć.
- Ja też. No to co?
- Dobra, ale tylko jednego drinka. Wybierzmy się do The Velvet

Pussycat.

Benny D. zmarszczył czoło.

- Nie lubię tej mordowni. Nie znam tam nikogo.
- Wobec tego weźmy ze sobą trochę pieniędzy - powiedział Dallas.

Skręcili w alejkę na tyłach baru Harry'ego. Sypialnia Saundersów była na piętrze, zasnana twarz Harry'ego ukazała się w oknie kilka sekund po tym, jak Dallas zaczął rzucać kamykami w szybę.

- Harry! - krzyknął cicho Dallas.
- Czego? - Harry splunął na ziemię.
- Pożycz mi pięćdziesiątkę do jutra.
- Idź do diabła. - Twarz Harry'ego zniknęła, zasłonka opadła.
- Olał nas - oświadczył Benny D. - Wrócił do łóżka.

- Nie - powiedział Dallas i oparł się o pojemnik na śmieci. - Poszedł po pieniądze.

- Chrzanisz. Wrócił do łóżka.
- Założę się z tobą o pięćdziesiąt dolarów.

Benny D. zmarszczył czoło i spojrzął na ciemne okno. W alejce było cicho.

- Przegrałeś. Już mocno chrapie.

Okno otworzyło się, skrzypiąc, i kiedy mężczyźni zadarli głowy, zobaczyli lecące z góry banknoty - pięć dziesiątek, z których trzy złapali w powietrzu. Benny D. wszedł do pojemnika na śmieci, gdzie wpadły dwa banknoty. Wręczył Dallasowi trzy dziesiątki.

- Pozostałe dwadzieścia dam ci jutro. Ty kupuj drinki. Nienawidzę tego Velvet Pussycat.

Właśnie wtedy w alejkę skręcił Szalony Bill, szedł w ich kierunku i przyglądał się swoim nogom, całkowicie pochłonięty odkryciem, że bez najmniejszego wysiłku zdolne są do tak skomplikowanej czynności, jak chodzenie. Czterdziestoletni Bill, o rok młodszy od Dallasa, wyglądał na pięćdziesięciokilkuletniego mężczyznę. Był łysy, nie licząc pasa długich włosów, rosnących kilka centymetrów nad uszami, całkowicie je zasłaniających i opadających na kołnierzyk koszuli. Policzki miał zapadnięte, podobnie jak oczy. Szalony Bill, nie rozglądając się, skręcił w prawo i wsadził do zamka klucz, który Harry przyczepił mu do paska. Otworzył

drzwi i Dallas z Bennym D. znów zostali sami w alejce.

- Ciekaw jestem, gdzie, u diabła, łązi o tej porze, po nocy - powiedział Dallas.

- Gdybym miał gospodarstwo, trzymałbym swoje cielaki pod kluczem. Słyszałem, że już w ogóle przestał się odzywać.

- Harry mówi, że od trzech miesięcy nie powiedział ani słowa.

- To już lepsze od tych bzdur, które wygadywał. Od tego „no chyba”.

Pamiętasz?

Kiedy dotarli do The Velvet Pussycat, zabawa trwała tam na dobre. Wraz z nadejściem godziny, po której sprzedaż alkoholu była zabroniona, barman przestawał podawać napoje wysokowe tym, którzy mieli dosyć, ale polewał tym, którzy jeszcze chcieli się napić. Właściciela kilka razy wzywano do sądu za podawanie alkoholu w porze, kiedy obowiązuje zakaz handlu nim, i nawet zapłacił grzywnę w wysokości dwustu dolarów. Gdyby nie to, że między drugą a piątą lekko zarabiał pięćset dolców, prawdopodobnie zrezygnowałby z łamania prawa. Miejscowy zespół grał tak, że szyby w oknach drżały. Wokalista miał włosy do ramion. Benny D. spojrział na niego spođe łba.

- Przeklęta buda.

Dallas też jeszcze nigdy tu nie był. I chociaż myślał, że zna wszystkich w Mohawk, zobaczył tutaj masę nieznamomych. John zdążył przyjść przed nimi. Tańczył z jakąś kobietą, która nie była jego żoną. Pomachał Dallasowi i Benny'emu D.

- O ile chcesz się założyć, że nawet nam nie postawi drinka? - spytał Benny D.

- Okropny z niego dusigrosz - przyznał Dallas.

- Jak oceniasz, na ile nas dzisiaj naciągnął?

- Jutro za wszystko zapłaci. Szczęście się od niego odwróciło, chociaż jeszcze o tym nie wie.

- To dla mnie żadna pociecha - oświadczył markotny Benny D. Zamówił szkocką dla siebie i Dallasa, a także dla Johna i jego panienki.

- Mam nadzieję, że nie będziesz próbował go zawstydzić - powiedział Dallas. - To adwokat, a my mamy tylko pięćdziesiąt dolców.

- Jest dobry?

Dallas zaczął opowiadać, jak kilka miesięcy temu John go wybronił za jazdę po pijaku, ale Benny D. nie słuchał. Młoda kelnerka podeszła do baru i wyrzucała cząstki limetek, ogonki po wiśniach w likierze i mokre serwetki koktajlowe do małego kubelka na śmieci, stojącego na podłodze.

Była bez stanika i za każdym razem, kiedy się pochylała, Benny D. też się schylał. Nie żeby naprawdę musiał. Dallas, chociaż siedział dalej, wszystko świetnie widział ze swojego miejsca. Urwał opowieść. Kiedy dziewczyna odeszła, Benny D. odwrócił się do niego.

- Co to za jedna?

- Czyjaś córka.

- Mmmm. Wyrosła z niej niezła cizia. Popilnuj mojego miejsca. Muszę się odlać.

Kiedy zespół przestał grać, John podszedł do baru i kupił drinka.

- Przypomnij mi, żebyś od czasu do czasu wziął cię na zakupy - powiedział, przesuwając palcem wskazującym pod kołnierzykiem koszuli Dallasa. - Co z tobą i Bennym D.?

- O co ci chodzi?

- O nic - odparł John.

- Jak to o nic?

John wzruszył ramionami.

- Często wygrywa i tyle.

- Zna się na koniach.

- Nikt się nie zna na koniach - powiedział John.

- Racja, ty się nie znasz - zgodził się Dallas. - Ratuję ci tyłek trzy, cztery razy w tygodniu. Kiedy o tym pomyślę, zaczynam mieć tego dosyć.

John podniósł rękę.

- Nie żołądkuj się. Ale to zabawne, że twój kumpel ciągle wygrywa.

- Nie chcę tego słuchać.

- Jeśli nadal będzie mu tak dopisywało szczęście, będziemy musieli się rozstać.

- Odchodzę.

- Nie żołądkuj się, to zwykła rozmowa.

- Odwal się.

Benny D. wrócił z męskiej toalety i spojrzał na kontuar.

- Nie mów mi, że ten sztywniak postawił ci drinka - powiedział.

- Nie lubię cię, Benny - oświadczył prawnik.

- Złamałeś mi serce - odparł Benny D. - Bardzo ładna koszula. Dlaczego rozpięta?

- Uspokój swojego kumpla - zwrócił się John do Dallasa. - I nie zadawaj się z nim.

- Dzięki za drinka - powiedział Dallas. - Nie widziałeś gdzieś mojej bratowej?

- Ostatnio nie - odparł John. - Choruje jej dzieciak czy coś tam.

- Poproszę jeszcze jednego drinka - zwrócił się Benny D. do barmana. - Stawia ten pan z owłosioną klatką piersiową i węzem w kieszeni.

- Nie lubię cię, Benny - powtórzył John.

- Co dolega dzieciakowi?

- Nie wiem. Białaczka czy coś w tym rodzaju.

Kiedy prawnik podniósł szklaneczkę, Dallas uderzył go i w następnej chwili John wyglądał, jakby ktoś przejechał mu po twarzy pędzlem zaurzonym w czerwonej farbie. Jeden duży kawałek szkła wbił mu się w górną wargę, tuż pod nosem. Zachwiał się, ale nie upadł, tylko odsunął Dallasa na bok, by móc się przejrzeć w lustrze nad barem. Zaledwie kilka osób zauważyło cały incydent.

- Jezu - wymamrotał John, dotykając kawałka szkła, tkwiącego w górnej wardze. Zadarł brodę, by móc lepiej widzieć krew ściekającą po szyi na rozpiętą koszulę.

- Pozwól - powiedział Benny D. i wyciągnął mu odłamek szkła.

- Auuu! - krzyknął John.

- Lepiej? - Benny wręczył mu plik serwetek koktajlowych.

Barman z przerażeniem gapił się na Johna.

- Jesteś świadkiem - powiedział John.

Kilka innych osób, znajdujących się w pobliżu, już odwróciło się plecami.

- Jasne - odrzekł mężczyzna. - Co się stało?

- Lepiej spływajmy - zaproponował Benny D., kiedy John zniknął w męskiej toalecie. - Jest tam telefon.

- I tak muszę się z kimś zobaczyć - oświadczył Dallas. Żałował, że nie zaczął, aż John odstawi szklaneczkę, zanim go uderzył, ale teraz już nic nie można było na to poradzić.

- Nie możesz tam pójść o trzeciej nad ranem - zauważył Benny D., kiedy się znaleźli na parkingu.

- Przejdziemy tamtędy - powiedział Dallas.

Zrobili tak, ale w domku nie świeciło się światło, a na podjeździe nie stał samochód Loraine.

- Lepiej zostań dziś ze mną - zaproponował Benny D. - Prawdopodobnie będziesz miał gości.

- Kto by się tym przejmował?

- Ty się będziesz przejmował. Rano.

- Sam się o to prosił.

- Rano zadzwonimy do mojego adwokata.

- Nie.

- „Nie, nie”. Ty dupku, masz kłopoty.

- Kogo to obchodzi?

U Benny'ego D. Dallas położył się na kanapie. Benny D. krążył po pokoju w samych kalesonkach i drapał się w głowę.

- Co byś powiedział na to, żeby znów u mnie pracować? Będę się trzymał z daleka od warsztatu.

- Dobra - zgodził się Dallas. - Czemu nie?

44

Mather Grouse - powiedział głos w ciemnościach i na moment Randallowi Youngerowi zapało dech w piersiach. Księżyc był w kwadrze, słabo oświetlał ziemię, a głos rozległ się tak blisko, był tak wyraźny, że w pierwszej chwili Randall pomyślał, że sam to powiedział, a nie mężczyzna siedzący na oponie kilka kroków od niego. Ale potem papieros rozżarzył się i przygasł, jak światła lokomotywy gdzieś w oddali.

- Nie - poprawił go Randall.

- Wiem - odezwał się potężny mężczyzna. - Wiem, jak się nazywasz, Randallu Younger. Wiem również, kim jesteś. Młodym Matherem Youngerem, ot, kim.

- Już kiedyś mi to pan powiedział - przypomniał mu Randall.

Rzucił peta i zgasił go butem w wilgotnej ziemi. Rory Gaffney poruszył ręką, w której trzymał papierosa, zostawiając w powietrzu czerwono-biały ślad.

- Młody Mather Grouse.

- Dziadek bał się pana - powiedział niespodziewanie dla siebie samego Randall.

- Zupełnie niepotrzebnie - odparł Rory Gaffney. - Nie ma powodu, żeby przyjaciel bał się przyjaciela.

Zabrzmiało to za bardzo jak pytanie, by mogło być prawdą. A jednak Randall wiedział, że nie może to też być całkowite kłamstwo. Wstał.

- Mój dziadek nie był pana przyjacielem.

- Nie - przyznał Rory Gaffney, jakby nie było w jego stwierdzeniach żadnej sprzeczności. - Matherowie Grouse'owie nie mają przyjaciół. Nie potrafią się bić, nie potrafią rozmawiać, nie potrafią przelecieć dziewczyny. Nie i już.

To prawda, pomyślał Randall, ale nie dlatego, że nie chcemy. Dlatego, że myślami zawsze uciekamy od bójk i pieprzenia do pytania o siebie

- co ze mną, czy potrafię ze sobą żyć, czy zniosę, co ludzie zobaczą, czy zniosę, co sam ujrzę. Jego dziadek z całą pewnością zadawał sobie te pytania. Wszyscy Matherowie Grouse'owie to odczuwali; ten sam perwersyjny niepokój sumienia, który tamtego dnia zmusił Randalla do pójścia do starego szpitala. Troska o Szalonego Billa Gaffneya pojawiła się później, kiedy już wszyscy mu zaczęli mówić, dlaczego to zrobił, a on im uwierzył. Był nieustraszony, bezinteresowny, powiedzieli, ani przez chwilę nie podejrzewali, że w rzeczywistości to właśnie strach zmusił go do pójścia tam, gdzie cegły leciały na głowę. Strach, że ktoś zobaczy, że stał z boku i nic nie zrobił.

Uśmiechnął się teraz do swoich wyrzutów sumienia, ale wtedy wyglądało to tak, jakby cała scena została specjalnie zaaranżowana jako sprawdzian dla Randalla Youngera. Reszta ludzi liczyła się tylko jako tło. Nikt poza nim nie miał obowiązku wejść do sypiącego się budynku, setki osób, które go burzyły, nie były wystawione na próbę. Randall nie przejmował się tymi statystami, ale za wszelką cenę pragnął ukryć przed nimi, że należy do tego tchórzliwego towarzystwa. Uważał, że ze wszystkich ludzi na świecie tylko jego dziadek domyśliłby się prawdy, a kiedy się nie domyślił, Randall zwątpił w słuszność własnych wniosków. Może to nie był strach. Może ludzie mówili prawdę. Przez lata zastanawiał się nad tą ewentualnością, póki nie usłyszał w mroku głosu mówiącego „Mather Grouse” i nie ujrzał papierosa, żarzącego się czerwono na tle czarnego nieba.

Wzrok mu przywykł do ciemności i widział teraz wszystko wyraźnie. Mężczyzna trzymał na kolanach prawie pustą butelkę whisky.

- Nie miał powodu do obaw.
- To dlaczego się bał?

Papieros zatoczył wielki łuk w kierunku drzew, a Rory Gaffney pociągnął łyk z butelki.

- Tobie i mojej wnuczce dobrze razem?
- Zmienia pan temat.
- Młode dziewczyny dzisiaj nigdy nie odmawiają - zadumał się Rory Gaffney. - Twojemu dziadkowi nie dawałoby to spokoju. Należał do tego typu ludzi. Tak samo, jak skóra, którą zabieraliśmy. Uważał to za kradzież. Nigdy nie udało nam się go przekonać, żeby się tym nie przejmował.

Do Randalla powoli docierało to, co mówił mężczyzna. Wróciłem, żeby właśnie to usłyszeć, myślał machinalnie, jakby przyglądał się sobie z boku, jak się tego dowiaduje. Nagle mu się odbiło i poczuł w ustach nieprzyjemny smak. Zapamiętaj ten smak, powiedział sobie, naucz się go.

- Nie - usłyszał swój głos. - Mój dziadek nie był złodziejem. Prędeż by umarł z głodu.

Rory Gaffney pokiwał głową.

- Tak, zagłodziłby się na śmierć. Wszyscy byśmy pozdychali z głodu, gdyby od czasu do czasu nie ginęła skóra. I nie tylko my. Razem z nami nasze żony i dzieci. Ostatecznie byliśmy głowami rodzin. Kim był twój dziadek?

Randall z trudem przełknął ślinę, żeby nie splunąć pod nogi, ale wciąż czuł niesmak w ustach.

- Nikt nie był bardziej oddany rodzinie od Mathera Grouse'a. Nikt w Mohawk nie był wystarczająco dobry dla twojej matki. Mój biedny chłopak kochał się w niej, jak wszyscy w mieście.

W tonie głosu mężczyzny słychać było złość, Randall się domyślił, że Rory Gaffney też czuje jakiś przykry smak, kiedy grzebie w poźółkiej przeszłości.

- Spytaj któregoś dnia swoją matkę o mojego biednego chłopaka.

Z przyczepy dobiegł płacz dziecka i zaraz ucichł, potem obaj mężczyźni słuchali cykania świerszczy.

- Rozumiałem twojego dziadka. Mężczyzna ma lekkiego bzika na punkcie swoich dzieci, szczególnie kiedy chodzi o córkę, a do tego najpiękniejszą pod słońcem. Któż nie chciałby mieć jej dla siebie?

Randall chciał coś powiedzieć, ale nie mógł wykrztusić ani słowa.

- Tak czy inaczej, jakoś się z tym pogodziłem. Zawsze chciałem zostać przyjacielem Mathera Grouse'a, chociaż on nie chciał się z nikim przyjaźnić. To były ciężkie czasy, ale jakoś sobie wszyscy radziliśmy.

Randall słuchał nieszczerých zwierzeń mężczyzny, ale wiedział również, że najbardziej przekonywające są te kłamstwa, które zawierają część prawdy. Kłamstwo może się składać w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach z prawdy i w jednym procencie z fałszu - ten jeden procent fałszu mieszał się z prawdą tak długo, aż wszystko stawało się zbrukane, bardziej kłamliwe niż czyste kłamstwo.

- Jesteś taki sam - dokończył mężczyzna. - Młody Mather Grouse. - Rory Gaffney z trudem wstał z opony ciężarówky, na której siedział.

Był o pół głowy wyższy od Randalla i wyglądało, jakby o tym wiedział, chociaż chłopak musiał przyznać, że może tylko on zdaje sobie z tego sprawę.

- Nie - powiedział Randall, niezupełnie pewien, czemu zaprzecza. Gaffney uniósł butelkę.

- Za twojego dziadka - powiedział. - I za młodość.

Kiedy mężczyzna zaproponował mu, żeby się napił, Randall wziął butelkę i pociągnął z niej, nie ocierając ust. Whisky miała tylko odrobinę lepszy smak od tego, który chciał nią zmyć. Potem, kiedy zajeżdżający naftą plyn dotarł do jego wnętrzości, Randallowi przyszła do głowy dziwna myśl. Mógłbym pójść na wojnę, stwierdził. Mógłbym zabić człowieka.

45

W sobotnie wieczory, po zamknięciu barów, większą popularnością od The Velvet Pussycat cieszy się jedynie nowe Centrum Usług Medycznych w Mohawk, chociaż generalnie trzeba przyznać, że nowemu szpitalowi brak tej atmosfery, którą miał stary, gdzie na zatłoczonych korytarzach pokieraszowane towarzystwo czuło się jakoś pewniej. Jeśli ktoś wrócił do domu na paluszkach sześć godzin później niż zwykle, i żona na powitanie rzuciła w niego krzesłem, istniało duże prawdopodobieństwo, że człowiek natknie się w kolejce na kogoś, kogo spotkało coś bardzo podobnego albo przynajmniej równie interesującego. W starym szpitalu panowała jakaś przytulna atmosfera. Można było porównywać doznane obrażenia i czuć dumę lub cieszyć się, że człowiek miał szczęście.

W nowym szpitalu recepcja przypominała hol w nowoczesnym hotelu, a dywan tłumił odgłosy kroków. Nie można było podsłuchać żadnych ciekawych opowieści, bo personel natychmiast prowadził poszkodowanych do sterylnych izolatek, otaczających recepcję, jakby szpital wstydził się swych pacjentów. Podczas projektowania budynku ktoś doszedł do całkowicie błędnego wniosku, że ludzie wolą cierpieć w samotności. Od samego początku nikt nie lubił nowego szpitala. Ludziom nie przeszkadzało specjalnie to, że przy jego budowie przekroczono budżet ani że światło przygasало i mrugało podczas burz. Prawdę mówiąc, generalnie było tu za widno. Ściany jasne, meble jasne, obrazy jaskrawe. Pacjentów zabierano, zanim człowiek się zorientował, co im się stało, jakie popełnili głupstwo. Kilku mieszkańców, zakochanych w starym, porośniętym bluszczem szpitalu imienia Nathana Littlera, nie ukrywało, że woleliby wykrwawić się na śmierć niż dać się zszyć w nowym szpitalu. Jeden z nich, wierny swym przekonaniom, zmarł w ramionach trzydziestoletniej żony; jej rolę w tej sprawie roztrząsano później podczas publicznej rozprawy.

Nowy szpital nie stanowił też żadnego wyzwania. Stary, wzniesiony na szczycie Hospital Hill, wymagał wykazania się. Podczas złej pogody pokonanie pochyłości było sprawdzianem zaangażowania, a czasem odwagi. Ludzie wciąż wspominali rok, kiedy to Homer Wells kilka razy próbował dotrzeć na górę i prawie mu się to udało. Zafascynowani obserwowali go z okien domów. Pochylił się do przodu, jakby opierał się wiatrowi wiejącemu mu prosto w twarz, i uparcie się wspinał, nie zniechęcając się zdradliwymi odcinkami, pokrytymi lodem. Tamtego dnia nie można było podjechać na górę samochodem. Może poczucie zwycięstwa, kiedy znalazł się na szczycie, sprawiło, że Homer na chwilę się zdekoncentrował i stracił równowagę na oblodzonym chodniku. Nim znalazł się na dole, nabrał takiego rozpędu, że przeleciał przez zaspę śnieżną prosto na jezdnię. Tutaj napotkał na swej drodze ciężarówkę Bronson Dairy. Jej kierowca wspominał później, że widok starego Homera na masce stanowił największe zaskoczenie w jego dotychczasowym życiu. Był winien Homerowi pieniądze i w pierwszej chwili pomyślał, widząc nos przyjaciela rozpląszczony na przedniej szybie, że Homer zgłosił się po dług. Jak na ironię, właśnie to wydarzenie spowodowało przyśpieszenie dokończenia budowy nowego szpitala. To była ostatnia rzecz, jakiej pragnąłby Homer.

Dziś w Centrum Medycznym w Mohawk panuje duży ruch, chociaż tego nie widać. Potężny mężczyzna góruje nad biurkiem rejestratorki, po obu jego bokach stoją równie postawne kobiety. Przyznaje, że złapał trypra i chce wiedzieć, od kogo, od żony czy od przyjaciółki.

- Lepiej, żeby to była jedna z nas, głupi kutasie - ostrzega go większa z kobiet.

Diana Wood szykuje się na trzecim piętrze do powrotu do domu. Jej matka śpi spokojnie i nie ma powodu, by ona zostawała z nią do rana, chociaż często tak robi, drzemiąc na jednym z krzeseł o prostych oparciach. Na szpitalnym korytarzu siedzi tylko jedna osoba, trzydziestokilkuletnia kobieta. Odwróciła się twarzą do ściany, dotyka czołem do zimnego muru, ręce zwisają jej bezwładnie wzdłuż tułowia. Diana nie widzi twarzy kobiety, ale z jej postawy bije taka rozpacz, że Di czuje zażenowanie, że pojawiła się tu tak niespodziewanie. Ponieważ podłogi są wyłożone dywanem i nie ma sposobu, by obwieścić swoją obecność, Diana dochodzi do wniosku, że najlepiej będzie cicho minąć kobietę. Jednak następstwa takiego czynu są zbyt poważne, by je zignorować, i Diana podnosi wzrok, zrównując się z kobietą, która się nie rusza. Do najbliższych drzwi przyczepiona jest kartka z nazwiskiem YOUNGER.

Diana się zatrzymuje. W końcu kobieta się wyprostowała, ale zanim się odwróciła, wpatrywała się jakiś czas w pustą białą ścianę. Nie wygląda na bardzo zaskoczoną, widząc kogoś stojącego tuż obok. Z jej oczu można raczej wyczytać, że już nic nie jest w stanie jej zadziwić.

- Nie chciałąbym przeszkadzać... - mówi Diana. - Plotę głupstwa. Naturalnie, że przeszkodziłam...

- Wcale nie - mówi wymijająco kobieta.

- Chodzi o to, że mój mąż i ja przyjaźniliśmy się kiedyś z Dallasem Youngerem. Zobaczyłam nazwisko na drzwiach i...

- Dallas jest moim szwagrem.

- Pomyślałam, że może się ożenił - wyjaśnia Diana - i o niczym nie słyszeliśmy.

- Nie. Przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo. Dawno go nie widziałam.

- Bardzo mi przykro...

- Nic dla mnie nie znaczy - mówi kobieta.

- Chodzi mi o... - Diana wskazuje głową w stronę drzwi.

- Och - kobieta jest zmieszana, podenerwowana. - Moja córka. Jest dla mnie wszystkim. Tak to bywa w życiu, prawda?

- Na pewno wyzdrowieje - mówi Diana.

W oczach kobiety pojawia się coś jakby błysk nadziei, jakby w stanie przemęczenia na chwilę uwierzyła, że ta obca kobieta jest jasnowidzem. Ale nadzieja szybko znika.

- Bardzo pani miła - mówi głucho.

„Wiem, co to znaczy stracić kogoś” - ma ochotę powiedzieć jej Diana. Ale żadnej z nich nic z tego nie przyjdzie. Na dole w holu musi czekać, aż trzy potężne osoby przejdą przez podwójne drzwi.

- Jesteś zadowolony, ty głupi kutasie? - mówi jedna z kobiet.

Dianę nagle ogarnia ślepy, irracjonalny gniew. Przez całe swoje życie nigdy nie odezwała się nie pytana, ale teraz nie może się powstrzymać.

- Proszę się nie wyrażać - mówi. - Nie są państwo sami na świecie. Stanowicie jego zakałę!

Cała trójka znieruchomiła. Diana mija nieznanym, czując swoją małość i niepozorność.

- Królowna - mówi większa z kobiet, kiedy Diana nie może już jej usłyszeć, i cała trójka wybucha śmiechem.

Kiedy zostało mu niespełna dwa tygodnie do emerytury, Gaffney po raz pierwszy zaczął się zastanawiać, czy uda mu się odejść z pracy. Od jakiegoś czasu miewał dziwne sny. Ostatnio śniło mu się, że padł ofiarą strzelaniny przed Mohawk Bank and Trust. Stał na samym środku skrzyżowania Four Corners, kierując ruchem, kiedy rabusie wybiegli z banku. We wszystkich kierunkach zapaliło się zielone światło. Gdy wyciągnął rewolwer, zaczęły go mijać rozpędzone samochody, o mały włos nie potracając go i nie zderzając się ze sobą. Rabusie ukryli się za marmurowymi lwami przed bankiem i otworzyli ogień. Nie mieli kłopotów z wycelowaniem w Gaffneya, ale za każdym razem, kiedy on strzelał, kula trafiała w jeden z przejeżdżających samochodów, a następnie odbijała się w środku pojazdu jak piłeczka pingpongowa albo moneta w cynowej puszcze. Udało mu się jedynie odstrzelić nos jednemu z marmurowych lwów, pyszniącemu się zmierzwioną grzywą i trochę przypominającemu Gaffneyowi jego brata. Kiedy go trafili, nie czuł bólu, ale bał się śmierci i było mu wstyd, że pozwolił uciec rabusiom. Obudził się z płaczem i bał się iść do pracy, ale poszedł. Strach nie opuścił go przez cały dzień, nawet podczas przerwy na kawę, kiedy wpadł do Harry'ego. W drodze do domu kupił butelkę whisky.

Policjant mieszkał w małym mieszkanku na piętrze, z widokiem na kościół prezbiteriański po drugiej stronie ulicy. Nocą dzwonnica zawsze była iluminowana, mocne światło wpadało przez okno do pokoju Gaffneya i nie dawało policjantowi spać. Mógł zaciągnąć story, ale nigdy tego nie robił.

Po północy, opróżniwszy butelkę do połowy, poszedł do garderoby, gdzie na kołku powiesił kaburę z bronią. Wrócił do pokoju z rewolwerem. Chociaż był dopiero trzeci lipca, już od paru wieczorów w sąsiedztwie puszczano fajerwerki. Gdzieś w dole ulicy wybuchła petarda, usłyszał śmiech dzieciaków. Prawdopodobnie śmiały się z niego. Wszyscy wiedzieli, gdzie mieszka. Podszedł do okna i zaczął się wpatrywać w ciemność i oświetloną dzwonicę po drugiej stronie ulicy. Przypomniał sobie swój sen z ostatniej nocy. Rewolwer ciążył mu w dłoni. Już dawno nie czyścił broni, więc wyjął naboje, które głośno wysypały się na stolik okolicznościowy. Potem oczyścił rewolwer, naoliwił go i ponownie naładował. Sprawiał mu przyjemność odgłos, jaki wydawały pociski umieszczane w bębenku. Kule pasowały do broni. Broń pasowała do ręki. Ręka?

Do czego pasuje ręka? Mężczyzna? Do czego pasuje mężczyzna? Mężczyzna powinien do czegoś pasować. Do rodziny? Chyba nie musi mieszkać samotnie naprzeciwko oświetlonej dzwonnicy. Dom jego brata jest za duży dla jednej osoby. Kiedy on przejdzie na emeryturę, może zaproponować bratu...

Na ulicy rozległ się kolejny głośny wybuch. Whisky gładko przechodziła Gaffneyowi przez gardło. Zgasił światło, a potem podszedł do okna i podniósł roletę. Wypalił cztery razy, usłyszał cztery głośne wystrzały, po ostatnim rozległ się brzęk szkła i zapanowała ciemność.

- Dobrze - powiedział.

Było późno, w oknach okolicznych domów nie zapaliło się światło. Jego gospodyni, mieszkająca na dole, była stara i głucha. Wypił wszystko, zostawił w butelce tylko jeden łyk. Właśnie popełniłem przestępstwo, pomyślał. Ostrzelałem dzwonicę. Nie ogarnął go wstyd, a co więcej - czuł się bezkarny. Jego brat miał rację, robiąc to, co mu się podobało. Jakie to proste. Rory nigdy nie czuł się zagubiony. Nigdy nie znalazł się na środku skrzyżowania, na którym wysiadła sygnalizacja świetlna i samochody śmigają ze wszystkich stron.

W tej chwili jego brat jest prawdopodobnie w przyczepie z dziewczyną, chyba że uprzedził go chłopak Youngerów. Gaffney uświadomił sobie, że kocha swego brata i jest dumny z jego wyczynów. Nie licząc jednego wyjątku, nie przypominał sobie, by Rory kiedykolwiek zrobił coś, czego on by nie aprobował. Niezbyt podobało mu się, kiedy wyobraził sobie Rory'ego z dziewczyną, ale właściwie i tak nie zwracała na swego stryja policjanta najmniejszej uwagi. Nie należał do mężczyzn, na których dziewczyny lecą, chociaż nigdy dokładnie nie wiedział dlaczego. Innym mężczyznom, podobnym do niego, jakoś się udało, przynajmniej na tyle, by poślubić skromną dziewczynę. Kiedy był młodszy, wyobrażał sobie, że sam fakt, iż jest policjantem, stanowi gwarancję, że zdobędzie jakąś dziewczynę, ale się przeliczył, a teraz był już za stary, żeby sobie tym zaprzętać głowę. Wystarczało mu, jak patrzył na dziewczynę u Harry'ego, a od czasu do czasu podglądał ją w przyczepie.

Lubił, kiedy była sama, ale teraz wprowadził się do niej Younger. Jeszcze będą z nim kłopoty, zawsze były z nim kłopoty. Wczoraj wieczorem Gaffney ponownie ostrzegł swojego brata, ale Rory jak zwykle nie przywiązywał wagi do jego słów.

- Younger! - parsknął. - Myślisz, że przejmowałbym się Youngerem? Ten chłopak to Grouse. Ostatni z Grouse'ów. Kiedy na niego patrzę, widzę jego dziadka.

- Jeśli jest Grouse'em, tym bardziej zostaw go w spokoju - powiedział policjant. - Poza tym mogę się nim zająć. Pozwól, żebym się nim zajął.

Jego brat jedynie się skrzywił, słysząc tę propozycję.

- Ty! - parsknął znowu.

Fakt, że jego brat nim gardzi, wydawał się policjantowi czymś całkowicie nie do zniesienia. Leżał w łóżku i długo o tym myślał, a potem o dziewczynie, i nie minęło dużo czasu, a zaczął płakać. Nie wiedział, o której godzinie usnął.

Kiedy się obudził, było widno. Nie musiał otwierać oczu, by wiedzieć, że przed chwilą ktoś był w pokoju. Wszystko wyglądało, jak ostatniej nocy, co go jeszcze utwierdziło w tym przekonaniu. Wszystko wyglądało dokładnie tak samo. Jakby ktoś wziął każdy przedmiot, a potem z największą uwagą odłożył go w to samo miejsce. Nawet butelka whisky stała dokładnie na wilgotnym brązowym kółku. Dwie muchy przysiadły na szyjce butelki. Odpędził je i wypił ostatni łyk. Zobaczył, że w salonie jest otwarte okno, i wtedy nie miał już ani cienia wątpliwości.

W drodze do Harry'ego wstąpił do sklepu monopolowego i kupił nową butelkę. Odpieczętował ją, nim dotarł do baru. W środku siedzieli wszyscy stali goście, spojrzeli na niego, kiedy wszedł. Nie przeszkadzało mu to. Nie odezwał się do nich ani słowem, do Harry'ego i jego żony też, nawet do dziewczyny. Kiedy Harry postawił przed nim jajka, policjant gapił się na nie przez dłuższą chwilę, nim odsunął talerz na bok. Gdy otworzyły się drzwi do kuchni, zobaczył Szalonego Billa, w skupieniu wstawiającego naczynia do zmywarki, i Randalla Youngera w jednej z jasnych siatek na włosy żony Harry'ego. Chłopak siekał natkę pietruszki i kroił cytrynę na cząstki. Kiedy policjant podszedł do kasy, by zapłacić za nietknięte śniadanie, wszyscy wciąż się na niego gapili.

- Gaff? - odezwał się ktoś.

Na dworze słońce było oślepiające. Gaffney pojechał w kierunku Myrtle Park, ale nie wyrobił się na ostrym zakręcie przy wjeździe. Po południu młody policjant znalazł w rowie porzucony samochód. W parku przez cały dzień rozlegały się głośnie eksplozje. Ale było Święto Niepodległości i głośnie eksplozje rozlegały się wszędzie.

W połowie lipca, dwa dni po tym, jak w pracy na miejsce Anny Grouse zatrudniono nowego kierownika kadr, nad miasteczkiem przeszła straszliwa burza. Anna miała wszelkie dane, by przewidzieć oba te wydarzenia.

Nie przypominała sobie lata w Mohawk bez przynajmniej jednej burzy z rodzaju tych, które w dzieciństwie napawały ją okropnym lękiem - nadciągały z zachodu, grzmoty przewalały się nisko i wdzierały w jej sen, modyfikując marzenia senne w taki sposób, by uwzględnić to, co podświadomie notował jej mózg. Takie burze zawsze początkowo były bez opadów, a za to z silnym wiatrem, który zawzięcie walił w szyby i wyginał gałęzie drzew, tak że drapały w okna niczym szpony. Zawsze się budziła i czekała, aż ojciec przyjdzie zamknąć okna, bo kiedy zaczynało padać, deszcz moczył zasłony i zalewał parapety. Chciała, żeby z nią został do czasu, aż skończą się grzmoty i błyskawice, ale zawsze był zajęty obchodzeniem domu. Całował ją lekko w czoło i znikał. W ciemnym pokoju robiło się widno, kiedy błyskawice przesywały powietrze. Zawsze zdarzało się jedno takie uderzenie pioruna, od którego dom trząsał się w posadach. Leżała w ciemnościach, zasłaniając oczy rękami, i czekała, aż piorun strzeli gdzieś blisko. Zawsze poprzedzał go syk błyskawicy, jakby tuż nad głową, potem następował okropny trzask, który - wyobrażała sobie - musiał mieć początek w jej mózgu. Nikt nigdy nie wiedział, bo nigdy nikomu nie powiedziała, jak bardzo boi się burz.

Dallas, który w ogóle niczego nie rozumiał, tego też nie potrafił pojąć, i zabawnie naśladował to, co się działo za oknem ich sypialni, sycząc i poszturchując ją w bok palcem. Przynajmniej robił to do dnia, kiedy uderzyła go w twarz otwartą dłonią, na tyle mocno, by spadł z łóżka i odechciało mu się żartów i amorów. Burze sprawiały, że Dallas stawał się kochliwy.

Anna specjalnie się nie zdziwiła, że ją zwolniono z pracy. Podobnie jak burza, przez całe lato nadciągało to wolno, ale nieuchronnie. Znowu zaproponowano jej, by się przenieśli, ale prawie bez zastanowienia odrzuciła ofertę. Sklep radził sobie dość dobrze, jak na warunki lokalne, ale dla biura okręgowego to było za mało. Wiedziała, że w końcu sklep zostanie zamknięty, jak już wcześniej pozamykano tyle innych. Te przysiosie umierały wolniejszą śmiercią niż detaliści w centrum, ale prędzej czy później umierały. Powiedziała o tym tylko Randallowi, który zmarszczył czoło i spytał, co teraz zamierza robić.

- Nie wiem - powiedziała. - Wspomniałam o tym tylko dlatego, żebyś wiedział, że w razie, gdybyś postanowił kontynuować studia, nie będę ci mogła dużo pomóc.

- Wątpię, bym szybko wrócił na uczelnię - odparł Randall.

- Rozumiem cię - powiedziała Anna. - Skoro zapewniłeś sobie wspólną karierę pomywacza w barze Mohawk, jaki by to miało sens?

Po przyjeździe syna wiosną do Mohawk Anna odkryła, że mają sobie jeszcze mniej nawzajem do powiedzenia niż dawniej. Zaczęła rozumieć postawę swego ojca, kiedy ona wróciła do miasteczka kilka lat temu. Nie wątpiła, że Randall ma swoje powody, by tak postępować, ale wątpiła, czy są one wystarczająco ważne albo czy kiedykolwiek takimi się okażą. Ostatecznie jak nikt znała się na słusznych powodach, które w końcu okazywały się nie takie istotne. Może jej ojciec był taki sam. Z całą pewnością rozumiał, jak ślepo przywiązani potrafią być ludzie do swych błędów. Tak czy inaczej, jeśli we wszechświecie istniała jakaś czytelna logika wydarzeń, najwyraźniej powtarzały się one cyklicznie. Dlatego Anna obiecała sobie, że nie będzie się złościła. W przeszłości wszelkie wysiłki, by zmusić los do zrobienia tego, na co nie miał ochoty, na ogół okazywały się daremne. Tydzień temu wpadła na ulicy na Dallasa. Powiedział jej, że Randall mieszka z jakąś dziewczyną.

- Uważasz, że powinnam coś zrobić? - spytała.

- Mogłabyś z nim porozmawiać.

- To samo mógłby zrobić jego ojciec, zakładając, że chciałby.

- Ona jest mężatką.

- Na to również nie mogę nic poradzić.

Jednak mimo wszystko trochę się zdenerwowała. Kiedy na niego patrzyła, widziała chłopca, a nie mężczyznę. Rozmowa to może nie był taki najgorszy pomysł, ale pozostawało faktem, że w gruncie rzeczy nie chciała nic wiedzieć o dziewczynie, jej mężu ani paskudnych szczegółach, które w jakiś sposób czyniły wszystko zrozumiałym. Nie była pewna, czy chce to zrozumieć. Prawdopodobnie jej ojciec czuł się tak samo, i nagle Annie przyszło do głowy, że - traktując rzecz całą obiektywnie - zauważyć można stopniowy upadek obyczajów. Każde kolejne pokolenie rezygnuje z niektórych norm etycznych.

Było po północy, kiedy gałęzie pod oknem jej sypialni zaczęły wydrapywać swoją pilną wiadomość na framugach. A więc, pomyślała, to będzie dzisiaj. Poniżej żółta plama światła odbijała się od sąsiedniego

domu, co oznaczało, że jej matka również nie śpi, gotowa do przetrwania burzy z posepną determinacją, jak tyłu wcześniejszych, bo mocno wierzyła w skuteczność biernego oporu. Burze przemijały, jak ból i rozczarowanie, jak ciężkie czasy. Nie taka zła filozofia. Dobrze byłoby sobie ją przyswoić.

Zamknawszy oczy, śledziła nadsięganie burzy. Widziła błyskawice bez względu na to, jak mocno zacisnęła powieki. W miarę jak zbliżało się dudnienie, gałęzie drzew waliły coraz uporczywiej. Przy odrobinie szczęścia burza mogłaby przejść bokiem, ale Anna w to nie wierzyła. Niech już lunie deszcz, wtedy wszystko będzie dobrze. Suche wyładowania elektryczne zostaną wtłoczone głęboko w ziemię. Ale najpierw musi zacząć padać, po całym tym zawrodozeniu wiatru i waleniu piorunów. Bogowie musieli zadecydować, by ponownie ich oczyścić. Zbyt długo mieli gęsią skórę. Jeszcze raz ich oczyśćmy. Pozwólmy, by bez obawy się nawzajem dotykali.

Nawet mając zamknięte oczy, Anna wyczuła subtelną zmianę w domu, a kiedy je otworzyła, plama żółtego światła na sąsiednim budynku zniknęła. Podobnie jak świecące cyferki na zegarze stojącym koło łóżka. W pokoju panowała cisza. Anna wstała z łóżka i podeszła do okna salonu, spodziewając się, że niczego nie zobaczy, że cała ulica pogrążona będzie w ciemnościach, ale światło paliło się w pokoju u Millerów po drugiej stronie ulicy i na piętrze dwa domy dalej.

Zakłęła i włożyła szlafrok. Na dole zastała matkę siedzącą na skraj kanapy. Wyglądała przez okno na pustą ulicę. Zygzak błyskawicy sprawił, że staruszka znieruchomiała na swoim miejscu, nie zareagowała, kiedy weszła jej córka z latarką. Na ulicy wiatr porывał wszystko, co nie tkwiło mocno korzeniami w ziemi; miotał leżakiem, niosąc go coraz dalej.

- Mamo, pójde na strych, żeby wymienić bezpiecznik.
- Dobrze, moja droga - powiedziała obojętnie pani Grouse.
- Słyszałaś mnie?

Starsza pani odwróciła się i spojrziała na nią niewidzącymi oczami.

- Dokąd idę?

Pani Grouse zamruęła powiekami.

- Na strych. Żeby wymienić bezpiecznik.

Pani Grouse się uśmiechnęła i znów zaczęła wyglądać przez okno na ulicę.

Na schodach na strych Anna przekreśliła kontakt, a kiedy nie zapaliło się światło, głośno przekleła własną głupotę. Weszła po wąskich stopniach, przyświecając sobie latarką. W blasku błyskawicy ujrziała szafkę z

bezpiecznikami pod okapem w drugim końcu strychu, obok jedyne go okienka, w które wiatr walił jak oszalały.

- Nigdy tego nie dotykaj - ostrzegł ją ojciec, kiedy miała osiem lat.

Zastał ją kiedyś na strychu, jak szperała w kufrach ze starymi ubra-
niami. - Nigdy tego nie dotykaj.

Naturalnie minęło trochę czasu, nim się doczekała bliższych wyjaś-
nień.

Kiedy była starsza, powiedział jej, że samo dotknięcie czarnej szafki
nikogo nie zabije, ale podkreślił, że trzeba zachować szczególną ostroż-
ność podczas wymiany bezpieczników.

- W takim razie dlaczego mi wtedy to powiedziałaś? - chciała wie-
dzieć. Dlaczego pozwolił jej myśleć, że śmierć czai się tak blisko, wy-
starczy wejść po schodach na górę?

- Lepiej się bać niektórych rzeczy.

- Ale dlaczego?

- Ponieważ mają moc niszczycielską.

- Nie znoszę się bać - powiedziała. - Ta szafka śniła mi się po no-
cach.

- Koszmary senne jeszcze nigdy nikogo nie zabiły - oświadczył sta-
nowczo. - Gdyby ci się nie śniła czarna szafka, co innego przesładowa-
łoby cię w snach.

Pod szafką była mała, pognieciona torebka papierowa z bezpieczni-
kami. Anna wyjęła jeden - był zimny, niemal wilgotny, kiedy go trzymała
w palcach. Otworzyła drzwiczki szafki z bezpiecznikami i poświeciła
latarką na podwójny szereg przełączników o miedzianych ząbkach; każ-
dy miał własny, plastikowy uchwyt. Główny bezpiecznik był osmalony.

Anna rozłączyła obwód i przed wykręceniem bezpiecznika stuknęła w
niego palcem. Wiedziała, że kiedy miedziany obwód jest przerwany, nie
grozi jej żadne niebezpieczeństwo; ale jej strach był zbyt mocno za-
korzeniony, by mogła z nim konkurować wiedza. Na dworze burza nagle
ucichła. Anna wsadziła nowy bezpiecznik w pusty otwór. Bezpečnik
wkręcił się niemal za łatwo, ponownie sprawdziła, czy tkwi mocno na
swoim miejscu. Teraz pozostało jedynie przekręcenie wyłącznika. Znow
poświeciła latarką w skrzynce, żeby na pewno złapać za plastikowy
uchwyt. Kiedy pociągnęła go do dołu, rozległ się syk i nagle na strychu
zrobiło się widno jak w dzień. Huk grzmotu, który nastąpił w chwilę
później, zagłuszył okrzyk wściekłości i strachu Anny. Dokładnie w tym
samym momencie, kiedy to, co tkwiło w niej, stało się częścią otaczającej
ją rzeczywistości, po raz pierwszy w życiu uświadomiła sobie, jak bardzo
nienawidziła swojego ojca.

Proszę - powiedziała B. G. Z sąsiedniego pokoju dobiegł płacz dziecka, jakby wiedziało, że nadciąga burza. W gwałtownych podmuchach wiatru przyczepa chwiała się i podrygiwała niczym pusta puszka aluminiowa.

- To nie potrwa długo. Obiecuję. - Randall rozchylił zasłonki, by wyrzecz na dwór. Kiedy starszy pan pozostawał w domu, światła w oknie były widoczne poprzez drzewa, ale teraz Randall Younger nie widział nic poza ciemnościami i odbiciem swojej własnej, ściągniętej twarzy.

- Powiedz mi, o czym rozmawialiście - poprosiła, kiedy się odwrócił. Utkwiła w nim wzrok, oczy zrobiły jej się małe ze strachu.

- Co?

- Obudziłam się. Słyszałam, że rozmawialiście.

- Wspominaliśmy mojego dziadka, jeśli już musisz wiedzieć.

- Nie wierzę ci.

Spoglądali na siebie gniewnie.

Randall zawsze pierwszy odwracał wzrok.

- Wrócę za kilka godzin.

- Nie kłam.

- Dlaczego miałbym cię zostawić?

- Powiedz mi, o czym rozmawiałeś z nim. - Ostatnie słowo zabrzmiało niemal jak splunięcie.

- O moim dziadku.

Odwróciła wzrok. Dziecko głośniejsz zakwiliło w sąsiednim pomieszczeniu. Randall spojrział na zegarek. Czas na niego, już podjął decyzję.

- Słuchaj - powiedział. - Gdybym miał cię zostawić, czy prosiłbym, żebyś mi pożyczyła wóz?

Rzeczywiście musiała przyznać, że nie miałyby to sensu. Trochę się uspokoiła. Mało brakowało, a mąż ulotniłby się z jej samochodem. Randall raczej by jej zostawił auto jako formę przeprosin.

- Zostań - poprosiła ostatni raz.

- Musisz mnie zwolnić na tę noc - powiedział. - Mam interes do załatwienia.

- Z nim.

- Tak. Owszem. Zgadza się.

- Nie powiem ci dlaczego, ale chcę, żebyś wiedział, że go nienawidzę.

- To dobrze - oświadczył. - Ja też.

Wycofał się volkswagenem i wyjechał na asfalt. Radiowóz policyjny stał zaparkowany kawalek dalej. Kiedy Randall go minął, włączyły się reflektory i samochód ruszył gwałtownie. Na skrzyżowaniu Randall się zatrzymał, a samochód policyjny podjechał tak blisko, że nie widział w tylnym lusterku odbicia jego reflektorów. Randall czekał na krótki sygnał i miganie syreny, ale nic takiego nie nastąpiło. Kiedy ruszył, radiowóz pojechał za nim, jakby był na holu. Nawet gdy Randall przyspieszył, dotrzymywał mu tempa, jadąc nie dalej niż metr za nim.

Gdy Randall dotarł do autostrady, zjechał na pobocze. Radiowóz też się zatrzymał. Randall wyłączył silnik, opuścił szybę i czekał. Radio w samochodzie policyjnym trzeszczało i skrzeczało. W końcu otworzyły się drzwiczki i wysiadł Gaffney. Przyszło mu to z pewnym trudem. Nawet w lusterku wstecznym Randall widział, że policjant nie jest w mundurze, tylko po cywilnemu, ale przy pasie ma czarny rewolwer. I nawet w lusterku wstecznym widział, że policjant jest pijany.

Gaffney oparł się obydwiema rękami o dach volkswagena, niemal jakby ktoś mu kazał to zrobić. Przez dłuższą chwilę się nie odzywał, tylko oddychał ciężko.

- Czego? - spytał w końcu Randall.
- Przekaż mu wiadomość.
- Pańskiemu bratu?
- Nie. Jemu. Wiesz komu.
- Nie wiem.
- Zrób to - polecił policjant. - Powiedz mu, żeby się trzymał z daleka ode mnie. Zastrzelę go jak psa.

Oczy policjanta były przekrwione i rozbiegane.

- Dobra. Jasne.
- Nie chcę go widzieć w swoim mieszkaniu. Nie ma tam czego szukać. Nie pozwolę, żeby grzebał w moich rzeczach.
- Powtórzę mu to.
- I powiedz mu... - Policjant urwał, broda na chwilę mu opadła. - Powiedz mu, żeby trzymał się z daleka. Wiem, jak to robi. Słyszę jego głos za ścianą. Powiedz mu, że go zdemaskowałem.

Randall obiecał, że to robi.

- Przez całą noc... - powiedział Gaffney - ...przez całą noc nie zmrzyłem oka. Słuchałem tego „no chyba”. - Wyjął rewolwer i pokazał go Randallowi. - Strzelę przez ścianę. Następnym razem... tam, gdzie usłyszę głos... pif-paf. Nie będzie więcej „no chyba”.

- Postaram się, żeby to zrozumiał.

Gaffney schował broń i wyprostował się. Randall nie widział jego twarzy.

- Był już martwy. Mury się waliły. Dlaczego nie mogłeś go zostawić w spokoju?

Rory Gaffney czekał w furgonetce na końcu ulicy.

- Spóźniłeś się - zauważył, kiedy Randall zatrzymał się obok.

- Natknąłem się na niespodziewane przeszkody.

- Odkąd to cipka stanowi przeszkodę? - spytał starzec. - Jedź zaraz za mną. Musimy załadować towar, zanim zacznie się burza.

Skęcili w uliczkę jednokierunkową. Kiedy furgonetka dojechała do miejsca, gdzie kończył się asfalt, zwolniła, ale jechała dalej wyboistą drogą, wijącą się wśród drzew. Ta część miasta była Randallowi całkowicie nieznana. Przejechali wąski mostek na Cayuga Creek i zatrzymali się obok domku w pobliżu torów kolejowych. W oddali na tle nocnego nieba majaczyła garbarnia Tuckera. Wiatr był teraz tak silny, że kilka małych drzewek zamiatało ziemię najwyższymi gałęziami. Kiedy Rory Gaffney wysiadł z furgonetki, wiatr rozwał mu włosy, tak że przypominały zwichrzoną, siwą grzywę.

- Wiele razy twój dziadek i ja przejeżdżaliśmy razem nocą przez te tory, ładowaliśmy towar. Te łobuzy nigdy nas nie podejrzewały. Nie swoich najlepszych ludzi.

- Zapomina pan o jednym - powiedział Randall. - Nie wierzę w ani jedno słowo, więc po co pan sobie strzępi język?

- Mówię coś okropnego, prawda? Ale to wcale nie kłamstwo. Właśnie tak mogło być. Mogliśmy zostać przyjaciółmi, on i ja. Chciałem tego. Wcale tak bardzo się nie różniliśmy. Było w nim tylko coś takiego, co mu nie pozwalało tego zrobić. Gdyby nie to, byłby jednym z największych grzeszników na tej ziemi.

W środku baraku stała prasa i kilka długich stołów, na których piętrzyły się stosy skór. Okna zamalowano na czarno, zasłony zaciągnięto, żeby światło z gołej żarówki, wiszącej pod sufitem, nie było widoczne z zewnątrz.

- Wiesz, jak dojechać do White Plains, nie korzystając z autostrady?

Randall powiedział, że tak, i obaj mężczyźni zaczęli załadowywać furgonetkę. Świeżo wygarbowane skóry miały ten sam ostry, niemal zniewalający zapach, który zawsze kojarzył mu się z dziadkiem. Był najsilniejszy, kiedy Mather Grouse wracał do domu pod koniec dnia, ale nigdy całkowicie go nie opuszczał. Chociaż obaj mężczyźni pracowali szybko,

metodycznie, a Rory Gaffney mimo wieku nie zdradzał oznak zmęczenia, załadowanie furgonetki zajęło im prawie pół godziny. Z niektórych skór były już wykrojone rękawiczki, te znajdowały się w pudełkach. Były tu również kurtki i płaszcze, brakowało im jedynie podszewki i guzików. Na innych skórkach tylko wyrysowano wykroje. Kiedy skończyli, Rory Gaffney dał mu kluczyki od furgonetki.

- Bądź ostrożny - ostrzegł go. - Wóz właściwie nie należy do mnie. Odprawdę garbusa - powiedział, wyciągając rękę po kluczyki.

Randall dał mu je.

- Dziś wieczorem zatrzymał mnie pański brat.

Na te słowa starzec podniósł głowę.

- Co?

- W drodze tutaj. Dlatego się spóźniłem.

- Czego chciał?

- Chciał mi tylko powiedzieć, że słyszy za ścianą czyjś głos. Chce pan wiedzieć czyj?

- Zajmę się nim. Ty jedź. Tylko ostrożnie. Dasz się teraz zatrzymać, a nie będziesz się już musiał przejmować powołaniem do wojska.

- Nie przejmuję się.

- Ach - powiedział Rory. - Naturalnie lubisz się ukrywać.

49

Kiedy piorun uderzył w to, co kiedyś było budynkiem szpitala w Montgomery, dwie przecznice od baru, w oknach kilku domów przy Main Street pękły szyby. Harry Saunders, pod wpływem nalegań żony, wstał, by sprawdzić, czy wszystko w porządku. Zresztą Harry i tak nie spał. Uruchomienie The Grotto było kosztowne, a nie widać, żeby inwestycja zaczynała się spłacać.

- Wrócił już? - pyta żona Harry'ego, kiedy mąż znów się pojawił w sypialni.

- Nie.

- Zaglądałeś do jego pokoju?

- Nie musiałem. Jeszcze nie wrócił.

- Nie powinieneś mu pozwalać wychodzić.

- Jak go mam zatrzymać? Zamykać go w pokoju na klucz?

- Nie zrobiliby nic, czego byś mu zabronił.

- Nie mam serca. Nie chcę, żeby się czuł jak w więzieniu. Już siedział za kratkami.

- Może sobie ściągnąć na głowę jakieś kłopoty.

- Nie.

- Skąd ta pewność?

- Bo wiem, dokąd chodzi.

Włosy jego żony są płomiennorude.

- W takim razie dokąd? Dokąd chodzi?

50

Na przedmieściach, przy Kings Road, huk pioruna nie był tak głośny, chociaż szyby w oknach domu Woodów zadzwoniły. Tylko stara Milly potrafiła przesypiać burze. Dan i Diana nawet nie zgasili światła w sypialni.

- Nie mogę zapomnieć jej twarzy - odezwała się Diana. - Gdyby malarz potrafił uchwycić ten wyraz... Nigdy w życiu nie widziałam czegoś takiego. Ten jeden raz cieszyłam się, że nie mamy dzieci.

Dan nic nie powiedział.

- Przepraszam - zreflektowała się po chwili. - Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało.

- Wiem, co masz na myśli.

- Ta biedna dziewczyna sprawiła, że poczułam się jakoś dziwnie.

Dan spojrzał na nią, tak drobną w nocnej bieliźnie, tak przypominającą z wyglądu matkę.

- To znaczy?

- Nie wiem, czy potrafię to wyjaśnić. Żałujemy drobiazgów, które nam nie wyszły w życiu, ale nie wielkich rzeczy. Widok tej kobiety uświadomił mi, że nigdy ci nie powiedziałam, jak bardzo mi przykro... z powodu tego wszystkiego.

- Tak to powiedziałaś, jakbyś to ty wtedy prowadziła samochód.

- Wiele o tym rozmyślałam. Chyba mi przykro z powodu matki i tego, jak teraz wyglądają sprawy. Może tego, że nie okazałam się taką kobietą, jaką chciałbyś, żebym była.

- Jesteś idealną żoną.

W sypialni zrobiło się widniej i Diana zaczęła na grzmot, nim się odezwała.

- Potrzebowałeś kogoś, kto sprawiłby, że leciałbyś jak wiatr.
- Do tego w zupełności wystarczy mi twoja matka - oświadczył.

51

Jazda z Mohawk do White Plains zajęłaby prawie cztery godziny, gdyby Randall Younger w ogóle miał zamiar tam dotrzeć. Ale wiedział, że się tam nie wybierze, jeszcze zanim powtórnie przejechał wąski mostek i minawszy drzewa, znalazł się na jednokierunkowej uliczce. Policyjny radiowóz, zaparkowany w głębi, był prawie zupełnie niewidoczny między drzewami. Nikt, kto by się za nim nie rozglądał, nie zauważyłby go. Ale Randall Younger wypatrywał go i wcale się nie zdziwił, kiedy w jego reflektorach pojawiło się coś niebieskiego. Trudno powiedzieć, czy Rory Gaffney zobaczył samochód policji, kiedy wyłonił się spośród drzew w volkswagenie. Randall przypuszczał, że nie, ponieważ Rory włączył reflektory, kiedy garbus przejechał jakieś pięćdziesiąt metrów ulicą. Oczywiście nigdy nie można było wykluczyć ewentualności, że Rory Gaffney nie musiał widzieć radiowozu, że bracia zastawili na Randalla pułapkę, chociaż w to wątpił. Aresztowanie Randalla w sytuacji, kiedy mógłby natychmiast wskazać człowieka, który go wynajął, wydawało się pozbawione najmniejszego sensu. Jednak nie rozumiał, co jest grane. Nie spuszczał oka z lusterka bocznego, czekając, aż radiowóz ruszy. Dopiero po przejechaniu trzech przecznic gdzieś z tyłu na ciemnej uliczce dojrzał reflektory, ale z tej odległości Randall nie miał pewności, czy to samochód policyjny. Skręcając na skrzyżowaniu, próbował rozpoznać, co to za wóz, ale wciąż znajdował się zbyt daleko. Mignęła mu biała twarz Rory'ego Gaffneya za szybą volkswagena. Swoim potężnym cielskiem tak wypełniał wnętrze małego samochodu, że biała wielka ręka wystawała za opuszczoną szybą okna od strony kierowcy.

Volkswagen trzymał się blisko za furgonetką aż do szosy, gdzie oba pojazdy zatrzymały się na światłach. To tutaj godzinę wcześniej policjant stanął za volkswagenem. Randall wpatrywał się w lusterko boczne, ale nie widział za sobą żadnych reflektorów. Kiedy zapaliło się zielone światło, furgonetka skręciła w prawo, a volkswagen w lewo, w stronę miasta. Randall jechał znacznie wolniej, niż wynosiła prędkość maksymalna, i kiedy tylne światła garbusa przypominały czerwone, diamentowe punkciki, zjechał na pobocze i zatrzymał się. Z tyłu na skrzyżowaniu samochód

policyjny zwolnił na czerwonym świetle, a potem skręcił w szosę, w tym samym kierunku co volkswagen. Randall policzył do dziesięciu i zawrócił. Pozwolił, żeby go minęło kilka samochodów, bojąc się, że na następnym skrzyżowaniu spotkają się na czerwonym świetle: volkswagen, radiowóz i furgonetka. Jednak kiedy tam dotarł, nie było ani śladu garbusa i samochodu policyjnego.

Przy wjeździe do Myrtle Park Randall skręcił pod górę, na strome wzniesienie. Reflektory oświetlały las na każdym wirażu, dwa razy ujrzał w nich oczy zwierząt, które wydawały się zawieszane wysoko w powietrzu. Na samym szczycie zбочzył z utwardzonej drogi i ostrożnie zjechał w alejkę prowadzącą do przecinki znajdującej się nad Mohawk. Chmury zdawały się płynąć tuż nad głową, powietrze naładowane było elektrycznością.

Randall wyłączył silnik i uchylił szybę od strony pasażera, by wpuścić trochę świeżego powietrza. Zdjął rękawice robocze, które miał na rękach, kiedy ładował towar, ale uważał, żeby niczego nie dotknąć. W furgonetce będą jedynie odciski palców Rory'ego Gaffneya. Stąd, gdzie siedział, mógł obserwować błyskawice uderzające w miasto ze wszystkich stron. Gałęzie drapały boki furgonetki, a podmuchy wiatru wzniewały tumany kurzu. Skupisko świateł w dole oznaczało Main Street; traktując to jako punkt odniesienia, Randall mógł dość dokładnie określić, gdzie jest dom jego dziadka. Jedno z tysięcy świateł w dole należało do okna sypialni jego matki. Nigdy mu nie powiedziała, że panicznie się boi burz, to była jedna z tych rzeczy, które po prostu wiedział - tak jak wiedział od lat, że jest zakochana w mężczyźnie przykutym do wózka inwalidzkiego, mężu swej kuzynki. O takich rzeczach nigdy nie rozmawiali. Nie tak dawno rozważał, czyją zapytać o Mathera Grouse'a. Gdyby działali wspólnie, może udałoby im się dopasować wszystkie elementy układanki: jaką moc posiadał Rory Gaffney nad jego dziadkiem, dlaczego zostali takimi wrogami, jaką rolę w tym wszystkim odgrywał Szalony Bill. Rory Gaffney zaproponował mu, by zapytał ją o „jego biednego chłopaka”, i może właśnie dlatego Randall tego nie zrobił, pewien, że Gaffney nie podsunąłby mu takiej myśli, gdyby jego matka cokolwiek wiedziała. Nie wyobrażał sobie, jak mógłby poruszyć z nią ten temat. Twój ojciec, mój dziadek... czy to, co pamiętam, to prawda? Czy rzeczywiście był bardziej niezłomny od innych? Czy wierzył w to, co głosił, czy też było to tylko czeze gadanie?

„Zgłosiłbym to sędziemu” - pamiętał, jak Mather Grouse powiedział to Price'owi, który uśmiechnął się pobłaźliwie. Nawet jako chłopiec

Randall wiedział, że pomysł jego dziadka jest naiwny, że aby taka metoda była skuteczna, każdy gracz musiałby mieć swojego własnego sędziego, a przy tym sędziowie powinni się różnić od ludzi, których oceniali. Ale podziwiał swojego dziadka, jego niezłomność i prawość. Lecz, koniec końców, podejrzewał, że Mather Grouse nie ufa sędziom bardziej niż Price. Randall trochę wierzył w to, co mu powiedział Rory Gaffney, lecz nie miał wątpliwości, że Mather Grouse wiedział być może wszystko, co powinien wiedzieć o swoim prześladowcy, a jednak nie zrobił nic. Randall niechętnie myślał, że powodem tego był zwykły strach. Bardziej prawdopodobne, że Mather Grouse uświadamiał sobie konieczność życia w takim świecie, jaki go otaczał. Randall pamiętał radę swego dziadka, dotyczącą Billy'ego Gaffneya, jako chłopiec czuł się rozczarowany zbyt łatwą konkluzją Mathera, że dla nieszczęśliwca nic nie można zrobić. Jak dziwnie to zabrzmiało w ustach człowieka, który utrzymywał, że polega na sędziach!

Nagle zrobiło się widno jak w dzień i grzmot zatrzęsł furgonetką, a po chwili znowu zapanowały ciemności. Randall spojrzął na zegarek. Nie powinien zbyt długo zwlekać. Rory Gaffney nie spodziewał się go z powrotem aż do rana i prawdopodobnie był już w łóżku. Randall postanowił jednak poczekać, aż przejdzie burza. Gdyby pioruny obudziły mężczyznę i wyjrząwszy przez okno, zobaczyłby na podjeździe furgonetkę, wszystko by się wydało. Drugim trudnym punktem planu był telefon; Randall musiał skądś zadzwonić. Jeśli po powrocie stwierdzi, że dziewczyna śpi, zadzwoni z przyczepy. W przeciwnym razie zatelefonuje z automatu. Ale prawdopodobnie będzie spała, a aparat stał w pokoju. Może nie był to najlepszy plan, ale przynajmniej nieskomplikowany.

Kiedy lunął deszcz, krople posypały się na furgonetkę niczym grad kamieni, woda spływała po szybach grubą warstwą. Randall włączył wycieraczki, ale niewiele to pomogło. Miasto w dole zniknęło, pochłonięte w całości przez nawałnicę.

Trudno by mu było powiedzieć, jak długo spał, ale nie mogło to trwać dużo dłużej niż pół godziny. Deszcz wciąż padał, lecz już nie tak gwałtownie, i wycieraczki radziły sobie z odgarnianiem wody. Nadal jednak nie było widać Mohawk.

Deszcz padał już od jakiegoś czasu, zanim to do Anny dotarło. Jeśli o nią chodziło, mogło lać od czterdziestu dni i nocy. Ulice mogły się przemienić w rzeki, a rzeki wystąpić z brzegów. Dom jej ojca tak trzeszczał w zacinającym deszczu, że miało się wrażenie, jakby już się unosił na wodzie niczym arka. Tym razem do diabła z dwa na dwa, pomyślała Anna. Tym razem On traktował rzecz całą poważnie.

Latarka leżała tam, gdzie ją rzuciła, w końcu ją podniosła. Pozostać na górze podczas szalejącej burzy było głupotą i nadmiernym pobłażaniem samej sobie. Wstała i przesunęła palcami po włosach, które zrobiły się wilgotne, kiedy wsparła głowę o pochyły dach. Świecąc latarką na belki, stwierdziła, że spora część stropu łśni. Woda płynęła drobnymi strużkami, pod metalową szafką z bezpiecznikami powstała kałuża.

Na dole Anna wytarła włosy ręcznikiem i obserwowała powiększające się zacieki wysoko w rogach, w pobliżu już pomarszczonej tapety na suficie. A więc taki będzie finał jej kłótni z matką. Nawet pani Grouse, umiejscowiona jak nikt unikająca konfrontacji z rzeczywistością, będzie zmuszona pogodzić się z faktami. Nie minie dużo czasu, a u niej też powstaną zacieki i pomarszczy się tapeta. Z czasem starsza pani zrozumie. Z czasem. To był klucz do sukcesu. Trzeźwa ocena rzeczywistości wymagała czasu.

W końcu pani Grouse dorobi do tego całą legendę. W samym środku zimy, podczas wielkiej śnieżnej nawałnicy, ułamała się gałąź wielkiego dębu i uszkodziła idealny dach. Działanie siły wyższej, przed czym nie mógł się zabezpieczyć nawet Mather Grouse. Najlepszą rzeczą, którą mogła Anna zrobić, to zasiać dziś wieczorem ziarno tej legendy, a potem usunąć się na bok i z bezpiecznej odległości obserwować, jak się rozwija. O ile wiedziała, jej matka miała pieniądze. Zawsze oszczędzała każdy grosz, teraz, otrzymując skromną emeryturę po swym mężu, prawdopodobnie nadal żyła z ołówkiem w ręku. No cóż, właśnie nadeszła czarna godzina.

Wróciwszy do łóżka, Anna nastawiła zegar. Żółta plama światła ponownie pojawiła się na sąsiednim domu, co oznaczało, że jej matka jeszcze nie usnęła. Wkrótce nadejdzie rano, Anna będzie mogła poruszyć temat dachu, zaprowadzić matkę na górę i spokojnie rozpatrzyć sytuację. Wciąż padało, ale burza wyraźnie się oddalała.

To oczywiście nieprawda, że go nienawidziła. Ale nie potrafiła go już dłużej podziwiać. Uświadomiła sobie, że na swój sposób też uczyniła z

Mathera Grouse'a świętego. Ona i matka pielęgnowały odmienne wyobrażenia o tym samym człowieku. Dla pani Grouse był on żywicielem rodziny, człowiekiem obowiązkowym, człowiekiem honoru, człowiekiem powściągliwym w okazywaniu swych uczuć. Dla Anny był badaczem, autorem listów, wynalazcą i Bóg wie kim jeszcze. Wszystkie te osoby kryły się pod postacią skromnego krojczego skóry. W jego łagodnych kpinach z niedzielnych kazań księdza widziała słowa prawdziwego bluźniercy, niezrażonego tradycyjnymi chrześcijańskimi przekupstwami, mającymi zjednać szacunek wiernych. Kiedy przychodziły ciężkie czasy, a jej ojciec nie miał pracy, zawsze sobie wyobrażała, że został ukarany za jakiś odważny czyn - może próbę zorganizowania kolegów robotników albo odmowę odejścia od narzuconych sobie zasad postępowania. Ostatecznie jednak Mather Grouse nie był ani potulnym, zdyscyplinowanym perfekcjonistą, jak go widziała matka, ani Prometeuszem, jak go widziała ona. Był po prostu człowiekiem, który pokrył dom najlepszym dachem, na jaki go było stać, a teraz ten dach wymagał remontu. Bał się, widziała strach w jego oczach tamtego popołudnia, kiedy uratowała go przed śmiercią. Prawdopodobnie zawsze uświadamiała sobie jego lęki, niezadowolenie, cierpienie i rozczarowanie, chociaż nie dopuszczała tego do siebie, ponieważ zawsze się łudziła, że to on uratuje ją przed jej własnymi rozterkami.

Ciekawa była, czy jej matka myśli teraz o nim w swojej sypialni na dole. Dziwiło ją, że pani Grouse nie zgasiła światła.

Anna znowu wstała i włożyła szlafrok. We wszystkich pomieszczeniach na dole było ciemno, tylko w sypialni paliło się światło.

- Mamo? - spytała.

Drzwi do salonu były uchylone i chłodny wietrzyk poruszał firankami. Nadal padał deszcz, ale między chmurami pojawił się srebrny księżyc, co wystarczyło, by oświetlić ulicę. Pani Grouse, w cienkiej pododmce i kapciach, stała na najniższym stopniu przed gankiem i dziobała ziemię szpikulcem na długiej ręczce. Na chodniku leżały kawałki darni. To, co robiła staruszka, wywołało jedynie gorączkowe poruszenie u dżdżownic. Wprawdzie niektóre przepołowiła, ale najwyraźniejszym efektem jej działania był wzrost liczby błyszczących glist, wijących się u jej stóp.

- Nie chcę ich tu - odezwała się płaczliwie pani Grouse, kiedy córka ostrożnie zaprowadziła ją z powrotem na ganek. - Nie chcę...

- Wiem, mamo - powiedziała Anna. - Wiem.

Deszcz w dziwny i nieprzewidziany sposób zmienił plany Randalla Youngera. Chłopak ułożył je sobie tego samego wieczoru, kiedy Rory Gaffney zaproponował mu dwieście dolarów za kurs furgonetką. Oferta była niezwykle kusząca, Randall przypuszczał, że właśnie to zrobiłby jego dziadek, gdyby był samotny, nie miał żony ani córki. Ale teraz, kiedy Randall, wnuk Mathera Grouse'a, stał w Myrtle Park na górze, poniżej której rozciągało się niewidoczne teraz Mohawk, nagle mu się wydało, że próba odplacenia Rory'emu Gaffneyowi za zdręczenie jego dziadka jest dziecinadą. Wątpił nawet, czy zasłużyłby sobie na pochwałę Mathera Grouse'a za ten niegodny czyn, wymierzony przeciwko niegodnemu człowiekowi. W gruncie rzeczy sprowadzało się to do robienia tego, co zalecał Price - wykorzystywania własnych butów z kolcami bezwzględnie i skutecznie, aby zawodnicy grali uczciwie - tyle tylko że ta gra skończyła się już dawno temu przegraną, a jeden z rywali nie żył.

Kiedy deszcz przestał padać i zaczęły migotać miejskie latarnie, Randall zawrócił furgonetką na utwardzoną drogę i wyjechał z parku. Był pewien, że mimo późnej pory, jego matka nie śpi. Nie odwiedzał jej, odkąd wprowadził się do dziewczyny. Teraz wiedział, że opuści Mohawk, prawdopodobnie na dobre, najpewniej z samego rana, gdy tylko powie Rory'emu Gaffneyowi, że się nie mylił, jeśli chodzi o wnuka Mathera Grouse'a. Gdyby Randall został tu trochę dłużej, komisji poborowej znudziłoby się wysyłanie listów, a jeśli zaczęliby go szukać, do czego, koniec końców, z pewnością by doszło, szybko by go znaleźli.

Powiedzieć matce, co robi ze swoim życiem, wydawało się rzeczą konieczną, ale nie potrafił się na to zdobyć i wiedział, że matka wcale tego po nim nie oczekuje. Pójście do więzienia trudno nazwać czymś konstruktywnym; wyglądało na to, że jednak nie jest aż takim idealistą. Oczywiście zawsze mógł się zgłosić do komisji poborowej. Jego kolor skóry, inteligencja i umiejętności stwarzały spore szanse, że skończyłby, siedząc i pisząc na maszynie, a nie ściskając w garści M-16. Przeznaczeniem takich ludzi, jak Boyer Burnhoffer, było zginać pewnego ranka osiem tysięcy kilometrów od dającego poczucie bezpieczeństwa cokołu pomnika Nathana Liniera. Takim, jak Randall Younger, dokuczano z uwagi na długie włosy, ale poza tym nic im nie groziło.

Ale nie był również aż takim pragmatykiem. Pozostawała mu Kanada albo jazda gdzieś przed siebie; to drugie uznał za znacznie bardziej

pociągające. Randallowi podobało się, że żyje w wielkim kraju, wystarczająco dużym, by się gdzieś zaszyć, właściwie nie uciekając. Było w nim na tyle dużo z Mathera Grouse'a, by nie pochwałał idei ucieczki. Z drugiej strony, nie istniało prawo, które zmuszało kogokolwiek do posiadania stałego adresu zamieszkania ani nawet adresu do korespondencji. W Mohawk nic już Randalla nie trzymało, przynajmniej nic o tym nie wiedział.

Wprawdzie była dziewczyna, ale nigdy jej niczego nie obiecywał. B.G. nic nie straciła, że go poznała. Trzeba również uczciwie przyznać, że niczego nie zyskała. Wiedziała, teraz, kiedy się nad tym zastanowił, był pewien, że wiedziała, co on zamierza zrobić, zanim jeszcze to zrobił. Wyjeżdżając z miasta, rozczaruje niektórych - Harry'ego i jego żonę, nawet panie, dla których szykował sałatki - ale nikogo nie skrzywdzi. Już sprawił zawód matce, rzucając studia, lecz wątpił, czy jego wyjazd z Mohawk Anna Grouse odbierze jako zdarzenie tragiczne czy chociażby godne ubolewania. Miną miesiące, nim jego ojciec się zorientuje, co się stało. Czy kogoś pominął w swych rozważaniach? Nikogo.

Kiedy przejeżdżał skrzyżowanie Mountain i Fifth, w oknie sypialni jego matki akurat zgasło światło. Burza ucichła, chociaż w rynsztokach nadal płynęły rwące potoki wody. Przez opuszczoną szybę wpadało chłodne, słodko pachnące powietrze, przywodzące na myśl świeżą ziemię. Może uwagę Randalla zwrócił jakiś odgłos, ale akurat kiedy myślał: Czy pominąłem kogoś? Nikogo, kłam temu stwierdzeniu zadała samotna postać na krawężniku po drugiej stronie ulicy, prawie niewidoczna na tle ciemnych drzew. Randall zatrzymał furgonetkę i powiedział: „Wskakuj”.

Szalony Bill zrobił, co mu kazano. Jego zmierzwione włosy były matowe, ubranie ciężkie od wody, a wyraz twarzy świadczył, że Bill właśnie widział niesłychane i cudowne rzeczy, cały aż drżał z przejęcia.

- Podkręć szybę, jeśli ci zimno - zaproponował Randall, ale Szalony Bill tego nie zrobił. Dygocąc gwałtownie, wykręcił szyję i wyjrzał przez okno, żeby jeszcze raz rzucić okiem na dom Mathera Grouse'a, zanim zniknie w oddali.

54

Po spuszczeniu ciężkich nóg z łóżka Rory Gaffney siedział jakiś czas bez ruchu, aż przyczepa przestała się kołysać. Miał na sobie tylko szary podkoszulek. Dziewczyna przykryła swoją nagosc kocem i odwróciła się plecami.

Posłużył się kluczem Randalla, a potem wyrwał łańcuch ze ściany. Dziecko spało, zresztą szamotanina i tak na nic by się nie zdała. Rory Gaffney przez minutę przyglądał się dziewczynie, póki jego uwagi nie zwróciła poświata za oknem. Nastawił uszu, ale nie usłyszał warkotu silnika.

- Nie zachowuj się tak, mała - powiedział. - Znam te twoje dąsy.

Początkowo się nie odzywała, ale kiedy w końcu przemówiła, nie odwróciła się od ściany.

- Wszystko się zmieniło. Mówiłam ci już.

Rory Gaffney włożył krótkie spodnie i rozmięścił w nich wszystko ostrożnie, jakby wkładał ptaszka do gniazda.

- Nic się nie zmieniło. Wszystko pozostało po starym - powiedział, a po chwili dodał: - Dzięki Bogu.

- Nie mów o Bogu. Gdyby istniał, już dawno temu by się z tobą rozprawił.

- I właśnie tu się mylisz. Zostałem stworzony na Jego obraz i podobieństwo, więc nie uważam się za winnego. - Jakby stawiał kropkę nad i, zapiął rozparek i wziął koszulę ze skotłowanej pościeli. - Kto ci dał tę przyczepę, żebyś miała gdzie mieszkać, kiedy chodziłaś z brzuchem jak bęben, nie miałaś męża ani dokąd pójść?

Wsuwając koszulę w spodnie, mężczyzna podszedł do okna i odsunął zasłonkę. Ulewa przemieniła się w kapuśniaczek.

- Zabierze mnie stąd, jeśli go poproszę.

Przekręciła się na bok i spoglądała na Rory'ego. Nie schylając się, wsunęła stopy w skórzane mokasyny.

- Jasne - powiedział. - Szaleje za tobą. Chce się z tobą ożenić. To dlaczego dał mi klucze do przyczepy i powiedział, że mogę ci dotrzymać towarzystwa?

Wyjął klucze z kieszeni spodni i rzucił je dziewczynie.

- Chyba nie myślisz, że wierzę choć w jedno twoje słowo.

- Nie musisz mi wierzyć. Powiedz mu o tym.

- Nie trzeba będzie. Wyczuje twój zapach na prześcieradle.

- To zmień pościel.

- Możemy cię wsadzić do więzienia - powiedziała, ale bez zbytniego przekonania.

- Nie - odparł. - Nie wdarłem się tutaj siłą, a ty się nie opierałaś. Przynajmniej nie więcej niż zwykle. A zresztą kto uwierzy tobie i temu długowłosemu mądrali?

- Znam kogoś, kto uwierzy. Twój rodzony brat. Jest we mnie zakochany, gdybyś o tym nie wiedział. Wszyscy w barze tak mówią.

- Mylisz się - powiedział. - Kocha mnie, stary głupiec. Zawsze mnie kochał. Poza tym ludzie wolą trzymać język za zębami. To zbyt krępujące. Patrzą na takich facetów, jak ja, i widzą siebie. Może nagadaliby na jakiegoś gościa, który obrabował bank, ponieważ nie wyobrażają sobie, by stać ich było na coś takiego. Ale o tym, co właśnie zrobiliśmy, marzą za każdym razem, kiedy widzą taką dziewczynę, jak ty. Jestem jednym z nich, a nikt nie zdradza swoich.

- Nie wszyscy są tacy, jak ty - powiedziała dziewczyna.

- Ale jest nas wystarczająco dużo. - Przesunął palcami po włosach i pochylił się, by się przejrzeć w lustrze. Wychodząc, spojrzął w stronę ciemnego pokoju dziecka.

Dziewczyna usiadła na łóżku.

- Precz - powiedziała. - Może nie jestem w stanie zmusić cię do tego, żebyś tu nie przyłaził, ale do tamtego pokoju nie wejdziesz, chyba że chcesz się któregoś ranka obudzić z poderżniętym gardłem.

- Gdzieś się tak nauczyła mówić? - rzucił przez ramię, uśmiechając się. - Okryj się. Jestem za stary na dwa numerki z rzędu.

Zamknął za sobą drzwi. Deszcz przestał padać, ale wiatr strącał z drzew duże krople dżdżu, spadały na ziemię obok stóp mężczyzny niczym małe granaty. Po burzy powietrze było świeże, Rory Gaffney też czuł się odświeżony. W takie noce, jak ta, dobrze jest żyć. Oczywiście zawsze było dobrze żyć, ale w takie noce potrafił sobie wyobrazić, jak dożywa setki.

Od domu dzieliło go jakieś pięćdziesiąt metrów ścieżką między drzewami. Zostawił światło w kuchni, żeby łatwiej trafić, ale kiedy ruszył przed siebie, coś przemknęło między nim a jasnym oknem.

- Kto to? - spytał Rory Gaffney, lekko wystraszony. - Ach, to ty - powiedział po chwili.

Pierwsza kula trafiła go w ramię. Okręcił się, jakby ktoś go złapał od tyłu. Odzyskał równowagę i spojrzął na rozerwaną koszulę.

- Co... - zaczął i urwał.

Rozległy się dwa głośne wystrzały. Zataczając się, chciał wrócić do przyczepy. Zboczył ze ścieżki, ale się nie zatrzymał, tylko biegł przez gęste zarośla. Gdy docierał do przyczepy, wszystko mu pociemniało przed oczami. Nim jeszcze uderzył twarzą w drzwi i osunął się na pustak, pomyślał, że jednak nie dożyje setki. A kiedy dziewczyna podbiegła do drzwi, które zatarasował swoim wielkim cielskiem, już nie żył.

Randall przejechał obok baru, ale ani na dole, ani na górze nie paliło się światło. Zresztą nie chciał zostawić Szalonego Billa w takim stanie. Randall nie oczekiwał, że Billy coś powie. Już od lat się nie odzywał. Ale skulony w kącie furgonetki, trzęsący się jak psiak, który coś zbroił, wyglądał jeszcze żałośniej niż zwykle.

- Napijemy się kawy - powiedział Randall. - A potem odwiozę cię do domu.

Szalony Bill nie dał po sobie poznać, czy cokolwiek do niego dotarło. Patrzył prosto przed siebie, ale to, co widział, zrodziło się w jego głowie.

Main Street błyszczała w świetle latarni. Choć przestało padać, Randall nie wyłączył wycieraczek, ich monotony ruch działał na niego uspokajająco.

- Jesteś zziębnięty - zauważył.

Powietrze po burzy było czyste, ale nadal ciepłe.

W miarę jak zbliżali się do przedmieść, domu i przyczepy Gaffneya, Szalony Bill coraz silniej dygotał, głowę wtulił w ramiona, ręce splecione niczym do modlitwy położył na kolanach.

- Jesteśmy prawie na miejscu - uspokoił go Randall. - W domu się tobą zajmą.

Jego towarzysz wcale nie wyglądał na pocieszonego i gdyby nie byli tak blisko, Randall by się zatrzymał. Kiedy skręcili na podjazd i coś błysnęło w światłach furgonetki, Szalony Bill zawył ze strachu. Randall nacisnął na hamulec akurat w chwili, kiedy Rory Gaffney tak mocno walnął w bok przyczepy, że aż się cała zatrzęsała. Billem szarpnęło, uderzył głową w szybę. Siedział oszołomiony, dotykając palcem guza, który natychmiast zaczął mu rosnąć nad okiem.

Randall wysiadł z furgonetki. Rory Gaffney mignął mu przed samochodem tak szybko, że go nie poznał. Teraz leżał bez ruchu w pobliżu pustaka służącego jako stopień, tyłem do furgonetki. Drzwi przyczepy były mocno wgniecione, spadły z zawiasów i zaklinowały się. Ze środka dobiegał płacz dziecka, był to jedyny odgłos poza kapaniem wody z drzew. Randall czekał, aż mężczyzna podniesie się z ziemi. Zupełnie nieruchomy, wyglądał jak wielki toból brudnej bielizny, porzucony przez kogoś przed pralnią. Randall ostrożnie zbliżył się do leżącego. Dopiero kiedy zobaczył smugę krwi na wygiętych drzwiach, zaczął się domyślać,

co zaszło. Nie był pewien, czy ma przed sobą dręczyciela swego dziadka, póki nie odwrócił trupa na wznak.

- Nie żyje - rozległ się czyjś głos kilka centymetrów od niego.

Między framugą i drzwiami przyczepy powstała kilkucentymetrowa szpara.

Randall dostrzegł przez nią klęczącą B.G. Dziewczyna była naga.

Rory Gaffney był zakrwawiony od ramion do pachwin.

- Tak - powiedział Randall, cofając się.

Reflektory oświetlały twarz starca, na której malowało się przerażenie i zdumienie.

- Dobrze mu tak - powiedziała dziewczyna. - A więc jednak mnie kochasz. Nie wiedziałam.

- Co?

Dziecko przestało płakać i nagły poryw wiatru strząsnął krople z gałęzi znajdujących się nad głową Randalla, który zobaczył, że jest umazany krwią zabitego.

- Wezwij policję - polecił.

- Nie martw się - uspokoiła go. - Powiem, że ja to zrobiłam. Sam się prosił. Powiem, że zabiłam go w obronie własnej.

Stwierdził, że w ułamku sekundy, potrzebnym na wymyślenie kłamstwa, uwierzyła w nie.

- Nie - powiedział, ale już zniknęła. Po chwili usłyszał, jak wykręca numer. W tej samej chwili zdał sobie sprawę z obecności policjanta, stojącego kilka kroków dalej, tuż poza snopem światła, rzucanym przez reflektory. Mężczyzna trzymał w ręku broń skierowaną lufą do dołu.

- Odsuń się - polecił. - Nie dotykaj mojego brata. To mój brat.

Randall skwapliwie go usłuchał.

- Źle robił - ciągnął policjant. - To grzech. Odróżniam dobro od zła, a wszystko, co robił, od samego początku było złe. Próbowałem mu to wytłumaczyć przez te wszystkie lata, kiedy źle czynił. Zresztą ja też jestem winny. Przez całe życie postępowałem źle. - Uniósł rewolwer i wymierzył w Randalla. - To, co zrobię teraz, też będzie złe.

Sluchając policjanta, Randall podświadomie wyczuł, że drzwiczki furgonetki się otworzyły i zamknęły ponownie. Gaffney patrzył na Randalla znad wyciągniętej broni, ale po chwili uniósł wzrok, jakby nagle ogarnęły go jakieś wątpliwości. W miejsce rezygnacji pojawił się strach, broń zadrżała w dłoni mężczyzny. Jeśli teraz pociągnie za spust, pomyślał Randall, zaskoczony jasnością swego umysłu, spudłuje.

- Ostrzegalem cię. Trzymaj go z daleka ode mnie. Powiedz mu, żeby się wynosił!

Szalony Bill znalazł się przed furgonetką i jego sylwetka zamajaczyła w świetle reflektorów.

- Zabierz go! - krzyknął policjant.
- Stój! - zawołał Randall.

Ale Szalony Bill zachowywał się, jakby ani ich nie słyszał, ani nie widział. Szedł prosto przed siebie. Randall uświadomił sobie, że mógłby zasłonić tego, w kogo była teraz wycelowana broń, ale zanim postanowił, że tego nie robi, rewolwer wypalił dwa razy, a potem jeszcze kilkakrotnie szczęknął cicho. Randall rzucił się do przodu i znów znalazł się na linii strzału. Wyraźnie usłyszał szcęk broni, zanim uderzył barkiem w miękki brzuch policjanta. Obaj się przewrócili. Kiedy Randall przykleknął na jedno kolano, dostrzegł Szalonego Billa pochylającego się nad swym ojcem. To znaczy, że Gaffney chybił, zdążył pomyśleć Randall, zanim sierżant zamierzył się rewolwerem, jak kijem golfowym, i trafił go w prawą skroń.

56

Chłód. Na tyle wyraźny, by przykuł uwagę. Przyjemny, jak wtedy, kiedy się nurkuje w zalanych kamieniołomach w upalny dzień. Może, pomyślał Randall, jestem pod wodą. Jeśli tak, muszę pamiętać, żeby nie siedzieć w niej za długo, bo... bo co? Coś się może stać, jeśli za długo pozostanie pod wodą, ale nie wiedział co... Poczul chłód na karku. Aha, utonie. Jeśli za długo pozostanie pod wodą, utonie. Odepchnął się nogami, by się wynurzyć.

- Siedź spokojnie - dobiegł go skądś głos dziewczyny.
- Ratuj mnie - próbował powiedzieć, ale tylko zabelkotał coś niewyraźnie.

- Nie ruszaj się - rozległo się, teraz trochę bliżej.

Otworzył oczy i natychmiast je zamknął, oślepiiony ostrym światłem.

- Zgaś - wychrypiał i dziewczyna odeszła.

Nagle zrobiło się ciemno i znów otworzył oczy. Nie był pod wodą. Zobaczył przyczepę, a daleko między drzewami oświetlone okno w domu Gaffneya. Przypomniał sobie, że czegoś tu brak, czegoś ważnego. Rory'ego Gaffneya. Brakowało Rory'ego Gaffneya. Przed drzwiami nie leżały jego zwłoki. Ale pod drzewem zobaczył czyjeś skulone, wykręcone ciało. Randall nie widział twarzy leżącego. Ale i tak wiedział, kto to. Gdzieś w oddali zawyła syrena.

Kiedy Randall próbował się podnieść, dziewczyna początkowo chciała go odwieść od tego zamiaru, ale potem mu pomogła stanąć na nogach. Zajęło to dużo czasu, a później musiał się jej trzymać, żeby nie upaść.

- Nie powinienes - powiedziała. - Masz rozbitą głowę... Za chwilę tu będą. - Teraz Randallowi wydawało się, że słyszy kilka syren, niektóre wyły blisko, inne daleko, dobiegały z różnych stron. Zobaczył, że wilgotny gałganek, którym dziewczyna ocierała mu czoło, jest zakrwawiony. Podobnie jak policjant, leżący bezwładnie pod drzewem. I drzwi przyczepy oraz pustak przed nimi. Randall ponownie spojrział, by się upewnić, że Rory Gaffney się nie pojawił.

- Bill... - zaczął.

Rewolwer leżał na ziemi kilka kroków od policjanta. A więc, pomyślał Randall, ten trup mu się nie przyśnił.

- Pomóż mi - powiedział, sam nie wiedząc, o co mu chodzi, i zebrało mu się na płacz.

Jedna z wielu syren dobiegła gdzieś z bliska, pomiędzy drzewami ukazały się reflektory samochodu podskakującego na wybojach. Kiedy radiowóz zatrzymał się obok furgonetki, na chwilę oślepił Randalla i dziewczynę. Chłopak na krótko stracił przytomność. Kiedy ją odzyskał, jeden młody policjant celował do niego z broni, a drugi, który nie mógł być starszy od Randalla o więcej niż rok, dwa lata, stał nad trupem, ręce zwisały mu bezwładnie wzdłuż ciała.

- Spójrz na jego twarz - zwrócił się do swego kolegi. - Spójrz na jego minę.

- Wezwij wsparcie - polecił mu drugi policjant. - Proszę się odsunąć, panienko.

- Upadnie. Jest ranny.

- Raczej pijany.

- Nie. Proszę obejrzeć jego głowę.

- Ja zostanę tutaj, a wy zostaniecie tam, gdzie jesteście.

Jego kolega ani drgnął.

- Spójrz na jego twarz - powtórzył.

Radio w wozie policyjnym to skrzeczało, to milkło. Randall wciąż słyszał syreny, ale coraz dalej.

- Wezwij wsparcie! - krzyknął policjant z rewolwerem w dłoni.

Jego kolega w końcu wsiadł do radiowozu i zamknął okno, jakby czuł się skrępowany tym, co musi powiedzieć, i nie chciał, żeby ktokolwiek go słyszał, nawet jego partner.

Randall to tracił, to odzyskiwał świadomość. Policjant z rewolwerem patrzył teraz na drzwi przyczepy. Smugi krwi przybrały brązowy kolor, ale nie ulegało wątpliwości, że to krew. Policjant najpierw spojrział na drzwi, a potem na martwego policjanta, leżącego pod drzewami dwadzieścia metrów dalej.

- Jezu- jęknął.

Jego kolega długo siedział w radiowozie. Kiedy w końcu wysiadł, był zdeglustowany i wystraszony.

- Nie otrzymamy żadnego wsparcia.

Policjant opuścił broń i odwrócił się.

- Czemu nie, do jasnej cholery?

- Wszystkich skierowano do szpitala. Wybuchł tam pożar. Nie udało mi się nikogo ściągnąć.

- W takim razie co mamy robić, do jasnej cholery?

- Możemy ich załadować do wozu i też pojechać do szpitala. Jest tam kapitan. Są tam wszyscy.

- A co z Gaffem?

- Gaff nie żyje.

- Jezu Chryste, mam na myśli...

- Powinniśmy jechać do szpitala - wtrąciła się dziewczyna. - Mój przyjaciel wymaga pomocy lekarskiej.

Młodzi policjanci spojrzeli na siebie. Najwyraźniej byli wdzięczni za tę radę.

- Idź, rzuć okiem na jego głowę - powiedział policjant z rewolwerem w dłoni, znów wskazując na Randalla. - Tylko podejdź do niego z boku.

Młody mężczyzna zbliżył się do Randalla, tak jakby miał do czynienia z wężem. Randallowi udało się utrzymać na nogach wystarczająco długo, żeby młody gliniarz mógł mu się dobrze przyjrzeć. Potem kolana się pod nim ugięły. Kiedy się ocknął, znajdowali się wszyscy na tylnym siedzeniu jadącego wozu. On. Dziewczyna. Dziecko. Policjanci siedzieli z przodu, dla bezpieczeństwa odgrodzeni stalową siatką. Kierowca zahamował gwałtownie, by ominąć coś na drodze.

- Co, do diabła? - krzyknął.

- Pijani - powiedział jego kolega.

- Nie wyglądało to na pijanych.

- Jedź - polecił młodszy gliniarz. - Już i bez tego mamy dość kłopotów.

W sumie pożar w nowym szpitalu sprawia zawód. Od samego początku nie ulega wątpliwości, że mimo dość imponujących słupów płomieni strażacy wkrótce zlokalizują ogień, który objął tylko jedno skrzydło. Podjazd został zablokowany w zbyt dużej odległości, by gapie mogli w pełni podziwiać widowisko. Nieuchronnie czynią porównania między pożarem nowego a burzeniem starego szpitala imienia Nathana Littlera. Wszyscy się zgadzają, że tamto to dopiero było coś. Tutaj istnieje niewielkie zagrożenie życia, ponieważ ogień zaproszono w pomieszczeniach technicznych.

Tłum może jedynie zachęcać płomienie, by strzelały wysoko w niebo. Sobotni wieczór uległ przedłużeniu i są wdzięczni za dodatkową atrakcję. Niektórzy przynieśli alkohol. „Nie pozwólcie mu zgasnąć, póki nie wróce!” - wykrzykują ludzie, śpiesząc do domów, by zadzwonić do sąsiadów i znajomych albo uzupełnić zapasy. W ciągu pół godziny liczba gapiów wzrasta czterokrotnie, panuje atmosfera festynu. The Velvet Pussycat pustoszeje, pozostałe bary są zamknięte. Niektórzy przyszli tu z obrażeniami, mając nadzieję, że zostaną opatrzeni i pozszywani, ale to, co zastali, jest znacznie ciekawsze. Krążą butelki taniej whisky, poszkodowani zapomnieli o swoich dolegliwościach.

Kiedy odwołano dwóch policjantów, stojących obok zapory, grupka podpitych obserwatorów podnosi kozły i przesuwają je razem z linami. Zatrzymują się dopiero wtedy, kiedy wiatr zmienia kierunek i przynosi ze sobą falę gorącego powietrza. Kobiety podwijają spódnice i wchodzi na ramiona mężczyznom, by mieć lepszy widok, przy okazji niektórzy chłopczy też mają na co popatrzeć.

Radiowóz przedziera się wolno przez tłum, dwójka samowolnych strażników przepuszcza go i wskazuje drogę, przesadnie gestykulując rękami. Z tyłu siedzi młoda kobieta z dzieckiem i młody mężczyzna, który położył jej głowę na kolanach. Ludzie zagląдают do środka, mając nadzieję, że ich rozpoznają, ale jest ciemno, a pasażerowie radiowozu za bardzo się ścieśnili.

- Co to za jedni? - pyta ktoś.
- Nie twój interes - odpowiada kierowca, a potem zwraca się do swego kolegi: - Lepiej zablokuj drzwiczki.

Kiedy znaleźli się na ogrodzonym terenie, młodszy gliniarz wysiada i kieruje się na szczyt wzgórza, żeby znaleźć kogoś, kto by mu powiedział, co ma robić.

Akurat wtedy w płonącym skrzydle szpitala zajmuje się ogniem pojemnik z jakąś substancją łatwopalną, potłuczone szkło rozpryskuje się na wszystkie strony, leci także w kierunku gapiów, którzy wrzeszczą zachwyceni. Ktoś mówi, że szkoda, iż nie spłonie cały budynek; od samego początku stanowił przykład fuszerki, przede wszystkim powinni trafić za kratki wykonawcy instalacji elektrycznej.

- Nonsens! - krzyczy inny. - Ktoś podłożył ogień. Złapali podpalaczy, trzymają ich w radiowozie.

To wydaje się logiczne nawet tym, którzy nie widzieli samochodu, i plotka o podpaleniu wywołuje podniecenie wśród gapiów.

- Mogli zginąć ludzie! - woła gniewnie mężczyzna z przeciętym czołem.

- Wykręć się od kary - mówi kobieta siedząca mu na barana. - Jakiś sprytny adwokat ich wybroni.

Ponieważ nie ma nikogo, kto by ich mógł powstrzymać, znów przesuwają ruchomą zaporę. Radiowóz, zaparkowany w głębi, ponownie znalazł się poza linami i zniknął w ludzkiej ciżbie. Młody policjant, nie widząc samochodu policyjnego, wyciąga błędny wniosek i pośpiesznie wraca, by zgłosić kradzież radiowozu. Kiedy nie udaje mu się odnaleźć kolegi, uświadamia sobie własną pomyłkę. Samochodu nie skradziono. Jego partner zmienił miejsce postoju, prawdopodobnie zabrał zatrzymanych do miasta, tak jak zamierzał zrobić od samego początku.

- David, opuść drabinę! - wrzeszczy kierujący akcją ratowniczą, spoglądając w niebo. Nadciągnęły deszczowe chmury, zakrywając srebrny księżyc.

Kilku chłopaków wspina się na dach radiowozu, żeby mieć lepszy widok, coraz gęściejszy tłum otacza samochód zwartym pierścieniem. Radiowóz zaczyna się trząść ku wielkiej uciechu chłopaków stojących na dachu.

- Coście za jedni? - krzyczy mężczyzna z krwawiącym czołem, rozplaszczając nos na szybie od strony pasażerów. - Podajcie... swoje... nazwiska!

Któryś z gapiów podnosi z ziemi cegłę i wręcza mu ją, ale mężczyzna się waha. Na szczęście obok niego stoi ktoś z grubo zabandażowaną ręką, kto ma już dziś za sobą jedną bójkę.

- Proszę - mówi mężczyzna z krwawiącym czołem, podając mu cegłę.

Jak się okazuje, obandażowana ręka, która stanowi rekomendację do rozbicia szyby, nie nadaje się do tego, żeby zrobić to jak należy. Mężczyzna

słabo trzyma cegłę i kiedy uderza nią w okno radiowozu, cegła leci w powietrze, przelatuje nad dachem samochodu i znika po drugiej stronie. Nikt z tam stojących nie rozumie, o co chodzi. Rozochoconym gapiom absolutnie wystarcza to, że mogą bujać radiowozem. Nie mija pięć minut, jak David opuszcza drabinę. Wszyscy wiedzą, że oznacza to koniec zabawy. Tylko strażacy są z tego zadowoleni. W ciągu paru minut uliczki przylegające do szpitala zostają zakorkowane trąbiącymi samochodami.

Kiedy w małym miasteczku dzieje się gdzieś coś interesującego, w innym miejscu niepostrzeżenie może się wydarzyć coś innego. Takie już jest niezmiennie prawo odwracania uwagi. Dopiero wraz z uświadomieniem sobie, że padliśmy jego ofiarą, przypominamy sobie istotniejsze szczegóły - w swoim czasie zupełnie zlekceważone - i to dość niechętnie, wyraźnie zawstydzeni. Rankiem po pożarze w Centrum Usług Medycznych w Mohawk wiele osób przypomniało sobie, że widziało ciemną postać, zmagającą się z kimś, kogo uznali za pijanego towarzysza. Ale wszyscy śpieszyli w kierunku łuny na południowym zachodzie.

Nazajutrz, kiedy ten sam horyzont rozświetlił brzask, samochód-cysterna z mleczarni wspina się z mozołem w górę Steele Avenue, kilka lat temu zwanej Hospital Lane. Ta nazwa nie utrzymała się długo po zburzeniu starego szpitala imienia Nathana Littlera. Teraz na wzgórzu jest rzadko używany parking, porządnie wybrukowany, ale niewygodny dla firm mieszczących się wzdłuż Main Street, nad których dachami góruje. Kierowca samochodu jest człowiekiem znanym w okolicy. Prawie dwadzieścia lat temu to on prowadził ciężarówkę, pod której kołami zginął Homer Wells, najpierw zjechawszy po oblodzonym stoku Hospital Hill. Od tamtego dnia kierowca wiele rozmyślał nad kwestią przeznaczenia, i ten ranek, jak większość innych, zastaje go też na rozważaniach. Prawdę mówiąc, to jego ostatni kurs. Mleczarnia Bronsona ulega likwidacji, jako kolejna ofiara supermarketów, sklepów całodobowych i kartonowych opakowań.

Na końcu Steel Avenue samochód się zatrzymuje. Na samym środku parkingu coś leży. Im dłużej kierowca ciężarówki wpatruje się w to coś w szarym świetle poranka, tym bardziej jest zaintrygowany. Na niektóre rzeczy jest to za małe, na inne - za duże. W końcu kierowca wysiada i podchodzi do miejsca, gdzie kłęczy Szalony Bill Gaffney, zimny trup, obejmując swego ojca. Później wiele osób tłumaczyło, że wyraz zawstydzienia malujący się na twarzy Rory'ego Gaffneya wywołał fakt ciągnięcia

ojca przez syna półgłówka w górę Steele Avenue do szpitala zburzonego prawie dziesięć lat temu. Ze wszystkich ludzi na świecie Szalony Bill miał największy powód, by o tym pamiętać.

Harry Saunders, który wstał wcześniej, żeby otworzyć bar, słyszy syreny zawodzące na Steele Avenue, i robi mu się słabo.

- Lepiej tam pójdz - mówi mu pierwszy klient, więc idzie, wolniej niż tamtego dnia, kiedy burzono szpital imienia Nathana Littlera.

Pośrodku parkingu Harry widzi grupkę mężczyzn w kombinezonach roboczych. Na jego widok się rozstępują. Harry nie odczuwa fascynacji groteskową parą na asfalcie. Blednie i natychmiast zaczyna schodzić ze wzgórza. Podczas gdy inni szeptem zapytują się nawzajem ze zdumieniem, jak komuś z dwoma dziurami w piersiach udało się zataszczyć ponad stukilogramowego mężczyznę na górę Steele Avenue i po co, na Boga, to zrobił, Harry Saunders, stojąc przy ruszcie, na którym pryska bekon, może sobie tylko wyobrażać zdumienie i konsternację swego dobrego przyjaciela, kiedy odkrył własną pomyłkę, sam w środku nocy pod rozgwieżdżonym niebem Mohawk.

58

W barze u Greeniego było pięciu mężczyzn, nie licząc małej grupki, zgromadzonej wokół automatu do gry w kregle. Kiedy wszedł Dallas, wszyscy wymamrotali pod nosem „cześć”, ale wiedział, że nie było to zwykłe „cześć”. Ludzie przez cały dzień zachowywali się dziwnie. Gdziekolwiek się pojawił, czuł, że już wcześniej stanowił temat rozmowy. Oczywiście pozbawionej złośliwości, więc do nikogo nie miał pretensji. Ludzie po prostu nie wiedzieli, jak się zachować w takiej sytuacji, on też by nie wiedział. Zamiast dołączyć do gości siedzących przy końcu baru, machinalnie zajął miejsce obok stołka zarezerwowanego dla Untemeyera. Było parę minut po wpół do czwartej, bukmacher przychodził punktualnie o czwartej.

Woody postawił przed Dallasem kufel piwa.

- Życzysz sobie jeszcze czegoś? - spytał.
- Możesz mi dać cztery albo pięć patyków.
- Nie ma sprawy. Zaraz wyciągnę z kasy. - Urwał. - Rudy trafił wczoraj numerek.

Dallas pokręcił głową.

- Nie pomogłoby pięćset, nawet gdyby je miał, a nie byłby Rudym, gdyby tak było.

- Dałbym ci, gdybym miał.

- Wiem, Woody.

Barman kręcił się, nie wiedząc, jak zacząć. W końcu powiedział:

- Nigdy nie spotkałem twojego chłopaka, ale nie wierzę, że to zrobił.

Gdzie go trzymają?

- Nadal jest w szpitalu. Nawet matce nie pozwolili się z nim zobaczyć.

Wszedł Benny D. i zajął miejsce obok Dallasa, dając Woody'emu znak ręką, by ich zostawił samych.

- Jesteś niesamowity - zwrócił się do Dallasa.

- Dlaczego?

- Wszyscy inni uganiałoby się za mną, ale nie Dallas Younger. To ja muszę szukać jego. Nie tylko nie pofatygował się do roboty, nawet nie może zadzwonić do człowieka, żeby mu powiedzieć, gdzie będzie.

- Jestem tutaj.

- Dupek. - Benny D. wyjął plik banknotów i wsunął je Dallasowi do kieszeni. - To dwa patyki, jeśli chcesz wiedzieć. Powiedz „dziękuję”.

- Dziękuję.

- Twarda z ciebie sztuka.

- Naprawdę dziękuję.

- Któregoś dnia chcę je dostać z powrotem. Ustalili już wysokość kaucji?

Dallas pokręcił przecząco głową.

- Zdaniem Johna, wyniesie dziesięć patyków.

- Jezu!

- Dostałem tysiąc od faceta, którego znam dość dobrze. Razem z twoimi dwoma będzie trzy. Moja była żona mówi, że ma jakieś siedemset na rachunku oszczędnościowym.

- Wczoraj wieczorem Rudy trafił numerek.

- Słyszałem.

- Chłopak ma adwokata?

- John powiedział, że z nim porozmawia, ale sam nie wiem. Wciąż ma pretensje o to, że mu pokiereszowałem twarz.

- To dupek. Pozwól, żeby Dominic się tym zajął.

- Nie stać mnie, żeby mu zapłacić.

- Możesz później odpracować. Dominic jest w porządku.

- Dobra. Zrobmy tak.

Kiedy wypili piwo, Benny D. wyszedł. W drzwiach minął się z bukmacherem. Untemeyer zajął swoje tradycyjne miejsce.

- Przeżywasz ciężkie czasy - mruknął, strzepując z rękawa popiół z cygara.

- A kiedy są dobre?

- Dostałem w kość.

- Od pięćdziesięciu lat dostajesz w kość. Nie muszę tego słuchać.

- Ile ci potrzeba?

- Kupę szmalu. John mówi, że kaucja wyniesie około dziesięciu patyków.

- Słyszałem, że wycofał się z przyjmowania zakładów.

- Miał kilka większych wpadek.

Untemeyer skinął głową.

- Wiedziałem, że tak będzie. Mężczyzna nie powinien mieć więcej niż jedno zajęcie. Mogę ci pożyczyć parę patyków, jeśli ci to pomoże.

- Pomoże.

Untemeyer wypisał czek i z przyzwyczajenia pokwitowanie. Kieszeń Dallasa robiła się coraz bardziej wypchana, co napawało go otuchą.

- A propos, ile masz lat? - spytał.

- Nieważne. Nie umrę, dopóki mi nie oddasz długu, więc możesz sobie tym nie zaprzątać głowy.

- Naprawdę. Po prostu chcę wiedzieć.

- I tak nasikam na twój grób, więc co za różnica? - Podszedł barman, żeby im dolać piwa. - Uciekaj. Przynosisz pecha, a dziś chciałbym mieć w końcu dobry dzień.

Dallas rzucił na kontuar banknot jednodolarowy.

- Jeśli chcesz, mogę zająć się zbiórką - zaproponował barman.

- Spóźniłeś się - warknął Untemeyer. - Twoja była żona nadal tu mieszka? - zwrócił się do Dallasa.

- Jest prawie tak samo splukana, jak ja - powiedział Dallas.

- Starsza pani wciąż żyje?

- Jej matka? O ile wiem, tak.

Untemeyer się wzdrygnął.

W korytarzach Centrum Usług Medycznych w Mohawk czuć swąd, chociaż pootwierano wszystkie okna i włączono wiatraki, by zrobić przewiew. Jak wiele letnich burz, ta, która szalała ostatniej nocy, przyniosła tylko chwilowe wytchnienie. Znow było duszno i gorąco, a kiedy pojawiało się słońce, wszystko parowało. Anna Grouse miała poczekalnię tylko dla siebie. Mogła czytać magazyny, ale wolała obserwować, jak słońce znika za Myrtle Park. Potem zapaliły się uliczne latarnie, ledwo widoczne w zapadającym zmroku.

Nikt - ani lekarze, ani pielęgniarki, ani personel medyczny - nie zamienił z nią słowa od wielu godzin. Rozmawiała przez telefon z Danem, naturalnie zaproponował, że przyjedzie, ale mu podziękowała i natychmiast tego pożałowała. Niemal pragnęła, by Dallas był tu razem z nią i czekał. Wcześniej przyszedł do niej do domu i jak głupia podała mu numer swego rachunku oszczędnościowego, by mógł zapłacić kaucję za Randalla. Oczywiście nie żał jej było pieniędzy, ale w chwili słabości złamała jedną z kilku zasad, którymi kierowała się w życiu, tę, żeby nigdy nie dawać Dallasowi pieniędzy. Pod pewnym względem to, że Dallas gdzieś się zapodział, starając się być użyteczny, nawet jej odpowiadało. Jego towarzystwo nigdy nie było kojące, chociaż nie zawsze z jego winy. Chciał, żeby go traktować poważnie, a to była jedyna rzecz, na którą nigdy nie potrafiła się zdobyć. Przez chwilę zrobiło jej się żal tych, którzy pożyczą mu pieniądze. Jeśli Dallas nie zgromadzi całej sumy, prawdopodobnie postawi wszystko na jakiegoś pewniaka biegnącego w Saratodze. W końcu będzie musiała zwrócić się do matki, by zaciągnęła kolejny kredyt hipoteczny, i naturalnie ona to zrobi. Starsza pani od czasu do czasu potrafiła doprowadzić człowieka do rozpacz, ale można było na nią liczyć, jeśli sprawa okazywała się poważna, oczywiście pod warunkiem, że wymagała poświęcenia, a nie aktywnego działania. Anna uśmiechnęła się do siebie. Ostatecznie zawsze to coś, co można powiedzieć dobrego o poświęceniu.

Pani Grouse była roztrzęsiona po incydencie z dżdżownicami i Anna siedziała przy niej, póki staruszka nie usnęła, ale kiedy wczesnym raniem zesza na dół, jeszcze przed telefonem w sprawie Randalla, jej matka była już po śniadaniu i sprzątała. Wyszła nawet przed dom, by uporządkować trawnik. Nigdy nie pozwalała, by statek długo miał przechył. Teraz znow płynął równo i Anna wiedziała, że wszelkie uwagi, dotyczące ostatniej nocy, zostaną powitane obojętnym spojrzeniem.

Tamta noc już nie istniała. Kiedy zadzwonił Dallas z wiadomością, Anna nic nie powiedziała matce.

Gdy do szpitala przysłała nocna zmiana, jeden z lekarzy nieopatrznie zajrzał do poczekalni.

- Chcę, żeby mi pan powiedział, jak się czuje mój syn - zwróciła się do niego Anna.

Lekarz był młody i najwyraźniej onieśmieliła go atrakcyjna kobieta, starsza od niego o piętnaście lat.

- Spróbuję się czegoś dowiedzieć - obiecał. - Myślę, że mi powiedzą.

Wrócił po kwadransie, ale przez ten czas opanował się i przybrał maskę, jaką zazwyczaj noszą lekarze.

- Odpoczywa. Lepiej, jeśli pani wróci do domu i też trochę odpocznie.

- Chciałabym chwilę przy nim posiedzieć.

- Niestety, to niemożliwe.

- Policja zabroniła, prawda?

- Bardzo mi przykro.

- Akurat.

O dziewiątej się poddała. W recepcji zobaczyła Dianę Wood. Ledwo ją poznała, Diana była taka zgarbiona, taka wychudzona. Nie zostało w niej nic z dziewczyny, miała jeszcze bardziej nieobecny wyraz twarzy niż ona. Kiedy Diana uniosła wzrok i zauważyła ją obok siebie, zarumieniła się.

- Nie musiałaś przychodzić - powiedziała Anna.

- Wstyd mi - odparła Diana. - Nie jestem tutaj z powodu Randalla.

- Chyba nie znów to samo?

- Myślę, że interesuje ją pożar. Musi wiedzieć, co się dzieje.

- Naprawdę bardzo mi przykro.

- Niepotrzebnie - odparła jej przyjaciółka. - Większość ludzi przypuszcza, że ma nieograniczone zapasy współczucia. Mylą się.

- Masz czas na kawę?

- Lepiej nie. Zawsze kończy się tym, że muszę płacić podwójnie za spóźnienie.

- Proszę, napij się ze mną. Możesz zwalić winę na rejestratorkę.

Diana pokręciła głową.

- Pojedź do Dana. Ucieszy się na twój widok, zresztą jest lepszym towarzyszem ode mnie. - Zanim Anna zdążyła zaprotestować, jej kuzynka dodała: - Koło południa wstąpił do nas Dallas.

Anna westchnęła ciężko.

- O nie!

- Naprawdę nie mieliśmy nic przeciwko temu. Żałuję, że nie mogliśmy dać więcej.

- Przecież nie macie pieniędzy.

- Gdybyśmy nie mieli, nie dalibyśmy mu. Poza tym nie widzieliśmy go od lat. Jak wy to robicie, że się w ogóle nie starzejecie?

Anna niechętnie obserwowwała, jak jej kuzynka idzie korytarzem i czeka cierpliwie na windę, która nie przyjedzie.

Kiedy weszła, Dan oglądał telewizję.

- Nie bój się - uspokoiła go. - Nie przyszłam, żeby cię uwieść.

- Hmmm - zastanowił się. - Być może dziś wieczorem pozwoliłbym się wykorzystać.

- Ale nie przeze mnie. Sama się czuję, jakby mnie wykorzystano. Bo wykorzystano.

- Sprawy nie wyglądają najlepiej - oświadczył. - Słyszałem to i owo. Możesz wyłączyć telewizor, jeśli chcesz.

Anna wyłączyła telewizor.

- Powiedz mi, czego się dowiedziałeś.

- Znaleźli furgonetkę pełną skradzionych skór. Ludzie podejrzewają, że jeden z braci Gaffneyów od lat kradł, prawdopodobnie za wiedzą drugiego. Randall był w to jakoś zamieszany, przypuszczalnie wywoził towar w głąb stanu.

- Nie wierzę.

- To tylko spekulacje. Musiało dojść do jakiegoś zatargu. Kiedy pojawili się gliniarze, Randall był cały we krwi, a kilka kroków dalej leżał martwy policjant. Wszystko wskazuje na to, że chłopak był w rękawiczkach. To jeszcze pogarsza jego położenie. Przypuszczają, że zastrzelił gliniarza, a potem próbował upozorować jego samobójstwo.

- Syna też zabili? Billy'ego?

Dan skinął głową.

- Znaleźli go razem z jego staruszką gdzieś w centrum. Nikt nie wie, jak się tam dostali. W tym wszystkim na szczęście parę rzeczy nie pasuje do siebie, przynajmniej zdaniem moich informatorów. Nawiasem mówiąc, wszystko to są poufne wiadomości. Tak czy inaczej, kaucja nie wchodzi w grę.

- Nie powinieneś dawać Dallasowi pieniądze.

- Nie zależy mi na pieniądzach.

- W ten sposób nie można niczego naprawić. W żadnym razie nie uda ci się wszystkiego naprawić.

- Nie kierowałem się chęcią zadośćuczynienia. Wolę dać pieniądze jemu niż Milly. Następnym razem, kiedy pójdzie do szpitala, trafi do sali ogólnej.

- Boże, Dan!

- Nie patrz tak na mnie. Masz swoje własne zmartwienia, dziecinko. Poza tym, kiedy pojawią się urzędnicy bankowi, będę najszcześniejszym człowiekiem w całym okręgu Mohawk.

Anna usiadła obok niego na kanapie i wzięła go za rękę.

- Ucieknijmy stąd - powiedziała. - Tak jak tego chciałam dwadzieścia lat temu.

- To nie ja cię powstrzymałem.

- Bzdura. To ty miałeś skrupuły, nie ja.

- Ale na to liczyłaś.

- To znaczy?

- To znaczy, że nie jesteś taka szalona, jak ci się wydaje. Ostatecznie jesteś córką Mathera Grouse'a. A nawet kimś znacznie lepszym, dzięki Bogu.

- A nie nędzną grzesznicą?

- Nie. Co najwyżej zwyczajną grzesznicą. Odmianą ogrodową. Odmianą z ogrodu Edenu.

Kiedy Anna dotarła do domu, w salonie na dole paliło się światło. Weszła, nie spodziewając się, by o tej porze matka mogła mieć gości. Ale się myliła. Pani Grouse siedziała sztywno, wygładzając cienką podomkę na kościstych kolanach. W drugim końcu pokoju, jeszcze bardziej skrzepowany, siedział mężczyzna w garniturze z elanobawelny.

60

Dallas Younger dotarł do szpitala na spotkanie ze swoją byłą żoną znacznie spóźniony. Wszędzie panowała cisza i spokój, jak to zazwyczaj bywa, kiedy skończą się godziny odwiedzin i rejestracja jest nieczynna. Skrzydło, które spłonęło ostatniej nocy, było osmalone i opustoszałe. Dwóch wynajętych gliniarzy pilnowało ruin przed żadnymi wrażeń chłopakami. W recepcji dyżurowała ładna młoda dziewczyna, Dallas się do niej uśmiechnął, kiedy podniosła wzrok. - Younger - powiedział.

Dziewczyna skierowała go do sali numer 237. Ponieważ i tak był spóźniony, postanowił najpierw zadzwonić do Benny'ego D. Udało mu się go znaleźć za ósmym razem, w Oak Lounge.

- Gdzie się podziewałeś?

- Szukałem ciebie - powiedział Dallas.

- To mnie znalazłeś. Dominic pojechał do szpitala.

- Właśnie tu jestem. Jeszcze nie byłem na górze.

- Nie zdziw się, jeśli cię nie wpuszczą. Według Doma, Randall ma wstrząs mózgu i gliniarze jeszcze go porządnie nie przesłuchali. Nie wpuszczą do niego nikogo, dopóki z nim nie porozmawiają. Krążą plotki, że spartaczyli robotę i trzymali go w radiowozie, kiedy płonął szpital, a potem zabrali na posterunek, żeby go przesłuchać, zamiast najpierw udzielić mu pomocy medycznej. Paru lekarzy ma z nimi na pieńku i prawdopodobnie zgodzą się zeznawać, gdybyś postanowił wnieść sprawę przeciwko policji. To dobra wiadomość.

- A zła?

- Dominic ocenia, że kaucja wyniesie dwadzieścia patyków. Minimum.

Dallas zgarbił się na krześle. Zgromadził niewiele ponad osiem tysięcy. Może znajdzie się jeszcze jedna, dwie osoby, które trochę dorzucą, ale nie aż tyle.

- Nie zbieram takiej kwoty.

- Jasne, że nie. Jak myślisz, skąd biorą te sumy?

Dallas wiedział, wiedział od samego początku, ale nie dopuszczał tego do siebie, zadowolony, że może się czymś zająć. Ale w grę wchodził martwy gliniarz, co oznaczało maksymalną kaucję.

- Cała ta sprawa śmierdzi - powiedział.

- Podejrzewają, że Randall da nogę. Okazało się, że otrzymał wezwanie do wojska, ale się nie zgłosił. To go stawia w złym świetle. Prokurator okręgowy zachowuje się z nadmierną pewnością siebie, lecz Dominic jest dobrej myśli. Nie wiem dlaczego. Można się założyć, że będą się starali bronić dobrego imienia Gaffa. - Benny D. urwał i Dallas usłyszał odgłos zapalanej zapalniczki. - Jak myślisz, co tam zaszło?

Dallas nie miał pojęcia. Nie potrafił sobie wyobrazić Randalla strzelającego do kogokolwiek, ale, prawdę mówiąc, w ogóle nie potrafił sobie wyobrazić Randalla. Ich ścieżki nigdy się nie skrzyżowały, nie licząc baru, ale wtedy chłopak zawsze był w kuchni. Nigdy o nic nie prosił, robił wrażenie, jakby niczego nie chciał. Również towarzystwa swego ojca. Nie żeby Dallas był znowu takim wspaniałym ojcem, ale można by

pomyśleć, że chłopak będzie wściekły. Tymczasem nic z tych rzeczy. Zachowywał się, jakby go w ogóle nie zauważał.

Po rozłączeniu się Dallas siedział przez jakiś czas bez ruchu. Anna z pewnością jest bliska furii. Nic nie powie, ale wystarczy, że on na nią spojrzy, a poczuje się jak ostatni śmieć, tak jak zawsze w jej obecności. Potem przyszło mu do głowy, że jeśli będzie miał odrobinę szczęścia, może Anna już się poddała i wróciła do domu. Ta ewentualność bardzo go podniosła na duchu, kiedy jechał windą na drugie piętro. W poczekalni było pusto, więc ruszył powoli korytarzem, spoglądając na kartoniki z nazwiskami w metalowych ramkach, umieszczonych na wszystkich drzwiach, aż dotarł do sali numer 237. „Younger” - przeczytał. Nie było widać policjanta, więc wszedł do środka.

W pokoju stały dwa łóżka, jedno puste, na drugim spała dziewczynka, jej jasnobrązowe włosy rozrzucone były na białej poduszce. Twarz, szyję i ramiona pokrywały fioletowe siniaki. Wyglądały, jakby były namalowane, ponieważ nie widać było opuchlizny. W pierwszej chwili Dallas pomyślał, że Randalla przeniesiono gdzie indziej, prawdopodobnie do jakiegoś pilnie strzeżonego skrzydła, gdzie gliniarze mogli go spokojnie maglować.

Na skraju łóżka dziewczynki siedziała kobieta. Kiedy się odwróciła, żeby zobaczyć, kto wszedł, Dallas poznał swoją bratową. Patrzyła na niego nieobecny wzrokiem. No tak, „Younger” bez zastanowienia powiedział recepcjonistce.

Jakiś tydzień temu ktoś mu wspomniał, że jego bratanica jest chora, ale chociaż starał się o tym pamiętać, udało mu się zapomnieć. Od tamtej nocy, kiedy się przespali z bratową, Dallas dość często o niej myślał i bywały chwile, kiedy miał ochotę wrócić. Ale bał się, że znów zacznie się wszystko od początku. I chociaż był zły, kiedy się dowiedział, że John, żonaty i z trójką dzieciaków, spotyka się z Loraine, nic nie mógł na to poradzić. Bardzo zeszczułała, nigdy od ślubu z Davidem nie wyglądała tak ładnie.

Patrzył teraz nie na Loraine, tylko na dziewczynkę. Nie mógł oderwać od niej wzroku i wbrew sobie podszedł bliżej do łóżka. Coś go ścisnęło w gardle i miał trudności z oddychaniem. Starając się to zwalczyć, tak jak powstrzymywał torsje, kiedy był dzieckiem, próbował dostrzec swoją bratanicę w dziewczynce leżącej na łóżku. Ale trudno było się doszukać jakiegokolwiek podobieństwa, a kiedy sobie przypomniał garderobę, nadal do połowy wypełnioną prezentami zgromadzonymi przez jego brata, pomyślał, że dobrze byłoby umrzeć, byle tylko uniknąć tego, co

teraz czuł. Gdyby okno było otwarte, pomyślał, wyskoczyłbym.

Potem, na domiar złego, uświadomił sobie, że Loraine patrzy na niego i nawet wzięła go za rękę. W jakiś sposób znalazła w sobie trochę uczucia dla niego, choć najmniej na to zasługiwał. Nagle zdał sobie sprawę z tego, że płacze. Nie płakał od dwudziestu lat, nawet na pogrzebie Davida nie uronił ani jednej łzy, i czuł się zawstydzony, że rozplakał się akurat teraz.

- Nie płacz - mówiła jego bratowa. - To nie twoja wina. Przyszedłeś. Dobry z ciebie człowiek. Dobry człowiek.

Kiedy to powiedziała, z jego ust wydobył się jakiś straszny jęk i zanim Dallas zdał sobie sprawę z tego, co robi, opróżnił kieszenie i położył ich zawartość na kolanach Loraine. Niektóre banknoty upadły na podłogę, pięćdziesiątki i setki, pomieszane, ani nieprzeliczone, ani niepoukładane. Potem wybiegł z pokoju na klatkę schodową, na dole źle skręcił i znalazł się nie w recepcji, tylko w ciemnym korytarzu. Skręcił jeszcze raz i nagle ujrzał nad głową gwiazdy na niebie poszatkowanym stalowymi krokwiami. Potknął się, wstał, znów upadł. Ziemia była wilgotna i brudna. Kiedy się podniósł, wynajęty gliniarz złapał go brutalnie za rękę.

- Nie ma pan tu czego szukać - powiedział surowo. - Nic a nic.

- Zabłądziłem - wykrztusił Dallas, w płucach czuł swąd dymu, ubranie i ręce miał czarne od sadzy.

Gliniarz pokazał mu, gdzie jest parking.

- W takim razie wracaj pan tam, gdzie pana miejsce, na rany Chrystusa.

Zabłądził? Już prędzej zwariował, pomyślał policjant. Podczas długiej i urozmaiconej kariery w siłach porządkowych uważnie przyglądał się ludziom i doszedł do wniosku, że większość z nich jest gównem warta.

61

Jedynym tematem rozmów mieszkańców Mohawk były wydarzenia, które doprowadziły do aresztowania Randalla Youngera. Wielkie tytuły w „Mohawk Republican”, relacje w stacjach telewizyjnych, obejmujących swoim zasięgiem trzy miasta, i ogólnie atmosfera cyrku. Wszędzie kamery, rewelacja gonila rewelację. Garbarnie utrzymywały, że Rory

Gaffney, jego syn William i Randall Younger trudnili się transportem skradzionych skór. Właściciel furgonetki zgłosił jej kradzież, jak tylko usłyszał o kłopotach, ale policja potraktowała go podejrzliwie i po godzinie czy dwóch przesłuchań załamał się i powiedział im o baraku po drugiej stronie torów w pobliżu garbarni. Szef policji zaproponował, by oświadczył jednoznacznie, że sierżant Gaffney nie był zamieszany w kradzież, na co właściciel samochodu przystał.

Dziwnym zbiegiem okoliczności, akurat kiedy doniesienia o przygotowaniach do procesu osiągnęły zenit, opublikowano od dawna oczekiwany, finansowany przez władze federalne raport, oficjalnie łączący wyjątkowo wysoką częstotliwość zachorowań na raka, białaczkę i chorobę Lou Gehriga w okręgu Mohawk z garbarniami i przetwórcami skór. Przytoczono i poparto dowodami liczne oskarżenia o nielegalne odprowadzanie ścieków do Cayuga Creek, jak również podano przykłady złych warunków pracy w warsztatach. Jedne zakłady zostały zamknięte przez władze stanowe, inne z własnej woli zaprzestały produkcji po ataku ze strony redaktora „Republican”, od wielu lat jedyne go wroga właścicieli garbarni. Przypomniano i poddano analizie dawne argumenty, tym razem w gazetach wielkomiejskich - że podstępny spisek właścicieli warsztatów uniemożliwiał w okręgu rozwój czystych przemysłów; woleli stagnację nad konkurencję. W miarę narastania oburzenia na garbarnie i niechęci do nich Rory Gaffney, najwyraźniej okradający je od lat, został wyniesiony do pozycji bohatera ludowego, a ci, którzy przez dziesiątki lat pili z nim piwo u Greeniego, zaczęli z lubością wspominać, jak to stary Gaff wielokrotnie przeciwstawiał się właścicielom i mężom zaufania, niemal doprowadzając do zjednoczenia robotników. To wszystko nie wróżyło dobrze Randallowi Youngerowi, którego oskarżono o zamordowanie tego prostego i szlachetnego człowieka. Skłonni do moralizatorstwa porównywali los Rory'ego Gaffneya z historią Kennedych, zastrzelonych przez wyrzutek społeczeństwa, niegodnych nawet, by czyścić im buty.

Jednak z chwilą kiedy legenda Gaffneya zaczęła się stawać coraz barwniejsza, pojawiła się trzecia rewelacja, ujawniona nie przez kogo innego, tylko rudowłosą ukochaną żonę Harry'ego Saundersa, serdecznie podejmującą gości w The Grotto. Przypuszczalnie to sam Harry skłonił swą żonę do tego kroku. Po raz pierwszy spotkała Rory'ego Gaffneya, kiedy była jeszcze dziewczynką. Mieszkała z matką i starszą siostrą w Cresson, malutkiej osadzie w środkowej Pensylwanii. Siostra wyszła za mąż, ale rzuciła męża bezbożnika, jak mówiła, by związać się z tymi,

którym na niej zależało. I właśnie szwagier pojawił się pewnego dnia na progu ich domu wraz z siedemnastoletnim chłopakiem, który nic nie mówił i niczego nie widział, bo miał oczy tak zapuchnięte, że przypominały szparki. Chłopak przstraszył dziewczynę bardziej niż mężczyzna, ponieważ nie wiedziała, dlaczego zachowuje się akurat tak, a nawet jeśli ktoś to wiedział, nikt jej nie powiedział. Doszła do wniosku, że musiał zostać nawiedzony przez Boga i przypuszczała, że patrzy przez te szparki na Boga, dlatego cały jest taki spuchnięty. Ale z upływem dni opuchlizna zeszała i zaczął przypominać normalnego chłopca. W nocy słyszała awantury między mężczyzną i swoją starszą siostrą; mężczyzna mówił, że chce zabrać ją z powrotem do domu i pokazać wszystkim, do czego doprowadziła jej ucieczka. Że jeśli nie pomoże wyleczyć własnego dziecka, już on się postara, by cały świat się dowiedział, jaka z niej wyrodna matka. Pewnego razu jej siostra całkowicie się załamała i wyznała, że w oczach Boga musi być zepsuta, jeśli dopuścił, by wydarzyło się coś tak strasznego. Młodsza pomyślała, że siostra musi mieć rację, bo od tamtej pory już nigdy nie była taka, jak dawniej, nawet gdy mężczyzna z chłopcem wyjechali. „W oczach Boga jestem grzesznicą” - powtarzała w kółko.

Jeszcze wiele miesięcy po wyjeździe chłopiec prześladował młodszą siostrę w snach i wydawał szalone okrzyki; często się spodziewała, że ponownie go ujrzy na progu domu. Potem jej siostra umarła, co znaczyło, że, dzięki Bogu, chłopak nie wróci, ale ona wciąż nie mogła o nim zapomnieć. Później przez długi czas im się nie układało. Matkę umieszczono w domu starców w Johnstown w Pensylwanii, minęły lata, nim zmarła. Potem pewnego dnia przyszedł list do jej siostry, nieżyjącej już od przeszło dziesięciu lat, od człowieka, który kiedyś przywiózł chłopca. Pisał, że chłopak ściągnął sobie kłopoty na głowę, a ona jeśli chce, może wrócić. Podarła list, nie odpisując, ale znów zaczęła rozmyślać o spuchniętym chłopcu, ciekawa, czy nadal widzi on Boga. Sama po śmierci siostry i matki przestała w niego wierzyć, stwierdziwszy, że ateizm właściwie niewiele zmienia w życiu. Miesiąc po otrzymaniu listu pojechała do Mohawk, by dowiedzieć się czegoś o chłopaku, którego wtedy już zabrano do Utica. Ludzie powiedzieli, że jego jedynym przyjacielem był niejaki Harry Saunders, a ponieważ Harry okazał się przyzwoitym człowiekiem, pobrali się. Widziała tego Gaffneya raz czy dwa - bardzo niewiele się zmienił i rozpoznałaby go wszędzie - ale nigdy ani się nie zdradziła, kim jest, ani że go pamięta, ani że przez te wszystkie lata poznała prawdę. Na każde święta Bożego Narodzenia wysyłała mu kartkę. Pisała

w niej zawsze: „Grzeszna w oczach Boga” i podpisywała się imieniem swej zmarłej siostry - pozwalala sobie tylko na taką formę zemsty.

Jej opowieść tak zbiła z tropu ludzi, że niektórzy zaczęli dawać wiare protestom zgłaszanym od samego początku przez dziewczynę mieszkającą w przyczepie. Opowiadała ona odrażające rzeczy, w które nie chciał wierzyć nikt poza adwokatem Randalla.

Z punktu widzenia dziennikarzy najlepszym rozmówcą w mieście był Dallas Younger, ojciec oskarżonego, który jak się okazało, zachowywał się w studiu telewizyjnym zupełnie swobodnie. Bez pouczania patrzył prosto w kamerę i mówił tak, jakby miał przed sobą człowieka. Nie minęło dużo czasu, a sznur dziennikarzy laził za nim krok w krok, chociaż najwyraźniej Dallas nie wiedział nic. Nie tylko nie miał pojęcia o tym, co się wydarzyło owej nocy, kiedy zginęli Gaffneyowie, ale również nie wiedział prawie nic o swoim synu. Między innymi albo nigdy nie wiedział, albo zapomniał, jak chłopak ma na drugie imię, kiedy są jego urodziny, jakie były jego ulubione przedmioty w szkole, jak długo on sam pozostawał w związku małżeńskim z Anną, nim na świecie pojawił się Randall. Ale nawet jeśli Dallas nie stanowił bogatego źródła informacji, jego nieznamość podstawowych faktów była wielce ujmująca i jeden z dziennikarzy, słynący ze swego ludzkiego podejścia, ogłosił, że to, co Dallas wie, w zupełności wystarczy. A Dallas znał jedynie Mohawk. Uosabiał Mohawk, był „prowincjonalnym prorokiem, zbyt skromnym, by sobie uświadamiać, że jego słowa i postawa wystawiają złe świadectwo jego światu”. Z czasem ta ostatnia opinia okazała się aż nadto prawdziwa, ale dopiero wtedy, kiedy już przeprowadzono z Dallasem wywiady we wszystkich lokalnych stacjach telewizyjnych, zacytowano go w głównych lokalnych gazetach i zaproponowano mu lukratywny kontrakt z firmą z Albany na reklamę nowej linii ubiorów myśliwskich. Nigdy w życiu nie polował, ale - według agencji - jego sposób poruszania się i surowe rysy kojarzyły się z lasami, w których też nigdy nie był.

Dobrze, że dziennikarze mogli liczyć na Dallasa, ponieważ w ciągu miesiąca poprzedzającego wyznaczony termin rozprawy żadnemu reporterowi nie udało się wydobyć ani jednego słowa z matki chłopaka, atrakcyjnej kobiety, która, niestety, okazała się zupełnie nefotogeniczna. Na zdjęciach jej twarz wychodziła kanciasto, sprawiała, że fotograficy wątpili w swoje umiejętności, nim ostatecznie dali sobie z nią spokój.

A ponieważ nie mówiła dziennikarzom nic, o czym mogliby napisać, musieli wymyślać to, czego nie wiedzieli, i większość z nich mgliście dawała do zrozumienia, że Anna stanowi element tragicznej układanki, jaką jest zrujnowane życie jej syna. Jeden z felietonistów napisał, że „w jej żyłach płynie lodowata woda”, co wszyscy podchwycili i powtarzali.

- Czy mam wyprowadzić z błędu tego łobuza? - spytał Dan Wood pewnego niedzielnego popołudnia.

Był październik, pochmurny dzień bardzo podobny do tego sprzed sześciu lat, kiedy Dan uprzątał suche liście. W tym roku wodę z basenu spuszczonego we wrześniu i rozciągnięto nad nim płachtę plastiku, na którą spadały liście. Na polu golfowym było tłoczno, za każdym razem, kiedy Anna słyszała uderzenie w piłkę obok pobliskiego siódmego dołka, podskakiwała, niemal się spodziewając, że piłka wleci przez ogrodzenie.

- Obojętne mi, co wypisują - oświadczyła.

- Nieprawda. Nikomu nie jest to obojętne.

- Mylisz się. To tylko słowa. Przerażają mnie jedynie czyny.

- Nigdy nie uzyskają wyroku skazującego - powiedział Dan. - Nigdzie poza Mohawk nawet by nie próbowali.

- Wczoraj znów przyszedł człowiek z komisji poborowej. Śmiertelnie wystraszył matkę. Zaczynam się o nią martwić, chociaż nigdy nie przypuszczałam, że tak będzie.

- Popołudnie z Milly sprawi, że się rozchmurzy.

- Nie jestem tego taka pewna. Nigdy wcześniej nie była równie przerażona. W ogóle nie wychodzi i nikomu nie otwiera drzwi. Ostatnio zaczęła nawet coś wspominać o sprzedaży domu.

- Dlaczego uważasz, że to taki zły pomysł?

- Nie wiem. To dom ojca.

Dan spojrział na nią spod oka.

- Wiem, co myślisz - powiedziała - więc nie ma powodu, żeby to mówić na głos. Po prostu nie mogę powstrzymać się od rozważań, co by o tym wszystkim sądził. Nigdy nie należał do optymistów, ale wątpię, by nawet on przypuszczał, że w tak krótkim czasie wszystko może się aż tak rozsypać... Czuję, że powinnam zachować dom, nawet jeśli nie potrafię go utrzymać w odpowiednim stanie.

- I w ten sposób grzechy ojców są przekazywane pokoleniom jeszcze nienarodzonych - zawyrokował Dan, przeciągając samogłoski. Jego parodie kaznodziejów zazwyczaj rozśmieszały Annę. - Prawdę mówiąc,

zazdroszczę ci, ponieważ okazuje się, że sam nie będę w stanie zatrzymać własnego domu.

- Czy mogę jakoś pomóc? Przynajmniej ubiec sprawę?

Nadal została dość pokaźna kwota z pieniędzy, które nazwała zapiskiem Untemeyera. Bukmacher wpłacił wygraną Mathera Grouse'a na rachunek oprocentowany, na którym leżała przez sześć lat. Pani Grouse naturalnie nie zgodziła się przyjąć pieniędzy, ale nie zgłosiła żadnych zastrzeżeń, żeby zrobiła to jej córka, szczególnie że Anna wymieniła dach. Zwróciła również pieniądze, które Dallas pożyczył od Woodów. Dan nie chciał ich przyjąć i był zły na swoją żonę, kiedy się dowiedział, że je wzięła, chociaż, prawdę mówiąc, bardzo im były potrzebne. Kaucję za Randalla wyznaczono w wysokości osiemdziesięciu tysięcy dolarów, kwota ta była nie do zdobycia przez Dallasa czy Annę, chociaż się starali. Anna nawet odszukała Price'a, w nadziei że może niespodziewanie się wzbogacił. Okazało się, że nie, ale i tak ucieszył się z jej telefonu i było mu bardzo przykro z powodu Randalla, z którym „chciałby wyrównać rachunki”. Zaproponował jej pieniądze, których Anna nie przyjęła, kiedy się dowiedziała, że jest żonaty i ma dwóch małych synów.

- Założę się, że rzucają z góry - powiedziała.

- Jeszcze nie. - Price się roześmiał. - Poczekamy, zobaczymy.

- Lepiej nie wypuszczaj tych pieniędzy z rąk - poradził Dan. - Kiedy ostatni raz miałś do czynienia z adwokatami?

- Nie interesuję się tym - powiedziała, co, jak do tej pory, było prawdą. - Dallas mówi, że się wszystkim zajął.

- A kiedy zaczyna lekcje francuskiego?

62

Randall specjalnie się nie uskarżał na pobyt w areszcie, przynajmniej tak mówił matce. Anna prawie mu uwierzyła. Upewniła się, czy ma wszystko, czego potrzebuje, i odwiedzała go, kiedy tylko mogła. Nie rozmawiali o tym, co się wydarzyło. Oświadczył jej, że nikogo nie zabił, wiedziała, że to prawda. Żadne z nich nie powiedziało już ani słowa na ten temat. Rozmawiali jednak o Billym Gaffneyu.

- Przez jakiś czas widziałam go zawsze, gdy podniosłam wzrok - wyznała, kiedy już opowiedziała synowi, co się wydarzyło pewnego popołudnia przed garbarnią. - Wtedy zaczęłam się spotykać z twoim ojcem.

- Kochał cię - powiedział Randall.
- Billy? Wiem. Ale byliśmy młodzi i minęło mu. Wkrótce przestał wystawać na rogu. Potem dowiedzieliśmy się o tym wypadku...
- Tamtej nocy stał w deszczu przed naszym domem - powiedział Randall. - Zdawało mi się, że kiedy patrzył na mnie, widział kogoś innego.
- Twój dziadek... Nigdy nie wiedziałam, co ma przeciwko Billy'emu, pomijając sprawy oczywiste. Twojemu dziadkowi wystarczyło, że Billy był chłopakiem z Mohawk. Nie wierzę, żeby Billy przez te wszystkie lata pozostał zakochany. Ludzie wyrastają ze swoich miłości. Przynajmniej większość z nich.

Randall wiedział, że matka myśli o wyjątkach.

- Twój dziadek był dobrym człowiekiem. W innych okolicznościach mógłby zostać kimś wybitnym. Ale jak większość ludzi, miał swoje słabości, nie dostrzegał pewnych rzeczy nawet wtedy, kiedy mu się je pokazywało palcem. Czasem się zastanawiałam, czy kiedykolwiek naprawdę kochał. Chodzi mi o taką miłość, która sprawia ból. Myślę, że się bał.

Uwzględnivszy wszystkie okoliczności, z Randallelem obchodzono się w miarę dobrze, częściowo z uwagi na wytoczenie przez jego adwokata sprawy policji o niewłaściwe traktowanie, częściowo dlatego, że z każdym dniem ujawniały się kolejne słabe punkty przygotowywanego aktu oskarżenia. Randall się bał, że dziewczyna skłamie, żeby go ratować, ale nie zrobiła tego. Na tylnym siedzeniu radiowozu w drodze do szpitala nalegał, by powiedziała prawdę, i najwidoczniej tak uczyniła. Oczywiście to jedyne, co należało zrobić. Mogła wmówić ludziom, że zastrzeliła Rory'ego Gaffneya, ale nie miała przekonującego powodu, by zabić policjanta i Szalonego Billa. Zarówno ona, jak i Randall trzymali się swoich zeznań i zgodzili się na poddanie badaniom wykrywaczem kłamstw. Oboje pozostawali niewzruszeni, nawet jeśli chodziło o drobiazgi, i to martwiło prokuratora okręgowego, który miał motyw, narzędzie i okazję, ale wolałby mieć prawdziwą sprawę. Jednak tak czy inaczej, był martwy gliniarz i powszechne oburzenie opinii publicznej.

Poza matką jedyną osobą, która odwiedzała Randalla, była B.G. Tydzień przed zaplanowanym terminem rozprawy przysłała z dzieckiem.

- Nie wpuszczaj nas do środka - powiedziała, przysuwając sobie krzesło do okratowanych drzwi celi. - Boją się, że zatrzymasz Sue w charakterze zakładniczki lub coś w tym rodzaju. Szaleni, co?

Wyglądała prześlicznie i Randall pomyślał, jak mu się to często zdarzało, że gdyby ktoś ją nauczył, jak się malować, ubierać i dbać o siebie,

naprawdę byłaby z niej świetna dziewczyna. Może i taka była. Nie zastanawiał się zbyt nad założeniem rodziny, ale lubił ją i myślał, że przyjemnie by było siedzieć gdzieś w cieniu drzewa i bujać małą na kolanach, podczas gdy dziewczyna grałaby na gitarze i śpiewała. Szkopuł w tym, że pod koniec października nie było drzew, które rzucałyby cień, dziewczyna nie umiała grać na gitarze, a on siedział w areszcie.

- Uważam, że to śmieszne. Jesteś najlepszym człowiekiem, jakiego znam, bez żadnych wyjątków.

Nie był to pierwszy komplement, jaki mu powiedziała, ale zabrzmiał sztucznie.

- Coś nie tak? - spytał, kiedy zauważył, że dziewczyna unika jego wzroku.

- Chyba lepiej, jak ci powiem - odparła. - Andy wrócił do miasta. Przypuszczam, że zobaczył mnie w telewizji. Mówi, że nadal jesteśmy małżeństwem i takie tam...

Randall zmusił się do uśmiechu.

- Wspaniale. Wspaniale. - Wysunął palec przez kraty, mała chwyciła go i nie puszczała.

- To dobre dla niej... mieć ojca i w ogóle. Nie żebyś ty nie zachowywał się jak ojciec...

- Nie zachowywałem się jak ojciec.

Wzruszyła ramionami.

- Myślisz, że znów ucieknie?

- Nie, jeśli ma odrobinę oleju w głowie.

- Wiesz, że wolałabym być z tobą.

- Wygląda na to, że przez jakiś czas mogę być uwięzany, tu czy tam.

- Mam nadzieję, że pojedziesz na wojnę.

- Dzięki.

- Nie zabiją cię.

Uznał, że ten temat nie jest wart dyskusji.

- Wiesz, wolałabym, żeby Andy był trochę bardziej stały w uczuciach. Bo jeśli znowu ucieknie, zostanę zupełnie sama.

- Może ucieknie akurat wtedy, kiedy ja wyjdę.

Nie pomyślała o tym i możliwość takiej przypadkowej zbieżności wydarzeń sprawiła, że się uśmiechnęła. Randall też nie mógł się powstrzymać od uśmiechu.

Dallas odwiedził go tylko raz.

- A więc, synu - powiedział.

To było najdłuższe dwadzieścia minut w ich życiu.

Jedynie, czego żałował Randall, to to, że nie mógł być na pogrzebie Diany Wood. Wieczorem Milly doznała prawdziwego ataku, zawieźli ją do szpitala. Zamiast wrócić do domu Diana usnęła na krześle w izolatce matki. Kiedy nazajutrz za kwadrans szósta pielęgniarka przyszła przygotować Milly do badań, zastała Dianę martwą. Staruszka głośno chrapała. Wezwano panią Grouse, by powiadomiła o tym swoją siostrę. Ta przyjęła to początkowo z niedowierzaniem, potem była zupełnie zdezorientowana, w końcu ogarnęła ją apatia.

- Czy ktokolwiek słyszał coś podobnego? - powtarzała w kółko.

63

Jeśli śmierć Diany Wood coś udowodniła, to jedynie, że ojciec Anny mylił się, sądząc, że jeśli córka nie przestanie kochać Dana Wooda, znacznie pragnąc śmierci swej kuzynki. Miłość do Dana to było coś zupełnie niezależnego od jej woli, podobnie jak to, że go pragnęła i potrzebowała. Ale nigdy nie chciała go Dianie odebrać. Teraz to wiedziała. Dan zawsze należał do jej kuzynki, i to się nigdy nie zmieni. Kiedy wszyscy byli młodszy, Anna wyobrażała sobie, jak wyglądałoby ich życie, gdyby poślubiła Dana. Istniało mnóstwo prawdopodobnych scenariuszy - jedne szczęśliwe, inne tragiczne - i już samo to świadczyło, że niewiele były warte. Nie potrafiła wyobrazić sobie tylko jednego - że zabraknie Diany.

Do pogrzebu Annie udało się minimalnie zapanować nad bólem i złością, ale na cmentarzu wszystko zaczęło się od nowa. Był kolejny szary dzień, w powietrzu czuło się zimę, nic nie miało specjalnego sensu. Liście ożywały, pędząc jednocześnie we wszystkie strony. Przez chwilę tańczyły jak oszalałe, niczym porwane małutkimi cyklonami, a potem odpoczywały, drżąc i prężąc się.

Na cmentarz przyszło mnóstwo ludzi, ale Annie się wydawało, że ze sto osób jest nieobecnych bez żadnego wytłumaczonego powodu, chociaż nie potrafiła wymienić ani jednego nazwiska. Przyjechało dużo znajomych Dana spoza miasta, byli też inni, wyglądający na rodzinę. Przyszedł Dallas, jak zwykle przypominał przebiegacza. To on powiadomił ją o wszystkim przez telefon, tak jak to tylko on potrafił. „Słyszałaś o Dianie? Nie żyje”. Dowiedział się o tym nawet wcześniej od Dana. Anna mu

nie uwierzyła, przypuszczała, że jak zwykle wszystko poplątał, że musi chodzić o Milly. Niemal udało jej się przekonać Dallasa, który prawie nigdy nie miał racji, o ile Anna dobrze pamiętała, i łatwo dawał się jej zakrzywić. Przyznał, że może się mylić albo pomylił się facet, który mu o tym powiedział, chociaż w zasadzie porządny z niego gość i zazwyczaj można mu wierzyć w ciemno. „Do widzenia, Dallas” - powiedziała mu. Ale ostatecznie okazało się, że miał rację, i czuł się z tym tak źle po tylu latach, kiedy się mylił, że zadzwonił później jeszcze raz do Anny, by ją przeprosić.

- Przypuszczam, że Dan potrzebuje pomocy - powiedział.

- Wszelkiego rodzaju - odparła, więc Dallas zawiadomił Benny'ego D., że przez jakiś czas nie będzie się pokazywał w pracy, pojechał do domu przy Kings Road i pomagał Danowi się upijać.

Teraz stał czujnie za wózkiem inwalidzkim, jakby podejrzewał, że ten żyje własnym życiem i wystarczy jedna chwila nieuwagi, a czmychnie razem z tym, który jest do niego przykuty. Zbyt wiele razy w swoim życiu nieświadomie spartaczył różne rzeczy, więc nabrał szacunku dla niespodzianek. Natomiast Dan wiedział wszystko o wózku i sposób, w jaki na nim siedział, świadczył dobitniej niż kiedykolwiek, że on sam stał się jego przedłużeniem. Niejasna świadomość, że jego miejsce jest gdzie indziej, czasem tak silna, zniknęła. Zdawało się, że się zapadł między czarnymi poręczami.

Obok Dallasa i Dana stały obie wiekowe siostry, podtrzymując się nawzajem. Wyglądały bardziej krucho niż kiedykolwiek. Pani Grouse się nie odzywała, ale od czasu do czasu głos Milly przebijał się przez głos duchownego. W oddali Anna rozpoznała bratową Dallasa, Loraine. Była też w kościele, chociaż Anna nie miała pojęcia dlaczego, albowiem o ile się orientowała, obie kobiety nigdy się nie spotkały.

Po ceremonii, ponieważ nikt specjalnie nie zwracał na nią uwagi, Anna odeszła między szare drzewa. Dopiero kiedy była w bezpiecznej odległości, obejrzała się za siebie i zobaczyła sznur czarnych samochodów, sunących w stronę głównej bramy. Odnalazła grób ojca, na którym nie była przez blisko sześć lat, jakie upłynęły od jego śmierci, ale pośpiesznie się od niego oddaliła, pewna, że błędem byłoby rozpoczęcie z nim rozmowy. Na grobie Diany kilku mężczyzn pracowało pod płóciennym daszkiem, rozpiętym nad otwartą mogiłą.

- Była bardzo dobra - rozległ się czyjś głos z tyłu, aż Anna drgnęła.

To była bratowa Dallasa, najwidoczniej stała tu od jakiegoś czasu, czekając na okazję, by porozmawiać.

- Owszem - przyznała Anna. - Nie wiedziałam, że się znaliście.
- Od bardzo niedawna - wyjaśniła Loraine. - Pewnego wieczoru przedstawiła się. To było w szpitalu. Powiedziała, że moja mała dziewczynka wyzdrowieje. Pamiętam, że oznajmiła to tak, jakby miała jakąś wewnętrzną wiedzę. Nawet znów zaczęłam mieć nadzieję.

Szkoda, że jej tu nie ma, pomyślała Anna. Może powiedziałyby coś i mnie.

- Lekarze mówili, że to białaczka.
- To przykre - powiedziała Anna.
- Tak to już bywa - odparła druga kobieta. - Mylili się. Okazało się, że to coś innego. Takie same objawy, ale jakaś rzadka choroba. Zupełnie jakby o tym wiedziała. Chociaż nie podejrzewam, żeby naprawdę miała taką wiedzę.

- Nie. Po prostu była optymistką.
- Żałuję, że nie jestem taka, jak ona. Może teraz się zmienię. Ostatnio cały świat wydaje mi się taki... wspaniały.

- Naprawdę?
- Wiem, że to samolubne, ale nic nie mogę na to poradzić. Wydarzyło się tyle cudownych rzeczy. Na przykład Dallas pojawił się z pieniędzmi. Gdyby nie on, nie wiem, z czego bym za to wszystko zapłaciła.

Anna się uśmiechnęła pierwszy raz tego dnia.

- Powiedział pani o tym?
- Nie. Prawie się nie widzimy.

Kobieta przyjrzała się jej uważnie.

- Zastanawiałam się nad tym. Zna pani Dallasa. Prawie nigdy nie ma więcej, niż potrzebuje, a nie potrzebuje wiele.

- Nie zaprzętałabym sobie tym głowy - powiedziała Anna. - Nikt, kto miał szczęście i dostał coś od Dallasa, nie powinien zadawać zbyt wielu pytań. Prawdopodobnie postawił dziesięć dolarów na numerek albo na coś innego.

- Przypuszczam, że miała z nim pani ciężkie życie, kiedy byliście małżeństwem.

- Nie, to raczej ja dawałam mu się we znaki.

Loraine odwróciła wzrok, zmieszana.

- Nie powinnam wtykać nosa w nie swoje sprawy.

- To było dawno temu. Oboje o tym zapomnieliśmy. Prawie go lubię.

- Ja też. Chciałam powiedzieć, że naprawdę go lubię. David, naturalnie, go ubóstwiał.

- Pamiętam - powiedziała Anna. Spodobała jej się Loraine, która

okazała się bardziej prostolinijna, niż przypuszczała. - Dallas potrafi być niezwykle miły. A także zupełnie nie liczyć się z innymi. Dobry. Nieświadomy. Zmysłowy. Ograniczony. Nie wie, jak się zachować, i nikt nigdy go tego nie nauczy, ale pojawia się, kiedy człowiek się go najmniej spodziewa, i jest najmilszym facetem pod słońcem. Gdybyśmy zostali ze sobą, pozabijalibyśmy się nawzajem, ale z inną kobietą może byłby szczęśliwy.

- Nie wiem, czybym temu sprostała.

- Powinna pani spróbować, jeśli ma pani ochotę. Nawet jeśli ostatecznie powie mu pani, żeby sobie poszedł, pójdzie i nie będzie żywił do pani urazy. Zapomni, że powinien się wściekać.

Szły teraz alejką i zatrzymały się tam, gdzie mężczyźni kończyli pracę pod płóciennym daszkiem.

- A więc - powiedział jeden z nich, nie zdając sobie sprawy z tego, że nie są sami - zrobione. Przywitaj się z wiecznością.

64

Dwa dni przed wyznaczonym terminem rozprawy przeciwko Randalowi Youngerowi prokurator się załamał. Poczynał sobie zuchwale, niektórzy mówili, że lekkomyślnie, ale mu się nie udało. Młodzieniec twardo trzymał się swojej wersji wydarzeń. Początkowo wszystko wskazywało na to, że uda się skazać dzieciaka, ale kolejne zeznania i dowody osłabiły sprawę prokuratora niczym wycieńczająca choroba. Adwokat Randal przeczesał miasto w poszukiwaniu osób, które zauważyły dziwaczne zachowanie sierżanta Gaffneya w ostatnich dniach jego życia, i nie napotkał specjalnych trudności. Pastor prezbiteriański odkrył w murze dwie kule kaliber trzydzieści osiem, kiedy poszedł na górę, by sprawdzić, dlaczego dzwonnica jest ciemna. Adwokat bardzo się zainteresował pociskami. Kilku stałych klientów Harry'ego było gotowych zeznawać, w jakim stanie znajdował się policjant czwartego lipca, wszyscy też wiedzieli o porzuconym w rowie radiowozie. Okazało się również, że sierżant Gaffney zaczepił swoją gospodynię i wyraźnie jej zabronił wpuszczać kogokolwiek do jego mieszkania, mówiąc to takim rozkazującym tonem i z takim obłudem w oczach, że śmiertelnie przeraził starszą panią.

Obrona zamierzała udowodnić, że sierżant Gaffney, wytrącony z równowagi zbliżającym się przejściem na emeryturę, zwariował i zaczął

strzelać. Przestał, kiedy już nie było do kogo celować. Potem popełnił samobójstwo. Wyniki badań balistycznych nie podważą tej teorii. Krążyły plotki, że adwokat Randalla zaangażował jakiegoś ważniaka, by zaświadczył, że kąt, pod jakim kula weszła w ciało, dowodzi, iż rana została zadana własnoręcznie przez zmarłego. Biegli oskarżenia będą zmuszeni do przyznania, że istnieje taka możliwość, jeśli nie prawdopodobieństwo. Na domiar złego oskarżyciel zostanie poproszony o wyjaśnienie, dlaczego na rękawiczkach Randalla znaleziono ślady krwi Rory'ego Gaffneya, gdy tymczasem broń, z którego zastrzelono brata Rory'ego, była czysta. Zrodzi się kolejna poważna wątpliwość.

Sam prokurator okręgowy przedstawiłby zupełnie odmienną wersję wydarzeń, nadzwyczaj spójną. Jeśli bardzo by się postarał i dobrze ją zrelacjonował, nie wyszedłby na durnia. Mógłby nawet przekonać kilku przysięgłych. Ale jaki byłby wynik? Poważne wątpliwości. Opowieść chłopaka, a przynajmniej jej znaczna część, brzmiała przekonująco. W głębi duszy prokurator musiał przyznać, że brzmiała przekonująco nawet w jego uszach, co groziło, że zostanie z martwym gliniarzem, martwym obywatelem, martwym półglówkiem, oburzonymi mieszkańcami, uciążliwym zainteresowaniem ze strony mediów, niezrealizowaną życiową szansą, a jedyne, co będzie mógł zrobić, to wycofać oskarżenie. Zdesperowany, wezwał adwokata chłopaka i zaproponował „dla dobra wszystkich zainteresowanych”, że ograniczy się do oskarżenia Randalla o nieumyślne pozbawienie życia. Ale ten łobuz tylko się uśmiechnął i na tym się skończyło. „Figa z makiem - oświadczył prokurator swoim pracownikom. - To wszystko, co mamy”. Jego pracownicy od tygodni mu to prywatnie powtarzali. A zatem w piątek późnym popołudniem, trzy dni przed datą rozpoczęcia największego procesu w dziejach trzech pobliskich miast, prokurator okręgowy Mohawk zwołał konferencję prasową, by oznajmić, że wycofuje wszystkie oskarżenia przeciwko Randallowi Youngerowi, ponieważ prokuratura ma na niego figę z makiem. Potem, po telefonie do komisji poborowej, prokurator okręgowy wyjechał na południe na wakacje. Miał trzy tygodnie urlopu i zamierzał wykorzystać każdą jego minutę.

Dziennikarze nadal stali zgromadzeni przed siedzibą sądu, kiedy Randalla Youngera najpierw zabrano z celi i zaprowadzono na pierwsze piętro w celu załatwienia ostatnich formalności, związanych z jego zwolnieniem, i zwrócenia mu rzeczy osobistych, portfela z czterdziestoma dwoma dolarami gotówką. Przez okno wychodzące na ulicę Randall

spojrzał na kłębiący się w dole tłum. Na przedzie, na samym czelu zgromadzonych, stali dwaj mężczyźni w dyskretnie eleganckich, trzyczęściowych garniturach i okularach przeciwsłonecznych. Wydawali się znacznie spokojniejsi od pozostałych, nie wiadomo dlaczego na ich widok Randall przypomniał sobie Kobry, wystające beczynn timer pod pomnikiem Nathana Littlera przed gimnazjum. Wsunął portfel do kieszeni.

- A więc - zwrócił się do niego Dominic - to wszystko. Kiedy wyjdziemy, możesz powiedzieć, co chcesz. Nie bój się wypomnieć im tego czy owego.

- Muszę iść do łazienki - oznajmił Randall.

- Proszę bardzo - powiedział prawnik. - Idź się odlać. Jesteś wolnym człowiekiem.

Męska toaleta była dwoje drzwi dalej, nikt nie poszedł za Randalem. Pojedyncze okno wysoko na ścianie wychodziło na alejkę na tyłach budynku sądu. Po murze biegła pionowo rynna.

Dziennikarze i dwaj panowie w tradycyjnych garniturach musieli się zadowolić figą z makiem.

65

Benny D. miał ciężką noc, i to oczywiście, jak zwykle, przez Dallasa Youngera. Zaczął go szukać o ósmej poprzedniego wieczoru, a kiedy koło siódmej następnego ranka słońce wyjrzało spoza drzew, Benny jeszcze nie skończył swoich poszukiwań. W którymś momencie podczas tej długiej, ciemnej nocy zapomniał, czemu właściwie szuka swego przyjaciela, i robił to zupełnie machinalnie, wiedząc, że wcześniej czy później sobie przypomni, zresztą same poszukiwania okazały się wystarczająco absorbujące.

Dallas nie pokazywał się w pracy przez ostatnie trzy dni, od zwolnienia i zniknięcia swego syna, ale wieści o jego wyczynach jakoś dotarły do salonu Pontiaca. Pierwszej nocy Dallas zamknął się w barze przy drodze do Albany i tak się upił, że cofając się, wjechał samochodem do rzeki Mohawk i ledwo uszedł z życiem. Nazajutrz ktoś zadzwonił do Benny'ego D., który wezwał pomoc drogową, by odholować wóz. Dallasa nie było, ale nie wiedzieć czemu samochód stał, tylne koła i bagażnik znajdowały się pod wodą, przód na brzegu. Benny D. odniósł wrażenie, jakby samochód o własnych siłach próbował się wydostać z rzeki. Zajęło mu godzinę wyciągnięcie go na szosę i odholowanie na parking przed

salonem Pontiac, gdzie dla bezpieczeństwa postawił go na ogrodzonym placu. Chciał poprosić gliniarzy, by przeszukali rzekę, ale ktoś utrzymywał, że widział, jak mężczyzna gramoli się w górę błotnistej brzozy, i policja była skłonna uwierzyć, że Dallas wyszedł cało z opresji.

Rzeczywiście tak musiało być, bo ledwo Benny D. usiadł za swoim biurkiem, a zaczęły napływać informacje o wyczynach Dallasa z tak odległych od siebie krańców okręgu, że Benny D. zaczął podejrzewać, iż jego przyjaciel umarł i odrodził się w dziewięciu osobach. W Fali Inn postawił kolejkę wszystkim obecnym i zniknął, zanim barman zdążył zainkasować pieniądze. U Greeniego podobno dopadł Untemeyera w cuchnącej męskiej toalecie, przyparł bukmachera do muru i siłą ściągnął mu cenny sygnet z brylantem z grubego palca.

Benny D. doszedł do wniosku, że Dallas świetnie się bawi, i w pierwszym odruchu chciał do niego dołączyć. Nie było lepszego kompana od Dallasa, kiedy poszedł w tango. Ale tak się akurat pechowo złożyło, że żona Benny'ego D., która trzy lata temu drugi raz od niego odeszła, ni stąd, ni zowąd wróciła. Benny był taki zaskoczony i w pierwszej chwili taki zachwycony, że niewiele myśląc, obiecał, że się poprawi i będzie się zachowywał jak należy. Złożył również różne inne obietnice, choć wiedział, że będzie kiedyś gorzko tego żałował, ale trudno, przepadło. Podczas swej trzyletniej nieobecności pani D. ukończyła studium zarządzania i ponowne przyjęcie na siebie obowiązków małżeńskich uzależniła między innymi od przekazania jej przez męża bieżącego zarządzania warsztatem i salonem oraz książeczką czekową.

- Czy nie wolno mi będzie nawet wypisywać czeków? - spytał.
- Zobaczymy - powiedziała.

Jednak w sumie był zadowolony. Wyglądała lepiej niż wtedy, kiedy się pobierali, i przyswoiła sobie od swych koleżanek z grupy zwyczaj chodzenia bez biustonosza. Kiedy na nią patrzył, odczuwał szczęście i wdzięczność, że wróciła, a do tego podziw dla jej piersi i całej reszty. Opuścili żaluzje i zrobili to od razu na biurku, ich jęki rozkoszy zagłuszało stukanie i wizg w warsztacie za ścianą.

Naprawdę chyba jedynym mieszkańcem Mohawk, który bawił się lepiej od Benny'ego, był Dallas Younger, kontynuujący swoją eskapadę. Czwartego wieczoru balangi Dallas najwidoczniej dowiedział się o akcji ratowniczej, przeprowadzonej przez Benny'ego D., ponieważ nazajutrz rano samochód zniknął. W jakiś sposób Dallas przedostał się przez ogrodzenie, ujarzmił wściekłego kundla, do którego Benny D, chociaż go karmił, nie podchodził bliżej niż na wyciągnięcie ręki, i zabrał wóz, który

Benny D. specjalnie ukrył między innymi autami, aby temu przeszkodzić do czasu, aż uzyska zwrot poniesionych kosztów. Eskapada trwała. Dallas w Outside Inn. Dallas w punkcie totalizatora sportowego, Dallas u Greeniego, by oddać Untemeyerowi sygnet i przeprosić za skaleczony palec. Dallas. Dallas. Ciągle Dallas. Benny D. okropnie się wstydził, że jest takim malkontentem, ale nic nie mógł poradzić, że żałował, iż jego ukochana żona nie wróciła tydzień później. Wyraźnie zmarmotniał, częściowo z powodu tęsknoty, częściowo w wyniku intensywnego zabawiania się z panią D., która gdzieś się dowiedziała, że bara-bara to fajna rzecz. Zaczął filozofować i niemal doszedł do wniosku, że całkowite szczęście jest nieosiągalne dla zwykłych śmiertelników. Ale, jak się okazało, był w błędzie, ponieważ pani D. kazała mu odszukać Dallasa i siłą przyprowadzić go z powrotem do roboty, albowiem w warsztacie stało mnóstwo zepsutych pontiaków, które słuchały tylko jego.

I tak szóstego wieczoru eskapady Dallasa Benny D. wyruszył na poszukiwania swego głównego mechanika, mając nadzieję, że jego przyjaciel nie będzie kompletnie wyczerpany. Pani D. odliczyła mu pięćdziesiąt dolarów na prowadzenie poszukiwań, w sam raz, by osiągnąć sukces, a bez stwarzania większych pokus. Naturalnie Benny D. już wcześniej szukał Dallasa i wiedział, jak się do tego zabrać. Postępując zgodnie ze sprawdzoną teorią koncentrycznych kół, trzeba było zacząć od geograficznego środka miasta, to znaczy od Greeniego, i zataczać coraz szersze kręgi, póki się nie dotarło do granicy okręgu, zakłętej linii, której Dallas, co Benny D. wiedział z długiego doświadczenia, nigdy nie przekraczał. Do północy Benny D. wybadał wszystkie bary w Mohawk i zorientował się, jak wyglądała trasa podróży jego przyjaciela, ale nie mógł trafić na świeży trop i zaczął podejrzewać, że Dallas wyprzedza go o dwadzieścia cztery godziny. Pod względem spożytego alkoholu przewaga była jeszcze bardziej imponująca, chociaż Benny starał się, jak mógł, by zmniejszyć dystans. Dowiedział się o partyjce pokera u Rycerzy Kolumba i wstąpił tam. Nie zastał Dallasa, ale byli inni, wszyscy ucieszyli się na widok Benny'ego D., który usiadł do gry z tym, co mu zostało z pięćdziesięciu dolarów, ale mając opinię osoby wypłacalnej. Mężczyźni nie wiedzieli, że oficjalnie przekazał interes żonie, lecz nie widział powodu, by im o tym mówić. Zresztą czuł, że będzie miał szczęście, i wiedział, że siedzenie na jednym miejscu to nie najgorszy sposób, by znaleźć kogoś w Mohawk. Teoretycznie bez końca można było krążyć po ograniczonym terenie. Ale jeśli się siedziało w jednym miejscu, czasem ten, którego się ścigało, odnajdywał się sam.

Jednak tym razem było inaczej, ponieważ Benny D. miał największy fart w życiu, jak sięgał pamięcią. Wygrał siedem razy z rzędu, do wpół do czwartej wszyscy przy stoliku byli kompletnie splukani i się rozeszli, a on znów wyruszył na poszukiwania. Miał w kieszeni prawie sześćset dolarów i nawet nie mógł się pochwalić nimi pani D., jako że przysiągł jej między innymi, iż zerwie z hazardem. O siódmej, kiedy wzeszło słońce, wiedział, że będzie musiał wrócić do domu pokonany. Czuł się okropnie, wątpił, czy nawet widok obfitego biustu małżonki podniesie go na duchu.

Ale dokonał tego widok samochodu Dallasa Youngera na parkingu przed warsztatem. Dallas był sam w środku, stał pod niedomagającym pontiakiem bonnevillie pani Schwartz. Wziął prysznic, ogolił się i miał na sobie wyprasowaną koszulę, na której, o dziwo, wypisane było pochylymi literami „Dallas”.

- Wszędzie cię szukałem - powiedział Benny D.

- Jestem tutaj. Ktoś musi pilnować interesu. A tak przy okazji, okropnie wyglądasz.

- Jak się tu dostałeś? - Benny D. miał mnóstwo pytań, ale to uznał za najpilniejsze.

- Mam klucz. A jak myślałeś?

- Dałem ci klucz?

- Widocznie tak. Przecież go mam.

Benny musiał przyznać, że brzmi to logicznie.

- Ktoś mi powiedział, że wróciła twoja pani. - Dallas nacisnął guzik i wóz pani Schwartz zaczął się obniżać, aż dotknął kołami zimnej posadzki, a podnośnik wydał westchnienie ulgi.

Benny D. był ciekaw, co jeszcze słyszał Dallas, i postanowił, że lepiej mu czymś zaimponować.

- Ostatniego wieczoru nieźle ograłem chłopaków. Twój kumpel John przegrał najwięcej.

- Świetnie - powiedział Dallas. - Jeśli masz forszę, przyda mi się stówa.

Benny D. odliczył kilka banknotów i wręczył mu je.

- Malowałeś kiedyś dom? - spytał Dallas.

- Ostatnio nie.

- Masz pędzle i co tam jeszcze potrzebne? Drabinę?

Benny D. wzruszył ramionami.

- Chyba tak. Możesz sprawdzić w piwnicy.

- Dobra.

Przed warsztatem zatrzymał się samochód i wysiadła z niego pani D. Kiedy mąż zobaczył ją przez oszklone drzwi, wsunął resztę wygranej do tylnej kieszeni spodni Dallasa.

- Przechowaj je dla mnie. Gdzieś w bezpiecznym miejscu.

Pani D. skierowała się prosto do kantoru, ale potem zobaczyła mężczyznę w warsztacie.

- Widzę, że go znalazłeś - zauważyła, zbliżając się ostrożnie.

- Naturalnie, że go znalazłem - powiedział Benny D.

- No, no, aż miło popatrzeć. - Dallas uśmiechnął się pełen uznania.

- Daruj sobie, Dallasie Younger.

- Powiedz jej, żeby odeszła od ciebie i znów wróciła. Dobrze to na nią wpływa.

- Tutaj ja jestem od mówienia - oświadczyła, zanim zamknęła drzwi do kantoru.

- Tak słyszałem - zauważył Dallas.

Benny D. się zaczerwienił.

- A więc gdzie, do cholery, byłeś ostatniej nocy?

- W domu.

- Gówno prawda. Kilka razy do ciebie zaglądałem.

Dallas wszedł do wozu pani Schwartz i włączył silnik. Żadnego stukania, żadnego gwizdania. Idealnie. Benny D. spojrział na niego z ukosa.

- Czy to przypadkiem nie dom twojego brata wymaga malowania?

- Powinieneś go kiedyś obejrzeć.

Benny D. pokręcił głową.

- O tej porze roku nie maluje się domów.

- Myślałem o wiosnie.

Dallas zgasił silnik i wręczył Benny'emu D. kluczyki.

- Nie myślisz chyba, że skończymy jak pantoflarze, co? - spytał Benny D.

- Nie. - Dallas się uśmiechnął. - A przynajmniej nie ja.

66

Kiedy Anna Grouse skręcała w Kings Road, jakiś samochód akurat wyjeżdżał tyłem z podjazdu Woodów. Rozpoznała za kierownicą siostrzeńca Dana, który sześć lat temu na pogrzebie jej ojca niósł trumnę.

Chociaż od tamtej pory się nie widzieli, uśmiechnął się i opuścił szybę.

- Cześć. Jedziesz się zobaczyć z wujkiem Danem?

Anna skinęła głową.

- Jak on się czuje?

- Nieźle - powiedział. - Jest trochę oklapnięty. Chyba chciał bez świadków pożegnać się z tym miejscem.

- Może nie powinnam mu przeszkadzać. Powiedz mi, pije?

- Trochę. - Chłopak się zaczerwienił. - Ale wszystko w porządku.

Nigdy nie spotkałem nikogo, kto potrafiłby tak pić, jak on. - Jego głos zabrzmiał radośniej. - Ja byłbym już nieprzytomny.

Nie wiedzieć czemu Anna była poirytowana i nie w nastroju do pogawędek.

- Zajrzę i się przywitam.

- Świetny pomysł. Chcesz, żebym zaczekał gdzieś w pobliżu?

- Myślę, że to nie jest konieczne.

- Później moglibyśmy pójść na kawę.

- Po co? - Ale natychmiast się zorientowała, że sprawiła mu przykrość, i przeprosiła go. Zauważyła też, że jest kobietą czterdziestoletnią.

- Och - odparł poważnie. - Nigdy bym nie powiedział.

Dan zamykał na kłódkę szopę koło basenu, kiedy furka głośno zatrzasnęła się za Anną. Drzwi do ogrodu były otwarte, wszystkie pokoje puste, większości mebli pozbyto się na wyprzedazy tydzień temu, resztę przewieziono do przechowalni. Od pogrzebu rzadko się z nim widywała, ani razu nie byli sam na sam. Zresztą Anna nie była pewna, jak teraz wypadnie ich spotkanie. Rozdzielała ich długość basenu, odległość, która wydawała się większa niż w rzeczywistości.

- Właśnie minęłaś się z Michaeliem - powiedział.

- Prawdę mówiąc, przekazaliśmy sobie pałeczkę na podjeździe - odparła. - Zaprosił mnie na kawę. Pomyślałam, że to dość zabawne.

- A co mu powiedziałaś?

- Potrafisz być bardzo nieprzyjemny.

- Nie chciałem - przeprosił. - Jak tam w Forest Lawn?

- To nie Forest Lawn, jak dobrze wiesz, tylko Forest Towers.

Rano wstąpiła do matki i ciotki. W zeszłym tygodniu przeprowadziły się do małego mieszkanca na trzecim piętrze w budynku z windą i telewizją kablową, zaraz obok był supermarket i drogeria. Po drugiej stronie ulicy mieścił się punkt totalizatora sportowego i Milly, ku przerażeniu swej siostry, pokuśtykała tam, dopchnęła się do kontuaru, gdzie wyciągnęła dwa

stare banknoty jednodolarowe z pękatego woreczka na monety, poprosiła wytatuowanego mężczyznę o radę, którą zignorowała, a następnie postawiła na swojego typu. Straciła pieniądze, ale nie zapal.

- Lubię hazard - powiedziała Annie. - Przez te wszystkie lata, kiedy mieszkałam ze swoim zięciem, nigdy nie miałam ani chwili radości.

- Jak się mają sprawy? - spytała Anna matkę, kiedy Milly nie mogła ich usłyszeć.

- Świetnie - powiedziała pani Grouse. - Świetnie.

- Nie będzie lekko.

- Wiem - przyznała matka. - Ale dobrze być komuś potrzebnym. Od śmierci twojego ojca nikomu nie byłam potrzebna.

- Przykro mi - powiedziała Anna.

Nie żeby pani Grouse, wypowiadając swoją uwagę, miała na myśli coś szczególnego. Obecny układ wydawał się idealny. Jej siostra była prawdopodobnie jedyną osobą, której Milly nie będzie zdręzczała swoimi wymaginowanymi dolegliwościami i kapryсами. Po sfinalizowaniu sprzedaży domu Mathera Grouse'a obie staruszki otrzymają dość pieniędzy, by żyć bardziej niż dostatnio. Anna zamierzała się wyprowadzić przed Bożym Narodzeniem. Nowy właściciel traktował dom Grouse'ów jak inwestycję i był zawiedziony na wieść, że Anna nie zamierza dalej w nim pozostać. Ale szybko wynajął oba mieszkania.

- Zapropionowałbym ci, żebyś usiadła - powiedział Dan - gdyby było na czym.

- Jak ci poszło?

- Prawdę mówiąc, nieźle. Dom przyniósł więcej, niż się spodziewaliśmy. Niż się spodziewałem. Wyszedłem na zero.

Anna odwróciła wzrok.

- Naturalnie Di straciła, ale zawsze wiedziała, że straci.

Basen jakby jeszcze się wydłużył. Żadne z nich się nie poruszyło.

- Jeśli mamy się rozstać jako przyjaciele, musisz przestać sprawiać mi ból, Dan.

Początkowo nic nie odpowiedział, tylko spoglądał przez drewniany parkan na niebo nad polem golfowym.

- Wcale nie chcę sprawiać ci bólu. Może sobie. Ale nie tobie.

- Ale czujemy to samo. To naprawdę najgorsze. Zawsze czuliśmy to samo. Karząc siebie, karzesz jednocześnie mnie. Więc proszę, przestań. Zawsze to ja byłam stroną, która dążyła do tego, żebyśmy byli razem, nawet wtedy, kiedy wiedziałam, że to nierealne. Już więcej nie będę. Obiecuję. Straciliśmy wszystko, co było do stracenia, prawda?

- Nie chcę nikogo ranić. To najdziwniejsze. Nie żałuję straty domu i wszystkiego, co się z nim łączyło. Wiem, że powinienem i prawdopodobnie czułbym się lepiej, gdyby tak było, ale w tej chwili odczuwam jedynie znużenie. Człłbym się lepiej, gdybym przynajmniej uważał, że był jakiś tragiczny słaby punkt, jakiś błąd w ocenie, na który mógłbym wszystko zrzucić. Gdybym mógł się obejrzeć za siebie i powiedzieć, że przeoczyłem jakiś znak, że gdybym go nie przeoczył, wszystko potoczyłoby się inaczej.

- Przyjęłam ofertę pracy w Phoenix - powiedziała, nagle rozdrażniona jego filozofowaniem. - Kiedy powiedziałam im „tak”, miałam szczerzy zamiar poprosić, żebyś pojechał ze mną. Nawet myślałam naiwnie, że może w końcu nawzajem damy sobie szczęście. Powinna mieć więcej rozumu w głowie. Wolisz, żeby poszła na kawę z twoim niemądrym siostrzeńcem.

- Najpierw bym cię zabił.

- Cieszę się - powiedziała. - W takim razie nadal jesteśmy przyjaciółmi.

- Chodźmy stąd - zaproponował Dan, nagle kierując się w jej stronę. Zamknęła za nimi furtkę na taras. - Dobrze, że wciąż mam samochód - powiedział. - Nie pomagaj mi.

Samodzielnie usiadł za kierownicą, a potem zamknął drzwiczki i opuścił szybę.

- Gdzie, do cholery, jest Phoenix? W Arizonie?

Złożyła wózek i umieściła go na miejscu dla pasażera.

- Sprawdź na mapie.

- Założę się, że nawet nie mają tam podjazdów. To podobne do ciebie - zaprosić mnie tam, gdzie nie ma cholernych podjazdów.

- Dzisiaj wszędzie je budują.

- Więcej zachodu niż to warte, wierz mi.

- Ale nic nie stoi na przeszkodzie, żeby je budować.

- Może kiedyś przyjadę - powiedział.

67

Bywalcy baru Mohawk mają różne sposoby typowania zwycięzców na torze, każdy ze stałych klientów, który wślizguje się do środka, kiedy punktualnie o szóstej Harry otwiera lokal, opracował swoją własną metodę,

choć bez większych oporów przyznają, że nie ma sprawdzonego sposobu, w przeciwnym razie wszyscy hazardziści mieszkaliby na Florydzie. Więc tworzą wymyślne wzory matematyczne dla wytypowania nie tego, kto zwycięży, tylko który by zwyciężył, gdyby na torze nie dopuszczano się oszustw. Tym osobom o naukowym podejściu nie psuje humoru cyniczne przeświadczenie, że sztuce przewidywania zwycięzcy w poważnym stopniu przeszkadzają nieuczciwość i chciwość. Studiowanie tabel wyników na treningach i warunków, panujących na torze, analiza poziomu rywalizacji - to przyjemność sama w sobie, szczególnie w szarym świetle poranka, sącącym się przez okna frontowe baru i padającym na programy wyścigów. Jeszcze większymi cynikami są ci, którzy uważają, że konie się nie liczą, należy stawiać na trenera mającego najlepszego farmaceutę. Ten pogląd nie jest szeroko rozpowszechniony, ponieważ nie ma możliwości ustalenia, kto ma najlepszego farmaceutę danego dnia; a czysta teoria nie sprzyja zakładom.

Sam Harry gra rzadko, chociaż on też ma swoją teorię. Nigdy nie czuł się zmuszony dzielić się nią z wytrawnymi weteranami, którzy przychodzą do niego na kawę, wszyscy bez wyjątku przegrywają mimo pierwszorzędnych referencji i znajomości rzeczy, ale sztydziłoby z naiwnej prostoty jego systemu. Jednak dość dobrze się sprawdza, zdaniem Harry'ego, a entuzjaści pierwsi przyznają rację, że niemożliwością jest wygrać na wyścigach koni. Albo psów. Albo w kości. Albo w karty. Można jedynie próbować.

Jeśli Harry w ogóle się zakłada, stawia na dżokejów, i chociaż trudniej ich rozgryźć niż konie, których dosiadają, nie są całkowicie odporni na obserwacje naukowe. Naczelną zasadą Harry'ego jest nigdy nie stawiać na niesprawdzonych dżokejów; czasem wygrywają, ale najczęściej zdarza się im przegrywać na nielicznych dobrych wierzchowcach. Niektórzy jakby się urodzili po to, żeby przegrywać. Czołowi dżokeje są mniej więcej tak samo zdolni, dlatego, zdaniem Harry'ego, liczy się pierwiastek ludzki: duma i koncentracja. Pragnienie. Te cechy niewątpliwie można spotkać u każdego, jak Harry dobrze wie, więc obserwuje ich wzloty i upadki, aż jakiś subtelny wewnętrzny kamerton zaczyna rozbrzmiewać i wibrować sympatią, mówiąc na przykład, że Shoemaker wygra pięć razy z rzędu. W rezultacie Harry będzie stawiał na Shoego za każdym razem, kiedy ten weźmie udział w gonitwie, bez względu na to, na jakiej szkapie, tak długo, aż poczuje, że duma, pragnienie, potrzeba

wzbiera w innym zawodniku. Harry wie, że to głupia teoria, ale daje mu zadowolenie z gry, a czasem nawet się sprawdza.

Jednak dziś rano Harry nie czuje nic szczególnego do żadnego z dżokejów i, prawdę mówiąc, na nic nie ma ochoty. Nie zdziwiłby się, gdyby się okazało, że dziś nikt nie wygra, jak Ameryka długa i szeroka. Wypowiada tę uwagę na głos i na tyle porusza ona jednego z pijących kawę, że unosi wzrok znad swojego kuponu.

- Ktoś musi wygrać, Harry. Wszyscy nie mogą przegrać.
- Wszyscy moi mogą - zauważa inny.

Otwierają się drzwi i wchodzi pięciu mężczyzn, wśród nich John. Jakby specjalnie na nich czeka pięć wolnych miejsc przy barze.

- Kto jest dzisiaj wielkim przegranym? - pyta ktoś.
- Nie uwierzysz - mówi jeden z hazardzistów - ale graliśmy całą noc i wyszliśmy na zero.

Harry przewraca na drugą stronę paszteciki mięsne i uśmiecha się, stojąc plecami do tamtych. Powiedzą, co mają do powiedzenia, kiedy przyjdzie pora, więc nie ma potrzeby odwracać się do nich przodem.

Prawnik prycha, biorąc wyłożony przez Harry'ego egzemplarz „Republican”. Na pierwszej stronie donoszą, że dwóch miejscowych właścicieli garbarni ukarano grzywną w wysokości ponad stu tysięcy dolarów za zatrucie Cayuga Creek. Według prowadzących dochodzenie, substancje rakotwórcze były zwyczajowo odprowadzane do tego dopływu Mohawk przez ponad czterdzieści lat. Agencja Ochrony Środowiska rozważa, czy nie należałoby ewakuować mieszkańców z okolic szczególnie zatrutych. Rzecznik ministerstwa przemysłu zaprzeczył wszystkim oskarżeniom i wyszczególnił liczbę miejsc pracy, które zostaną zlikwidowane, jeśli zamknie się garbarnie. Spodziewane są dalsze grzywny i akty oskarżenia.

- Nigdy ich nie zamkną - mówi ktoś.
- Akurat. - John wybucha śmiechem. - I tak mieli je pozamykać. Jak myślicie, dlaczego stary Tucker sprzedał wszystko w zeszłym roku? Zgarnęli cały szmal, który był tu do zgarnięcia, trzydzieści lat temu.

- To nigdy nie nastąpi - mówi pierwszy mężczyzna. - Mohawk to skóry.

- Mohawk to gówno - mówi prawnik. - Zawsze nim było.
- To czemu nadal tu siedzisz?

John milczy, ale jego mina świadczy, że ma odpowiedź na to pytanie.

- Myślisz, że rząd kupi mój dom? - pyta inny. - Jest tylko jedną przecnicę od rzeczki.

- To całkiem możliwe - mówi John. - Znam kilka osób, które zaświadczą, że jesteś niespełna rozumu, możesz utrzymywać, że to przez picie wody z rzeki. Tak jak to było w przypadku Szalonego Billa.

Gdyby John uniósł wzrok znad gazety, miałby czas, żeby się uchylić. Ramiona Harry'ego zdrząły niemal niedostrzegalnie, zanim się obrócił, jego łopatką przecięła gazetę niczym nóż. Na szczęście „Republican” stawiał wystarczająco duży opór, by wykręcić narzędzie, które Harry ścisnął w ręce. Na płask trafił Johna w policzek, zostawiając pod prawym okiem trójkąt tłuszczu z kiełbasek. Wszyscy, nie wykluczając Harry'ego, zaniemówili oniemiałi. Tłuszcz spłynął strużką pod kołnierzyk koszuli prawnika. Sama łopatką jest tak elastyczna, że uderzenie nie zostawiło nawet najmniejszego śladu.

Dla wszystkich z wyjątkiem głównych uczestników wydarzenia nie ulega wątpliwości, że byli świadkami najzabawniejszego zajścia pod słońcem. Tak się śmiali, że kilku przewróciło filiżanki z kawą, wkrótce dołączył do nich sam John.

- Ostatnio ludzie tutaj są dziwnie drażliwi - zauważył. Na twarzy nadal miał pamiątkę po przygodzie z Dallasem Youngerem, siną szramę na swych poza tym kształtnych ustach. Wytarł twarz jedną z serwetek Harry'ego. - Czy to był twój najlepszy strzał, Harry?

Mężczyźni wyli i obracali się na stołkach, jeden gość spadł na ziemię, stołek kręcił się dalej bez niego.

Nagle Harry też zaczął się śmiać, a może płakać. Łzy płynęły mu po policzkach, opadł na kolana za kontuarem. Mężczyźni musieli się przechylać, by go zobaczyć na podłodze, wkrótce z góry zeszła jego żona, by sprawdzić, co jest powodem tych hałasów.

Kiedy goście zapłacili za śniadanie i wyszli, pojawił się Untemeyer. Harry zdążył już dojść do siebie, chociaż oczy miał wciąż czerwone i zapuchnięte.

- Coś ty robił, do cholery? - spytał stary bukmacher. - Płakałeś?
- Gdzie tam - powiedział Harry. - Śmiałem się.
- Z czego?
- Musiałbyś to sam zobaczyć.
- Żałuję, że mnie tu nie było. Nigdy w życiu nie widziałem, jak się śmiesz.

Harry powiesił na kasie tabliczkę NIECZYNNE i wyjął kilka banknotów.

- W ilu gonitwach bierze dzisiaj udział Shoe? - zapytał. Untemeyer sprawdził na zmiętej kartce.

- W ośmiu.

Harry wręczył mu szesnaście dolarów.

- Mam przeczucie, że wygra.

Untemeyer skinął głową, dołożył pieniądze Harry'ego do grubego pliku banknotów i wypisał pokwitowanie.

- Powinien, łobuz jeden.